

Judith Gould

Grzechy

tom II



Przełomski i S-ka

Judith Gould

Grzechy

Tom II

WCZORAJ CENA SUKCESU

Rozdział 1

Paryż, 1955

O dziesiątej rano na Avenue Frédéric-Le-Play podjechały dwie taksówki i zatrzymały się przy krawężniku. Z pierwszej wysiedli garderobiana i fryzjer. Czekali chwilę, aby kierowca wyciągnął z bagażnika ich walizki. Z drugiej wyszli Helenę i Jacques. Kiedy on płacił za kurs, Helenę spojrzała na Pole Marsowe i wieżę Eiffla. Potężna konstrukcja wyrastała znad równo przyciętych trawników i krętych ogrodowych ścieżek wysoko w czyste, zimowe niebo. Helenę ogarnął nagły lęk.

Coś jej szeptało, że niepotrzebnie zgodziła się na tę sesję. Ale kiedy Odile Joly zaproponowała jej tę pracę, wydawało się, że to dobry pomysł.

- Mam tu młodego zdolnego fotografa, który robi zdjęcia dla „Paris Vogue” - powiedziała projektantka. -

Zainteresowało go siedem projektów z naszej letniej kolekcji. Widział cię na pokazie i nalegał, abyś to ty je prezentowała.

Helena była bardzo podekscytowana. Chodziło jej oczywiście o „Vogue’a”. Jakże często przerzucała gładkie, błyszczące strony tego magazynu, z ciekawością oglądając zdjęcia. I wzięła sobie do serca to, co mówiła pani

Dupré. Tak jest, powinna podejmować nowe wyzwania. Może to właśnie ów następny krok na drodze do realizacji jej wymarzonych planów, myślała. No i jeszcze nazwisko fotografa.

Jacques Renault miał już określoną markę. Stawiał na odważne pomysły. Fotografował swoje modelki w niesamowitych miejscach - na stromych skałach, wysokich dźwigach, nad przepaściami. Kiedyś ustawił dziewczyny na parapetach i rynnach katedry Notre Dame; zdjęcia wyszły fantastycznie. Całkowicie spełniły oczekiwania Jacques'a Renaulta. Modelki były blade ze strachu, tak jakby naprawdę musiały uciekać przed samym

Quasimodo. Z ich twarzy było autentyczne przerażenie.

Zrobił się z tego jednak skandal, bo Jacques po prostu zabrał modelki, wszedł do katedry i wdrapał się z nimi po schodach północnej wieży na dach; tam dziewczyny zrzuciły futra. Pod spodem miały skąpe figi i biustonosze. Miała to być reklama bielizny Bonaparte Lingerie.

Wybuchł skandal. Filmy zostały skonfiskowane, a Jacques'a pozwano do sądu. Sprawa ciągnęła się długo i stała się głośna. Po pół roku Jacques został jednak uniewinniony. W ciągu jednego dnia stał się sławą, męczennikiem sztuki. Condé Nast natychmiast zaproponował

mu świętą kontrakt. Jacques podpisał go i od tej pory pracował dla „Vogue’a”.

Kiedy Helenę dowiedziała się, że Renault chce ją fotografować, nie wahała się ani chwili. Oczywiście wiedziała, że naraża się na niebezpieczeństwo. Pocieszała się jednak, że prasa trochę przesadza, pisząc o ekstrawagancjach Jacques’a.

Teraz, kiedy patrzyła na czarną metalową konstrukcję wznoszącą się nad brzegiem Sekwany, robiło jej się niedobrze. Od dzieciństwa miała lęk wysokości. Pomyślała, że na szczycie na pewno będzie zimno. I z pewnością

strasznie tam wieje. Spojrzała na Jacques'a; fotograf przyglądał się jej z uwagą.

Nie wolno myśleć o wysokości, powiedziała sobie, zaciskając zęby. Nie wolno myśleć o niebezpieczeństwie. Trzeba myśleć o czymś innym. O czymś przyjemnym. Uśmiechnęła się smutno. Nie przychodziły jej do głowy żadne przyjemne rzeczy. Hrabia? Broń Boże! Zjawił się zaraz po tym, jak Simon odwiózł ją do domu. Był wściekły, że zawiodła go tydzień wcześniej. Nie uwierzył, że chorowała, a Helenę postanowiła nie mówić mu o zabiegu. Uważała, że on by tego nie zrozumiał.

Zdecydowała się zlekceważyć zalecenia

doktora Rosena i posłusznie poszła z hrabią do łóżka. Musiała się upić, żeby znieść ból, jaki jej sprawiał, ale i tak przeżyła koszmar.

Gdy już było po wszystkim, cicho zsunęła się z łóżka i poszła do łazienki. Philippe na szczęście już zasnął. Ostrożnie zmyła krew. Hrabia nawet nie zauważył, jak bardzo ją poranił. Dopiero kiedy następnego dnia obudził się w zakrwawionej pościeli, zorientował się, że coś jest nie w porządku. Uderzył ją w twarz.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz okres? - zapytał z wściekłością. - Wiesz, że nie mogę znieść stosunku z

krwawiącą kobietą! Nie życzę sobie, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło!

- Dobrze. Najpierw zrobimy kilka ujęć z wieżą w tle - powiedział Jacques.

Wcisnął ręce w kieszenie i bardzo uważnie rozglądał się dookoła. - Merde!

Ta trawa jest wyschnięta. Kiedy fotografuje się letnie ubrania zimą, zawsze jest ten sam kłopot. -

Poirytowany kiwnął na garderobianą i fryzjera. - Zabierzcie cały ten majdan bliżej fontanny.

Zabrali walizki i ruszyli posłusznie tam, gdzie im wskazywał ręką. Owalna fontanna pomiędzy wieżą Eiffla a d'Honneur była wyłączona. Kiedy doszli na miejsce, Jacques wyglądał na

zadowolonego. Odwrócił się do Helenę.

- Dobrze. Zrobimy pierwsze zdjęcia tutaj, z wieżą w tle. A potem reszta ujęć na drugiej platformie.

Helenę spojrzała na wieżę i zamknęła oczy. Druga platforma była na zawrotnej wysokości stu piętnastu metrów nad ziemią!

Pół godziny później stali na górze. Helenę przebrała się w prostą jasną suknię wieczorową. Obcisła góra podkreślała piersi; długa szeroka spódnica sprawiała, że talia wydawała się jeszcze szczuplejsza. Fryzjer musnął twarz dziewczyny pudrem; a potem ostrożnie osuszył bibułką wilgotne

powieki. Wiatr był bardzo silny. Targał elegancko upięte włosy, smagał jej nagie plecy jak lodowaty bicz i wyciskał łzy z oczu. Helenę obawiała się, że łzy mogą rozmazać starannie nałożony makijaż, i zamrugła, próbując je powstrzymać.

Kilka metrów dalej Jacques patrzył na nią przez obiektyw hasselblada.

Marudził coś przy przesłonie.

Garderobiana i fryzjer cofnęli się; machnął dłonią, by Helenę przesunęła się w bok.

- Stój! - krzyknął. Zastygła w bezruchu, a on uśmiechnął się z aprobatą. -

Wspaniale! Słońce jest teraz dokładnie za tobą, prześwietla ci sukienkę. Masz dobrą figurę. Bardzo dobrą.

- Szybciej, Jacques! - zawołała, obejmując się rękami i klepiąc dłońmi po ramionach. - Trzęsę się z zimna. Zamarznę tu na śmierć!

Nagle zaczął robić zdjęcia, zaciskając wargi w grymasie koncentracji. Helenę poruszała się płynnie jak tancerka poddająca się muzyce, którą tylko ona mogła usłyszeć. Jacques wyczuwał jej rytm, zbliżał się i oddalał, krążył wokół niej, wciąż pstrykając aparatem. Kilka razy przerywał, by zmienić film. Za każdym razem do Helenę podbiegał fryzjer, aby osuszyć jej oczy.

Po chwili przerwał. Helenę spojrzała na niego; twarz miał teraz poważną.

- Podejdz do krawędzi, chérie, tylko ostrożnie. Nie chciałbym cię zeszkrobywać z Pola Marsowego.

Teraz zaczyna się słynny show Jacques'a Renaulta, pomyślała Helenę, zaciskając wargi. Akrobacje. Wiedziała już, co czuły dziewczęta siedzące okrakiem obok chimer na rynnach Notre Dame. Czuła się teraz tak samo.

Początkowo nie mogła się ruszyć. Potem zdołała się odwrócić, uniosła powoli jedną nogę i małutkimi kroczkami przesunęła się do krawędzi. Ostrożnie, mówiła sobie. Nie spiesz się. Powoli...

Dotarła do narożnego dźwigara, chwyciła się jednego z metalowych

wsporników i przywarła do niego całym ciałem. Zamknęła oczy, aby nie patrzeć w dół na odległość dzielącą ją od ziemi.

Byłby to długi lot. Czterdzieści pięter.

- No już, przestań się modlić, nie jesteśmy w kościele. Do diabła, odwróć się i otwórz oczy - rzucił Jacques szorstko.

Z wolna uniosła powieki. Potem odwróciła się niepewnie i stanęła twarzą do niego. Przykucnął i patrzył na nią przez obiektyw. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie takie to straszne, prawda? - zapytał.

- Niestraszne dla ciebie, ty draniu! -
zawołała przerażona łamiącym się
głosem. - Ty stoisz sobie bezpiecznie!

- Przestań. Uśmiechnij się! Odśloniła
posłusznie zęby.

- Właśnie o to chodziło. Grzeczna
dziewczynka. Teraz przesun się w
prawo. Wzięła głęboki oddech, puściła
jedną ręką wspornik i ostrożnie cofnęła
się kilka

centymetrów, aż jej obcasy niemal
zawisły nad przepaścią. Tylko noskami
pantofli dotykała żelaznej platformy.
Wolną dłonią sięgnęła do spódnicy i
uniosła jej brzeg,

rozpościerając połyskliwy jedwabniczym lśniące skrzydło motyla. Cienki materiał złapał wiatr jak żagiel i zaczął trzepotać. Helenę mocniej zacisnęła palce drugiej ręki na wsporniku. Wiatr, jak gdyby ciesząc się z jej strachu, zaczął ją nagle szarpać wściekłymi porywami. Helenę zadrżała. Jakiś nieoczekiwany podmuch mógł ją pchnąć w tył i spowodować, że straci równowagę. Jacques wskazał dłonią miasto.

- Popatrz w dół, na Paryż! - krzyknął. - I wychyl się jeszcze trochę!

Zbladła jeszcze bardziej. Niemal sparaliżowana ze strachu, ścisnęła jeszcze mocniej żelazną poprzeczkę,

jednocześnie odchylając się od
wspornika na całą długość ramion.
Powoli spojrzała w dół. Miasto
rozpościerało się pod nią jak bezkresne
kamienne morze. Rozdzielała je szara,
węzowata, zakręcona w literę S linia
Sekwany. Helenę zrobiła znudzoną,
obojętną minę, tak jakby zwisanie z
wieży Eiffla było najnaturalniejszą
rzeczą na świecie.

W końcu Jacques uśmiechnął się szeroko
i skinął głową.

- W porządku! - zawołał. - Wracaj!

Zbliżył się i wyciągnął rękę, a Helenę
ruszyła ku niemu na chwiejnych nogach.
Po kilku krokach poczuła, że ją trzyma, i

runęła na niego. Jacques objął ją mocno. Zaczęła trząść się i szlochać.

- No już, już dobrze - uspokajał ją. -
Skończyliśmy.

Uśmiechnęła się słabo, a Renault popchnął ją lekko w kierunku garderobianej, która podała jej futro. Helenę do tej chwili nie myślała o zimnie. Teraz zaczęła się trząść.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz lęk wysokości? - zapytał Jacques. Spojrzała na niego bez słowa. Jak mogła wytłumaczyć temu obcemu mężczyźnie, że

to jej kolejny krok do przodu? Nie

zamierzała opowiadać mu o swoich planach.

- Chciałbym cię jeszcze raz fotografować - powiedział, kiedy jechali windą na dół.

- A co to będzie? Mam zwisać ze skrzydła lecącego samolotu? Roześmiał się.

- Uważaj, bo może mi się to spodobać!

- Nic z tego - odparła. - Nie zamierzam zostać kaskaderką.

Winda zatrzymała się i Helenę ruszyła do wyjścia. Kiedy czekali na taksówkę na Avenue Gustave, Jacques Renault

opisał jej szczegółowo swój następny pomysł. Wydawał się zadowolony, że Helenę słucha go z uwagą; oczy mu błyszczały i robił obrazowe gesty.

- Chciałbym pokazać morderstwo. Zbrodnię z namiętności. Ma to być reportaż z pięciu zdjęć. Na pierwszym - kobieta i jej kochanek w łóżku. Na drugim - wraca mąż i wybucha kłótnia. Potem żona do niego strzela. Na przedostatnim stoi nad nim, z lufy pistoletu unosi się dym. I ostatnie ujęcie - kobieta ponownie pada w ramiona kochanka.

Helenę roześmiała się. Ten pomysł wydawał się jej dziwaczny i absurdalny.

-I to mają być zdjęcia pokazujące stroje?
- zapytała z niedowierzaniem. - To farsa.

Jacques spojrział na nią urażony i przestała się śmiać.

- To nie farsa - odrzekł poważnie. - Te zdjęcia będą sensacją. Chcesz do nich pozować?

Pomyślała przez chwilę.

- Pod jednym warunkiem - odrzekła w końcu.

- Jakim?

- Że to „morderstwo” odbędzie się w

bezpiecznym miejscu. Jacques wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Masz moje słowo - oświadczył, a po krótkiej pauzie dodał: - Ale ty też musisz mi coś obiecać.

- Co? - spytała zaskoczona.

- Wiesz, że jestem pracownikiem „Vogue’a”? Helenę skinęła głową.

- Otóż te zdjęcia z miejsca zbrodni będą dla „L’Officiel”. Czasami działałam jako wolny strzelec, a „Vogue” przymyka na to oczy, dopóki nie podaję swojego nazwiska. Oczywiście każdy, kto zna mój styl, natychmiast będzie wiedział, kto zrobił te fotografie. Ale nie

rozgłaszać tego.

- Możesz mi zaufać - zapewniła go Helenę, starając się zachować powagę. - Nie pisnę ani słowa.

Tydzień po zrobieniu zdjęć na wieży Eiffla wróciła z atelier do domu jak zwykle za piętnaście szósta i zamknęła za sobą frontowe drzwi. Podeszła do stolika z telefonem,

odłożyła torebkę i zaczęła ściągać rękawiczki. Kichnęła. Miała nadzieję, że to nie przeziębienie. Nagle zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Helenę? Tu Jacques.

- Witaj. Miło cię słyszeć!

- Słuchaj, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że mam już próbne odbitki. Wyszły nawet lepiej, niż oczekiwałem. Jesteś rewelacyjnie fotogeniczna. Chcesz je obejrzeć? Mógłbym wpaść, żeby ci je pokazać.

- Teraz?

- Dlaczego nie?

- Doceniam to, że zadzwoniłeś, Jacques, ale dziś wieczorem jestem zajęta.

Mówiła prawdę. Hrabia był w mieście i miał do niej przyjść. Sama myśl o tym

wywoływała grymas niechęci na twarzy

dziewczyny. Znowu zarwana noc. Jedyne, na co Helenę miała teraz ochotę, to wsunąć się pod kołdrę i spać trzynaście lub czternaście godzin. Może przeszłoby jej wtedy przeziębienie?

- Szkoda! - mruknął rozczarowany. - Cóż, myślę, że będziemy mieli jeszcze mnóstwo okazji, żeby je obejrzeć. - Potem głos mu się ożywił. - Póki pamiętam... co powiesz na zrobienie tych zdjęć dla „L’Officiel” w sobotę?

- Tak zaraz?

- Jasne. Nie zapominaj, że miną miesiące, zanim ten numer pojawi się w sprzedaży. Im szybciej zrobimy zdjęcia, tym szybciej staniesz się gwiazdą.

Uśmiechnęła się do słuchawki.

- Sobota mi odpowiada. Zadzwonię do ciebie w piątek, żeby to potwierdzić.

- Świetnie. Umówimy się na konkretną godzinę - powiedział. - Pa! Pożegnała się i słysząc, że się wyłączył, odłożyła słuchawkę. W tym samym

momencie zauważyła list oparty o wazon. Natychmiast rozpoznała kopertę z agencji Karla Häberlego. Helenę podniosła list z bijącym sercem. Pomyślała natychmiast, że detektyw odnalazł Schmidta albo tego oficera z białą twarzą.

Rozerwała kopertę, wyjęła list i

rozłożyła go. Kiedy przeczytała, jej nadzieje się rozwiały. Był to tylko raport o postępach - a raczej o ich braku.

Ze złością zgmiotła papier w kulkę i wrzuciła do kosza. Co ten Häberle sobie myśli? Czy trzeba walnąć go w głowę, żeby zdał sobie sprawę, że ona mówiła śmiertelnie poważnie? Postanowiła napisać do niego króciutki list. Hrabia miał przyjść nie wcześniej niż za godzinę.

Przeszła do salonu, usiadła za biurkiem z blatem pokrytym skórą i wyjęła z szuflady arkusik cienkiego papieru. Zawahała się przez moment, a potem zaczęła szybko pisać odpowiedź:

Szanowny Panie Häberle!

Otrzymałam Pański list. Myślę, że postawiłam sprawę jasno. Niezależnie od tego, jak długie i kosztowne będą poszukiwania, jestem absolutnie zdecydowana znaleźć tych dwóch zbrodniarzy. Proszę kontynuować poszukiwania i dać mi znać o postępach.

Z poważaniem, Helenę Junot

Przeczytała list ponownie, zaadresowała kopertę i nakleiła znaczek. Potem zadzwoniła na pokojówkę. Kiedy dziewczyna weszła do salonu, Helenę podała jej list.

- Marthe, wyślij to natychmiast, proszę.

- Oui, mademoiselle. - Służąca dygnęła i wybiegła.

Helene podniosła się i poszła na górę. Wzięła kąpiel, włożyła różowy peniuar i wróciła na dół. Zaczęła metodycznie przygotowywać wszystko tak, jak lubił hrabia. Było to właściwie zadanie Marthe, ale zazwyczaj wolała zająć się tym sama. Nie dlatego, żeby nie ufała pokojówce, ale Philippe zawsze narzekał. Każda rzecz musiała być zrobiona dokładnie tak, jak wymagał. Jajka gotowane trzy minuty. Woda na kąpiel o temperaturze czterdziestu dwóch stopni. Kieliszki wypolerowane.

Wreszcie wszystko było gotowe.

Popielniczka i schłodzony szampan w wiaderku z lodem na stoliku do koktajli, przyćmione światło, nastrojowa muzyka i ogień w kominku.

Kiedy rozległ się dzwonek, zdziwiona Helenę odwróciła się w kierunku drzwi. Hrabia nigdy nie dzwonił. Miał własny klucz. Wzruszyła ramionami. Pewne dziś go zapomniał. Usłyszała w holu kroki pokojówki.

- W porządku, Marthe! - zawołała. - Otworzę sama.

- Oui, mademoiselle. - Dziewczyna wycofała się natychmiast.

Helenę przeszła do holu, odruchowo przesunęła dłonią po włosach i poprawiła wycięcie peniuaru, aby odsłonić bardziej piersi. Potem otworzyła drzwi.

Stał za nimi Hubert de Léger ubrany w wieczorowy strój. Nie powiedział ani słowa. Po prostu wpadł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Helenę popatrzyła mu prosto w oczy; źrenice zwęziły jej się z gniewu. Widziała, że jest pijany, jeszcze zanim wyczuła od niego woń alkoholu.

Zastąpiła mu drogę.

- Hubercie, daj spokój. To nie pora na

wizyty - powiedziała. Roześmiał się i odepchnął ją na bok.

- Chciałem złożyć uszanowanie - oświadczył arogancko. - Poza tym nie zapominaj, że ten dom należy do mojej rodziny.

- Należy do twojego ojca - poprawiła go lodowatym tonem. Hubert zajrzał do salonu.

- A tak przy okazji, gdzie on jest? Czyżby już spał na górze?

- Hubercie - powiedziała ostro Helenę. - Nie pozwolę mówić ci w ten sposób o twoim ojcu!

Parsknął głośnym śmiechem.

- Co ty o nas wiesz! Podejrzewam, że teraz zrobisz mi wykład na temat synowskiej miłości. Ach! Jaki miły i przytulny jest ten salon. Możemy tu teraz pogawędzić. - Zatarł ręce z radości, podszedł do kredensu i nalał sobie armaniaku. Potem wyjął kostkę lodu z wiaderka i wrzucił ją do kieliszka. Popatrzył na alkohol.

- Amerykanie piją wszystko z lodem - wybełkotał. - Dowiedziałem się tego od kolegów na uniwersytecie. W Paryżu studiuje wielu Amerykanów, wiesz?

Podniósł kieliszek i wypił alkohol jednym haustem. Potem wykrzywił się i

zamrugał oczami.

- Bardzo tu przytulnie, owszem. - Z uznaniem skinął głową. - Ogień w kominku. Nastrojowa muzyka. Szampan. - Sięgnął po butelkę i wyjął ją z lodu. - Dom Pérignon! Proszę, proszę. - Obrzucił Helenę gorącym wzrokiem.

Odczuła żar jego spojrzenia i ciaśniej owinęła się peniuarem.

- Skończ swojego drinka i wyjdź - powiedziała. - Twój ojciec będzie tu lada chwila. Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie usiądziesz ze mną na chwilę? Prychnęła pogardliwie.

- Nie. - Podeszła do okna, odchyliła zasłonę i wyjrzała z niepokojem na ulicę. Trzeba się jakoś pozbyć Huberta, zanim przyjdzie Philippe, pomyślała. Pytanie tylko jak, żeby nie urządzić widowiska.

Hubert podszedł do niej z tyłu, złapał ją za ramię i szepnął:

- Pragnę cię. - Obrócił ją i przyciągnął do siebie. Helenę zaczęła się szarpać, próbując go odepchnąć.

- Zostaw mnie! - wysyczała, oddychając głośno. Jej oczy płonęły. Hubert puścił ją i odsunął się.

- Czyżbyś nagle zrobiła się cnotliwa -

rzucił z ironią. - Nie lubię niedotykaliskich. Poszedł nalać sobie kolejnego drinka. Helenę patrzyła, jak pił; z każdą chwilą jej

pogarda wobec Huberta rosła.

Postawił głośno kieliszek na stoliku i obrzucił Helenę długim spojrzeniem.

- Mam cię dosyć. Wychodzę - oświadczył nagle.

Nic nie odpowiedziała, ale cicho odetchnęła z ulgą. Poszła za nim do holu. Przed drzwiami odwrócił się i spojrzał na nią raz jeszcze.

- Zapamiętaj, że to ja cię nie chciałem -

odezwał się drwiącym tonem. - Jesteś jedyną dziwką w tym mieście, którą odrzuciłem.

Zarumieniła się gwałtownie i odwróciła głowę.

Hubert otworzył szeroko drzwi i zaraz się cofnął. W progu stał hrabia z kluczem w dłoni. Hubert wpatrywał się w niego przez chwilę, ale zaraz odzyskał pewność siebie i uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie martw się, ojczy, nie tknąłem jej. - Wzruszył ramionami i popatrzył na Helenę. - Zabawne, że Francuzi zdradzają żony, ale chcą, by ich dziwki pozostały im wierne. - Potem odepchnął

ojca i chwiejnym krokiem opuścił dom.

Hrabia popatrzył beznamiętnie za synem. Potem wszedł do holu i cicho zamknął drzwi. Spojrzał na Helenę.

- Nie powinnaś była go wpuszczać - rzekł cicho.

- Nie wpuściłam go - odpowiedziała, zaciskając palce ze zdenerwowania. - Usłyszałam dzwonek i pomyślałam, że to ty. Kiedy otworzyłam, Hubert wdarł się do środka.

- W porządku - powiedział hrabia znużonym głosem.

Poszedł za nią do salonu, zdjął płaszcz i

położył go na krześle. Popatrzył w zamyśleniu na swoje buty.

- Usiądź. Musimy porozmawiać. Helenę spojrzała na niego z niepokojem.

- Przykro mi, że mi nie wierzysz, Philippe. On tu naprawdę wtargnął.

- Nie o tym chcę rozmawiać.

- Więc o czym? - spytała zaskoczona. - Siadaj!

Zdumiał ją ten ostry ton. Powoli usadowiła się na kanapie i położyła dłonie na kolanach. Czekiała zaniepokojona. Nie miała pojęcia, o co mogło mu chodzić. Wiedziała, że

Philippe prowadzi różne interesy w Paryżu. Ale z pewnością nie rozmawiałby z nią o swoich sprawach.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po salonie.

- Zawsze ci ufałem, prawda?

- Tak - odrzekła ostrożnie.

Nieoczekiwanie sięgnął dłonią do kieszeni i wyjął garść klejnotów. Helenę rozpoznała je natychmiast. Była to biżuteria, którą sprzedała Cheopsowi. Niedbale rzucił kosztowności na stolik.

- Zatem jak mi to wyjaśnisz?

Pobladła gwałtownie i jak
zahipnotyzowana wpatrywała się w
błyszczące oskarżycielsko
kosztowności. Ten podły Cheops
kłamał! Była głupia, ufając mu.
Bezczelnie sprzedał całą biżuterię
jubilerom, a nie turystom, jak zapewniał
Helenę. Właściciele sklepów rejestrują
wszystkie sprzedane klejnoty. Pewnie to
oni zawiadomili hrabiego.

- Odkupiłem je, ale chcę wiedzieć...
dlaczego? Oderwała oczy od biżuterii i
spojrzała na niego.

- Potrzebowałam pieniędzy - odrzekła
krótko.

- Na co?

Nagle Helenę poczuła się znużona.

- To długa historia, Philippe.

- Opowiedz mi. Przed nami cała noc.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu. Potem spojrzała mu w oczy i potrząsnęła głową. Przysięgła, że ukarze tych, którzy zniszczyli jej rodzinę, ale musiała zrobić to sama. Nie powinna z nikim o tym rozmawiać, a już najmniej z nim. Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że wprawdzie przeszłość była jej słabością, ale to z niej czerpała również siłę. To przeszłość ukształtowała jej życie i dała Helenę nieposkromioną wolę przetrwania. Nie powinna ujawniać przed tym mężczyzną swoich

czułych punktów.

- Nie - powiedziała cicho. - To coś, o czym nie chcę rozmawiać.

- A zatem nie pozostawiasz mi wyboru - oświadczył hrabia. - Skończone. Tak szybko, jak to tylko możliwe, znajdź sobie inne mieszkanie.

- Skończone - powtórzyła cicho Helenę.
- Tak natychmiast. Uśmiechnął się posepnie.

- Od moich kochanek wymagam absolutnej uczciwości. A widzę, że nie mogę ci zaufać.

- Dobrze - powiedziała Helenę, wstając

z kanapy. - Pójdę się spakować.

Potrzebuję na to pół godziny. Potem zadzwonię po taksówkę i pojedę do hotelu.

- Nie zapomnij tych błyskotek. Są twoje.

- Chwycił klejnoty ze stolika i rzucił nimi w Helenę. Niektóre trafiły w nią, inne upadły na dywan.

Popatrzyła obojętnym wzrokiem najpierw na hrabiego, a potem na biżuterię. Zamierzała już wyjść z salonu, ale do głosu doszły jej rozsądek i praktyczność. Zapracowałaś na te kosztowności - szepnął jej jakiś wewnętrzny głos. Przez ponad rok byłaś na każde jego skinienie. Pozwoliłaś, by cię wykorzystywał i poniżał. Nosiałaś

nawet jego dziecko i zdecydowałaś się na zabieg. Teraz już nigdy nie będziesz mogła mieć dzieci. Należą ci się te klejnoty. Uklękła i zaczęła je powoli zbierać. Kiedy podniosła ostatni kolczyk, spojrzała na hrabiego. Obserwował ją z uwagą. Helenę wstała, wyprostowała się z godnością i poszła na górę pakować swoje rzeczy.

Następnego dnia zaniosiła kosztowności do Van Cleefa i Arpelsa i sprzedała wszystko za doskonałą cenę. Wpłaciła pieniądze na swój rachunek w banku, a potem znalazła małe mieszkanie na nobliwej rue Paul Valéry, naprzeciwko Avenue Foch.

Rozdział 2

Tydzień później Jacques zdecydował się robić zdjęcia dla

„L’Officiel”. Wynajął mieszkanie przy Avenue Foch - to tam miało dojść do „zabójstwa”. W salonie czekali już dwaj mężczyźni w eleganckich garniturach pochodzących niewątpliwie z Anglii. Jeden miał być kochankiem Helenę, a drugi jej mężem. Nawet francuscy projektanci światowej sławy, tworzący stroje dla kobiet musieli przyznać, że w dziedzinie męskich ubiorów prym wiedli Anglicy.

Jacques siedział w fotelu; „kochanek” i „mąż” stali wyprostowani, aby nie

pognieść garniturów. Helenę wyszła z gabinetu, w którym urządzono garderobę, i wkroczyła do salonu. Popatrzyli na nią z uznaniem. Miała na sobie najnowszą suknię projektu Odile Joly, z mocno dopasowaną górą bez ramiączek i wąską, obcisłą spódnicą do pół łydki, ozdobioną cekinami i dżetami.

Jacques zerwał się i skinął ręką, by podeszła bliżej. Poleciał Helenę zatrzymać się na środku salonu. Przystanąła, patrząc na niego w milczeniu. Jacques obszedł ją dookoła; jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zmarszczył brwi i pogładził dłonią podbródek.

- To piękna suknia - odezwał się z

namysłem.

Helenę przejrzała się w lustrze. Rzeczywiście była to jedna z najszykowniej szych kreacji, jakie kiedykolwiek miała na sobie. I bardzo droga. Tych kilka metrów materiału kosztowało tyle, ile dom na przedmieściu.

- Odile Joly nazwałają suknią perskiej księżniczki - powiedziała, podchodząc do olbrzymiego okna. Przy każdym ruchu jej sylwetka połyskiwała i migotała, jakby rozjaśniały ją tysiące światełków.

- Nie podoba ci się - stwierdziła raczej, niż zapytała Jacques'a.

- Zdejmij ją - polecił. - Wyglądasz w

niej jak samuraj. Potem razem pomyślimy, w co cię ubrać.

Helenę była rozczarowana, ale wiedziała, że Jacques nie zmieni zdania. Wzruszyła ramionami i posłusznie wróciła do gabinetu. Pozwoliła garderobianej rozpiąć suwak z tyłu i zsunęła powoli sukienkę. Narzuciła biały jedwabny szlafrok, zawiązała pasek i wróciła do salonu.

Jacques spojrział na nią z aprobatą.

- Teraz lepiej.

- Nie będziesz chyba fotografować jej w szlafroku! - wykrzyknął z niedowierzaniem jeden z mężczyzn.

Jacques klasnął w ręce.

- No właśnie! Dlaczego sam o tym nie pomyślałem! - Z satysfakcją pokiwał głową. Wyciągnął się w fotelu, wyprostował nogi i splótł ręce na karku.

- O czym? - zapytała ostro Helenę.

- Zrobimy coś szokującego - oznajmił. - Zamiast ubierać ciebie, ubierzemy ich! Będzie to nowość. Pokażemy, jak powinien być ubrany mężczyzna, aby kobieta zwróciła na niego uwagę. Ściągniemy więcej garniturów, inny do każdego zdjęcia, ale wystarczająco podobny, aby nie odbiegał od głównego motywu.

Helena popatrzyła na niego zdumiona, a potem zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

- Co powiem Odile Joly? - zawołała. - Wyświadczyła mi przysługę, pożyczając tę suknię na zdjęcia!

Jacques beztrąsko machnął ręką.

- Powiedz jej cokolwiek, co będzie dyplomatyczne. Co robisz dziś wieczorem?

- To wyłącznie moja sprawa - fuknęła.

- Dobrze powiedziane, ale mam uczciwe zamiary. Wybieram się na przyjęcie i chciałbym, żebyś ze mną poszła.

Dom został zbudowany w siedemnastym wieku, ale drzewa genealogiczne większej części zgromadzonych zapewne sięgały jeszcze dalej w przeszłość. Byli tu także ambasadorowie, gwiazdy filmowe, politycy, przemysłowcy, artyści i finansiści. Przesuwali się przez elegancki hol, wypełniony muzyką salon i pełne antyków, urządzone z przepychem pokoje.

- Jacques! - zawołała wytworna dama w średnim wieku, kiedy przeciskali się przez tłum gości.

Zatrzymał się i z uśmiechem ujął jej kościstą, ozdobioną pierścieniami dłoń, skłonił się i ucałował ją z galanterią.

- Gdzie się podziewałeś, ty niegrzeczny chłopcze - odezwała się kobieta z udawanym wyrzutem.

- Niech mi będzie wolno przedstawić pani moją najnowszą modelkę Helenę Junot. Helenę - oto nasza urocza gospodyni, wicehrabina de Sévigné - powiedział Jacques.

- Miło mi panią poznać - przywitała się grzecznie Helenę.

Patrzyła na starszą damę zafascynowana. Czytywała o rodzinie de Sévigné we wszystkich rubrykach towarzyskich. Jej członkowie należeli do najbogatszych ludzi we Francji. Stroniący od ludzi

stary wicehrabia był finansistą; jego żona uczęszczała na przyjęcia, wydawała je sama i była właścicielką butiku z modną sztuczną biżuterią. Urządzała również domy dla przyjaciół; była fryzjerką dla samej siebie, a nawet zdarzało jej się udzielać wskazówek słynnym projektantom z największych domów mody. Zgadzała się na to, bo wicehrabina miała doskonały gust.

- Jacques jest ogromnie utalentowany - powiedziała wicehrabina do Heleny. - Jego fotografie to dzieła sztuki. I w dodatku taki przystojny. Mógłby zdobyć połowę kobiet w Paryżu. - Powoli sączyła szampana.

- Tylko, niestety, woli szukać partnerów

do łóżka w męskich toaletach - rozległ się bełkotliwy głos za ich plecami.

Wicehrabina pobladła gwałtownie. Rozmowy wokół ucichły nagle jak ucięte nożem. Goście patrzyli na nich zażenowani; część osób odsunęła się dyskretnie. Jacques poczerwieniał, wicehrabina i Helenę odwróciły się jednocześnie. Za nimi stał uśmiechnięty Hubert de Léger.

Helenę poczuła mdłości. Ogarnęło ją obrzydzenie. Nie mogła uwierzyć, że on też się tu znalazł. I co gorsza, że powiedział to, co powiedział, i to tak głośno.

- Czyżbym powiedział coś

niewłaściwego? - zapytał czarującym głosem.

- Ty draniu - odezwał się cicho Jacques.
- Któregoś dnia powybijam ci zęby. -
Zesztywniał i zacisnął dłonie.

Helena szybko złapała go za ręce i przytrzymała.

- Zabawne, jak ten pedzio udaje odważnego - zwrócił się lekceważącym tonem Hubert do Wicehrabiny. Wzruszył ramionami. - No cóż, kiedy się zaprasza tyle osób, zawsze może się znaleźć wśród nich jakiś zboczeniec. Nie można pani winić, madame.

Wicehrabina szybko objęła za ramiona

Helenę i Jacques'a.

- Myślę, że powinniście złożyć wyrazy uszanowania naszemu honorowemu gościowi - powiedziała. - Chodźmy.

Poprowadziła ich przez salon, po drodze przepaszając za zachowanie Huberta.

- Jest gorszy niż wieśniak - powiedziała ostro, ale Helenę zauważyła, że na twarzy pani domu widniał lekki uśmiech. Każdy, kto by na nią spojrział, pomyślałby, że prowadzi uprzejmą pogawędkę.

Zatrzymała się na środku salonu.

- Ach, oto i nasz honorowy gość. -

Puściła Helenę i Jacques'a i delikatnie wyciągnęła starszego siwowłosego mężczyznę z grupy gości. - Witaj, mój drogi - powiedziała, całując go w policzek.

Helenę spojrzała na sławnego pianistę. Widziała go kiedyś w operze; siedział w pierwszym rzędzie.

- Stanisławie, chciałabym, żebyś poznał moich młodych przyjaciół, Helenę Junot i Jacques'a Renaulta - przedstawiła ich wicehrabina.

Pianista z uśmiechem uklonił się im obojgu.

- Jestem oczarowany, mademoiselle -

powiedział do Helenę. Uniósł jej dłoń i ucałował, ledwie muskając ją wargami.

Helenę milczała. Jest taki drobny i niski, myślała. Dziwne, że mężczyzna tak niepozornej postury mógł podbić świat. Ręce miał długie, a palce szczupłe, spłaszczone, z krótko obciętymi różowymi paznokciami. Jednak cała jego postać była pełna godności. Nawet niesforne kosmyki białych włosów wokół głowy przypominały królewską koronę. Ciemne oczy pod szarymi krzaczastymi brwiami błyszcząły.

- Panna Junot jest modelką. Ukończyła właśnie serię zdjęć dla „Vogue’a”. Pan Renault robił Helenę fotografie - wyjaśniła wicehrabina.

- Jestem pewien, że będą doskonałe - powiedział uprzejmie Stanisław. - Z taką uroczą modelką każde zdjęcie musi być wspaniałe. Oczywiście, jeżeli pan Renault nie zapomniął włożyć filmu do aparatu.

- Mam nadzieję, że nie zapomniął - roześmiała się Helena. - Zwisiałam z drugiej platformy wieży Eiffla.

- Jacques! - Wicehrabina była przerażona. - Czy tamten incydent z Notre Dame niczego cię nie nauczył? - Spojrzała na Helenę z podziwem i pokręciła głową. - Nie wyobrażam sobie, jak tego dokonałaś. Musisz być bardzo odważna. Ja cała się trzęsę

nawet na schodach. Straszny tchórz ze mnie.

- Ależ, kochanie - zaprotestował Stanisław -jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką znam.

- Daj spokój! - zaprotestowała. Uciszył ją ruchem dłoni.

- Podczas wojny ukrywała w zamku trzynastu zestrzelonych lotników amerykańskich i dwie żydowskie rodziny. A w tym samym czasie w drugim skrzydle château stacjonowali Niemcy! Trzymała nas pod nosem wroga przez całe trzy lata!

- Ukrywała pana? - zapytała Helenę

zaskoczona.

- Całą moją rodzinę i jeszcze drugą. Jest bardzo dzielna, nieprawdaż?

Helenę z szacunkiem popatrzyła na wicehrabinę. Była tak krucha i delikatna, swoim wyglądem nie przypominała wielkich bohaterów. Ale z jej oczu biła stanowczość i siła charakteru. Kobieta z takim statusem społecznym i tak bogata miała wiele do stracenia. Musiała być bardzo odważna, skoro zdecydowała się na tak wielkie ryzyko, by ratować życie innym.

- A co z fortepianem? - zapytała Kowalsky'ego. - Słyszałam, że pianiści muszą ćwiczyć kilka godzin dziennie.

Czyba po wojnie zaczynał pan od początku?

Artysta uśmiechnął się lekko.

- Nie, ćwiczyłem przez te trzy lata. Ale grałem dla siebie. Wie pani, którejs nocy wicehrabina przyniosła mi klawiaturę z bechsteina, który stał w salonie. Mogłem więc ćwiczyć i grać bez obawy, że będę usłyszany.

- A ja bardzo tego żałowałam - odezwała się wicehrabina. - Pomyślcie tylko, miałam pod nosem pianistę światowej sławy i nie mogłam usłyszeć ani jednego dźwięku! Czasami myślę, że to było najgorsze ze wszystkiego. Tak uwielbiam jego grę.

Helenę kiwnęła głową i uśmiechnęła się do Stanisława.

- To musiało być przygnębiające dla pana. Nikt nie słyszał pańskiej gry.

- Ale ja ją słyszałem. Miałem w uszach każdą nutę. Przecież Beethoven komponował, nawet będąc głuchym. Myślę, że mógłby wtedy grać. Utrata słuchu to tragedia, ale prawdziwym nieszczęściem byłaby dopiero utrata zdolności. Dzięki Bogu, ja wciąż mogę grać.

- Dość tego pompatycznego gadania. Jesteśmy na przyjęciu - zaprotestowała wicehrabina. - Co by powiedzieli goście, słysząc, jak rozmawiamy o

takich smutnych sprawach!

Pianista przytaknął. Nagle oczy mu rozbliły.

- Czy twój fortepian jest nastrojony?

Zaskoczona wicehrabina spojrzała na niego uważnie, zastanawiając się, czy pytał serio.

- Doprawdy, mój drogi, nie musisz...

- Pragnąłbym zagrać kilka utworów. -
Uścisnął jej dłoń.

Pani de Sévigné była uszczęśliwiona.
Wybryk Huberta omal całkiem nie
zepsuł jej przyjęcia. Recital

Kowalsky'ego mógł nie tylko wszystko naprawić, ale też uczynić ją gospodynią sezonu, pomyślała.

- Naprawdę nie musisz, przecież wiesz - tłumaczyła mu.

- Ale chcę i zagram - odpowiedział stanowczo. - Dla ciebie zrobiłbym wszystko. Wicehrabina klasnęła w dłonie i gwar ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się na panią

de Sévigné.

- Jak państwo wiedzą, naszym honorowym gościem jest dzisiaj Stanisław Kowalsky - oznajmiła modulowanym, melodyjnym głosem. -

Nie muszę chyba wspominać, że bilety na jego jutrzejszy występ charytatywny rozeszły się dwa miesiące temu. Ale dziś wieczorem postanowił zaszczyścić nas... - zrobiła efektowną pauzę. - Zapraszam państwa na recital...

Wśród gości rozległ się szmer podniecenia i entuzjazmu. Kowalsky skłonił się przed wicehrabiną i Helenę.

- Czy uczynią mi panie tę przyjemność i zaprowadzą do fortepianu?

- Będziemy zaszczycone - odpowiedziała wicehrabina bez wahania.

Helenę odwróciła się, by rzucić

Jacques'owi przepraszające spojrzenie, gdy pianista podał jedno ramię jej, a drugie pani domu. Poprowadził obie do wielkiej sali z wysokim sufitem. Goście w milczeniu ruszyli za nimi i otoczyli olbrzymi fortepian. Stanisław usiadł przy nim, uśmiechnął się do Helenę i wyprostował ręce przed sobą, jak gdyby chciał podciągnąć mankiety. Delikatnie położył palce na klawiaturze i rozpoczął balladę g-moll Chopina. W powietrzu zabrzmiały akordy czyste, słodkie, melodyjne dźwięki.

Helenę patrzyła zafascynowana, jak palce muzyka lekko uderzały w klawisze, czasami rozmyślnie zwalniając tylko po to, by zaraz

przyspieszyć. Za fortepianem wydawał się tak imponujący i pełen życia, taki władczy. Grał perfekcyjnie. Muzyka wirowała, płynęła i przyspieszała, dopóki nie osiągnął finalnych, głębokich tonów. Skończywszy balladę, natychmiast rozpoczął barkarolę Schuberta.

Goście słuchali w skupieniu, ale nikt z takim zachwytem jak Helenę.

Niebiańskie dźwięki wznosiły się i opadały, wirowały i tańczyły wokół niej, aż zamarły w crescendo.

Przez chwilę słuchacze trwali w milczeniu. Potem rozległy się głośnie brawa.

Kowalsky uśmiechnął się i lekko skłonił głowę. Zaczął grać „Serenadę dla lalki” Debussy’ego. Grając, uśmiechał się do Helenę. Stała jak zahipnotyzowana, wstrzymując oddech. Na ramionach czuła gęsią skórę. Nigdy nie przeżywała tak muzyki w operze. Teraz miała wrażenie, że ten mężczyzna gra tylko dla niej. Kiedy skończył, oklaski przetoczyły się przez salę niczym grzmot. Artysta wstał od fortepianu, skłonił się uprzejmie i ujął dłoń Wicehrabiny.

- Jak zdołam ci podziękować za ten piękny gest, Stanislawie? - zapytała cicho.

- Cała przyjemność po mojej stronie. -

Posłał jej uśmiech. - Jestem trochę zmęczony. Mam jutro koncert i muszę odpocząć. Czy mi wybaczysz?

- Oczywiście, mój drogi. I raz jeszcze dziękuję. Goście będą mieli o czym mówić przez długi czas - odrzekła z wdzięcznością wicehrabina.

- Jestem szczęśliwy, że mogłem sprawić ci przyjemność, moja droga - powiedział z galanterią, a potem zwrócił się do Helenę: - Cieszę się bardzo z poznania pani, mademoiselle.

- Nie tak bardzo jak ja - odparła Helenę.

- Czy mógłbym panią zaprosić na jutrzejszy występ? Oczywiście w

charakterze mojego gościa.

- Ale... myślałam, że bilety są już wyprzedane.

- Znajdzie się miejsce dla pani.

- Będę zaszczycona - zapewniła go uradowana Helenę. Pianista uklonił się raz jeszcze.

- Dobranoc.

Wicehrabina patrzyła za nim, kiedy wychodził.

- Wspaniały człowiek! - powiedziała. - Żałuję tylko, że wciąż czuje się moim dłużnikiem.

- Jak cudownie grał! - westchnęła Helenę. - To było przepiękne. Wicehrabina pozwoliła sobie na uśmiech.

- Zawsze gra fenomenalnie. Ale „Serenada dla lalki”? To jasne jak słońce, grał ją dla ciebie, moja droga.

Helenę poczuła, że się rumieni, i odwróciła głowę. Wicehrabina delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Stanisław jest starym człowiekiem - powiedziała. - Stary, ze względu na swój wiek. Ale jego duch pozostał młody, choć zamknięty w słabym ciele. Czy pani uwierzy, że ma siedemdziesiąt dwa lata?

- Nie wygląda na tyle - odrzekła szczerze Helenę. Wicehrabina z uśmiechem skinęła głową.

- Jego syn i córka są dużo starsi od ciebie. Od końca wojny mieszkają w Ameryce.

- Czy oni również ukrywali się w pani zamku? - zapytała Helenę.

- Tak, ale, niestety, wojna ich rozdzieliła. Wspólne życie w maleńkiej izdebce na strychu przez tak długi czas sprawiło, że się znienawidzili.

- On bardzo panią lubi - zauważyła Helenę.

- Polubił także ciebie - odparła wicehrabina.

- Mnie? Co pani przez to rozumie?

- Przecież to było widać. Zakochał się w pani.

- Nie! - Helenę spojrzała na wicehrabinę, myśląc, że to żart. Ale ciemne oczy starszej damy były poważne.

- Przecież... on mnie nawet nie zna! - zaoponowała.

- Zna panią lepiej, niż się pani wydaje - oświadczyła pani de Sévigné. - Stanisław ma instynkt, jeśli chodzi o

ludzi. Poza tym sam mi kiedyś mówił, że ostatni raz grał „Serenadę dla lalki”, kiedy poznał swoją przyszłą żonę.

Helene pokręciła głową i odwróciła wzrok. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nawet jeżeli Stanisław Kowalski zakochał się w niej, nic z tego nie będzie. Była dla niego za młoda, a w dodatku miała za sobą niechlubny związek z hrabią...

Mylła się. Po koncercie Stanisław zaprosił ją na obiad do węgierskiej restauracji. W milczeniu wysłuchał historii Helene, a potem uśmiechnął się, wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń.

- Wszyscy niekiedy robimy rzeczy, z

których później nie jesteśmy dumni - powiedział po prostu. - Czasami nie mamy wyboru.

- Nie rozumiesz! Ja miałam! - odparła Helenę. - Wiedziałam doskonale, co robię! To nie miało dla niego znaczenia. Trzy tygodnie później poprosił ją o rękę.

Po raz pierwszy od miesiący Hubert de Léger czuł się naprawdę dobrze. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak jest z nim źle, dopóki pewnego wieczoru nie wywołał awantury w Le Bon Coin, małym bistrze koło uniwersytetu. Jeszcze zanim żandarmi zabrali go do aresztu, prawnik rodziny

Maurice Hugo opanował sytuację. A

przed upływem nocy właściciel bistra otrzymał trzy koperty z pieniędzmi. Pierwszą za szkody poniesione podczas burdy, drugą za utratę dochodów w okresie remontu i trzecią za to, że był najbardziej wielkodusznym w świecie człowiekiem. Zrozumiał, że zaszła pomyłka, nie było żadnej awantury, tylko trochę zbyt huczna uroczystość. Czwarta koperta trafiła w dłonie żandarmów. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nazwisko de Léger zniknęło z policyjnych kartotek.

Wprawdzie udało się szybko załagodzić wszelkie szkody wynikłe z owego incydentu, hrabia trząsł się jednak ze złości. Wyskok Huberta pochłonał

znaczną sumę, a co ważniejsze, powiązana ze światem polityki i dyplomacji rodzina nie życzyła sobie dalszych kompromitujących ekscesów młodego dziedzica tytułu. Nie wystarczyło zatuszowanie skandalu. Było bowiem bardzo prawdopodobne, że nastąpią po nim kolejne i w końcu któryś spowoduje nieodwracalne szkody dla nazwiska de Léger. Hrabia zdawał sobie sprawę z tego, że jego syn stał się chodzącą bombą zegarową. Usuwanie następstw karygodnego zachowania młodego człowieka to za mało; trzeba było wyeliminować przyczynę. Huberta należało leczyć kompleksowo i profesjonalnie. Toteż hrabia bez wahania umieścił go w ekskluzywnej

klinice w pobliżu Deauville,
specjalizującej się w problemach
alkoholizmu.

Z początku Hubert przechodził
prawdziwe piekło. Popadał w skrajne
nastroje, odmawiał wykonywania
poleceń. Nieustannie wymyślał lekarzom
i pielęgniarkom, a nawet wszczywał
bójki z innymi pacjentami. Raz udało mu
się uciec; znaleziono go pijanego do
nieprzytomności w pobliskim barze i
zabrano z powrotem do kliniki. Wtedy
właśnie, gdy po raz drugi znalazł się na
odwyku, zobaczył to zdjęcie w „ki
Paris”. Na fotografii Helenę uśmiechała
się niechętnie do aparatu, obok niej stał
stary siwy mężczyzna. Hubert musiał

dwukrotnie przeczytać nagłówek, zanim zrozumiał zawartą w nim wiadomość: „Światowej sławy pianista żeni się z modelką”.

W tym momencie wiedział, co musi zrobić. Postanowił, że nic nikomu nie powie. Oszuka lekarzy, bez sprzeciwów wypełniając ich zalecenia. Możliwe, że wypuszczą go z tego więzienia w rekordowym czasie. Miał nadzieję, że nie będzie za późno, by nie dopuścić do tak odrażającego w jego mniemaniu małżeństwa. Ale nawet gdyby zostało zawarte, znajdzie sposób, by je zniszczyć.

Uśmiechnął się ponuro. Teraz przynajmniej wiedział, gdzie jej szukać.

Helenę patrzyła na pociąg wjeżdżający powoli na dworzec Montparnasse. Pasażerowie wychylali się przez otwarte okna, szukając oczami swoich bliskich. Natychmiast dostrzegła Jeanne i Edmonda w czwartym wagonie. Uśmiechnęła się i zaczęła machać do nich ręką. Bratowa zobaczyła ją i trąciła łokciem Edmonda. Pomachali

jej oboje. Pociąg zasyczał i zatrzymał się ostatecznie, a Helenę podbiegła po peronie do drzwi drugiej klasy.

Kiedy tylko oboje wyszli, uściskała ich czule.

- Jestem taka szczęśliwa, że was widzę!

- mówiła uradowana.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Byli szczęśliwi, że znowu są razem. Edmond łagodnie gładził włosy siostry.

Helena popatrzyła na Jeanne. Jej bratowa prawie się nie zmieniła. Wciąż miała myszowate włosy i bladą cerę, z jej ciemnych oczu biło ciepło, ale i siła charakteru. Jak zwykle była skromnie ubrana. Natomiast Edmond się zmienił, Helena zauważyła to momentalnie. Zeszczuplał, a wokół jego ust pojawiły się głębokie bruzdy. Musiał utrzymać ich troje. Na pewno bardzo ciężko pracuje, pomyślała Helena.

Nagle poczuła się winna. Widać sprawy nie układały się tak dobrze, jak pisała Jeanne. Prawdopodobnie ledwo wiązali koniec z końcem w Saint-Nazaire, podczas gdy ona żyła sobie beztrąsko w Paryżu.

- Hej, jak się ma moja dzielna mała Francuzeczka? - zapytał Edmond miękko.

- Jak się miewa mój duży brat? - Przytuliła się do niego. Wzruszył ramionami.

- Chyba się starzeję. - Odsunął ją lekko od siebie i obrzucił uważnym spojrzeniem. Ładnie wyglądasz.

Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

- Może dlatego, że nareszcie wszystko zaczyna mi się układać.

- Cieszę się, że to słyszę.

Helenę odwróciła się do Jeanne i ujęła ją za dłonie.

- Kochana, słodka Jeanne. Wcale się nie zmieniłaś.

- Powinnaś była mnie zobaczyć, kiedy byłam w ciąży. Wyglądałam, jakbym miała urodzić wieloryba - odrzekła ze śmiechem bratowa.

- Jak się ma Petite Helenę?

- Szkoda, że nie mogliśmy jej zabrać, ale została pod dobrą opieką - powiedziała Jeanne. Edmond wziął wypchaną walizkę i zaczął nieść ją do wyjścia.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę - ciągnęła Helenę. - Ciągłe czytam od początku wszystkie twoje listy. Nie wyrzuciłam żadnego, bo podtrzymują mnie na duchu.

- Jej głos spoważniał. - Jak się miewa pani Dupré? Wysłałam jej zaproszenie, ale odpisała, że nie może przyjechać, bo jest chora.

Jeanne ze smutkiem kiwnęła głową.

- Już od jakiegoś czasu źle się czuje. Nie wiem, co jej jest, bo nigdy nie chce o tym rozmawiać. Ale nie wygląda dobrze.

- Miejmy nadzieję, że to nic poważnego
- odrzekła Helenę z obawą w głosie.
Kiedy znaleźli się na Boulevard de Vaugirard, zatrzymała taksówkę.

- Nie możemy pojechać autobusem albo metrem? - zaproponował Edmond. - Taksówki są takie drogie.

Helenę roześmiała się i poklepała go po ramieniu.

- Nie martw się o pieniądze - rzuciła bez troskim tonem. - Już wkrótce będę

bardzo bogata. - Wskazała na taksówkę.

- Wsiadajcie.

Jeanne i Edmond wymienili spojrzenia. Niechętnie kiwnął głową, więc bratowa ostrożnie wsunęła się do taksówki, za nią wsiadła Helena, a Edmond zajął miejsce obok kierowcy. Taksówkarz spojrzał na niego pytająco.

- Dokąd?

- Hotel Georges V - odezwała się szybko Helena.

- Służę, mademoiselle. - Kierowca był pod wrażeniem. Wrzucił bieg i zręcznie włączył się do ruchu. Zdumiony Edmond

rozglądał się na wszystkie strony.

- Teraz jest tu zupełnie inaczej -
powiedział do Helenę.

- Tyle ludzi i samochodów. Ja pamiętam
tylko puste ulice, rowery i ciężarówki.
Posłała mu uśmiech.

- Nigdy nie zapomnę swojego przyjazdu
do Paryża. Myślałam wtedy dokładnie
tak samo.

Znowu wbił wzrok w przednią szybę.
Jeanne uścisnęła z przejęciem dłoń
Helenę.

- Opowiedz nam o swoim narzeczonym.
- Czy jest przystojny?

- Nie, ale jest piękny. Pisałam wam, że to wielki pianista. Bratowa kiwnęła głową. -I naprawdę jest taki bogaty? - zapytała. Helenę przytaknęła.

- Występuje na całym świecie. Grał dla generała de Gaulle'a i królowej Elżbiety.

Jeanne pokiwała głową z podziwu.

- Musi być bardzo sławny.

- Jest sławny. - Helenę umilkła i przez chwilę spoglądała przez okno. Musiała ich uprzedzić, że Stanisław nie jest młodzieńcem. W przeciwnym razie,

kiedy go zobaczą, będą zszokowani. Ale

nie mogła im tego powiedzieć w taksówce. Musi poczekać, aż znajdą się w hotelu.

Jeanne rozglądała się dookoła szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

- Ten hotel musi być bardzo drogi - powiedziała nieśmiało. - Czy widziałaś hol? A jak ten recepcjonista na nas patrzył! To przez te nasze ubrania, Helenę. Nie uważasz, że byłoby lepiej, gdybyśmy zatrzymali się gdzieś indziej? Może w jakimś pensjonacie bardziej dla nas odpowiednim? Nie jesteśmy tacy wytworni jak ty.

- Nonsens - odrzekła stanowczo Helenę.
- Odrobina wygody nikomu nie

zaszkodzi. Uwierz mi, szybko się przyzwyczaię. Zostaniecie tutaj, a jutro zabiorę was na zakupy.

Edmond z rękami w kieszeniach przemierzał duży pokój. Popatrzył w zadumie na gruby dywan, a potem zgasił papierosa w popielniczce. Podszedł do Helenę i położył dłonie na jej ramionach.

- Nie musisz narażać się na takie koszty ze względu na nas, siostrzyczko - powiedział znużonym głosem. - Nie przywykliśmy do luksusów.

- Edmondzie, proszę, pozwól mi to zrobić po swojemu. Wychodzę za mąż za kogoś bardzo ważnego. Musimy żyć na

odpowiednim poziomie. - Spojrzała mu łagodnie w oczy.

- Pani Dupré mówiła, że mieszkasz w jakimś domu. Nie moglibyśmy tam pojechać?

- Nie - odparła szybko Helenę. - Już tam nie mieszkam.

- A gdzie? - zapytała ciekawie Jeanne.

- Wynajmowałam mieszkanie, ale zrezygnowałam z niego. Na tych kilka dni zatrzymałam się tutaj, w hotelu. Po ślubie przeniosę się do Stanisława. On ma dom - wyjaśniła Helenę.

Edmond uśmiechnął się wyrozumiale.

- W porządku - powiedział. - Będziemy dobrymi krewniakami, zrobimy, jak sobie życzysz, aby nie wprawiać cię w zakłopotanie.

Helenę spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Ja... ja muszę wam coś powiedzieć. - Nerwowo splotła ręce i zaczęła chodzić po pokoju. - Chcę, żebyście wiedzieli, że kocham Stanisława. Pewnie nie będziecie w stanie tego zrozumieć. To inna miłość niż wasza. To uczucie, o którym mogłam tylko marzyć, ale nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będzie mi dane.

- Co masz na myśli? Może gdybyś... -

spytała zaskoczona Jeanne. Helenę potrząsnęła głową.

- Proszę - powiedziała. Wyjrzała przez okno na Avenue Georges. - Pozwólcie mi dokończyć. Stanisław i ja szanujemy się wzajemnie i będziemy dla siebie dobrzy. Nie proście, żebym wam to wyjaśniła. Ja po prostu to wiem.

- Dlaczego po prostu nam go nie przedstawisz? - zapytał Edmond otwarcie. - Moglibyśmy sobie wyrobić własne zdanie.

Helenę odwróciła się ku niemu.

- Chcę, żebyście coś wiedzieli, zanim go poznacie. Będziecie pewnie myśleli, że

nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ale mogę was zapewnić, że mamy - mówiła zdenerwowana.

Jeanne i Edmond wymienili spojrzenia. Wreszcie bratowa podeszła i objęła ją serdecznie.

- O co chodzi? - zapytała łagodnie. - Czego się obawiasz? Helenę zeszywniała.

- Boję się, jak to przyjmiecie. Bo widzicie, Stanisław nie jest młodym mężczyzną. Jeanne uśmiechnęła się i próbowała ją uspokoić.

- Chyba nie wychodzisz za kogoś, kto mógłby być twoim dziadkiem? -

zażartowała. Helenę zbladła i wyrwała się z uścisku bratowej. Usta jej drżały.

- Tak. Stanisław ma siedemdziesiąt dwa lata - oświadczyła.

Przeczytała telegram i opadła powoli na łóżko. Przez chwilę siedziała oszołomiona. To nie może być prawda, myślała. To jakaś pomyłka. Powoli przeczytała jeszcze raz krótkie zdanie. Nie było pomyłki.

ZAWIADAMIAMY Z ŻALEM, ŻE
MADELEINE DUPRÉ UMARŁA DZIŚ
RANO NA RAKA W SZPITALU W
NANTES.

Ktoś zapukał do drzwi. Helenę nie

odwróciła głowy.

- Tak? - powiedziała słabo.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegła Jeanne.

- Jeszcze nie jesteś gotowa? -
wykrzyknęła. - Musimy być w kaplicy za
pół godziny! - Uśmiechnęła się. - Chyba
się nie denerwujesz? Edmond i ja
uważamy, że Stanisław jest wspaniałym
człowiekiem.

Helene otarła oczy i spojrzała na
bratową.

- Nie, nie jestem zdenerwowana -
powiedziała cicho.

- Więc co się stało?

Helenę w milczeniu podała jej telegram. Jeanne przeczytała go i zbladła.

- Jakie to smutne! Kto by przypuszczał, że pani Dupré miała raka? Helenę pociągnęła nosem.

- Umarła w dniu mojego ślubu. - Umilkła na chwilę i popatrzyła na bratową. - Była moją... wybawicielką. Myślę, że powinnam przełożyć ślub.

- Nie - odparła stanowczo Jeanne. - Nie życzyłyby sobie tego. W przeciwnym razie zawiadomiłyby nas, że jest chora. Była bardzo dzielna, nie chciała, żebyś się martwiła.

Helenę westchnęła i sięgnęła po chusteczkę.

- Myślę, że masz rację, ale mimo wszystko... Jeanne poklepała japo plecach.

- Przestań. Otrzyj łzy i ubierz się. Mam dopilnować, żebyś zjawiała się na czas w kaplicy.

Rozdział 3

Biała willa na skałach Cap Ferrat, w której spędzali miodowy miesiąc, była cudowna. Piętrowy budynek w stylu palladiańskim mieścił piętnaście pokoi i garaż na sześć samochodów. Miał łukowate podłużne okna i dach pokryty

plytkami z terakoty. Ukryta w lesie ciemnych cyprysów, parasolowatych sosen i rozrośniętych krzewów budowla wyglądała jak zamek wzniesiony w środku dżungli. Wokół domu, otoczony wysokim murem znajdował się rozległy ogród pełen klombów z różami, ozdobnie strzyżonych krzewów i oleandrów. Była tu także oranżeria z orchideami.

W odległości stu metrów za domem stał duży pawilon, również w stylu palladiańskim. Na zewnątrz, w specjalnych niszach w ścianie, przysiadły bez ruchu terakotowe charty. Wewnątrz był wielki salon z eleganckimi meblami z ciemnej wikliny.

Olbrzymi basen ulokowany nad urwiskiem miał zaokrąglone rogi, w których umieszczono fontanny. Sprytnemu projektantowi udało się stworzyć optyczną iluzję: basen otoczony marmurowym murem ze wszystkich stron oprócz strony morza wyglądał dużo spokojniej od niego, a jednocześnie wydawał się jego częścią.

Pomiędzy basenem a pawilonem ustawiono wielką marmurową głowę Apollina, pochodzącą z antycznego posągu. Ze swojego postumentu grecki bóg wpatrywał się w odległe skały po drugiej stronie zatoki.

W domu było pięcioro służących: małżeństwo w podeszłym wieku,

państwo Gaudet, gospodyni i ogrodnik, oraz dwie pokojówki i kucharz.

Madame Gaudet, ubrana w szarość i biel, powitała Helenę i Stanisława u drzwi. Helenę zorientowała się natychmiast, że ta surowa Bretonka rządzi w domu twardą ręką. Pani Gaudet oprowadziła ich po willi, a Helenę starała się zapamiętać układ pomieszczeń.

Na obydwu poziomach były identyczne hole. W części centralnej znajdowały się kręcone schody dzielące dom na połowy. Wznosiła się nad nimi wielka, pokryta freskami rotunda.

Na parterze urządzono salon. Helenę

uznała, że będzie to najbardziej odpowiedni pokój dla Stanisława. Stały tam dwa fortepiany marki Bechstein, było też mnóstwo miejsca na literaturę muzyczną i płytotekę. Łukowate oszklone drzwi prowadziły do

ogrodów, frontowego i tylnego. W tym pokoju było chłodno i cicho. Rześka bryza znad morza łagodziła upał. Pomiędzy drzwiami stały na warcie palmy w donicach.

Olbrzymia jadalnia z marmurową posadzką i kryształowymi kandelabrami budziła podziw. Można było w niej urządzić wspaniałe przyjęcie, uznała Helenę, ale wydawała się zbyt wielka i zimna dla dwóch osób. Postanowiła, że

w zależności od pogody będą jedli w zielonym pokoju śniadaniowym albo na tarasie.

Wszystkie sypialnie znajdowały się na piętrze. Helenę zauważyła od razu, że walizki zostały już zanesione na górę do dwóch osobnych pokoi, co wskazywało, który przeznaczono dla każdego z nich. Zastanawiała się, kto o tym zdecydował, Stanisław czy pani Gaudet. A może po prostu małżeństwa z tej sfery mają oddzielne sypialnie?

Pokój po lewej stronie rotundy, w którym umieszczono walizki Stanisława, miał wystrój jasnobezowy i meble pokryte zamszem.

Walizki Helenę znajdowały się w bardziej luksusowej sypialni na wprost holu -największej, jaką kiedykolwiek widziała, i urządzonej całkowicie na różowo. Ściany zdobił różowy jedwab, a podłogę przykrywał gruby, miękki dywan, naturalnie także różowy.

Olbrzymie łóżko zasłane różową kapą miało dobrany kolorem baldachim. Pod sufitem błyszczał kryształowy żyrandol. Stały tam również dwie różowe sofy i pasujące do nich fotele.

Helenę podeszła do okna, odsunęła różowe zasłony i dostrzegła za oknem ten sam odcień: wielki okrągły klomb róż w rozkwicie. Bukiet takich samych róż stał na szafce nocnej przy łóżku.

Pani Gaudet wskazała czworo białych drzwi w ścianach. Znajdowały się za nimi trzy olbrzymie szafy oraz różowa marmurowa łazienka. Najwspanialsza, jaką Helenę kiedykolwiek widziała.

Wróciła do pokoju i usiadła na sofie.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał Stanisław z niepokojem.

Helenę z uśmiechem kiwnęła głową. Tak bardzo chciał, żeby była zadowolona. Podniosła się, podziękowała pani Gaudet i gospodyni opuściła pokój. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Helenę podeszła do męża.

- Oddzielne sypialnie? - zapytała

łagodnie.

- Myślałem, że tego chcesz - szepnął, odwracając głowę. Wyciągnęła rękę i odwróciła twarz męża ku sobie.

- Chcę, żebyśmy mieli wspólną sypialnię - powiedziała miękko. - Chcę sypiać z tobą.

- Jestem stary - wyszeptał zażenowany. - Ja... Ja nie potrzebuję już... - Machnął dłońmi. - Robić tego.

Helene zajrzała mu głęboko w oczy.

- Jak sądzisz, dlaczego za ciebie wyszłam? - zapytała. - Naprawdę chcę być twoją żoną.

- Przecież jestem już stary.

- To nieważne. Jesteś moim mężem. W jego oczach zabłyśły łzy.

- Moja kochana Helenę - szepnął -jesteś taka dobra. Nie zasługuję na ciebie. Kiedy uścisnął delikatnie jej rękę, poczuła jego pomarszczone palce na swojej

miękkiej młodej dłoni. To sprawiało, że uświadomiła sobie różnicę wieku i posmutniała.

Wysunęła dłoń z jego palców, zabrała swoje walizki i przeciągnęła je przez hol. Stanisław szedł za nią. Jedna z pokojówek już rozpakowywała jego

rzeczy. Dygnęła przed nimi.

Helenę potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję - powiedziała do dziewczyny. - Zrobię to sama.

- Oczywiście, proszę pani.

Po odejściu służącej Helenę zwróciła się do męża:

- Stanisławie, czy mógłbyś dać służbie płatny urlop? Chciałabym cię mieć tylko dla siebie, żebyśmy zostali tu sami.

Niech to będzie nasz prawdziwy miesiąc miodowy.

Zastanawiał się przez chwilę.

Rozpakowywanie walizek to jedna sprawa, a prowadzenie domu to zupełnie coś innego, pomyślał.

- To wielki dom - powiedział w końcu. - Będziesz miała sporo pracy. Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

Uśmiechnęła się żartobliwie.

- Może klomby zarosną trawą, a kurz pokryje żyrandole, ale chciałabym spróbować. Proszę.

Zdziwiony Stanisław zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją zrozumie. Każda kobieta, którą znał, pragnęła być rozpieszczana do granic możliwości.

Wziął Helenę w ramiona i spojrzał jej w oczy. W świetle padającym z drzwi balkonowych błyszcząły jak oszlifowane ametysty. Czy można czegoś odmówić takim oczom? - pomyślał.

Cóż, jeżeli tak pragnęła się nim opiekować, niech to zrobi. Uśmiechnął się.

- Powiedz im, że mają urlop.

Mocno ucałowała go w policzki. Potem ucieszona jak dziecko, które dostało zabawkę, pobiegła zawiadomić służbę.

Godzinę później patrzyli przez okno salonu, jak cała piątka wsiada do dwóch czarnych taksówek. Służące wyglądały

na szczęśliwe, ale pani Gaudet obrzuciła dom spojrzeniem pełnym żalu. To moje królestwo, zdawały się mówić jej surowe oczy. Bóg jeden wie, jak tu będzie wyglądało, kiedy wrócimy.

Gdy samochody już odjechały, Helenę spojrzała na Stanisława i westchnęła z ulgą:

- Wreszcie czuję, że jestem u siebie. Roześmiał się z aprobatą.

- Ja też. Cieszę się, że ich nie ma. Powiem ci prawdę, bardzo by mi przeszkadzali. Nie mógłbym się skoncentrować na muzyce.

Oczy Helenę błysnęły figlarnie.

- Dzisiaj ci na to nie pozwolę -
odrzekła. - Za kilka godzin zapadnie
zmierch. Pójdę przygotować kolację.
Później napijemy się szampana, a
potem...

Helena poprowadziła Stanisława przez
ogród do basenu. Było już chłodno i
zerwał się wiatr. W powietrzu unosiła
się woń róż, oleandrów i sosen. Charty
w niszach pawilonu okrył głęboki cień.

Trzymając się za ręce, stali w milczeniu
obok basenu, podziwiając zachód
słońca. Wyłączone fontanny były ciche.
Niebo zrobiło się
pomarańczowoczerwone, słońce
opadało na horyzoncie jak płonąca kula.
Daleko w dole sunęła po zatoce samotna

żaglówka.

Helenę powoli puściła dłoń męża. Zsunęła peniuar i pozwoliła, by opadł na marmurowe płyty. Była naga, jej jędrne piersi unosiły się w miarowym oddechu. Wyprostowała się, czując w sobie nową, nieznaną siłę.

Stanisław wpatrywał się w nią bez słowa, gdy rozwiązała mu pasek szlafroka. Trochę pomógł szampan, który złagodził jego obawy.

W blasku zachodzącego słońca wcale nie wyglądał staro. Przeciwnie, z jego ciała biła witalność, a białe włosy otaczał złocisty blask.

Helena wyciągnęła dłoń, by go dotknąć. W jego oczach pojawił się niepokój.

- Ja... ja nie wiem, czy jeszcze mogę - wyznał cicho. On się boi, pomyślała. Boi się odrzucenia, wyśmiania.

A przede wszystkim boi się, czy zdoła jeszcze być mężczyzną. Spojrzała mu w oczy.

- Ciii... - szepnęła i delikatnie położyła mu palec na ustach. - Nic nie mów, mężu. Nic nie mów.

Czule przesunęła palcami po jego plecach. Zadrżał lekko. Nawet na niego nie patrząc, mogła wyczuć narastającą w nim napiętność. Oto nadszedł ten

moment, pomyślała.

Rozdział 4

Mijały tygodnie w Cap Ferrat. Helenę dowiedziała się wiele o Stanisławie, a on o niej. Początkowo byli trochę sztywni, ale potem uświadomili sobie, że to normalne, i przestali się przejmować. Przez krótki czas byli wobec siebie żenująco grzeczni, ale powoli przestali się pilnować i cieszyli się swoim towarzystwem.

Helenę szybko dostosowała się do stylu życia męża. Spała rano równie długo jak on, ale budziła się pierwsza i spieszyła na dół, by przygotować śniadanie. Potem biegła do ogrodu po najpiękniejszą różę,

ścinała ją, szykowała śniadanie na przykrytej serwetką drewnianej tacy i podawała mu do łóżka. Dopiero po kilku tygodniach odkryła, że codziennie budził się wcześniej niż ona. Tak wielką jednak przyjemność sprawiał mu widok zadowolonej Helenę wchodzącej z tacą, że udawał sen. Kiedy to zauważyła, przynosiła mu śniadanie do łóżka, nie przejmując się, czy spał, czy nie.

Po śniadaniu Stanisław brał szybki prysznic, ubierał się i schodził do salonu. Natychmiast siadał do fortepianu, żeby ćwiczyć gamy i etiudy. Grał do południa. Helenę

spędzała ten czas na zakupach w Vieux Village lub w Beaulieu, chodziła do

muzeum Île de France, spacerowała po promenadzie Maurice-Rouvier, rozkoszując się pięknym widokiem wybrzeża, czy też po prostu pracowała w ogrodzie.

Każdego popołudnia przygotowywała lekki posiłek, na ogół owoce i sałatki. Jedli na tarasie i przyglądali się żaglówkom pływającym po zatoce. Potem on ucinał sobie drzemkę w pawilonie, a ona opalała się na leżaku albo pływała w basenie. Czasami, gdy znudziła ją spokojna woda, schodziła po siedemdziesięciu sześciu stopniach wyrąbanych w skałach na kamienną plażę dwadzieścia metrów niżej. Uwielbiała pływać w zimnym,

wzburzonym morzu.

Po godzinie Stanisław budził się i szedł do domu, aby znów grać. Helenę słuchała muzyki wypływającej z otwartych drzwi salonu. Jej ulubionym utworem nie była już „Serenada dla lalki”, tylko mazurek c-moll Chopina („Opus trzydzieste, numer czwarty” - powiedział jej Stanisław). A kiedy się dowiedział, że to jej ulubiony utwór, grał go raz po raz. Czasami Helenę wchodziła na palcach do salonu i przyglądała się mężowi. Zawsze siedział wyprostowany, jeszcze drobniejszy i niższy za wielkim instrumentem, uderzając zwinnymi palcami w „zęby”, jak w żartach

nazywał klawiaturę. Pod wieczór jedli coś lekkiego (nie lubił obfitych obiadów), a potem siadał do „Klitajmestry”. Ta stara opera została niedawno odnaleziona i należało ją opracować nuta po nucie na współczesne instrumenty. Helenę była zafascynowana pracą męża i słuchała, jak grał na dawnych instrumentach, rozpisując melodię na ich terażniejsze odpowiedniki. Wieczorami szli na górę lub do ogrodu i kochali się przed pójściem na spoczynek. Helenę prowadziła delikatnie Stanisława, zachęcając go także do eksperymentów, i zawsze udało jej się przekonać męża, że to jego własne pomysły. Tak naprawdę to rozumiał, co ona robi, ale

nigdy tego nie okazał. Nie chciał jej zepsuć radości.

Któregoś dnia, nie wyjawiając Stanisławowi powodów, Helenę zdecydowała nagle, że nie będą się kochać w ogrodzie. Od razu zaczęła za tym tęsknić, bo lubiła to wszystko - rześką pieszczotę wiatru, woń ziemi, puszystą miękkość trawy. Uwielbiała romantyczne zachody słońca, gwiazdy błyszczące nad głową i szum fal. Zrezygnowała z tego jednak, ponieważ miała wrażenie, że ktoś im się przygląda.

Zdarzyło się to po raz pierwszy, kiedy pływała w basenie, ale wtedy uznała, że coś jej się przywidziało. Później jednak,

kiedy się opalała, znowu poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Popatrzyła wokół, marszcząc brwi. Mogłaby przysiąc, że dostrzegła jakiś ruch w gęstych zaroślach na skraju posiadłości. Włożyła gruby frotowy szlafrok i poszła sprawdzić tamto miejsce. Nikogo nie było, ale po dokładniejszych oględzinach znalazła ślady stóp na ziemi wokół krzaków i podeptaną trawę.

Zauważyła w pobliżu zarośniętą ścieżkę i zdecydowała się sprawdzić, dokąd prowadzi. Biegła wzdłuż urwiska i łączyła ich willę z sąsiednią, we włoskim stylu. Kończyła się na terakotowym tarasie. Niebieskie okiennice budynku były zamknięte.

Obeszła cały teren i kilka razy zawołała, ale nikt jej nie odpowiedział. Wreszcie wzruszyła ramionami i wróciła dróżką, którą tu przyszła.

Nie bądź śmieszna, coś sobie wymyśliłaś, uspokajała samą siebie. Ale w głębi duszy wiedziała, że tak nie jest. Widziała przecież ślady stóp.

Tydzień później Helenę dowiedziała się, kto ją obserwował. Stanisław ćwiczył etiudy, poszła więc sama do Vieux Village po zakupy. Dzień był prześliczny; świeciło słońce, a chłodna bryza sprawiała, że nie czuło się gorąca. Helenę miała na sobie jedną z jasnych sukienek Odile Joly.

Kupiła kilka drobiazgów, a potem zatrzymała się przed salonem fryzjerskim. Chciała zaskoczyć Stanisława nową fryzurą, o której myślała już od dłuższego czasu. Dokładnie wyjaśniła fryzjerce, żeby obcięła jej włosy na krótko, po męsku. Postanowiła nie robić już modnej ostatnio trwałej. Kiedy wreszcie wyszła z salonu, zatrzymała się przy straganie z warzywami. Ponownie miała to dziwaczne uczucie, że ktoś ją obserwuje.

Odwróciła szybko głowę i zobaczyła jakiś cień za drzwiami. Natychmiast ruszyła za nim, ale gdzieś zniknął. Z westchnieniem wróciła, aby dokończyć

zakupy. Potem ruszyła do domu. Szła bulwarem, gdy nagle usłyszała za sobą czyjeś kroki.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Co ty tu robisz? - zawołała ze złością.

- Postanowiłem być blisko mojej ukochanej - oświadczył tonem pełnym emocji Hubert de Léger. Oczy miał szkliste, błyszczały jak u szczeniaka, który błaga, żeby go pogłaskać.

Helena cofnęła się, czując od niego zapach alkoholu.

- Zostaw mnie - powiedziała zimno.

- Po tym wszystkim, co przeszedłem, żeby móc być z tobą? Spojrzała na niego z niesmakiem.

- Hubercie - powiedziała spokojnie - kocham Stanisława i jestem jego żoną. Nie mam ochoty spotykać się z innym mężczyzną. Szczególnie z tobą!

Chciała odejść, ale złapał ją za ramię.

- Nie tak szybko, moja droga - wysyczał.

- Nie tak łatwo było znaleźć dom obok twojej willi. Należy mi się jakaś nagroda za moje wysiłki.

- A więc to ty mnie szpiegowałeś! -

Pokręciła pogardliwie głową. -

Powinnam była się domyślić!

Nagle zrobiło jej się słabo. Czy nigdy się od niego nie uwolni? Czy będzie ją prześladował zawsze i wszędzie? Dlaczego nie zostawi jej w spokoju?

- Hubercie - powiedziała cicho. -
Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś trzymał się z dala ode mnie. Przestań za mną chodzić, mojemu mężowi by się to nie spodobało.

Roześmiał się cicho.

- Twój mąż! Ten stary kruk? Przecież on mógłby być twoim dziadkiem! Helenę uderzyła go w twarz.

- Czyżbym trafił w czułą strunę, kochanie? - zapytał, wykrzywiając się

złośliwie. Odwróciła się i szybko ruszyła w kierunku domu. Po chwili Hubert dogonił ją i

chwycił za ramię. Strząsnęła jego rękę.

- Zostaw mnie w spokoju, Hubercie, bo wezwę policję! - mówiła cicho, ale jej głos brzmiał groźnie.

Nagle stracił panowanie nad sobą.

- Więc wezwij policję, ty suko! - wykrzyknął, a potem dodał cicho. - Zobaczymy, czy ktokolwiek zdoła mnie powstrzymać!

Helena wzruszyła ramionami i szybko odeszła. Dopiero po dobrych kilku

minutach ośmieliła się zerknąć przez ramię. Westchnęła z ulgą, bo Hubert gdzieś zniknął.

Kiedy wróciła do willi, Stanisław nadal grał; rozbrzmiewała melodia poloneza. Ale musiał usłyszeć kroki Helenę, bo natychmiast zaczął grać mazurka. Chociaż zdenerwowało ją spotkanie z Hubertem, nie mogła teraz powstrzymać się od uśmiechu.

Zostawiła torby z zakupami przy schodach i weszła do salonu. Zbliżyła się cichutko do męża i ucałowała go od tyłu w szyję. Przesunął palcami po całej długości „zębów” fortepianu, wziął kilka głębokich akordów i na moment zatrzymał dłonie w powietrzu. Odwrócił

się na taborecie twarzą do Helenę i uniósł brwi.

- Nowe uczesanie! - powiedział tonem pełnym aprobaty. - Bardzo ci w nim do twarzy.

- Nie każda kobieta by się na coś takiego odważyła. Fryzjerka próbowała mi to wyperswadować, ale byłam nieugięta.

- Mądra dziewczynka, masz więcej gustu niż oni wszyscy razem. Co jeszcze robiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Trochę zakupów. Spacer. To, co zwykle.

Wstydziła się, że nie potrafi się przemóc i powiedzieć mu o Hubercie. Ale nie chciała martwić Stanisława, szczególnie przed nadchodzącym światowym tournée, które organizował jego agent. Powinna teraz pilnować, by wszystko szło gładko.

Spojrzał na nią uważniej.

- Czy coś się stało?

W jego głosie dźwięczała nuta niepokoju. Helenę chętnie by się sama kopnęła. Dopiero teraz nabroiłam, pomyślała.

Gwałtownie pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, nic się nie stało. Myślałam tylko, jakie muszę wziąć ubrania na tournée. Jadę z tobą, wiesz?

Podniósł do ust jej dłonie.

- To będzie najwspanialsze tournée mojego życia - odrzekł. - Co wieczór będę zapominał o publiczności i grał całym sercem tylko dla ciebie, tak jakbyś była jedyną osobą na widowni.

Helenę uścisnęła go mocno.

- A ja będę siedzieć w tłumie twoich wielbicieli - wyszeptała. - Aleja również zapomnę, że oni tam są. Dla mnie będziesz jedynym mężczyzną w sali koncertowej.

Rozdział 5

Stanisław pomachał ręką.

- Helenę! - zawołał. - Mamy gościa!

- Chwileczkę! - Zsunęła grube rękawice do pracy w ogrodzie, zdjęła wielki słomkowy kapelusz i wstała.

Przyglądziła dłonią włosy. Zobaczyła, że Stanisław idzie z kimś w jej kierunku. Zaczęła się wpatrywać w przybyłego. Znała tylko jednego mężczyznę, który nosił sportowy płaszcz i chustkę na szyi zamiast krawata.

- Jacques! - wykrzyknęła radośnie.

Podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona. Uniósł ją i okręcił kilkakrotnie

w powietrzu. Potem postawił ją gwałtownie i oboje roześmiali się zażenowani. Jacques cofnął się o krok.

- Niech obejrzę - powiedział. - Dobry Boże! - Popatrzył ponad jej ramieniem na pianistę. - Małżeństwo jej służy. Nigdy wcześniej nie widziałem Helenę takiej promiennej. Widocznie to ty tak na nią działasz.

Stanisław wyglądał na zadowolonego.

- No i? - naciskała Jacques'a Helenę. - Co tu robisz? Nie mów mi, że postanowiłeś być naszą przyzwoitką

- Oczywiście, że nie - odrzekł lekko. - Po prostu nasza mnie niepohamowana

ochota zobaczenia ciebie, to wszystko. Więc złapałem taksówkę, kazałem się zawieźć na dworzec, wskoczyłem do pociągu i przekupiłem konduktora, żeby znalazł mi kuszetkę. I oto jestem tutaj, na pięknym, słonecznym wybrzeżu! - Twarz mu posmutniała. - Ale tylko do jutra.

- Przygotuję ci pokój gościnny - powiedziała Helenę. - Mamy mnóstwo wolnych sypialni. - Pomachała w kierunku willi. - Spójrz tylko na ten dom. Jest wystarczająco duży, by przenocowała tu cała armia!

Fotografik pokręcił głową.

- Nie, dzięki. Wynająłem już pokój w hotelu Voile d'Or. Na twarzy Helenę

odmalowało się rozczarowanie.

- Skoro tak wolisz... - Zaraz się jednak ożywiła. - A więc co cię tu sprowadza?

- Właściwie to wpadłem do was, żeby ci coś dać. Chciałem to przywieźć osobiście.

- Ale... już dostałam od ciebie prezent ślubny. Jacques uśmiechnął się tajemniczo.

- To nie jest prezent ślubny. Chodź na taras.

Helenę spojrzała na niego, a potem na Stanisława. Nagle oczy jej się zaświeciły.

- To chyba... nie jest...

- Tak! - powiedział Jacques. - Sygnałne egzemplarze „Vogue’a” i „L’Officiel”. Myślałem, że będziesz chciała je obejrzeć. Są tam, na leżaku.

- Więc chodźmy! - zawołała niecierpliwie Helenę. Wzięła obu mężczyzn za ręce i pociągnęła w kierunku domu. Kiedy doszli do tarasu, zostawiła ich i wbiegła na schody. Na leżaku zobaczyła dwa magazyny. Wstrzymała oddech.

Z okładki „Paris Vogue” patrzyła na nią jej twarz. Powoli, jakby to był ulotny obraz, który mógł zaraz zniknąć pod dotknięciem palców, Helenę wyciągnęła

dłoń i podniosła magazyn. Potem przyjrzała się z zachwytem fotografii na okładce.

- Ależ to fantastyczne! - powiedziała w końcu i przeniosła wzrok na Jacques'a, który zgodnie pokiwał głową.

Szybko przejrzała pismo. Na stronie pięćdziesiątej czwartej ujrzała się znowu na wieży Eiffla. Hen w dole był

Paryż; a jej jasna wieczorowa suknia powiewała na wietrze jak olbrzymi żagiel. Szybko odłożyła „Vogue'a” i chwyciła „L'Officiel”.

Ujrzała się znowu, tym razem w pięciostronicowym kolorowym

reportażu. W milczeniu przyglądała się przez chwilę zdjęciom. Były to fotografie ukazujące zabójstwo. Początkowo nie mogła uwierzyć, że ta piękna kobieta w negliżu to ona. Ale tak było. Ona - Helenę Junot - stała arogancko w wyzywającej pozie nad trupem mężczyzny. Jeden z wysokich obcasów oparła o zwłoki, twarz miała zwróconą w stronę aparatu. Lufa pistoletu jeszcze dymiła... Było to coś więcej niż kolorowe fotografie. Te zdjęcia to dzieła sztuki. Przypomniała sobie, jak kpiła z tego pomysłu, uznając go za absurdalny. Teraz przyznała, że Jacques miał rację.

Pokręciła głową, zastanawiając się, czy

to wszystko wydarzyło się naprawdę. Owszem; tak było. Czuła się bardzo dziwnie, po raz pierwszy oglądając swoje zdjęcia na kartkach tak poczytnego magazynu.

W końcu powiedziała do obu mężczyzn.

- Ja... Po prostu nie mogę w to uwierzyć! Są piękne! Stanisławie, widziałeś? Mąż uśmiechnął się ciepło.

- Jacques pokazał mi je zaraz po przyjeździe.

- Musimy to uczcić szampanem! - zawołała i ruszyła w stronę drzwi domu.

- Och... mam jeszcze coś - odezwał się

Jacques.

- Co? - Spojrzała na niego pytająco.

Włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyjął długą, wąską kopertę. Zdumiona Helene wróciła i powoli ją rozerwała.

Wystarczyło jedno spojrzenie.

Wiedziała, co to jest. Kontrakt z jednej z najbardziej prestiżowych agencji modelek w Paryżu. Usiadła na leżaku.

- No? - zapytał Jacques. - Co na to powiesz? Bez słowa odłożyła kontrakt. Jacques popatrzył na nią zaskoczony.

- Czy coś się stało? Helene pokręciła głową.

- Nie, Jacques. Doceniam to.
Naprawdę...

- Więc o co chodzi?

Podniosła głowę i napotkała jego zdumiony wzrok.

- Nie chcę już być modelką -
powiedziała cicho.

- Zwariowałaś! - Sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego. Otworzył usta ze zdumienia i odwrócił się do Stanisława. - Ależ... nic nie rozumiem - wybełkotał.

Helene uśmiechnęła się łagodnie.

- Jacques, nie zrozumiesz tego. I proszę cię, nie bądź na mnie zły. - Wyciągnęła dłoń i pogładziła go po ramieniu. - Teraz chcę tylko być dobrą żoną dla Stanisława. A jeśli kiedyś będę mogła... - Zrobiła nieokreślony gest. - Mniejsza z tym. Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

- Ale pieniądze! Takie warunki! - Jacques złapał kontrakt i zaczął nim machać przed oczami Helenę. - Popatrz tylko, co ci proponują! - Stukał palcem w papier. - To

astronomiczna suma! Będiesz najlepiej zarabiającą modelką we Francji! A w przyszłym roku chcą cię wysłać do Nowego Jorku!

- Jacques, nie myśl, proszę, że jestem niewdzięczna. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Tylko po prostu już podjęłam decyzję. Wiem, na czym mi zależy.

Spojrzał na nią zirytowany.

- O Jezu! Kobiety!

Godzinę później Jacques pojechał do hotelu. Helenę odprowadziła go do taksówki. Kiedy wróciła, Stanisław spojrzał na nią uważnie.

- Jacques przyjdzie na obiad? - zapytał. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, dziś wieczorem wraca do Paryża.

- Czuje się urażony - powiedział jej mąż. - Był pewien, że się ucieszysz.

- Ucieszyłam się! - odparła Helenę.

- Usiądź, kochanie - poprosił. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Helenę uniosła pytająco brwi, ale posłusznie usiadła na sofie, opierając się o

miękkie poduszki. Stanisław usiadł także i wziął ją za rękę. Popatrzył na nią ze smutkiem.

- Nie powinnaś się dla mnie poświęcać - powiedział łagodnie. - Możesz nadal być modelką.

- Nie poświęcam się! - zaprzeczyła

gwałtownie.

- Sza! Nic nie mów, tylko posłuchaj przez chwilę staruszka! - Odetchnął głęboko i zaczął mówić, starannie dobierając słowa. - Jesteś młoda, Helenę. Za młoda, by tkwić tu ze mną i nudzić się, gdy pracuję. Potrzebne ci jakieś zajęcie. Szczególnie że masz starego męża, który zamyka się na długie godziny ze starymi manuskryptami albo gra na „zębach”. - Znowu chciała zaprotestować, ale uciszył ją ruchem dłoni. - Musisz żyć własnym życiem! Znaleźć sobie jakieś hobby, zająć się swoją karierą. Robić coś, co ma jakąś wartość.

Helenę uśmiechnęła się i wzruszyła

ramionami.

- Przecież ja nie zamierzam się umartwiać. Proszę, uwierz mi, po prostu nie chcę już być modelką. Oczywiście, kiedy przyjechałam do Paryża, zrobiłabym wszystko, żeby dostać taką szansę. Powiem więcej: zabiłabym dla tej szansy! Cieszę się, że udało mi się to osiągnąć, ale teraz widzę, że wcale mi nie zależy, aby to robić dalej. Nie czuję satysfakcji tylko dlatego, że ładnie wyglądam na zdjęciach. Od czasu do czasu - tak. Ale to nie dla mnie. - Nagle przytuliła się do niego. - Chcę zrobić coś z niczego, Stanisławie. Chcę coś stworzyć. - Spojrzała na niego z powagą. Krótkie włosy sprawiły, że jej

fiołkowe oczy wydawały się olbrzymie.

- Chcę wydawać własny magazyn mody.

Wiem, że będę w tym dobra. I właśnie to mi przyniesie zadowolenie.

- A zatem musisz to zrobić - powiedział po prostu.

- Na to potrzeba dużo pieniędzy.

Stanisław wzruszył ramionami.

- Mam mnóstwo pieniędzy. Poza tym co mi z tego, że leżą na koncie w banku? To także twoje pieniądze.

Jej oczy nagle zwilgotniały. On zrozumiał, co chciała zrobić. O czym marzyła. Przypomniała sobie hrabiego, który obawiał się, że wtedy nie miałyby

dla niego czasu. Jej mąż po prostu pragnął, żeby była szczęśliwa.

- Może to zrobię, kiedy wrócimy z twojego tournée - odrzekła zamyślona. - Mam nadzieję, że Jacques też mnie zrozumie. Nie chciałabym, żeby nasza przyjaźń się skończyła... Stworzyć nowy magazyn, nowy autorytet w świecie mody... Tak! - W jej głosie dźwięczało podniecenie. - Oto mój cel!

Stanisław pokiwał głową.

- Dobrze. Kiedy tylko skończy się nasz miodowy miesiąc, możesz zacząć wszystko planować.

- Ale nie skracajmy go, przecież to moje

pierwsze wakacje. - Pochyliła się i ucałowała męża, a potem zaczęła gładzić jego białe włosy. - Wiesz - wyszeptała. - Naprawdę cię Kocham. Ty jedyny mnie rozumiesz. I nawet nie wiesz, jak bardzo jestem z tego powodu szczęśliwa.

Następnego ranka Helenę pomogła mężowi ustawić w salonie wielki magnetofon szpulowy.

- Zamierzam nagrać kilka utworów - oznajmił. - Chodź do sypialni, pomożesz mi przynieść taśmy.

Kiwnęła głową i ruszyła na górę. Kufry, które Stanisław kazał tu przywieźć dzień przed ślubem, stały teraz w wielkiej

garderobie. Na szczęście tę skrzynię ustawiono tuż

przy drzwiach. Wyciągnęli ją teraz i przesunęli na środek pokoju. Była wypełniona po brzegi taśmami.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Helenę. - Ile ich tu masz! Czy mamy wszystko przenieść sami na dół?

Stanisław potrząsnął głową.

- Nie. To zbyt ciężkie. Weźmiemy tylko kilka. - Pochylił się, wziął taśmy i podał Helenę. - Możesz zabrać je na dół. Są czyste.

Zatrzymała się w drzwiach.

- A ty tu zostaniesz?

- Chciałbym wybrać kilka ponagrywanych taśm. To zajmie parę chwil. Helenę pomogła mu wszystko przygotować. Stanisław ostrożnie włożył jedną ze

szpul do magnetofonu i sprawdził. Zauważyła, że taśmy, które przyniósł, miały naklejone karteczki z datami i nazwiskami kompozytorów. Były tam tylko utwory Chopina i Skriabina. Helenę przyjrzała się z bliska napisanej odręcznie dacie na jednej z taśm. Nagranie pochodziło sprzed piętnastu lat.

- Co chcesz nagrać? - zapytała.

- To, co już opracowałem z „Klitajmestry”. Potem chcę posłuchać starych nagrań, żeby je porównać z moją obecną grą.

- Będziesz miał z tym strasznie dużo pracy. - Helenę ucieszyła się. - Mogę ci pomóc przy zmienianiu taśm!

- Nie, kochanie. Idź i rób to, na co masz ochotę.

- Ale chciałabym... Przerwał jej ruchem ręki.

- Potrzebuję absolutnego spokoju i ciszy.

- Ucałował ją czule. - Wiem, że umiesz siedzieć cichutko jak myszka, ale muszę się skoncentrować. - Uśmiechnął się. -

Jesteś taka piękna. - Położył dłoń na plecach Helenę i delikatnie popchnął ją w kierunku drzwi.

- Chcesz, żebym zawołała cię na obiad czy dopiero na kolację? - zapytała.

- Nie. To ja cię zawołam. Westchnęła, musząc się zgodzić.

- Dobrze, skoro tak sobie życzysz.

- Tak - odrzekł stanowczo.

Spędziła dzień w ogrodzie. Najpierw pływała w basenie, potem uważnie obejrzała trawę. Zmarszczyła brwi.

Powinna się już zająć trawnikiem, ale

musiał poczekać. Oczyszczyła z chwastów kilka klombów, obesła je z nożycami i poobcinała zwiędłe kwiaty. W pewnej chwili usłyszała dźwięki fortepianu. Rozpoznała uwerturę z „Klitajmestry”.

Po południu Stanisław wyszedł na taras.

- Zrobię sobie przerwę! - zawołał.

Szybko przygotowała jedzenie. Później uciął sobie krótką drzemkę, a Helenę siedziała na słońcu i pływała.

Potem przez kilka godzin, aż do zachodu słońca, słyszała, jak grał wciąż te same fragmenty „Klitajmestry”. Na początku brzmiały nieśmiało i niepewnie, aż wreszcie zmieniły się w czystą magię.

Helenę na moment przytknęła oczy.
Muzyka była tak niesamowicie piękna,
że można było wyobrazić sobie cały ten
dramat. Widziała wspaniałą
Klitajmestrę, która wraz z kochankiem
Egistem zamordowała powracającego z
wojny trojańskiej męża, a potem sama
zginęła z ręki syna Orestesa.

- Piękna muzyka.

Helenę aż podskoczyła. Otworzyła oczy
i ujrzała przed sobą Huberta.

- Odejdź - wyszeptała zimno. Hubert
złapał ją za rękę.

- Pokochałem cię - mówił namiętnie - od
pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Pomogę ci nawet uwolnić się od tego mężczyzny!

Przeszedł ją nagły dreszcz; usiłowała wyrwać rękę, ale Hubert ścisnął ją mocno. Poczowała nagły strach.

- Puść mnie! - powiedziała cicho.

- Nie, dopóki nie powiesz mi prawdy - nalegał. - Że kochasz tylko mnie, a za tego starca wyszłaś jedynie dla pieniędzy!

- Hubercie, nie mam ci nic do powiedzenia. - Jej głos brzmiał stanowczo. - Kocham Stanisława. Teraz myślę, że...

- Nie zamierzasz wreszcie się przyznać, że mnie kochasz?

- Nie, Hubercie - odrzekła cicho. - Nigdy tego ode mnie nie usłyszysz. Boja cię nie kocham.

Oczy mu pociemniały. Gwałtownie podniósł ją z leżaka i przycisnął do siebie. Czowała jego ostry zarost na twarzy i wyrywała się, próbując odwrócić głowę. Jego usta napierały na jej wargi; niezgrabnie wsunął rękę za jej stanik i ścisnął pierś. Helenę krzyknęła z bólu.

Muzyka przeszła w crescendo, a potem gwałtownie umilkła.

- Stanislawie! - krzyknęła Helenę. -

Stanisławie!

Po chwili wybiegł na taras. Helenę widziała, jak twarz męża zrobiła się purpurowa. Odepchnęła Huberta i podbiegła do Stanisława.

- Wejdz do domu - rozkazał cichym głosem.

Posłuchała go bez słowa. Przez oszklone drzwi salonu zobaczyła, jak Stanisław zbliżył się do Huberta. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle zachodzącego słońca. Słyszała gniewne głosy. Patrzyła, jak Stanisław chwycił Huberta za kołnierz i odwrócił. Potem drżącym palcem wskazał mu bramę posiadłości.

Tamten jednak nie odchodził. Helenę słyszała jego ohydny, złośliwy śmiech. Nagle Stanisław uderzył go w twarz. Hubert cofnął się gwałtownie.

Helenę zamknęła oczy. Kiedy ponownie je otworzyła, de Léger rzucił się na Stanisława. Zaczęli się szamotać.

- Przestańcie! - wrzasnęła. - Przestańcie!
- Uderzyła dłońmi o framugę drzwi, aż zadrżały szyby.

Tamci dwaj walczyli nadal. Helenę pobladła. Hubert był młody, a Stanisław stary i słaby. A jego dłonie! Palce pianisty! Jeżeli złamie choć jeden, będzie to kres jego kariery. Nagle wstrzymała oddech. Przepaść. O Boże!

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej! Teraz są już nad urwiskiem!

Helena wypadła z domu, zbiegła z tarasu, minęła pawilon i basen. Kiedy już była blisko, jedna z sylwetek straciła nagle równowagę i spadła.

Helena ujrzała jeszcze rozcapierzone palce rozpaczliwie chwytające powietrze. Potem w dole dał się słyszeć stłumiony krzyk, który połączył się z jej własnym. I nagle zapadła cisza.

Rozdział 6

Nocą na Place Vendôme było bardzo cicho. W ciągu dnia wydawał się pełen spokoju i elegancki, ale dopiero w

blasku latarni naprawdę czuło się szczególnie nastrój tego miejsca. Można było sądzić, że tak tu właśnie wyglądało w siedemnastym stuleciu, kiedy wokół placu wzniesiono wytworne budowle. Tej specyficznej atmosfery nie tworzyły jedynie luksusowe sklepy ani to, że plac był odgradzony od reszty miasta imponującymi gmachami, a otwierał się jedynie na dwie ekskluzywne arterie - rue de la Paix i rue de Castiglione. Ów nobliwy spokój pochodził od statecznego zapachu pieniędzy i wydawał się sączyć z drzwi i okien potężnego Banque Rothschild. W jakiś sposób ulatniał się z dobrze strzeżonych sejfów wypełnionych klejnotami i złotem wartymi miliony. Unosił się także

nad hotelem Ritz opatrzonym numerem piętnastym, niczym chmura srebrnych funtów szterlingów. Cóż w tym dziwnego? Bogatą, międzynarodową klientelę tych instytucji stanowili ludzie, którzy przekraczali granice z prawdziwymi *carte blanche*. Owych granic nie zaznaczono na mapach; były starannie rejestrowane i wykazywane w cominutowych zwyczajach akcji wartych setki milionów czy też w oszałamiających wzrostach i upadkach potęg finansowych.

Helenę z uśmiechem wysiadła z taksówki. Przez chwilę stała przed szarym budynkiem, który nie różnił się od innych gmachów stojących przy

placu. Wciągnęła powietrze w nozdrza, próbując zlokalizować dokładnie owo źródło nieuchwytnego zapachu solidności i spokoju. Wydawało się, że dolatywał ze wszystkich stron. Było jeszcze kilka miejsc, gdzie ma się to samo wrażenie: Palm Beach, niektóre dzielnice Nowego Jorku, Beverly Hills, Zurych i francuska Riwiera.

- Marzyłam o tym placu, będąc dzieckiem - powiedziała, rozglądając się wokół wzrokiem właścicielki. - Tylko wtedy wiedziałam, że to nie moje miejsce. Moje było w starej kamienicy na Montmartrze.

- Przeszłaś długą drogę - zauważył Jacques.

Helenę westchnęła i spojrzała na swoje zrobione na zamówienie pantofle. Po chwili jednak podniosła głowę.

- Czasami się zastanawiam. Wiesz, im jestem starsza, tym bardziej zdaję sobie sprawę z tego, że odległości nie mierzy się kilometrami, tylko frankami, dolarami i markami niemieckimi. Stąd na Montmartre nie jest wcale tak daleko. To tylko kawałek za operą. Więc ile tak naprawdę przeszłam przez te wszystkie lata? Może trzy kilometry. Niedużo, prawda? - Dotknęła jego ramienia. - Chyba staję się sentymentalna. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła go spiesznie do

dyskretnego bocznego wejścia. Światło latarni odbijało się w nowej mosiężnej tabliczce umieszczonej na ścianie przy drzwiach. Jacques spojrzął z bliska na wygrawerowane proste drukowane litery:

LES EDITIONS HELENE JUNOT SA
Les Modes

Spojrzął zdziwiony na Helenę i przesunął palcem po literach.

-Co to jest?

Wyciągnęła dłoń i dotknęła tabliczki. Mosiądz był zimny, pozbawiony życia.

- Myślę, że można to nazwać realizacją

marzenia - powiedziała miękko. -
Wyobrażałam sobie tę chwilę, jeszcze
gdy byłam w szkole. - Wyjęła klucze i
otworzyła zamek. - Zaraz ci wszystko
wyjaśnię.

Popatrzył na tabliczkę i wszedł za
Helenę do środka. Zapaliła światła i
zamknęła drzwi. Olbrzymie
pomieszczenia były puste i ciche. Przez
chwilę oboje stali w milczeniu.
Wreszcie Helenę oznajmiła:

- Wczoraj podpisałam umowę najmu.
Tabliczkę przykręcono dziś po południu.
Ty pierwszy ją zobaczyłeś.

- Czuję się zaszczycony - oświadczył
Jacques nieco zdziwionym głosem.

Poprowadziła go do drugiego pokoju, a potem weszli po schodach na drugie piętro.

Helene włączyła następne światło.

- To będzie mój gabinet. Popatrz - powiedziała. Każdy jej krok odbijał się echem od pustych ścian.

Otworzyła jedno z sześciu wysokich okien. Jacques podszedł do niej. Po drugiej stronie placu większość budynków była pogrążona w ciemności, z wyjątkiem numeru 15. Hotel Ritz zapraszał jasnymi światłami.

Helene schyliła się i podniosła butelkę Château Mouton-Rothschild oraz dwa

kieliszki stojące na podłodze w kącie.

- Wino? - zapytał zaskoczony Jacques.
Skinęła głową i napełniła kieliszki.

- Musimy to uczcić. Wolałabym
szampana, ale jeszcze nie mam tu
lodówki. Podniósł swój kieliszek.

- Nie wyjawiaś mi jeszcze, co
właściwie świętujemy.

- Powstanie mojego magazynu. Helenę
Junot od dziś jest wydawcą. -
Roześmiała się krótko. - Albo raczej
wkrótce będzie. Po śmierci Stanisława
przekonałam się, że jestem bogatą młodą
kobietą i mam dużo wolnego czasu.
Muszę się czymś zająć.

- Mogłabyś po prostu leniuchować.

- Nie. Muszę coś zrobić.

Jacques stuknął w jej kieliszek swoim.

- Gratuluję. - Wypił wino. - Teraz opowiedz mi o tym twoim czasopiśmie. Helenę odwróciła się tyłem do okna i zaczęła mówić z ożywieniem:

- Znasz „Elle”, znasz „Vogue” i „L’Officiel”. - Zrobiła pauzę. - Zamierzam je zdystansować.

Spojrzał na nią zdziwiony, by sprawdzić, czy nie żartuje. Była absolutnie poważna.

- To ambitny plan - zauważył ostrożnie.
- Niezupełnie. Mam pieniądze, żeby rozkręcić interes. Potrzebni mi tylko ludzie.
- Chyba napiję się jeszcze. - Jacques napełnił swój kieliszek. Wypił wino jednym haustem. - Strzelaj.
- Proponuję ci pracę. - Mam już pracę.
- Wiem. Jesteś fotografikiem. I to cholernie dobrym.
- Pracuję dla „Vogue’a”. Są na szczycie.
- „Les Modes” zdetronizuje „Vogue’a” - powiedziała Helenę z pewnością, jakiej

nigdy wcześniej nie słyszał w jej głosie.

- Poczekaj rok, a sam się przekonasz.

- Jeszcze nie zaczęłaś. Minie sześć do ośmiu miesięcy, zanim ukaze się pierwszy numer.

- Wyjdzie w cztery miesiące. Muszę mieć najlepszych fachowców.

Potrzebuję twojej pomocy, aby ich znaleźć.

- Gdzie chcesz ich szukać? Uśmiechnęła się z dumą.

- Zamierzam stworzyć największe wydawnictwo we Francji. Chcę ściągnąć do siebie najlepszych profesjonalistów, jakich mają redakcje

„Vogue’a”, „Elle”, „L’Officiel”, „Marie Claire” i „Harper’s Bazaar”.

Jacques sceptycznie pokręcił głową

- Jesteś pewna, że to ci się uda?

- Zamierzam zaoferować im wysokie pensje. Wszyscy lubią dużo zarabiać. No i dochodzi kwestia satysfakcji z pracy. Szansa stworzenia czegoś nowego.

- Wygląda na to, że wszystko przemyślałaś. Helenę wzruszyła ramionami.

- To jedyny sposób, żeby coś szybko zrobić. Im szybciej zacznę działać, tym szybciej ukaże się „Les Modes”. Co ty

na to? Dasz się namówić?

Jacques popatrzył na nią z namysłem.

- Jaka pensję masz na myśli?

- Ile zarabiasz teraz?

- Tyle - odpowiedział i wyjął z kieszeni czek od Condé Nasta. - Na ogół nie noszę tego ze sobą. Akurat dzisiaj dostałem pensję i nie zdążyłem pójść do banku.

Helenę wzięła czek i spojrzała na sumę. Opiewał na dwa tysiące osiemset franków. Oddała go Jacques'owi.

- Nie wychodzisz źle na robieniu zdjęć.

- Jak sama zauważyłaś, jestem naprawdę dobrym fotografikiem.

- W porządku. Mogę ci dać trzy i pół tysiąca miesięcznie.

- Nieźle - odpowiedział powoli.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem kiwnął głową. - Zawiadomię „Vogue”. Za dwa tygodnie od jutra jestem twój.

Helene zmrużyła oczy.

- Dam ci cztery tysiące, jeżeli zaczniesz od jutra. Plus zastrzeżenie co do wyłączności. Niech cię Bóg ma w opiece, jeśli spróbujesz przemycać zdjęcia do „Vogue’a” czy „L’Officiel”. Podpisane czy nie.

Jacques uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, szefowo - powiedział - umowa stoi. - Uścisnęli sobie dłonie. - Gdzie mam się rano zgłosić? Tutaj?

- Tutaj.

Helenę rozejrzała jeszcze raz po pustym pokoju. Ich głosy odbijały się echem jak w jaskini. Ale to się zaraz zmieni. Wyobrażała sobie, jak tu wkrótce będzie. Gruby dywan na podłodze wyciszy dźwięki. Meble także. Biurko trzeba ustawić po przekątnej w stosunku do okna, wtedy będzie mogła odwrócić wygodne obrotowe krzesło, aby popatrzeć w dół na plac, ile razy zechce. Krzesła dla gości to inna sprawa, muszą

być wyjątkowo niewygodne; aby ten, kto do niej przyjdzie, natychmiast czuł się zepchnięty do defensywy. Nikt nie może mieć wątpliwości co do tego, kto tu rządzi. Trzeba tu ustawić szafki i regały, a jedyną ozdobą na ścianach będą okładki „Les Modes”.

Wpadł jej pewien pomysł do głowy. Należy zmieniać okładki co miesiąc, tak aby zawsze wisiały tu te najbardziej aktualne. Dodała to w pamięci do setek innych szczegółów, które przychodziły jej na myśl.

- Gdzie jesteś? - zapytał Jacques. Przyglądał jej się z rozbawieniem. Rzuciła mu przepraszający uśmiech.

- W przyszłości.

- Tak samo dobre miejsce jak każde inne.

- Tak - przyznała powoli.

Przyszłość z pewnością będzie dobra, pomyślała. W każdym razie nie może być gorsza od przeszłości. To niewiarygodne, że jej największe marzenie nagle staje się rzeczywistością. Czegoś mi jednak brakuje, zastanowiła się, a po chwili wiedziała już czego. Powinna czuć radość i dumę. Triumf. To miejsce powinno być wypełnione podnieceniem i euforią. A tego tu nie było. Żadnych fajerwerków, żadnych iskier

elektrycznych trzaskających nad głową. Helenę odczuwała jedynie spokojną determinację; musi ciężko pracować, by odnieść sukces. Dawna ciekawość świata i radość uleciały gdzieś, kiedy stała nad ciałem Stanisława, roztrzaskanym na skałach Cap Ferrat. To był ostatni krok wiodący do realizacji jej zamierzeń. Dziwne, ale ta tragedia wzmocniła jej

pragnienie sukcesu. Dała nową ostrożność i dojrzałość. Nauczyła ją, że nawet najgorsze sytuacje można wykorzystać, by obrócić je na swoją korzyść.

Helenę oddychała z wysiłkiem; z trudem zdołała ześlizgnąć się w dół po skałach,

dłonie miała poranione, ale nie zwracała na to uwagi. Okna willi płonęły czerwienią. Przez moment stała z opuszczonymi rękami, patrząc w oszołomieniu na dom. Potem zrozumiała, że to nie płomienie. Po prostu w szybach odbijał się zachód słońca. Powoli wyciągnęła przed siebie zakrwawione ręce i spojrzała na nie przerażona.

- On nie żyje - wyszeptała. - Nie żyje!

Hubert podszedł szybko i objął ją z tyłu. Miał błędny wzrok. Wyglądał, jakby nagle przybyło mu trzydzieści lat.

- Nie zaplanowałem tego - odezwał się cicho. - To był wypadek, uwierz mi, proszę. Półprzytomna Helenę

odepchnęła go i ruszyła w kierunku willi. Nie czuła nawet, że

idzie, to było jak stąpanie w powietrzu. Nie czuła bólu, tylko tępe odrętwienie. Ból miał przyjść później.

Hubert dogonił ją, wziął pod ramię i poprowadził do drzwi.

- Może się mylisz - powiedział z nadzieją w głosie. - Może powinniśmy wezwać lekarza, karetkę. Może zdołaliby go uratować...

Helena zatrzymała się i odepchnęła jego rękę. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- On nie żyje! Spadł na skały. -

Odwróciła się od niego i zobaczyła, jak czerwone słońce tonie w morzu.

Wzdrygnęła się. - To... to straszne. Leży tam zmiażdżony, połamany, wszędzie krew...

- Helenę, musisz się położyć i odpocząć. Ja się wszystkim zajmę.

- Nie! - W jej głosie słychać było wysoki ton hysterii. - Dość już zrobiłeś! Zabiłeś mojego męża!

- Proszę, Helenę... - Postąpił krok w jej kierunku. Oczy jej pociemniały z przerażenia.

- Nie podchodź do mnie! - krzyknęła. - Nie zbliżaj się! - Odwróciła się szybko i

wbiegła na taras.

Patrzył, jak zniknęła w domu. Westchnął ciężko, a potem ruszył za nią. Przy oszklonych drzwiach zatrzymał się i zbladł. Helenę podeszła do telefonu.

Rzucił się przez salon i wyrwał jej słuchawkę. Szybko cisnął ją na widełki.

- Co robisz? - wysyczał.

- Dzwonię na policję.

- Co zamierzasz im powiedzieć?

Posłała mu spojrzenie pełne nienawiści i sięgnęła po telefon. Hubert przytrzymał słuchawkę i rozszlochał się jak dziecko.

- Nie mów im - błagał. - Proszę. Zrobię dla ciebie wszystko. Dam ci, co tylko zechcesz...

- Hubercie, oddaj mi słuchawkę - powiedziała ze znużeniem, wyciągając dłoń.

- Posłuchaj mnie! - Jego zwykle głęboki głos stał się teraz piskliwy i brzmiał wręcz groteskowo. - Myślisz, że tego chciałem? To był wypadek!

Popatrzyła na niego z pogardą.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć - odrzekł zdziwiony. Helenę zaśmiała się z ironią.

- Dwadzieścia pięć! Pomyśl tylko, szamotałeś się z siedemdziesięciodwuletnim człowiekiem! Z pianistą, dla którego palce były skarbem! Ze słabym starcem, który nie mógł się bronić! I zepchnąłeś go z urwiska!

- Powiedziałem ci, że to był wypadek! Twój mąż stracił równowagę i spadł!

- Nie wierzę ci - powiedziała twardo.

- Dobrze, więc nie wierz! - krzyknął gwałtownie. W jego zmrużonych oczach pojawił się gorączkowy blask. - Chciałem go zabić! - wypluł z siebie wściekle. - Masz rację. Od dnia, kiedy się poznaliście. Był dla ciebie za stary!

Taki stary i taki brzydki! Cieszę się, że go zabiłem!

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - Jej słowa były ledwie dosłyszalne.

- Oczywiście, że tak! - warknął ze złością. - Ale jeżeli zeznasz policji, że miałem w tym jakikolwiek udział, zaprzeczę. Powiem, że kłamiesz! Był słabym, starym człowiekiem. - Wzdrygnął się z obrzydzenia. - Nawet kobieta mogła go zepchnąć ze skały!

- Nie wierzę! Nie ośmielisz się skłamać!
- zaczęła się histerycznie śmiać.

- Zapewniam cię, że tak! Powiem nawet,

że wszystko widziałem. Że twój mąż stał tam, podziwiając zachód słońca, a ty go zepchnęłaś. Miałaś doskonały motyw. Przecież wyszłaś za niego dla pieniędzy!

- Jak śmiesz!

- No już, dzwoń na policję! - Wykrzywił się złośliwie i ruszył w kierunku drzwi. W połowie drogi odwrócił się. - Na co czekasz? Przekonamy się, czy masz odwagę to zrobić.

Popatrzyła mu w oczy, by zobaczyć, czy mówił poważnie. Przez moment dostrzegła w nich jego duszę. Była to dusza mroczna, zła, pełna jadu. Helenę przymknęła na chwilę powieki, by tego nie widzieć.

On oszalał, pomyślała. Nie jest po prostu pijany; tym razem to coś więcej. Tak jak kiedyś młody Hubert de Léger czarował ją swoim wdziękiem, tak teraz ją odpychał.

- Wynoś się - rozkazała cicho. Wyszedł bez słowa.

Powoli podniosła słuchawkę i drżącymi palcami wybrała numer policji. Dyżurny zgłosił się natychmiast.

Wzięła głęboki oddech, z całych sił walcząc ze sobą, aby utrzymać kontrolę nad głosem.

- Zdarzył się wypadek! - wyszeptała chrapliwie. - Mój mąż nie żyje.

Proszę... przyjdźcie szybko!

Czekając na policję, rozglądała się po salonie. Jej wzrok zatrzymał się na wielkim czarnym fortepianie, na którym grał Stanisław. Leżały na nim arkusze nut. Podeszła bliżej i spojrzała na starannie zapisaną partyturę. Powoli podniosła nuty. Na pierwszej stronie Stanisław nabazgrał: KLITAJMESTRA

Opera Jeana Baptiste'a Lully'ego,
opracowana na nowo przez Stanisława
Jastrova Kowalsky'ego.

Pod spodem był jeszcze dopisek:

Dedykuję mojej ukochanej żonie, dzięki
której znowu czuję się młody.

Przez chwilę wpatrywała się w te słowa, a potem przycisnęła nuty do piersi. Łzy zalały jej oczy. Dopiero teraz zrozumiała, co się stało. Odrętwienie minęło; zastąpił je ból. Szybko odłożyła nuty na fortepian, jakby w ten sposób mogła odsunąć od siebie rozpacz.

Trzask! W ciszy rozległ się ostry dźwięk. Helenę drgnęła, przesuając oczami od drzwi do drzwi. Potem spojrzała na stół po drugiej stronie fortepianu. Magnetofon właśnie się wyłączył; szpule wykonywały swoje ostatnie obroty. Odetchnęła z ulgą. To tylko magnetofon. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że urządzenie przez cały czas było włączone. Stanisław

nagrywał „Klitajmestrę”, kiedy usłyszał krzyk Helenę.

Znaczenie tego odkrycia poraziło jej umysł. Momentalnie ukryła ból w odległym zakamarku serca. Na taśmie jest nie tylko muzyka, myślała, ale również wyznanie Huberta. Miała przyznanie się do winy Huberta de Légera; potwierdzenie, że zabił jej męża. Mógł opowiadać swoje bajki policji. Stanisław niechętny wskazał mordercę, zostawiając włączony magnetofon.

Helenę myślała gorączkowo. Mając to wyznanie, mogła wsadzić Huberta do więzienia. Był tylko jeden szkopał. Wpływowa i potężna rodzina de

Légerów miała zapewne rozległe koneksje. Mimo tak niezaprzeczalnego dowodu winy Hubert może się wykręcić niewielkim wyrokiem. Albo też w ogóle go uniewinnią. Przecież to jeden z najbardziej liczących się rodów we Francji. Nie da się tak po prostu zamknąć de Légera do więzienia razem z chuliganami, zwykłymi złodziejami i rzezimieszkami.

Wyjęła taśmę z magnetofonu i uniosła w dłoni. Dopóki jama, będzie mogła ukarać Huberta. I zrujnować mu życie. Zawahała się przez chwilę. Czy to szantaż? - zastanawiała się. Czy miała prawo sama wymierzyć sprawiedliwość? Lepiej, abym ja to

zrobiła niż ktokolwiek inny, podjęła decyzję.

Włożyła taśmę do pudełka z napisem „Klitajmestra” i schowała je w szufladzie biurka.

Wtedy zjawiała się policja.

Inspektor Reme zastał Helenę na jednej z miękkich beżowych sof w salonie. Miała zaciśnięte usta i kredowobiałą twarz. Palma w donicy rzucała ostry jak nóż cień na jej policzek. Pomyślał, że Helenę Junot jest piękną kobietą, ale jak do większości pięknych kobiet nie pasuje do niej żałoba. Po trzydziestu latach służby inspektor Reme zawsze wiedział, kiedy żal był szczery. Ale sam

żał o niczym nie świadczył. W swojej pracy inspektor widział już kilka wyrachowanych kobiet, które z zimną krwią zgładziły swoich mężów; a popełniwszy morderstwo, były szczerze zmartwione tym, co uczyniły.

- Inspektorze... - Jej głos brzmiał bardzo cicho, kiedy zaczęła wyjaśniać, co się stało.

Rozdział 7

Hubert de Léger stał w oknie swojej sypialni, patrząc na morze. Wiał silny wiatr, fale pokryły się białą pianą. Hubert niecierpliwie tupał nogą. Co się stało? - zastanawiał się. Śledził Helenę aż do Grand Hotelu. Wiedział, że była w

pokoju. Dlaczego nie odpowiadała?

Wreszcie usłyszał dźwięk podnoszonej słuchawki i głos Helenę. Wydawała się bardzo zmęczona.

- Halo?

- Helenę? Tu Hubert.

- Tak, Hubercie. Czego chcesz?

- Jak się czujesz?

Przez moment milczała. Wreszcie przemówiła, a każde jej słowo było lodowate.

- Mój mąż nie żyje, a ja zostałam

przesłuchana przez policję. Myślę, że mi nie uwierzyli. Jak w tej sytuacji mogę się czuć?

- Co im powiedziałaś?

- Chyba nie powinniśmy teraz o tym dyskutować - odparła zimno i rzuciła słuchawkę.

Spojrzał półprzytomnie na telefon. Przerwała połączenie, pomyślał z wściekłością. Rzucił swoją słuchawkę i zaklął. Najgorsze, że mu nie powiedziała, co zeznała policji. Jeżeli tamci zechcą go przesłuchiwać, może się okazać, że historie obojga są różne.

Ale przecież jeszcze do mnie nie

przyszli, pomyślał z ulgą. Doszedł do wniosku, że Helenę była dostatecznie mądra, by w ogóle o nim nie wspominać.

Prasa miała pracowity dzień. Kiedy tylko rozeszła się wiadomość o śmierci Stanisława Kowalsky'ego, reporterzy tłumnie wyruszyli do Cap Ferrat. Większość z nich pracowała dla francuskich brukowców, jak „Ici Paris”, ale kilku przyjechało z daleka - z Niemiec, Włoch, Anglii. Stanisław Kowalsky był sławną postacią. Tak samo po śmierci jak za życia.

Jacques nie zawracał sobie głowy pociągami. Wskoczył w pierwszy samolot do Nicei, a tam wynajął

samochód i kazał się zawieźć do ekskluzywnego Grand Hotelu w Cap Ferrat. Helenę mieszkała w apartamencie składającym się z dwu połączonych sypialni, a każda z nich miała oddzielne drzwi na korytarz. Jeżeli nawet jakiś reporter zdołałby się prześlizgnąć przez recepcję na dole, Jacques mógł wejść lub wyjść, nie będąc widziany.

Bagażowy przyniósł walizkę i podziękował za napiwek. Jacques skinął mu głową i rozejrzał się po pokoju. Kiedy chłopak zamknął za sobą drzwi, Renault spowaźniał.

- Helenę? - zawołał cicho.

Uchyliła ostrożnie wewnętrzne drzwi, rozejrzała się podejrzliwie, a potem otworzyła je szeroko. Uścisnęła Jacques'a, a on obejmował ją mocno przez chwilę.

- Dziękuję, że przyjechałeś, Jacques - szepnęła. - Naprawdę jestem ci wdzięczna. - Spojrzała na niego, usiłując się uśmiechnąć.

Pochylił się i ucałował Helenę, a potem przyglądał się jej w milczeniu zaskoczony. Miała bladą, napiętą twarz i zamglone oczy. Czuł się bezradny.

Wszystko, co mógł zrobić, to próbować ją pocieszyć. Rozmawiali długo w nocy. W końcu Jacques przekonał Helenę, że powinna odpocząć.

Lekarz hotelowy zapisał jej jakieś tabletki, ale ich nie wzięła w obawie, że nie usłyszy pukania Jacques'a. Teraz podał jej lekarstwo i po kilku minutach stało się coś, co Helenę uważała za niemożliwe. Zasnęła.

Cokolwiek to było: środek nasenny, zmęczenie czy napięcie nerwowe, a zapewne wszystko razem, sprawiło, że spała jak kamień. Nie słyszała nawet dzwonka telefonu. Wreszcie Jacques potrząsnął nią ostrożnie. Helenę spojrzała na niego półprzytomnie.

Podał jej słuchawkę.

- To ten inspektor jakiś tam -

powiedział. - Chce z tobą natychmiast mówić. Jęknęła i z wysiłkiem uniosła głowę. Policja o tej porze? - myślała. Czy oni w ogóle

nie muszą spać? A może ktoś ich nakręca jak mechaniczne zabawki?

Zerknęła na budzik na szafce nocnej. Było wciąż jasno, ale zegar wskazywał jedenastą trzydzieści. Czy to możliwe, że przespała piętnaście godzin? Potrząsnęła głową, by zebrać myśli, i podniosła do ucha słuchawkę.

- Pani Kowalsky? Tu inspektor Reme. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam.

- Nie - skłamała. - Jestem trochę rozkojarzona po proszkach, które dał mi lekarz hotelowy. W czym mogę panu pomóc, inspektorze?

Jacques stał obok i patrzył na nią pytająco. Pochwyciła jego spojrzenie.

- Kawy - poprosiła bezgłośnie samym ruchem warg. Kiwnął głową i wyszedł.

- Słucham, inspektorze - odezwała się do słuchawki.

- Może poczuje się pani lepiej, jeżeli powiem, co ustaliliśmy. Zgłosił się do nas świadek wypadku.

Nagle zrobiło jej się zimno i

podciągnęła kołdrę pod szyję. Więc ktoś widział, jak się szarpali, myślała przerażona. Jak to się mogło stać? Może ktoś obserwował ich z drugiej strony zatoki przez lornetkę? Albo przepływała jakaś łódź i ktoś zobaczył z pokładu całe zajście.

- Tak? - powiedziała ostrożnie.

- Okazało się, że willę obok wynajmował pan Hubert de Léger. Resztki snu opadły z niej natychmiast.

- Tak? - powtórzyła.

Ze wszystkich sił starała się zachować spokój.

- Pan de Léger był właśnie w ogrodzie i również podziwiał zachód słońca, kiedy pani mąż stracił równowagę nad urwiskiem. Zeznał, że widział, jak pani biegła ku niemu, chcąc go ratować.

- Nie udało mi się, inspektorze.

- Ale próbowała pani. - Zrobił krótką pauzę. - Dzwonię, żeby zawiadomić, że może pani wyjechać z Cap Ferrat, kiedy tylko pani zechce. Sprawa jest zamknięta.

Helena bardzo się starała, by Reme nie usłyszał w jej głosie ulgi.

- Dziękuję, inspektorze. Czy wiecie może, dlaczego ten pan nie zgłosił się

wcześniej?

- Wygląda na to, że pochodzi ze znanej rodziny i nie chciał być zamieszany w sprawę. Powiedział, że długo się zastanawiał, ale przyszedł, bo uznał, że to jego obowiązek.

- Rozumiem - odrzekła sucho.

- Jeżeli potrzebna pani jakaś pomoc - zaproponował inspektor - jestem do usług. Moi ludzie pomogą pani uwolnić się od reporterów. Poza tym ciało pani męża jest wciąż w kostnicy w Nicei. Czy życzy sobie pani, by zwłoki przewieziono do Paryża?

- Będę panu wdzięczna.

- Cieszę się, że mogę to dla pani zrobić.

- Dziękuję, inspektorze. Au revoir.

Powoli odłożyła słuchawkę. Dopiero teraz usłyszała jednostajne tykanie budzika. Ze złością porwała go z szafki nocnej i wepchnęła pod poduszkę. Niewiele pomogło. Nadal słyszała miarowe tik-tak, tik-tak, tik-tak, ale już nie tak głośne, by zagłuszało jej myśli. Hubert był śliski jak wąż. Wykręcił się gładko ze wszystkiego, a nawet oczyścił ją z podejrzeń. Prawdopodobnie będzie oczekiwał za to od niej dozgonnej wdzięczności!

Helene uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją. Wyświadczył jej przysługę,

wcale o tym nie wiedząc. Teraz będzie go mogła sama ukarać za zbrodnię.

Sięgnęła po słuchawkę i poczekała, aż zgłosi się hotelowa centrala.

- Bonjour, madame.

- Bonjour - odpowiedziała. - Proszę mnie połączyć z recepcją.

- Już łączę.

Usłyszała sygnał, a potem pompatyczny głos szefa recepcji.

- Proszę przygotować mój rachunek - poleciła Helenę. - Wyjeżdżam. Proszę również zarezerwować dwa bilety na

najbliższy lot do Paryża. - Odłożyła słuchawkę i podniosła się z łóżka.

Włożyła szlafrok. Potem wzięła walizkę, rzuciła ją na łóżko i zaczęła wkładać do niej swoje rzeczy.

- Po co ten pośpiech? - zapytał Jacques, wróciwszy z filiżanką parującej czarnej kawy.

- Zbieraj się - rzuciła Helenę, nie przerywając pakowania. - Wyjeżdżamy. Popatrzył na nią z niedowierzaniem i powoli odstawił filiżankę.

- Co?! Wyjeżdżamy! Dokąd?

- Z powrotem do Paryża oczywiście.

Kiedy na lotnisku w Nicei przechodzili obok kiosku z gazetami, Helenę zatrzymała się nagle. Z poszarzałą twarzą wpatrywała się bez słowa w leżące na wierzchu pismo.

Jacques spojrział na nie również i zamrugął oczami. Był to jeden z brukowych tygodników. Czerwony, rzucający się w oczy nagłówek głosił: „Nieszczęśliwe małżeństwo kończy się na skałach w Cap Ferrat”. Poniżej było wielkie biało-czarne zdjęcie Stanisława i ucięta połowa fotografii Helenę. Tej z dymiącym rewolwerem z „L’Officiel”.

- Jacques, przecież to twoje zdjęcie! - zawołała drżącym głosem. Zmarszczyła brwi. - Chyba nie pozwoliłeś im na

wykorzystanie go?

Spojrzał jej w oczy.

- Nie, oczywiście, że nie. Musieli je nielegalnie wziąć z „L’Officiel”.

Brukowce zawsze robią takie numery - odpowiedział z wściekłością.

- Ale to jest takie... tak wyrwane z kontekstu - wyszeptała.

- Nie myśl o tym. Nic nie możesz zrobić. Walczyli już z nimi silniejsi od ciebie. „Le Monde International” zawsze daje sobie radę. Musisz o tym po prostu zapomnieć. Cała sprawa wkrótce umrze śmiercią naturalną. Nawet nie ma szans na sprostowanie.

Helenę wiedziała, że miał ma rację. Ale to wstrętne, uznała. Nikt nie powinien znosić takich oszczerstw. To nie w porządku, że jestem tak bezsilna, myślała rozgniewana.

- Czy „L’Officiel” może ich zaskarżyć o kradzież zdjęcia? Jacques kiwnął głową.

- Ale kosztowałyby ich to mnóstwo zachodu i trwałyby wieczność. Może całe lata. I wyrok wcale nie jest taki pewny. „Le Monde International” mógłby tylko dostać naganę. Posłuchaj mojej rady i zapomnij, że to kiedykolwiek widziałaś.

- Nie mogę. „Nieszczęśliwe małżeństwo kończy się na skałach Cap Ferrat”. To

podłe!

- Zajmij się czymś - poradził łagodnie. -
Zejdź ludziom z oczu. Nic nie rób, nic
nie mów, nie protestuj. Minie kilka
tygodni i przestaniesz budzić sensację.
Za miesiąc nikt nie będzie nawet
pamiętał, kim jesteś i jak wyglądasz.

Ale Jacques się mylił. Przez resztę życia
zawsze mieli ją ścigać reporterzy. Nie
tylko pojawiała się w wiadomościach.
Ona sama je kreowała.

Stanisław Kowalski został pochowany
w cichym zakątku paryskiego cmentarza
Pere-Lachaise, w alei Transversale
numer trzy, kilka kwater za
Modiglianim. Była to

krótka, prywatna ceremonia. Poza Helenę i Jacques'em przyszła tylko jedna przyjaciółka pianisty, wicehrabina de Sévigné. Ocierała subtelnie łzy koronkową chusteczką, a olbrzymi, czarny, malowniczy kapelusz z dużą satynową kokardą trzepotał niebezpiecznie na wietrze. Helenę uznała, że wicehrabina wyglądała bardzo elegancko w żałobie i naprawdę bardzo szczerze opłakiwała Stanisława. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od łez.

Przy grobie stały też dzieci Stanisława, Ada i Herbert. Żadne z nich nie przyjechało z Nowego Jorku na ślub, ale teraz zjawili się na pogrzebie. Przed

ceremonią Helenę chciała z nimi porozmawiać, lecz odwrócili się do niej tyłem, pokazując jasno, że nie uważają jej za członka rodziny. Nawet ledwo tolerowali wicehrabinę. Podczas pogrzebu Helenę przyglądała się obojgu. Stali razem z drugiej strony grobu. Ada zasłaniała twarz grubą woalką, która wyglądała jak gruba czarna siatka pszczelarza. Miała na sobie długą czarną spódnicę sięgającą niemal do kostek i czarne nylonowe pończochy. Oczy Herberta ukryte za grubymi okularami uważnie lustrowały grób, jak oczy inżyniera oceniające wykonanie robót ziemnych.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Helenę

maleńką łopatką nabrała symboliczną grudkę ziemi i popatrzyła ostatni raz na błyszczącą trumnę. Potem wyciągnęła dłoń; ziemia upadła z hałasem na rzeźbione mahoniowe wieko i rozprysnęła się na wszystkie strony. Helenę odwróciła się szybko i ruszyła do wyjścia. Jacques podążył za nią i wziął ją pod rękę. W tyle słyszała płacz Wicehrabiny, która również rzuciła swoją grudkę ziemi.

- Au revoir, mon ami. - To były jej ostatnie słowa do przyjaciela.

Przy bramie cmentarnej pani de Sévigné podeszła do Helenę. Ujęła ją pod ramię i odprowadziła na bok.

- Chcę ci powiedzieć, że Stanisław był z tobą bardzo szczęśliwy - odezwała się, ostrożnie wycierając kąciki oczu chusteczką. - Ostatnie tygodnie były najszczęśliwsze w jego życiu.

Helenę spojrzała przed siebie na coś bardzo odległego.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Gdyby się ze mną nie ożenił, żyłby do dziś.

- Nie wolno ci tak mówić - odparła spokojnie wicehrabina. - Stanisław napisał do mnie na dzień przed śmiercią. Otrzymałam ten list wczoraj. Pamiętam każde słowo. Napisał: „Żałuję tylko, że wcześniej jej nie spotkałem. Moja Helenę jest silna i słodka, ciepła i

troskliwa, namiętna i opiekuńcza. Gdyby to ona była matką moich dzieci, do dziś pozostałibyśmy blisko związaną, kochającą się rodziną, zamiast żyć każde osobno”.

Oczy Helenę wypełniły się łzami. Nie odpowiedziała. Uściskała wicehrabinę i pospieszyła do limuzyny czekającej przed cmentarzem.

Tego popołudnia w dusznej kancelarii prawniczej monsieur Duchamps na Avenue de L'Opera przekonała się, jak bardzo Stanisław troszczył się o nią. Uczynił ją jedyną spadkobierczynią swojego majątku, w tym rzadkich skrzypiec Stradivariusa, wspaniałego domu w Paryżu oraz kont bankowych i

akcji o wartości przekraczającej dwa i pół miliona dolarów. Adzie i Herbertowi zostawił fundusze powiernicze dające zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów dochodu rocznie.

Rozdział 8

Helena siedziała obok detektywa Karla Häberlego na przednim siedzeniu jego sfatygowanego opla recorda. Patrzyła przed siebie, sztywno wyprostowana, jej fiołkowe oczy miały twarde wyraz, a nozdrza drgały z podniecenia. Pochyliła się i ponownie spojrzała na zwyczajny czteropiętrowy dom. Pierwsza część jej dawno rozpoczętych poszukiwań

zakończyła się tutaj, w małym niemieckim mieście. Myślała, że nastąpi to w jakimś ukrytym, ciemnym i brudnym zaułku. Może w dzielnicy portowej Hamburga? Albo w dalekiej wiosce w argentyńskiej pampie? Ale Seulberg leżał na stokach gór Taunus na północ od Frankfurtu. Była to nowa miejscowość zbudowana od podstaw. Otaczały ją ciche przedmieścia. Powojenny boom osiągnął właśnie szczyt.

Helenę uważnie obserwowała budynek wyglądający jak duże prostokątne pudełko. Było coś niemal klinicznie czystego w białych ścianach, nieskazitelnej sztukaterii i wielkich

oknach z białymi ażurowymi firankami. Budynek nie miał duszy ani wdzięku. Ani stylu. Był jedynie funkcjonalny, co w powojennych Niemczech uważano za najistotniejsze. Tylko jedna rzecz wydawała się mieć większe znaczenie i była to czystość. Schludność i porządek. Po usunięciu wojennych gruzów schludność stanowiła cechę

najbardziej przez wszystkich pożądaną. Helenę popatrzyła na Karla Häberlego. Detektyw przyglądał jej się z ciekawością.

- No i? - zapytał. - Jest pani gotowa?

Nie odpowiedziała. Po tylu latach oczekiwania na tę chwilę czuła się tak,

jakby jej ciało było z ołowiu. Wcześniej uważała, że jest na to psychicznie przygotowana. Teraz wiedziała już, że nie. Powoli sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i otworzyła drzwi. Stojąc na chodniku, spojrzała w obie strony nowej ulicy. Granatowy asfalt połyskiwał w jasnym słońcu. Na wzgórzu buldożery wyrównywały teren. Powietrze było tu czyste i orzeźwiające jak na wsi. Nad pobliskimi polami unosiły się ptaki. Wojna należała do przeszłości.

Detektyw poprowadził Helenę betonową ścieżką do wejścia. Przy drzwiach zobaczyła rząd dzwonek. Każdy czarny guziczek opatrzony był metalową tabliczką, na której

znajdowało się starannie
wygrawerowane nazwisko właściciela
mieszkania. Popatrzyła na trzecią
wizytówkę: „Schmidt”. Zadrżała.

Häberle spojrział na nią i pytająco uniósł
brwi.

Helene zmusiła się do uśmiechu, ale
kiedy detektyw odwrócił wzrok,
zagryzła wargi. Patrzyła, jak naciskał
dzwonek.

Kilka sekund później w domofonie
rozległ się skrzekliwy głos:

- Wer ist da?*

* Kto tam? (niem.)

Nie odpowiedział, ale raz po raz naciskał dzwonek. Wreszcie brzęczyk zasygnalizował, że ktoś na górze otworzył drzwi, i detektyw je pchnął. Przytrzymał je dla Helenę i oboje znaleźli się w anonimowym korytarzu z klatką schodową w głębi.

- Trzecie piętro - powiedział Häberle.

Helenę kiwnęła głową i zaczęli wchodzić po nieskazitelnie czystych schodach. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących.

- Pachnie tu jak w szpitalu - wyszeptała.

Nie odpowiedział. Gdy byli na podeście trzeciego piętra, otworzyły się drzwi i

wyrzała z nich kobieta.

- Wer sind Sie?* - zapytała ostrym głosem, który odbił się echem po klatce schodowej.

* Kim jesteście? (niem.)

Helenę spojrzała na nią. Kobieta wyglądała na zmęczoną. Była krępa i przysadzista, co podkreślała bezkształtna szara podomka. Potargane siwiejące włosy nosiły na sobie ślad starej ondulacji i falą opadały na czoło. Odgarnęła je poirytowanym głosem.

Häberle uklonił się lekko i podszedł bliżej.

- Verzeihung, Mein Name ist Kań
Haberle. Das ist meine Frau. Sind Sie
Frau Schmidt? **

Kobieta popatrzyła na niego
podejrzliwie, cofnęła się i przymknęła
drzwi.

- Ja...

Detektyw przystąpił do rzeczy.

- Ich war in der Wehrmacht mit Hans. Ist
er zu Hause? ***

** Przepraszam, nazywam się Karl
Häberle, a to moja żona. Czy pani
Schmidt? (niem.)

*** Służyłem w Wehrmachcie razem z Hansem. Czy jest w domu? (niem.)

Helena wiedziała, co mówił. Wyjaśniał jej swoją taktykę w samochodzie.

Postanowił, że jeżeli Schmidt sam nie otworzy drzwi, będzie się starał wejść do mieszkania, udając dawnego kolegę z wojska.

-Ach so. - Nieufność częściowo znikła; kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

Otworzyła szeroko drzwi i wpuściła ich do środka. - Guten Tag - powitała Helenę.

Helena uśmiechnęła się także, ale milczała. Häberle uznał, że nie powinna się odzywać, bo jej francuski mógłby

dać tym dwojgu do myślenia.

- Mein Mann ist in der Küche. Kommen Sie, bitte, herein. - Zaprosiła ich do kuchni.

Poprowadziła oboje przez wąski przedpokój i zastawiony meblami pokój dzienny, który wyglądał, jakby w ogóle nie był używany. Helenę rozglądała się z ciekawością. Krzesła, stoliki i meblościanki miały długie, cienkie nóżki z jasnego drewna. Nie było obrazów, kwiatów ani żadnych pamiątek. Weszli do kuchni.

Helenę westchnęła głośno i zadrżała. Zrobiło jej się sucho w ustach. Nie mogła się mylić: siedzący przy stole

mężczyzna to był Schmidt. Ten sam, który przyszedł z oficerem o białej twarzy. Schmidt, który rozpiął sweterek Marie i przypalał jej brzusek papierosem. Teraz siedział przy stole i jadł ze smakiem jakieś ciasto. Na stole przed nim stał opróżniony do połowy szklany kufel z piwem.

Helene spojrzała w milczeniu na ścianę za nim. Zaczęła się w nią wpatrywać z chorobliwą fascynacją. Były tam umieszczone pamiątki z czasów wojny. Metale, obrazy, fotografie, Żelazny Krzyż, opaski ze swastykami. Dawno już nie widziała takich rzeczy. Było wprost nie do uwierzenia, że ktoś mógł mieć tyle buty, by to wszystko wystawić na

widok publiczny. Potem zauważyła, że mężczyzna nie ma nóg. Dostrzegła okrągłe zakończenia kolan wystające z obciętych spodni. Spojrzała na detektywa z zaskoczeniem. Oczyma nakazał jej milczenie. Helenę zacisnęła wargi i nieznacznie kiwnęła głową.

Kobieta pochyliła się nad mężem.

- Hans, du hast einen Besuch!* -
powiedziała głośno jak do kogoś, kto źle słyszy.

- Was? Einen Besuch? Wer denn?** -
Schmidt podniósł głowę, spojrzał na nich i sięgnął po grube szkła w drucianych oprawkach. Ostrożnie założył je na nos. Zmarszczył brwi,

przenosząc wzrok z Häberlega na Helenę i z powrotem na żonę. - Wer sind diese Leute? Ich kenne niemanden***.

* Hans, masz gości! (niem.)

** Co? Gości? Jakich? (niem.)

*** Kim są ci ludzie? Nie znam ich (niem.)

Kobieta również zmarszczyła brwi i spojrzała ostro na Helenę.

- Soll das ein Witz sein? - zażądała wyjaśnień wściekłym głosem. - Lassen Sie doch meinen Mann in Ruhe!* - Objęła męża obronnym gestem i przycisnęła jego głowę do piersi.

* Czy to jakieś żarty? Zostawcie mojego męża w spokoju! (niem.)

Häberle odwrócił się do Helenę.

- Proszę poczekać w salonie - odezwał się stanowczym tonem po francusku. Z wdzięcznością kiwnęła głową i wycofała się z dusznej kuchni, by uciec od

kalekiego sadysty i ponurych pamiątek. Usiadła na jednym z twardych krzeseł. Z kuchni rozlegały się gniewne głosy. Helenę wstała, podeszła do okna i lekko uniosła zasłonę. Za szybą widziała wzgórze i buldożery spychające ziemię. Była ciekawa, czego dotyczy kłótnia w kuchni. Czemu Schmidtowie byli tak

agresywni? Nie spodziewała się tego. Oczekiwała skruchy i przeprosin, błagania o przebaczenie. Wszystkiego, ale nie takiej buty. W ogóle nie czuli się winni. Inaczej nie trzymaliby tych okropnych medali i zdjęć na ścianie.

Dziesięć minut później detektyw wszedł do salonu. Pani Schmidt deptała mu po piętach. Helenę puściła zasłonę i odwróciła się od okna. Oczy kobiety były pełne nienawiści. Próbowwała coś mówić twardym, źle akcentowanym francuskim. To oczywiste, że od dawna nie używała tego języka; każde słowo brzmiało ostro, a naturalną melodyjność zagłuszył szorstki gardłowy ton.

- Myślisz, że chcieliśmy tej wojny? -

wykrzyknęła głośno, wyciągając ręce do Helenę. - My jesteśmy spokojni obywatele! Dlaczego przychodzisz i oskarżasz mojego Hansa o te okropne rzeczy?

Helenę tylko patrzyła na nią w milczeniu. Pani Schmidt zrobiła pełen oburzenia gest w kierunku kuchni.

- Czy mój Hans nie wycierpiał dość? Oddał nogi, nieomal życie! Nie chciał tego! Był... - Spojrzała pytająco na Häberlego.

- Przymusowo wzięty do wojska - podpowiedział cicho po francusku.

- Przymusowo! - powtórzyła prawie z

triumfem żona Schmidta. - Rozumiesz?
Nie miał wyboru!

Helenę wpatrywała się w nią przez cały czas. Nie mogła dłużej milczeć. Ta kobieta próbowała ją zawstydzić, wzbudzić w niej poczucie winy.

- Nie, nie rozumiem - odrzekła cicho.

Pani Schmidt rzuciła jej wyzywające spojrzenie.

- Nawet ja, kobieta, musiałam pracować dla Hitlera. My wszystkie. Nie dlatego, że chciałyśmy. Nie miałyśmy wyboru! Byłam w Arbeitsdienst. Pracowałam u bauera, produkując żywność, by nasi ludzie nie głodowali. Czy dlatego jestem

zła? Za to, że produkowałam żywność?

Helenę popatrzyła na detektywa.

- Dowiedział się pan czegoś o tym drugim? Skinął potakująco głową.

- Porozmawiamy o tym w samochodzie.

- Helenę obrzuciła panią Schmidt potępiającym spojrzeniem. - Nie mogę swobodnie oddychać w tym domu.

- Myślisz, że wszystko wiesz! - wrzeszczała Niemka. - Chciałabyś mieć mężczyznę bez nóg? A moją pensję za pracę Hausmeisterin musiałam wyciągać od rządu przez kilka lat!

Helenę wyglądała na zaskoczoną.

- Była dozorczynią. Dostaje emeryturę -
wyjaśnił Häberle.

Helenę odwróciła się do wrzeszczącej
kobiety. Zniosła tyle, ile mogła.

- Moja matka, pani Schmidt - odparła,
patrzac na Niemkę z obrzydzeniem -
była w ciąży. Naziści bili ją i kopali w
brzuch, dopóki nie poroniła. Potem
została wywieziona do Oświęcimia i
tam zamordowana. Moja starsza siostra?
Tylko Bóg wie, co się z nią stało.
Prawdopodobnie też ją zagazowano. A
moja najmłodsza siostrzyczka? -
Wskazała drżącym palcem kuchnię. -
Pani mąż, ten biedny Hans, torturował
ją! Dziecko! Maleńkie dziecko!
Przypalał jej brzusek papierosem!

Tutaj. - Helenę wyciągnęła bluzkę zza paska i wskazała swój pępek. - A skąd to wiem? - Znów wbiła wzrok w panią Schmidt. - Bo na własne oczy widziałam, jak ten potwór to robił! - Odwróciła się na pięcie,

przemaszerowała przez hol, otworzyła drzwi i wyszła na klatkę schodową. Dogoniła ją pełna jadu odpowiedź:

- Ty, młoda! Myślisz, że wszystko wiesz. Na wszystko masz prędką odpowiedź. Pewność, że wszystko wiesz. Skąd możesz wiedzieć, jak było? Nie lubiliśmy Hitlera! Za każdym razem, gdy w radiu ogłaszano zwycięstwo, musieliśmy wywieszać flagi. Myślisz, że

to lubiliśmy?

Häberle opuścił szybę w aucie. Milczał; twarz mu pobladła. Wstrząśnięta Helenę patrzyła bezmyślnie przed siebie. Potem, nie odwracając się, zapytała:

- Co panu powiedzieli?

- Może wstąpimy do baru na drinka? Wygląda pani tak, jakby potrzebowała czegoś mocniejszego.

- Nie! - rzuciła ostro, zwracając się twarzą ku niemu. - Proszę powiedzieć mi tutaj. Uderzył palcami o kierownicę.

- Dobrze - odrzekł cicho. - Powiem pani. Ale myślę, że widok tego

mężczyzny w kuchni mówi sam za siebie. To chory, zdesperowany kaleka.

- A tamto... Ta wystawa na ścianie? Jak pan wytłumaczy ten koszmar? Häberle uśmiechnął się ponuro.

- Nie rozumie pani? Tylko przeszłość mu pozostała. Teraz nią żyje. Tkwi w czasach, gdy był mężczyzną.

Roześmiała się gorzko.

- Mężczyzną? Który torturował dziecko?

- Nie o tym mówię - odparł poirytowany. - Ale o jego stanie fizycznym.

- Wiem, że stracił nogi. Widziałam. Ale nie uważam, że to coś zmienia. Häberle roześmiał się cicho.

- Ta kobieta ściągnęła mu spodnie. Schmidt nie ma też genitaliów. Wszedł na minę w Rosji.

Helene zamknęła oczy. To nie wyszło tak, jak oczekiwała. Wyobrażała sobie, że pojawi się tam niczym anioł zemsty z błyszczącym mieczem w dłoni. Ale jak mogłaby unieść miecz nad głowę człowieka, który nie ma nóg i nie jest mężczyzną? Potrząsnęła głową. Nic nie jest tak, jak powinno, pomyślała. Nic.

- Proszę mi opowiedzieć o tym drugim! - rozkazała. - O tym potworze, tym

albinosie!

Häberle westchnął.

- Muszę panią ostrzec. Otwiera pani puszkę Pandory. Z nim nie pójdzie tak łatwo.

- Słucham - powiedziała cichym, ale stanowczym głosem.

- Nazywa się Karl von Eiderfeld i żyje otoczony powszechnym szacunkiem. Około dziesięciu lat temu zajął się wydobyciem ropy naftowej i jej przewozem. Od tego czasu jego przedsiębiorstwo stało się światowym imperium i jest warte miliony. Nosi nazwę Von Eiderfeld Industrien GmbH i

mieści się w Dusseldorfie. Jednak nie wiem nic o samym von Eiderfeldzie. Jestem pewien, że nigdy nie widziałem jego zdjęcia, nie czytałem o nim żadnego artykułu. Ani w „Sternie”, ani w „Spieglu”. - Zmarszczył brwi zamyślony. - Prezentowano tam prawie wszystkich przemysłowców, twórców powojennego cudu, ale o nim nigdy nie wspomniano. A z pewnością miał w tym swój udział. Tak, to raczej dziwne...

- Ta jego spółka powstała zaraz po wojnie? - zapytała Helenę.

- Musiałbym to sprawdzić, ale mogę przypuszczać, że tak.

- Zatem musiał mieć wysokie koneksje z

wcześniejszych czasów. Olbrzymie imperium przemysłowe nie powstaje z niczego w przeciągu jednej nocy. Jacyś ludzie mu to ułatwili. A może on coś wie? Albo też ci, którzy mu pomogli, nie wiedzą, co to za człowiek. Musiały tam być jakieś ciemne sprawy na początku.

- Jego firma sprawia wrażenie bardzo konserwatywnej i uczciwej.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Helenę złożyła ręce i pochyliła głowę. - Chcę, żeby pan przeprowadził dyskretne śledztwo - zaczęła powoli. - Proszę znaleźć wszystko na temat von Eiderfelda, szczególnie chodzi mi o sprawy z czasów wojny. Proszę zebrać jego dossier, włączając w to dokumenty,

zdjęcia paszportowe, wszystko. Niech pan go sfotografuje, ale dyskretnie. Chcę go zobaczyć. Ale przede wszystkim proszę szukać brudów. Chcę poznać całą jego karierę wojskową od początku do końca. Potrzebne mi wystarczające dowody, by mógł dostać pięć wyroków. Ale jest warunek. Każdy zarzut musi być udokumentowany. Muszę mieć dowody!

- Odwróciła się ku niemu. Oczy jej błyszczały. W dziwny sposób czuję, wiem... - poprawiła się - że jestem na dobrej drodze.

Może to kobieca intuicja, ale na pewno się nie mylę. On gdzieś tu jest, zdrow i cały. Cieszy się życiem.

- Ma pani duże wymagania. Helenę uśmiechnęła się do niego.

- Jestem pewna, że mnie pan nie zawiedzie. Do tej pory dawał pan sobie radę, a więc i teraz się panu powiedzie.

Detektyw spojrział na nią z powagą.

- Muszę panią ostrzec - rzekł. - Von Eiderfeld ma coś więcej niż pieniądze. Ma władzę.

Helenę uśmiechnęła się do niego.

- Tak? Nawet Achilles miał swój słaby punkt. Von Eiderfeld też go ma. Proszę go znaleźć!

Światło dnia już gasło, kiedy wielka limuzyna skręciła w wysadzaną topolami aleję prowadzącą do Hautecloque. Kiedy auto przejeżdżało przez bramę, Helenę spojrzała przelotnie na wyrzeźbiony w kamieniu znajomy herb de Légerów. W mroku wieczoru lew i salamandra wyglądały na dziwnie słabe i znużone. Usiadła prosto. Przed nią wznosił się zamek de Légerów; jego wyniosła sylwetka wyglądała jak zimna elegancka maska. Teraz Hautecloque wydawał jej się jakby mniejszy i mniej groźny, niż kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Dziś widziała tylko dumną pustkę i chłód. Stara fasada chełpiąca się osiągnięciami dawnych pokoleń skrywała upadek

obecnej generacji.

- Poczekaj tu - poinstruowała szofera i wysiadła, zabierając ze sobą tylko aktówkę. Skłonił się grzecznie i zamknął drzwi za Helenę. Podeszła do wejścia po

marmurowych schodach i dwukrotnie zastukała mosiężną kołatką. Na chwilę odwróciła głowę w kierunku luksusowego auta. Szofer wychylił się i osłaniał dłońmi zapalonego papierosa. Ciemna limuzyna połyskiwała w blasku latarni. Helenę uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją. Oto zmierzy się z de Légerami na ich własnym gruncie. Doskonale.

Lokaj w liberii otworzył wielkie, rzeźbione drzwi i na stopnie padł długi prostokąt światła.

- Madame? - odezwał się z tą specyficzną arogancją i zarozumiałością, jakiej dumne Hautecloque wymagało nawet od służby.

- Jestem madame Kowalsky - oznajmiła Helenę. - Myślę, że hrabia mnie oczekuje.

Lokaj popatrzył na nią obojętnie i zaprosił do wielkiego holu. Potem powoli zamknął drzwi.

- Zechce pani tu poczekać, madame. Zawiadomię pana hrabiego o pani

przybyciu. Helenę skinęła przyzwalająco głową. Służący bez słowa wycofał się i bezszelestnie

znikł w długim korytarzu. Nie wiedziała, czy w zamku wprowadzono nowe zwyczaje, ale było tylko jedno wyjaśnienie tego, w jaki sposób lokaj mógł oddalić się tak cicho. Musiał mieć filcowe podeszwy butów.

Czekając, rozglądała się dokoła. Pojawiły się wspomnienia. Wielkie znaczenie miał dla Helenę fakt, że teraz weszła frontowymi drzwiami, nie tymi dla służby. W ciągu pięciu lat tak dużo się zmieniło. Przynajmniej w jej przypadku.

Kilka minut później lokaj wrócił.

- Pan hrabia przyjmie panią, madame -
oznajmił. - Jest w Okrągłym Salonie.
Proszę za mną.

Helena kiwnęła głową i podążyła za nim
przez hol i szereg pokoi. Wreszcie
otworzył podwójne drzwi salonu i
odsunął się, by mogła wejść, a potem
powoli je zamknął. Rozejrzała się po
pokoju. Wszystko tu wyglądało
dokładnie tak jak tego wieczoru, gdy
jadła obiad z de Légerami; tej nocy
Hubert zabrał ją do Saint-Medard, a
Helena odmówiła pójścia z nim do
łóżka. Tylko pokryte błękitnym
jedwabiem ściany wydawały się
bledsze. Po prostu w miarę upływu

czasu materiał płowiał. Wspaniałe, stare obrazy rozjaśniało światło mosiężnych lamp. Zauważyła Rafaela, którego kiedyś tak podziwiała.

Hrabia stał nieruchomo z jedną ręką założoną na plecy i spoglądał przez okno na park. Helenę pomyślała, że nie słyszał, jak weszła. Po chwili jednak odwrócił się i spojrzał na nią z niechęcią.

- Witaj, Philippe - powiedziała cicho.

Podszedł do niej po wielkim dywanie z Savonnerie.

- Chyba dałem ci jasno do zrozumienia, że nie życzę sobie więcej cię widzieć -

odezwał się zimno.

Helenę rozeźmiała się lekko.

- Wygląda na to, że wracam jak zły szeląg.

- Rzeczywiście. Czego sobie życzysz?

- Skąd ta opryskliwość i złość, Philippe? - Popatrzyła na niego chłodno.

-Czyżbyśmy byli sobie obcy?

W milczeniu zrobił dobrze jej znany ruch dłonią. Helenę usiadła na najbliższej sofie. Siedziała tu kiedyś z hrabiną, podczas gdy hrabia i Hubert dyskutowali o polityce i interesach w odległym kącie pokoju. Czy to możliwe,

że od tamtego wieczoru minęło już pięć lat? Powoli postawiła aktówkę na podłodze obok siebie.

Przez chwilę milczała. Tak bardzo obawiała się wówczas de Légerów, że była ślepa. Teraz to widziała. Myśleli o sobie, o własnych korzyściach i przyjemnościach. Umieeli tylko brać, nigdy nie dając nic w zamian. Uważali, że każdy ma swoją cenę. Nęcili ludzi błahostkami i wykorzystywali do własnych celów. Hrabina tak właśnie postępowała. Bo niby dlaczego zlecała pani Dupré kopiowanie kreacji znanych projektantów? Légerowie prowadzili własne wstrętne gry. Każdy człowiek był dla nich pionkiem, którego można w

subtelny sposób wyeliminować, gdy przestał być potrzebny. Może zrobili to z tyłoma ludźmi, że uwierzyli w swoją nietykalność? Ale ja umiem być tak samo twarda i bezwzględna jak oni, uznała Helenę. Jeżeli hrabia chciał tak to rozegrać, to potrafi stawić mu czoło. Miała w ręku wszystkie atuty, a on nawet o tym nie wiedział.

- Mój prawnik porozumiał się z twoim, ponieważ mam dla ciebie pewną propozycję - odezwała się pełnym energii głosem.

Jego niebieskie oczy zabłyśły. Usiadł obok niej. Więc o to chodzi, pomyślał. Była jak wszystkie inne porzucone przez niego kobiety. Zastanawiał się, ile minie

czasu, zanim objawi się jej chciwość. Zawsze tak się działo. Te głupie dziwki myślały, że mogą przyjść do niego i zażądać pieniędzy, a on się przestraszy i ulegnie. Znał dobrze te ich sztuczki. Przychodziły z wizytą, zaczynały od czarującej rozmowy, a potem chciały go naciągnąć. Przywykł już do tego i nie poddał się ani razu.

- Trochę się spieszę - oświadczył ze znużeniem. - Jeżeli to możliwe, byłbym wdzięczny, gdybyś nie marnowała mojego czasu.

- Dobrze - odrzekła Helenę. - Nie wiem, czy dotarło do ciebie, że zostałam wdową. Nie pospieszył z

kondolencjami.

- Chyba czytałem gdzieś jakąś wzmiankę
- powiedział sucho. - Podobno jesteś
teraz bogatą młodą kobietą.

- Raczej zamożną niż bogatą. Ale mam
dużo wolnego czasu i uważam, że w
okresie żałoby powinnam czymś się
zająć, non?

Zrobił ruch, jakby zamierzał wstać z
sofy.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - rzekł
poirytowany - ale jestem bardzo zajęty.
Teraz wybacz...

- Siadaj! - rzuciła lodowatym głosem.

Spojrzał jej prosto w oczy. Było w nich wyzwanie, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Wyglądało to tak, jakby ametyst nagle błysnął twardo niczym diament. Hrabia powoli usiadł z powrotem.

Helena złożyła drobne dłonie na kolanach. Nieustępliwość zniknęła z jej oczu tak samo szybko, jak się pojawiła; jej głos znowu był spokojny i opanowany.

- Może sobie przypominasz, Philippe, jak wspomniałam ci kiedyś, że chciałabym wydawać własne pismo poświęcone zagadnieniom mody.

- Tak. I co z tego? - odparł lekceważącym tonem.

- Cóż, właśnie to zrobiłam - oznajmiła Helenę. - Mój prawnik umówił nas na spotkanie, abym mogła ci uświadomić ten fakt. Widzisz, sprzedaję udziały.

- Obawiam się, że przysłaś do niewłaściwej osoby. Helenę zaśmiała się krótko.

- Nie, mój drogi. Przyszłam do właściwej osoby. Kupisz dziesięć procent Les Editions Helenę Junot SA.

Hrabia popatrzył na nią rozbawiony.

- Masz silne nerwy, trzeba to przyznać.

- Nie drwij z tego, o czym nie masz pojęcia - odrzekła sentencjonalnie. -

Masz magnetofon?

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Magnetofon? Po co, u licha?

Sięgnęła po aktówkę, położyła ją na kolanach i otworzyła. Podniosła do góry taśmę i pokazała ją hrabiemu.

- Myślę, że powinieneś tego wysłuchać - oznajmiła spokojnie.

Otworzył usta ze zdumienia, a potem zaczął się śmiać.

- Znowu te tanie chwytły! - W jego głosie zabrzmiała ironia. - Obawiam się, że nic nie wskórasz. Próbowaliśmy już tego twoje

poprzedniczki.

Spojrzała na niego niewinnie.

- Czego?

- Nagrywania naszych miłosnych uniesień i stawiania mi warunków.

- Jakich warunków?

- Nie udawaj niewiniątka - warknął ze złością. - Żądały pieniędzy... albo moja żona miała otrzymać taśmę. Znam dobrze te sztuczki. Powinnaś być wystarczająco inteligentna, by rozumieć, że nic z tego. Jak ci kiedyś powiedziałem, wymagam od każdego absolutnej szczerości i sam też jestem szczerzy. Widzisz, szantaż ci

się nie uda, bo hrabina wie wszystko o domu na Boulevard Maillot i o tym, co się tam dzieje.

Oczy Helenę przygasły, a głos przycichł.

- Nie bądź trywialny, Philippe.

- To ty jesteś trywialna - odparł sucho. -
Chyba wykorzystałaś już cały czas, jaki
mogłem ci poświęcić.

- Lepiej wysłuchaj tej taśmy -
powiedziała cicho. - To twoja jedyna
szansa. Jeżeli nie masz magnetofonu,
przywiozłam go ze sobą. Jest w
samochodzie.

Hrabia zrobił niecierpliwy gest ręką.

- Mam magnetofon w bibliotece. Tam możemy posłuchać tej taśmy.

Helena podniosła się i przeszła za nim do wytwornie umeblowanej, dwupoziomowej biblioteki. Hrabia wskazał okrągły stolik w rogu. Stały tam radio, adapter i magnetofon. Helenę z obojętną miną ułożyła szpule na właściwym miejscu, a potem przewinęła taśmę.

- Weź pod uwagę, że to tylko kopia. Oryginał jest w sejfie prawnika. Nie muszę chyba dodawać, że to nie ten adwokat, który zaaranżował nasze spotkanie?

- To brzmi niemal złowieszczo. No już,

włącz tę cholerną taśmę. Chcę to mieć za sobą.

Pochyliła głowę, uśmiechnęła się uprzejmie i nacisnęła zielony plastikowy klawisz.

Na początku słychać było syki i szum. Potem rozległy się kroki i krzesło zaszurało po podłodze. Wreszcie w bibliotece zabrzmiały subtelne dźwięki barokowej uwertury z „Klitajmestry”.

Helenę usiadła obok hrabiego na sofie.

- Jak wiesz, mój mąż był pianistą. Jednym z najlepszych na świecie.

- Skoro tak mówisz - odrzekł sucho. -

Osobiście zawsze wołałem Horowitza.
Wzruszyła ramionami.

- Każdy ma własny gust. Posłuchajmy.

Odchyliła się w milczeniu do tyłu, kiedy znajome dźwięki fortepianu unosiły się i opadały, wirowały i wybuchały, wywoływały wszystkie nastroje i emocje, którymi mogą czarować instrumenty. Nagle muzyka się urwała, rozległ się gwałtowny zgrzyt odsuwanego krzesła i kroki, a potem nastąpiła cisza.

- Doprawdy, moja droga... Helenę uniosła dłoń.

- Będzie ciąg dalszy. Jeszcze tylko

chwila cierpliwości, Philippe.

Usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. Tak się to zaczyna, wpadam przez drzwi balkonowe do salonu, pomyślała.

Potem rozległy się dźwięki wybierania cyfr na tarczy telefonu. Nagle zabrzmiały głośno drugie kroki i przerwano wykręcanie numeru.

- Co robisz? - wysyczał ochryply męski głos.

Hrabia mimowolnie pochylił się do przodu, rozpoznając głos syna. Helenę bez słowa pokiwała głową. Potem zapomniała o Philippe i cała drżąca po

raz kolejny przeżywała to, co się wtedy wydarzyło.

- Dzwonią na policję.

- Co zamierzasz im powiedzieć? -

Słysząc było odgłosy szamotaniny, a potem głos Huberta pokorny i zdesperowany: - Nie mów im. Proszę. Zrobią dla ciebie wszystko. Dam ci, co tylko zechcesz...

- Hubercie, oddaj mi słuchawkę. Zaczął skomleć.

- Posłuchaj mnie! Myślisz, że tego chciałem? To był wypadek!

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć.

Jej śmiech był napięty i pozbawiony wesołości. Potem rozległ się odgłos policzka.

- Dwadzieścia pięć! Pomyśl tylko, szamotałeś się z siedemdziesięciodwuletnim człowiekiem! Z pianistą dla którego palce były skarbem. Ze słabym starcem, który nie mógł się bronić! I zepchnąłeś go z urwiska!

Na moment uchwyciła błysk oczu hrabiego. Philippe wstał i odwrócił się twarzą do ściany. Ale widziała, jak opadły mu ramiona.

- Powiedziałem ci, że to był wypadek! - krzyczał Hubert. - Twój mąż stracił równowagę i spadł!

- Nie wierzę ci! - Jej głos był głuchy i bez życia.

- Dobrze, więc nie wierz! - wrzasnął. - Chciałem go zabić! Masz rację. Od dnia, kiedy się poznaliście. Był dla ciebie za stary! Taki stary i taki brzydki! Cieszę się, że go zabiłem!

Potem pauza. A dalej:

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

- Oczywiście, że tak! Ale jeżeli zeznasz

policji, że miałem w tym jakikolwiek udział, zaprzeczę. Powiem, że kłamiesz! Był słabym starym człowiekiem. Nawet kobieta mogła go zepchnąć ze skały!

Hrabia pochylił się nagle, wyszarpnął taśmę z magnetofonu i ze złością rzucił nią o ścianę. Oparł drżące ręce o stół. W jednej chwili jakby się postarzał. Został pokonany. Helenę zaczęła mówić cicho:

- Philippe, w momencie, gdy to się działo, nie wiedziałam, że magnetofon jest włączony. Jak słyszałeś, Stanisław nagrywał muzykę, nad którą pracowałem, i nie wyłączył go, kiedy Hubert zaatakował mnie w ogrodzie.

Hrabia wyprostował się powoli i

zwrócił ku niej twarz. Jego oczy wyrażały ból, ale także niezłomny upór.

- Zachowanie mojego syna było niewybaczalne.

- Nie sądzisz, że „niewybaczalne” to raczej zbyt delikatne określenie dla morderstwa?

- Nieważne, jak chcesz to nazwać. Ale nie pozwolę się szantażować - oświadczył z godnością. - Nikomu i z żadnego powodu.

Helenę podniosła się z sofy.

- Wychodzę. Możesz sobie zatrzymać tę taśmę. Jak ci już mówiłam, mam drugą. I

mogę zrobić mnóstwo kopii. Wyślę je na policję, do gazet, nawet do „Ici Paris” czy „Le Monde International”.

Hrabia drgnął.

- Nie zrobisz tego!

- Czyżby? - W jej głosie zabrzmiało wyzwanie. - A chcesz się przekonać? Spojrzał na nią w milczeniu.

- Przyniosłam dokumenty potrzebne do zakupu udziałów w Les Editions Helene Junot SA - kontynuowała. - To Hubert jest nabywcą i umowa wymaga jego podpisu, nie twojego. W myśl ustaleń w niej zawartych właściciel akcji nie może w żadnych okolicznościach ich sprzedać

i musi uczestniczyć we wszystkich zwoływanych przeze mnie zebraniach zarządu. Musi się ze mną kontaktować i informować mnie o wszystkich wyjazdach. Chcę mieć pewność, że zawsze będzie osiągalny. Nie muszę chyba dodawać, że jeżeli nie przyjmiecie tych warunków, to taśma zostanie przekazana... cóż, chyba wiesz komu. Hrabia nadal się nie odzywał.

- Dziesięć procent Les Editions Helene Junot SA kosztuje milion franków. To uczciwa cena rynkowa. Jestem właścicielką pozostałych dziewięćdziesięciu procent i wyłożyłam dziewięć milionów. Widzisz więc, że to wcale nie jest szantaż. Po prostu

namawiam cię do niewielkiej inwestycji. Mogę cię zapewnić, że dywidendy będą wypłacane co kwartał.

- Wszystko ustaliłaś, prawda? -
zauważył z goryczą.

- Mam nadzieję, że tak. Jak już powiedziałam, zostawię ci te dokumenty, twoi prawnicy mogą je sprawdzić. Wierzę, że wszystko jest w porządku. Masz siedem dni na rozważenie tej oferty. Jeżeli w ciągu tygodnia nie otrzymam podpisanego kontraktu, a na konto mojej firmy nie wpłynie milion franków, to... -
Bezradnie wzruszyła ramionami.

Hrabia uderzył pięścią w stół.

- Nie zgadzam się! - krzyknął. - Nie pozwolę się szantażować!

Kiedy Helenę wyszła, opadł na krzesło. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Zamknął oczy i siedział w milczeniu.

Trzy dni później, kiedy wróciła do Paryża, czekały już na nią dokumenty. Przejrzała je uważnie. Każda kopia została podpisana przez Huberta de Légera i poświadczona przez pełnomocników prawnych rodziny. Zadzwoiła do banku. Na jej rachunek przekazano milion franków. Uderzyła lekko dłonią w blat biurka. „Les Modes” jest na dobrej drodze, ucieszyła się. Nigdy nie oczekiwała jednak, że tak to się potoczy. Wykorzystała swoje

marzenie jako narzędzie
sprawiedliwości, tak przynajmniej
chciała myśleć. Ale czasami, w nocy,
kiedy leżała bezsennie w łóżku,
zastanawiała się, czy rzeczywiście
chodziło jej o sprawiedliwość. A może
o zemstę? Czasami różnica między nimi
jest tak niewielka, że nie można jej
dostrzec.

Rozdział 9

Po opuszczeniu Hauteclouque Helenę
pojechała do Saint-Nazaire.
Przenocowała w hotelu Soubise w
Rochefort, a następnego dnia w południe
dotarła do Nantes. Znowu wędrowała
wzdłuż Loary. Dzień był smutny i szary,

deszczowe chmury wisiały nisko nad ziemią, a rzeka płynąca szerokim piaszczystym korytem odbijała ponure kolory nieba. Tuż po pierwszej Helenę znalazła się na przedmieściach Saint-Nazaire.

Kiedy tylko ujrzała tablicę z nazwą miasta, ogarnęło ją dziwne uczucie. Najpierw było pulsowanie w skroniach, potem zrobiło jej się gorąco, a na twarz wystąpiły rumieńce. I co dziwniejsze, rumieńce nie znikwały. Po chwili zdała sobie sprawę z powodów swojej reakcji. To miejsce tak na nią działało. Helenę czuła skrępowanie i strach. Nie był to lęk przed spotkaniem z ciotką Janine, tylko coś dużo głębszego.

Obawiała się, że zostanie rozpoznana przez koleżanki ze szkoły, właścicieli sklepów, ludzi, którzy przychodzili do ciotki po sadzonki i drzewka. W Paryżu była kimś, a tutaj jest po prostu Helenę Junot, głupiutką sierotą, która mieszkała u zwariowanej ciotki ogrodniczki. Tutaj zawsze tak będą ją postrzegać; dlatego czuła się teraz tak zawstydzona i upokorzona. Jeśli człowiek raz się sparzył, nie chce, żeby stało się to znowu. Kiedy się skądś uciekło, nie należy tam wracać.

Westchnęła. Mieszkała tu całe lata, ale nadal czuła się w Saint-Nazaire jak intruz. Kiedy wyjechała do Paryża, wydawało jej się, że wraca do domu.

Wyjrzała przez okno. Miasto się zmieniło. Zbudowano wiele nowych domów, zwłaszcza na przedmieściach. Przypomniwał jej się Seulberg. Nowe domy w Saint-Nazaire miały taki sam kształt pudełek, wydawały się tak samo zimne i schludne. Może to skutki wojny? - zastanawiała się Helenę. Dawny indywidualny styl został wyparty przez praktyczną funkcjonalność. Czy już nikt nie myślał o pięknie?

Nacisnęła guzik i opuściła szybę oddzielającą ją od szofera.

- Podjedź pod kościół - poleciała.

Ponownie nacisnęła guzik i szyba zamknęła się cicho. Helenę znowu

wyrzała przez okno. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Należało ściągnąć Edmonda, Jeanne i Petite Helenę prosto do Paryża. Saint-Nazaire to tortura.

Szofer bez kłopotu odnalazł kościół i zatrzymał auto przed bramą. Wyszedł szybko i otworzył Helenę drzwi. Wysiadła powoli i rozejrzała się. Po jednej stronie mieścił się zakład kamieniarski robiący nagrobki i figury nagrobne. Uskrzydłony anioł wyrzeźbiony z marmuru trzymał straż nad płytami, które wyglądały jak marmurowe i granitowe podkłady kolejowe. Stały tam też inne anioły, jedne płakały, drugie zakrywały dłońmi twarze. Obok znajdowała się

kwiaciarnia, Helenę pamiętała, że kiedyś nazywała się Herriot. Ale teraz na tabliczce było napisane: „Janine Péguy”. A więc ciotka dobrze sobie radzi, pomyślała niechętnie. Podbija miasto.

Zawróciła do rolls-royce’a. Szofer stał obok samochodu i palił papierosa. Kiedy ją zauważył, chciał go wyrzucić.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedziała szybko. - Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

- Oui, madame! - Pochylił głowę, zaciągnął się pospiesznie kilka razy, rzucił papierosa na ziemię i rozgniótł obcasem.

Helenę wyjęła trochę pieniędzy z portmonetki.

- Tam jest kwiaciarnia, idź i kup mi jakieś kwiaty, proszę. - Nagle zmarszczyła brwi. - Albo nie, lepiej jakąś roślinę w doniczce.

- Co to ma być?

- Cokolwiek, co ładnie wygląda.

Uklonił się lekko, poczekał, aż przejedzie simca, i pospieszył do kwiaciarni. Po kilku minutach wrócił, niosąc olbrzymią donicę opakowaną w ciemnozieloną bibułkę. Helenę wzięła od niego roślinę.

- Merci. Wrócę niedługo - powiedziała.

Kiwnął głową i patrzył, jak przeszła przez bramę i skręciła na cmentarzyk koło kościoła. Zastanawiał się, po co wyjeżdżać z Paryża, by spędzić godzinę w zamku koło Bordeaux, a potem iść na cmentarz w prowincjonalnej dziurze. Potem wzruszył ramionami. Chacun a son gout. Każdy robi to, co uważa za stosowne.

Helena oglądała równe rzędy krzyży i nagrobków. Cmentarz wyglądał jak starannie rozplanowane miasto; równe ścieżki, prostokątne kwatery wyznaczone solidnym obramowaniem z marmuru lub granitu. Ziemia pomiędzy nimi była pokryta kredowobiałym

zwirem. W centrum każdego grobu znajdowały się misy z kwiatami albo wielkie kamienne płyty. Helenę objęła donicę drugą ręką i westchnęła zmartwiona. Nie przypuszczała, że mogło tu być tak wiele grobów.

Odwróciła się, słysząc jakiś hałas. Nieopodal stary pomarszczony grabarz stał w głębokim do kolan, prostokątnym dole. Mruczał sobie do siebie, wbijając łopatę w twardą ziemię. Ostrze zazgrzytało na kamieniach. Helenę podeszła do mężczyzny.

- Przepraszam pana... - odezwała się grzecznie.

Przestał kopać i popatrzył na nią. Potem

odwrócił twarz, odchrząknął głośno i wypluł ziemię z ust. Otarł pot z czoła brudnym rękawem, a potem uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest pochowana Madeleine Dupré? Zastanawiał się przez chwilę, pocierając dłonią zarośnięty podbródek, jakby to

miało poprawić mu pamięć. Potem oczy mu zabłysły i wskazał palcem przed siebie.

- Tam, po drugiej stronie kościoła. W środku trzeciego rzędu od ściany. Mała szara płyta i biała tabliczka. Pamiętam ją, bo została położona, zanim ziemia

zdążyła opaść.

Helenę uśmiechnęła się w podzięcie i ruszyła we wskazanym kierunku. Po chwili odnalazła grób. Staruszek miał rację. Zarówno płytę, jak i tablicę położono za wcześnie; ziemia się zapadła i granit był w trzech miejscach pęknięty. Maleńki klomb pośrodku brudnego żwiru był fatalnie zaniedbany, pełen chwastów. Spojrzała na groby obok. Obydwa schludne i uporządkowane, a na tym po prawej stronie posadzono mnóstwo ozdobnych roślin. Helenę ustawiła donicę na grobie pani Dupré i podeszła do tego sąsiedniego. Po prawej stronie kosztownej, połyskującej płyty było

puste miejsce przygotowane dla kogoś, kto jeszcze żył. Po lewej wyryto połączanymi literami:

„PIERRE PÉGUY. 1918-1955”.

Twarz Helenę spochmurniała, ale oczy rozbliły. A więc Pierre nie żyje. I oczywiście ciotka Janine dba o grób. Dla niej Pierre był święty. Potrząsnęła głową i pochyliła się nad zapadniętym grobem pani Dupré. Podwinęła spódnicę kostiumu Odile Joly i zaczęła wyrywać chwasty. Później ustawiła pośrodku donicę z hortensją, otrzepała ręce i podniosła się. Popatrzyła na efekty swojej pracy. Wprawdzie teraz grób wyglądał trochę lepiej, ale Helenę nie była zadowolona. Postanowiła przed

odjazdem pójść do kamieniarza z naprzeciwka, żeby zamówić nową płytę i nagrobek. Coś ładnego i solidnego. Z marmuru. Pani Dupré zasłużyła na to, co najlepsze.

Jeanne zgrabnie rozcięła wzdłuż małego karpia. Posypała go solą i pieprzem, a potem natarła rybę tłuszczem. Ostrożnie ujęła ją za łeb i ogon i ułożyła na ciężkiej, żelaznej patelni. Otworzyła drzwiczki piekarnika i włożyła tam naczynie. Nareszcie coś dobrego do jedzenia, pomyślała.

Od czasu narodzin Petite Helenę sprawy nie układały się najlepiej. Wkrótce po porodzie Jeanne zaczęła namawiać

Edmonda, by zgodził się na jej powrót do pracy. Tymczasowo jej miejsce zajęła nowa kelnerka. Pan Boivin, gruby właściciel, obiecał Jeanne, że posada będzie na nią czekała. Kiedy Petite Helenę skończyła sześć miesięcy, Jeanne przyszła do restauracji, by spytać, kiedy może wrócić. Pan Boivin kręcił, chrząkał i wił się jak piskorz. Wreszcie oznajmił, że nie może zwolnić nowej dziewczyny. Jej mąż właśnie zmarł i stała się jedyną żywicielką rodziny. Jeanne w milczeniu kiwnęła głową i poszła szukać czegoś innego. Ale nigdzie nie było wolnych miejsc.

Teraz wzruszyła ramionami i odwróciła się, słysząc z tyłu jakiś hałas. Petite

Helenę siedziała w kącie i małymi rączkami ostrożnie grzebała w stosie bielizny. Jej różowa buzia wykrzywiła się z ciekawości, kiedy dziewczynka oglądała różne materiały, z których uszyto poszczególne rzeczy.

Jeanne uniosła głowę i przez chwilę przyglądała się córeczce. Patrzyła na nią, myśląc, jak te maleństwa szybko rosną. Miała wrażenie, że dopiero wczoraj urodziła swoje dziecko. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tego uczucia szczęścia, które ją ogarnęło, gdy usłyszała pierwszy krzyk Petite Helenę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek córeczka była jej dumą i szczęściem. Osiągnęła właśnie wiek, w którym

odkrywa się świat i chce zrozumieć życie. Jej różowe usteczka stawały się smutne, kiedy nie mogła pojąć wielkich tajemnic, i uśmiechały się, gdy zdołała rozwiązać jakąś zagadkę. Jest pięknym dzieckiem, myślała Jeanne. Wyglądała jak aniołek z tymi kręconymi włosami, które nie były ani brązowe, ani złote, ani rude. I do tego jeszcze te duże, niebieskie oczy. Jeanne zazdrościła małej. Całe lata miną, zanim odkryje, że są biedni i że nie w każdym domu czuje się ciągle zapach ryb.

Ponad trzy miesiące temu Edmond rzucił pracę na statku i zatrudnił się w jednej z nowych stoczni. Płaca była dużo wyższa i oboje bardzo się cieszyli z tej zmiany.

Ale przed miesiącem firma zbankrutowała i po raz pierwszy w życiu Edmond się załamał. Zaczął spędzać całe dnie w tawernach. Nie mieli na nic pieniędzy, lecz zawsze jakoś wystarczało mu na picie. Dopiero w zeszłym tygodniu Jeanne odkryła, jak to się dzieje. Przyszła do niej żona jednego z jego przyjaciół, aby upomnieć się o zwrot pożyczki.

Nagle z tyłu rozległ się syk. Jeanne odwróciła się szybko; smutne myśli pierzchły. Z garnka na kuchni kipiała woda. Jeanne chwyciła ścierkę i podniosła pokrywkę. Wzięła widelec i delikatnie nakłuła ziemniak. Był miękki, w sam raz.

- Żeby tylko Edmond wrócił zaraz do domu - powiedziała głośno, wycierając rękę w fartuch.

Usłyszała pukanie do drzwi i przeszedł ją zimny dreszcz. Pukanie się powtórzyło. Jeanne zastanawiała się gorączkowo, kto to może być. Nie Edmond, bo przecież by nie pukał. Nie, pewno to ktoś, komu byli winni pieniądze. Nie właścicielka domu; Jeanne wpadła na nią rano i obiecała, że wkrótce zapłacą czynsz. Zacisnęła nerwowo palce. Tak wielu ludziom byli winni pieniądze. Westchnęła, podeszła do Petite Helenę, zakryła jej buzię dłonią i cicho zbliżyła się do drzwi. Wyjrzała przez wizjer i zamrugła

oczami, by się upewnić, że to nie przywidzenie. Potem krzyknęła, odsunęła rygiel i szeroko otworzyła drzwi.

- Helenę? - zawołała zdumiona.

- Jeanne! - Helenę objęła serdecznie i ucałowała bratową. Potem cofnęła się, aby popatrzeć na Petite Helenę.

Jeanne uśmiechnęła się z dumą i uniosła małą.

- Popatrz, kto przyjechał, córeczko - wyszeptała. - Twoja ciocia. Widzisz... Helenę wzięła od niej dziecko, objęła mocno i zakołysała. Na maleńkiej różowej

buzi pojawił się radosny uśmiech.

- Wchodź, wchodź - zapraszała Jeanne.

Helene weszła, a bratowa zamknęła drzwi i starannie je zaryglowała.

Wprowadziła gościa do kuchni.

- Usiądź - powiedziała zawstydzona. -
Przepraszam za ten bałagan. Helene się roześmiała.

- Nie przejmuj się, to moja wina.
Powinnam była cię zawiadomić, zamiast przyjeżdżać tak bez uprzedzenia.

- Nonsens! - Jeanne zabrała od niej Petite Helene i usiadła przy stole.
Dziewczynka podniosła łyżkę i zaczęła

nią stukać o blat.

- Ciocia Helenę! Ciocia Helenę! Ciocia Helenę! Jeanne i Helenę roześmiały się jednocześnie.

- Wie, jak się nazywam - zdziwiła się Helenę.

- Oczywiście. Uczyłam ją od dawna. - Jeanne szybko ściągnęła fartuch i przygładziła włosy. - Zna już ponad trzydzieści słów. Jest nadzwyczajna! - Potem wzięła rękę Helenę w swoje, a jej głos spoważniał. - Przykro mi z powodu Stanisława. Dostałam twój list i czytałam w prasie. Nawet tutaj ludzie o tym mówili.

- Wyobrażam sobie - odrzekła Helenę sucho.

- Przepraszam, że nie wysłaliśmy kwiatów na pogrzeb. - Jeanne odwróciła zaczerwienioną ze wstydu twarz. - Ale napisałam do ciebie list.

Helenę zmarszczyła brwi.

- To dziwne. Nie dostałam go.

- Nie miałam za co wysłać - wyznała cicho Jeanne. Helenę objęła ją mocno.

- Czy jest aż tak źle? - zapytała miękko. Jeanne rozpaczliwie pokiwała głową.

- Nie jest dobrze. Właściwie... -

Rozpłakała się nagle. Helenę pogładziła ją delikatnie.

- Powiesz mi, co się stało?

Jeanne jeszcze raz kiwnęła głową, starając się powstrzymać łzy.

- Wiesz, nie mogłam już wrócić do pracy po urodzeniu Petite Helenę. Edmond znalazł wprawdzie zajęcie w nowej stoczni i przestał pływać, ale firma zbankrutowała i nawet nie wypłacili mu zaległej pensji.

Helenę słuchała w milczeniu.

- Dlaczego nie daliście mi znać? - zapytała wreszcie. - Wysłałabym wam

pieniądze.

- Edmond jest uparty. I taki dumny.

- To śmieszne! - rzuciła Helenę ze złością. - Jesteśmy przecież rodziną. Powinien o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny! Ale nie martw się już. Proszę, przestań płakać.

- Helenę... Nie wspominaj Edmondowi, że ci o tym powiedziałam - błagała Jeanne.

- Nic mu nie powiem, obiecuję - zapewniła ją z uśmiechem Helenę. - Twoje kłopoty już się skończyły.

- Nie. - Jeanne pociągnęła nosem i

otarła go palcem. - Jesteśmy w takich długach, że nic nam już nie pomoże.

- Nie martw się o to. Zrób mi tylko listę waszych wierzycieli. Wszystkim się zajmę, nie będziesz musiała nawet z nimi rozmawiać. Przy okazji... -

Sięgnęła do torebki i wyjęła dwie grube koperty. Podała jedną Jeanne.

Bratowa popatrzyła na nią zaskoczona. - Co to jest?

- Musicie kupić bilety. I nowe ubrania, nowe meble. Wszystko. Jeanne wyglądała na zażenowaną.

- Ale... o czym ty mówisz? Helenę podała jej drugą kopertę.

- A to na czesne Edmonda w
Uniwersytecie Paryskim.

- W... Uniwersytecie Paryskim? -
Jeanne wpatrywała się oszołomiona w
kopertę.

- Czyżbym zapomniała ci powiedzieć? -
rzuciła Helenę lekko. - Czekaj na was
mieszkanie. Zaraz przy Lasku
Bulońskim.

- Ale... - Jeanne nie mogła wykrztusić
słowa ze zdumienia.

- Właśnie rozkręcam interes - oznajmiła
Helenę.

- Pismo? - spytała Jeanne z obawą w

głosie.

- Pismo. Kiedy Edmond skończy studia, za kilka lat oczywiście, musi mi pomóc. Będzie mi potrzebny inteligentny prawnik, ktoś, komu można zaufać. -
Rozejrzała się. - A tak w ogóle, gdzie on jest?

Jeanne popatrzyła na swoje dłonie.

- Prawdopodobnie w tawernie -
odpowiedziała cicho.

- To dobrze - odrzekła spokojnie Helenę. - Przebierz się. Pójdziemy po niego i postawimy wszystkim kolejkę.

DZISIAJ Sobota, 13 stycznia

Rozdział 1

Spruce Point znajdowało się nad Hudsonem, kilka kilometrów w górę rzeki od West Point. Budynek był otoczony wspaniałym starym parkiem opadającym łagodnie do torów kolejowych, które biegły wzdłuż rzeki. Wysoki kamienny mur odgradzał je od wypielegnowanych trawników posiadłości.

Od strony drogi dom był zasłonięty pasem wyniosłych świerków, od których to miejsce wzięło swoją nazwę. Wyglądał tak jak sto lat wcześniej, gdy wielki magnat przemysłu metalowego

wzniósł tu to neoklasycystyczne szaleństwo. Po jego śmierci i wielu sporach biała budowla została sprzedana i urządzono w niej ośrodek dla osób upośledzonych. Było to nadal piękne miejsce, ale dziwnie przygnębiające. W bramie stali strażnicy, założono elektroniczny system ochrony, a całą posiadłość otaczał wysoki i solidny mur - dawniej po to, by trzymać ludzi z dala, teraz - by zatrzymać ich wewnątrz. W poprzedniej epoce mieszkańcy Spruce Point nosili futra i kosztowną biżuterię, a służba miała biało-czarne stroje. Teraz pensjonariusze ubierali się schludnie, ale daleko im było do niegdysiejszych elegantów, a personel nosił lekarskie

kitle i fartuchy pielęgniarek.

Pod bramę zajechała długa czarna limuzyna. Jeden z ubranych w brązowe uniformy strażników podszedł do cadillaca i pochylił się do okna. Zaciemniona szyba opadła bezszelestnie.

Z.Z. spojrzała na mężczyznę przez ciemne okulary przeciwsłoneczne.

- Pani Bavier - powiedziała zimno.

Strząsnęła nerwowo popiół z papierosa do popielniczki, ale nie trafiła i strzepnęła go palcami z siedzenia. Strażnik sprawdził w rejestrze.

- Pani Bavier... tak, bardzo proszę, jest

pani oczekiwana. Zasygnalizował drugiemu strażnikowi, aby otworzył bramę. Żelazne wrota

rozsunęły się bezszelestnie dzięki elektronicznemu urządzeniu. Cadillac ruszył zwirową ścieżką pomiędzy świerkami, które sprawiały, że wydawała się ciemna i przygnębiająca.

Z. Z. odwróciła się i wyjrzała przez tylne okno. Brama zamykała się powoli. Wzdrygnęła się mimo woli. To miejsce jest jak więzienie, pomyślała.

Więzienie, w którym zamknęła swoje dziecko.

Nerwowo zapaliła kolejnego papierosa. Jej ręce drżały. Jak teraz wygląda

Wilfred? -zastanawiała się. Przeszedł ją dreszcz.

Może mnie rozpozna, myślała. Może zacznie krzyczeć i płakać. Może dostanie szału i spróbuje mnie zaatakować. Może...

Limuzyna zatrzymała się przed wejściem do budynku. Szofer otworzył drzwi. Zdenerwowana Z.Z. sięgnęła po czarną skórzaną torebkę, podniosła kołnierz futra z norek i wysiadła.

Podeszła do niej kobieta w średnim wieku, z krótką brązową grzywką i dużymi okrągłymi oczami jak u dziecka. Miała na sobie sztywny biały fartuch, a na nogach czarne błyszczące baleriny.

- Pani Bavier? - zapytała przyjacielskim, dodającym otuchy tonem. Z.Z. popatrzyła na nią z rezerwą.

- Tak - odpowiedziała szorstko.

- Strażnicy uprzedzili nas, że już pani jedzie. Jestem doktor Rogers. Chciała się pani zobaczyć z lekarzem syna. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. - Ja nim jestem.

Z.Z. słabo uścisnęła jej dłoń. Po raz pierwszy straciła pewność siebie.

- Mój... - przełknęła ślinę. - Mój... syn. Tak.

- Proszę wejść, pani Bavier. Możemy

porozmawiać w moim gabinecie.

Z.Z. weszła za nią do budynku. Z zewnątrz wyglądał na neoklasycystyczny, ale wewnątrz utrzymano w stylu gotyckim. Były tu kamienne filary, ciemne drewniane boazerie na ścianach i mroczne łukowate sklepienia. Nagle poczuła chłód. Korytarzem odchodzącym od głównego holu młoda pielęgniarka prowadziła małego chłopca. Nawet przez okulary Z.Z. widziała go wyraźnie. Był to chłopiec, ale z bliska już nie wyglądał na dziecko. Zamrugła i poczuła ucisk w gardle. Ten ktoś był niski i bardzo gruby, miał blisko osadzone, skośne oczy i niskie czoło. Z otwartych ust

wystawał język.

Doktor Rogers odwróciła się do Z.Z.

- Muszę panią na chwilę przeprosić.

Z.Z. nie była w stanie wymówić słowa. Kiwnęła głową i patrzyła, jak lekarka zbliża się do chłopca.

- Witaj, Stephen - powiedziała przyjacielskim tonem. Pochyliła się tak, że jej twarz znalazła się na jego poziomie. - Dokąd idziesz?

Popatrzył na nią. Mówił powoli i z wysiłkiem, ale oczy rozjaśniło mu coś w rodzaju uśmiechu.

- Idę do świetlicy.

Z.Z. zmusiła się, by zamknąć oczy. Co za potwory tutaj trzymają? O Boże, po co tu przyjechała? Dlaczego nie zostawiła go w spokoju? Dlaczego?

Wiedziała dlaczego. Walka o zniszczenie Helenę Junot otworzyła stare rany i Z.Z. musiała zobaczyć, co uczyniła jej ta kobieta. Zmusiła ją do samotnego znoszenia tego wszystkiego - bez Sigiego.

-... i bądź grzeczny. - Doktor Rogers pogładziła proste czarne włosy chłopca. Potem wróciła do Z.Z. - Przepraszam, że musiała pani czekać. - Uśmiechnęła się. - Ale Stephen zawsze potrzebuje ciepła.

Z.Z. w milczeniu kiwnęła głową.

Gabinet doktor Rogers znajdował się przy końcu holu. Weszły do małego pokoju z niskim sufitem, olbrzymim kamiennym kominkiem i ciemnymi panelami na ścianach. Metalowe szafki na kartoteki i chromowane biurko wyraźnie do niego nie pasowały.

Doktor Rogers wskazała Z.Z. fotel. Sama usiadła na obrotowym krześle za biurkiem.

- Muszę przyznać, że pani chęć zobaczenia Wilfreda była dla mnie niespodzianką, pani Bavier. Chłopiec jest tu od dziesięciu lat, a to pani pierwsza wizyta. - Doktor Rogers

umilkła.

Z.Z. bez słowa otworzyła torebkę i drżącymi rękami zapaliła papierosa. Doktor Rogers kontynuowała.

- Pamiętam oczywiście pani prośbę, by podczas wizyty nie ujawniać pani nazwiska. - Spojrzała na Z.Z. raczej dziwnie. - W pewien sposób syn jest do pani podobny.

Z.Z. zeszywniała. Oparła dłonie na poręczach fotela i zaczęła się podnosić.

- Proszę, pani Bavier - powiedziała doktor Rogers - niech pani zostanie. Zapewniam panią, że Wilfred fizycznie jest całkiem normalny. Poza tym, że ma

głęboko uszkodzony mózg, wygląda jak inni chłopcy w jego wieku. Źle by się stało, gdyby go pani wreszcie nie zobaczyła.

Z.Z. powoli kiwnęła głową.

- Gdzie on teraz jest?

- W świetlicy.

- To znaczy z tym... tym... - Głos jej się załamał. Doktor Rogers złożyła ręce na blacie biurka.

- Ze Stephenem? - zapytała spokojnie.

Z.Z. przytaknęła.

- Tak, ze Stephenem i kilkoma innymi

pacjentami. Stephen i Wilfred są dobrymi przyjaciółmi. Stephen miał nieszczęście urodzić się z mongolizmem, ale to przecież nie jego wina.

Z.Z. w milczeniu paliła papierosa.

- Proszę się nie obawiać kontaktów syna z pozostałymi pacjentami. Jego relacje z innymi pacjentami są zupełnie normalne. Zachęcamy ich do wspólnego spędzania czasu. Oczywiście zawsze obok czuwa ktoś z personelu. Widzi pani, nasi pacjenci są całkiem nieszkodliwi. Dla nich Spruce Point to nie tylko dom, ale także ich cały świat. Bardzo niewielu z nich mieszkało kiedyś „na zewnątrz”, jak to określamy. Ich świat składa się z tych kilku hektarów lasów i trawników, które

otaczają nasz ośrodek. Większość naszych pensjonariuszy nie chciałaby opuszczać tego miejsca. Czują się tu bezpieczni. Tak naprawdę byłiby przerażeni perspektywą życia „na zewnątrz”.

- A Wilfred? - Głos Z.Z. był szeptem.

- Wilfred jest upośledzony, ale myśli - odrzekła doktor Rogers ostrożnie. -
Przejawia zainteresowanie otoczeniem, pragnie nowych przeżyć.

Z.Z. pochyliła się i zgmiotła niedopałek papierosa w popielniczkę.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, pani Bavier. Nie próbuję wywierać na panią

nacisku. To, że wyraziła pani chęć zobaczenia syna, nie obliguje pani do zabrania go do domu.

- Czy on... wie, kim jest?

- Nie wie nic o swojej rodzinie - odrzekła łagodnie doktor Rogers. - Czy...?

- Pyta? Tak. Większość z nich jest w naturalny sposób ciekawa. Ale zgodnie z pani życzeniami nic mu nie mówiliśmy. - Lekarka uśmiechnęła się życzliwie. - Pójdziemy go zobaczyć?

Z.Z. przytaknęła i powoli wstała. Cieszyła się, że wzięła okulary przeciwsłoneczne. Ukrywały łyzy w jej

oczach.

Doktor Rogers poprowadziła ją do świetlicy. Kiedy tam dotarły, uchyliła drzwi i zawołała do holu jedną z opiekunek. Pojawiła się piękna, młoda kobieta o jasnych włosach, ubrana w biały fartuch. Z.Z. zdjęła okulary i chciała zajrzeć do sali, ale drzwi szybko się zamknęły.

Doktor Rogers przedstawiła piękną kobietę jako Janet Kovacs, nauczycielkę plastyki. Kiedy Janet ujrzała Z.Z., w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania. Z.Z. to zauważyła.

- O co chodzi? - zapytała.

Janet Kovacs opanowała się natychmiast.

- Nie, nic - odrzekła cicho. -
Przepraszam.

Z.Z. ponownie włożyła okulary. Z jakiegoś powodu doktor Rogers wydawała się z tego zadowolona.

- Czy możemy przyjrzeć się klasie bez zwracania na siebie uwagi? - zwróciła się do nauczycielki.

Janet Kovacs spojrzała przelotnie na Z.Z. i zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba tak - uznała wreszcie. - Są bardzo zajęci tym, co robią. Wątpię, czy

zwróca na nas większą uwagę, najwyżej zerkną, kto wchodzi. Proponuję, żebyśmy zostały obok drzwi. W ten sposób nie będziemy przeszkadzać grupie.

Doktor Rogers kiwnęła głową.

- Dobrze. - Spojrzała na Z.Z. i uśmiechnęła się, aby dodać jej odwagi. - Wchodzimy.

Janet Kovacs otworzyła drzwi i wprowadziła obie kobiety. Przerazona Z.Z. rozejrzała się po hałaśliwej sali. Nagle zrobiło jej się słabo. Dla niej ten pokój był diabelską jaskinią. Obrazy, wyszywanki, makramy, ceramika, wykonywano tu tego rodzaju prace. Ale

to nie one sprawiły, że omal nie zemdlą, tylko przebywający tu pacjenci.

Byli w różnym wieku. Niektórzy umysłowo opóźnieni, inni z mongolizmem, część z wrodzonymi wadami, a jeszcze inni z urazami po wypadkach i chorobach. Mała dziewczynka w kącie nie miała ramion ani nóg, tylko głowę i tułów. Z wysiłkiem rysowała coś mazakiem, który trzymała w ustach. Obok niej siedział Stephen przy kole garncarskim, pracując nad bryłką gliny; jego zniekształcona twarz wykrzywiła się jeszcze bardziej w grymasie koncentracji. Stary mężczyzna na wózku

inwalidzkim ustawionym przy oknie spoglądał na rzekę. Całe ciało miał powykręcane i bezsilne. Zapewne chorował na stwardnienie rozsiane. Z.Z. przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku.

Oto anonimowi mieszkańcy Spruce Point. Znali tylko swoje imiona, nazwiska trzymano przed nimi w sekrecie. Tylko ci starsi, wyniszczeni przez choroby, wiedzieli, kim są. Pozostali nie mieli o tym pojęcia, podobnie jak Z.Z. Domyślała się tylko, że pochodzili z najlepszych rodzin. Nosili nazwiska ludzi z najwyższych kręgów, sław pojawiających się w „Social Register” i „Celebrity

Register”. Ich bliscy posiadali wielkie majątki, byli politykami, artystami, biznesmenami. Ironią losu było, że rezydenci Spruce Point mieli odziedziczyć największe fortuny Ameryki. Ale nigdy nie będą się o nie upominać. Spruce Point pozostanie na zawsze ich domem.

Nagle Z.Z. zauważyła, że mężczyzna na wózku pozuje do obrazu. Spojrzała na płótno i zamrugła ze zdumienia. Przez długi czas nie mogła odwrócić wzroku. Powstawał obraz koszmarny, a zarazem piękny. Powykręcane, skurczone ciało było niemal abstrakcyjne w swoim realizmie. Z bezwładnych, umęczonych bólem kończyn promieniowała siła. I

coś więcej niż siła; były z nich gniew i współczucie. Z oczu Z.Z. popłynęły łzy. Nagle dostrzegła malarza i zabrakło jej tchu.

Stał odwrócony tyłem do niej. W prawej ręce trzymał pędzel. Jego włosy miały kolor miodu. Taki sam jak jej! Mój Boże! To Wilfred! - wykrzyknęło coś w niej bezgłośnie. Na moment zalała ją fala macierzyńskiej miłości. Z.Z. chciała podbiec i wziąć

go w ramiona. Błagać o przebaczenie. Przyrzec, że zabierze go do domu. Ale tkwiła w miejscu jak skamieniała.

Odwróciła się, czując, że podłoga ucieka jej spod stóp. Oparła się o

futrynę drzwi.

Upośledzenie Wilfreda nie było najgorsze. Najgorsza była jego doskonała twarz. Teraz zrozumiała, dlaczego Janet Kovacs była tak wstrząśnięta, dlaczego doktor Rogers uznała za dobry pomysł włożenie okularów przeciwsłonecznych.

Lekarka miała rację, Wilfred wyglądał zupełnie normalnie. Ale najokrutniejszą ironią losu było to, że był niesamowicie podobny do Z.Z. Przygotowała się na spotkanie twarzą w twarz z koszmarnym, zniekształconym potworem w stylu Stephena lub z powykrzywianym paralitykiem jak ten mężczyzna na wózku. A tymczasem wydawało się, że

natura jak gdyby chciała zrekompensować Wilfredowi uszkodzenie mózgu, dając chłopcu wyjątkowo piękną twarz. Z. Z. nigdy dotąd nie widziała kogoś tak przystojnego.

Wilfred odwrócił się i popatrzył na nią przez chwilę. W jego oczach pojawił się nagły ból, który zdawał się palić Z.Z. żywym ogniem.

Chwyciła doktor Rogers za rękę.

- Zabierzcie mnie stąd! - wyszeptała chrapliwie. - Na miłość boską, wypuście mnie!

Rozdział 2

Kameleon nie miał kłopotu ze znalezieniem miejsca, którego szukał. Znajdowało się w Westchester County, trochę na północ od Mount Kisco. Kiedy tam dotarł, zatrzymał wynajętego czarnego fordą na poboczu, opuścił szybę i rozejrzał się. Od szosy biegła w lewo mała prywatna droga prowadząca do białego domu, który znajdował się kilkaset metrów dalej, za starymi dębami. Przy wjeździe stała duża tablica: „Paul Roebuck, treser. Psiarnia”.

Kameleon uśmiechnął się do siebie i skinął głową. Cofnął auto, a potem skręcił w lewo i podjechał do budynku. Był to jeden z drewnianych domów w

stylu kolonialnym, otoczony werandą. Stał przed nim zaparkowany mikrobus, a obok biała ciężarówka z wymalowanym z boku napisem: „Paul Roebuck, psiarnia”. Na werandzie siedział wielki

owczarek niemiecki, pilnując drzwi. Jego czujne ciemne oczy spoglądały dziwnie wrogo. Nie poruszył się, ale zawarczał nisko i groźnie. Wyczuwał niebezpieczeństwo.

Kameleon uśmiechnął się pogardliwie. Nigdy nie mógł zrozumieć, co ludzie widzą w psach. Uważał, że są hałaśliwe, tępe i brudne. Ale czasem można się było nimi posłużyć. Tak jak zamierzał zrobić to teraz.

Obrzucił psa przelotnym spojrzeniem, zapalił papierosa i nacisnął dzwonek. Gdzieś w środku domu rozległ się melodyjny dźwięk.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna otworzył drzwi.

- Pan Samuels? - zapytał.

Kameleon uśmiechnął się i przytaknął; podali sobie ręce. Tak jak oczekiwał, uścisk dłoni tego mężczyzny był mocny.

- Jestem Eric Roebuck - przedstawił się gospodarz. Kameleon nadal się uśmiechał, ale przez chwilę milczał.

Eric Roebuck? - pomyślał zaskoczony.

Musiał coś przeoczyć. Chciał się skarcić za to, że nie sprawdził wszystkiego dokładnie. Oczywiście to niczego nie zmieniało. W przyszłości jednak powinien być ostrożniej szy. Jeden głupi błąd może spowodować niewyobrażalne konsekwencje. Zaśmiał się cicho.

- Przepraszam - powiedział lekkim tonem. - Zaskoczył mnie pan. Myślałem, że nazywa się pan Paul Roebuck.

- Podobnie jak wielu ludzi. To mój ojciec. Urządził tu psiarnię dwadzieścia pięć lat temu. Zeszłej wiosny przeszedł na emeryturę i przejąłem po nim interes. Mam nadzieję, że nie jest pan rozczarowany.

Kameleon w zamyśleniu wyjął wargi.

- Chciałem kupić jednego z psów, które wyszkolił. Roebuck uśmiechnął się, pokazując proste białe zęby.

- Proszę się nie obawiać, panie Samuels
- odrzekł uspokajająco. - Mój ojciec nie tylko tresował psy. Osobiście wyszkolił też każdego człowieka, który tu pracuje. Nie wyłączając mnie.

Kameleon również się uśmiechnął.

- To dobrze. Wystarczy mi pańskie słowo. Zaraz wyjaśnię, o co mi chodzi.

- Oczywiście. - Roebuck przeszedł za biurko. - Proszę usiąść.

Kameleon usadowił się wygodnie na winylowym krześle. Spojrzał treserowi prosto w oczy i zaczął recytować starannie obmyślaną historyjkę.

- Będę szczery, panie Roebuck. Moja żona i ja ostatnio przenieśliśmy się tu z Kalifornii i mieszkamy na obrzeżach Port Washington w dość odosobnionym miejscu. Jestem biznesmenem i, niestety, często podróżuję w interesach. Czasami nie ma mnie przez całe tygodnie. A moja żona bardzo się boi, kiedy zostaje sama w domu. - Uśmiechnął się smutno i rozłożył ręce. - Więc przyjechałem tutaj.

- Chce pan mieć psa do pilnowania posesji?

- Otóż to. Takiego, który szczeka i gryzie. Roebuck złożył ręce i popatrzył na swoje paznokcie.

- Proszę mi powiedzieć, czy pan lubi psy?

Lepiej nie ryzykować, uznał Kameleon. Zwierzak instynktownie wyczuje, jeśli ktoś go nie lubi. Pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, niespecjalnie. Roebuck uśmiechnął się lekko.

- Byłby pan zaskoczony, ilu ludzi kłamie, kiedy o to pytam. O jakiego psa panu chodzi?

Kameleon wzruszył ramionami i udawał,

że się zastanawia. Chciał ostrego doga albo może dobermana, ale nie zamierzał tego mówić. Niech Roebuck sam zaproponuje właściwą rasę i uważa, że to jego własny pomysł.

- Och... dużego, żeby wzbudzał respekt samym wyglądem. Wielkość nie stanowi problemu, bo pies będzie miał wielki teren do biegania. Mamy sporą posesję, oczywiście ogrodzoną. Może jakiś krótkowłosy... Tak, Amandzie by to odpowiadało.

Dobre posunięcie z tą Amandą, pomyślał. Teraz jego żona miała imię. Roebuck zmarszczył brwi.

- Mamy kilka krótkowłosych ras do

wyboru. - Wskazał fotografie na ścianie.
- Proszę się przyjrzeć i zdecydować, co panu odpowiada.

Kameleon wstał i udawał, że z uwagą ogląda zdjęcia. Wreszcie uśmiechnął się bezradnie.

- Trochę mi trudno. Co by pan proponował?

- Dobermana albo doga. Obydwa mają krótką sierść i są szybkie. - Roebuck uśmiechnął się i wstał. - Może pójdziemy do psiarni i będzie pan mógł je obejrzeć w akcji. Potem pan zdecyduje.

Właściciel poprowadził Kameleona

zamarzniętą brudną ścieżką do zabudowań na wzgórzu, gdzie mieściły się budy. Kiedy się zbliżyli, wiatr zaniósł psom ich zapach i nagle wszystkie zaczęły się rzucać i uderzać łapami o siatkę. Kakofonia szczekania i wycia wypełniła powietrze.

- Wyczuły, że się zbliżamy - wyjaśnił Roebuck.

Przy najbliższej psiarni czekał na nich uśmiechnięty mężczyzna.

- To Edward - powiedział Roebuck do Kameleona. - Mój najlepszy treser. - Spojrzał na pracownika. - Przyrowadź na wybieg Rufusa - polecił.

Edward spowaźniał nagle.

- Rufusa?

Roebuck szorstko kiwnął głową. Nie było wątpliwości co do autorytetu właściciela. Edward wzruszył ramionami i bez słowa poszedł do psiarni. Roebuck włożył ręce do kieszeni i spojrzał na Kameleona.

- Wybieg jest po drugiej stronie. -
Wskazał drogę i poszedł pierwszy.

Był tam olbrzymi, ze wszystkich stron zamknięty teren. Jeden bok wybiegu stanowiła ściana; pozostałe trzy zagrodzono wysoką na ponad trzy metry ciężką siatką rozpiętą na masywnych

stalowych słupach. Roebuck otworzył furtkę i weszli do środka.

- Edward zaraz przyjdzie - powiedział.

Kameleon skinął głową i popatrzył z ciekawością na właściciela.

- Ten Rufus... - zaczął powoli. - O co chodzi z tym psem?

- Rufus nie jest zwykłym psem, panie Samuels. - Roebuck mówił cicho, ale bardzo wyraźnie. Jest bardzo inteligentny. Wielki, świetnie wyszkolony. W zależności od tego,

co mu pan rozkaże, może być łagodny lub groźny. - Umilkł na chwilę. - Jest w

stanie zabić człowieka.

Kameleon popatrzył na niego. Rozważał tę informację w milczeniu, kiedy Edward wyszedł z budynku, prowadząc na smyczy czarnego doga. Przyjrzał się uważnie zwierzakowi. Mimo że niewiele wiedział o psach, musiał przyznać, że ten był wyjątkowy.

Wielki jak żrebak, poruszał się z wdziękiem. Jego napięte, potężne mięśnie rysowały się wyraźnie pod błyszczącą krótką sierścią.

Roebuck sięgnął do kieszeni i wyjął mały przedmiot.

Kameleon spojrział na niego ze

zdziwieniem.

-Co to jest?

- To soniczny gwizdek dla psów - wyjaśnił właściciel psiarni. - Pan i ja nie możemy go usłyszeć, bo są to dla nas zbyt wysokie dźwięki. Ale Rufus może. Kiedy gwizdnę krótko dwa razy, pies atakuje. Na jeden długi gwizd wraca. Proszę się przyjrzeć. - Uniósł gwizdek do ust, nabrał powietrza i dmuchnął.

Rufus nagle się ożywił. Postawił uszy, a potem podbiegł do tresera, spokojnie machając ogonem.

- Siad! - rozkazał właściciel surowym tonem.

Pies usiadł natychmiast, patrząc na Roebucka pytająco lśnącymi czarnymi ślepiami. Bystry pies, zauważył Kameleon. Potem spojrział na Edwarda. Treser wrócił do budynku. Po kilku chwilach pojawił się w grubych ochraniaczach zabezpieczających ramiona, klatkę piersiową i nogi. Rufus zawarczał groźnie, jego czujne oczy skoncentrowały się na Edwardzie, ale nadal siedział posłusznie.

- Gotowy? - zawołał Roebuck.

- Gotowy! - odkrzyknął Edward.

Kameleon przyglądał się psu z zainteresowaniem, podczas gdy właściciel psiarni dwukrotnie dmuchał

w gwizdek. Potem stało się: Rufus wyskoczył do przodu i jak gdyby przeleciał dystans dzielący go od Edwarda. Treser odruchowo wyciągnął osłonięte ręce, by ochronić twarz.

Sekundę później bestia rzuciła się nań, atakując go wściekle i przewracając na ziemię. Głuchy warkot dochodził aż do nich, choć wydawał się bardzo odległy, prawie cichy. Kameleon drgnął. Dog wbijał zęby w kombinezon ochronny tresera. Edward wił się po ziemi, próbując się bronić, ale było to niemożliwe. Rufus był czystą, brutalną siłą. Szarpał ochraniacze, chcąc je rozerwać na strzępy.

Kameleon pokręcił głową. Niech Bóg

ma w opiece tego, kogo zaatakuje ten pies, pomyślał z nagłym respektem. Nawet zapaśnik nie dałby sobie z nim rady. A kobieta? Załatwi ją w minutę, może szybciej.

Roebuck znowu podniósł do ust gwizdek i Rufus natychmiast zostawił swoją ofiarę. Potem spojrzał w ich kierunku i wrócił posłusznie, merdając ogonem. Miał otwartą mordę i dyszał z wysiłku, wydychając chmurę pary, a ślina z pyska ściekała na ziemię. Przez moment Kameleon dostrzegł rząd długich białych zębów.

- Siad! - rozkazał Roebuck. Pies usiadł, a właściciel podrapał go za uszami. -

Dobry pies - powiedział łagodnie. -
Grzeczny piesek.

Kameleon spojrział na koniec wybiegu.
Edward wstał chwiejnie i zdejmował
ochraniacze.

- O to panu chodziło? - zapytał
właściciel psiarni.

Kameleon z trudem opanował uśmiech.
Ten pies jest doskonały, pomyślał. To
chodząca bomba zegarowa. Rozerwie
Helenę Junot na strzępy. Spojrział
Roebuckowi prosto w oczy i powiedział
cicho:

- Oczywiście. Wezmę Rufusa. Właśnie
takiego psa chciałem.

WCZORAJ V SZANTAŻ

Rozdział 1

Paryż, 1958

Lubov Tscherina, redaktor naczelna „Les Modes”, zapukała niecierpliwie do drzwi, otworzyła je z rozmachem, wkroczyła energicznie do gabinetu Helenę i zamknęła za sobą drzwi ze stanowczym trzaśnięciem. Helenę uśmiechnęła się do niej i odłożyła na bok raport rynkowy, który oglądała. Złożyła ręce na blacie biurka.

- Chciałaś się ze mną widzieć, Lubo?

Twarz Luby, z okrągłymi, czerwonymi

jak jabłka policzkami i najbardziej stanowczym ze stanowczych podbródków, wysunęła się ledwie dostrzegalnie w przód i przybrała tak groźny wyraz, iż Helenę od razu odgadła, że jej pracownica jest wściekła. Luba gwałtownym ruchem zerwała ze swojego arystokratycznego nosa szokująco różowe okulary. Cisnęła trzymane pod pachą stronice na biurko Helenę.

- Cóż to ma być! - wykrzyknęła przeraźliwie dramatycznym głosem, wskazując drżącym, krwistoczerwonym paznokciem fotografie. - Te... te kicze! - wyrzuciła z siebie, a jej czerwone policzki jeszcze poczerwieniały od

zniewagi. - Nie mówiłaś chyba poważnie o wydrukowaniu tego!

Helenę uśmiechnęła się i szybko obejrzała ozalidy. Zdjęcia miały się znaleźć w czerwcowo-lipcowym numerze i przedstawiały kolekcję na lato. Były żywe i czyste, ukazywały modelki w wystudiowanych pozach. Jacques sfotografował je w basenie Neptuna w Wersalu ze spódnicami uniesionymi powyżej kolan.

- Tak - powiedziała wolno Helenę. - Myślę, że są bardzo dobre. Luba wydała z siebie głośne westchnienie.

- Nie widzisz tego?

Helenę popatrzyła na nią z zaskoczeniem.

- Czego?

- Są takie... takie zwyczajne! - Wypluła z niesmakiem ostatnie słowo, jakby to była gorzka trucizna.

Słyszając ów przesadnie dramatyczny ton, Helenę nie mogła powstrzymać uśmiechu. W tej kobiecie wszystko było za wielkie w stosunku do rzeczywistości: ostry głos, gwałtowna gestykulacja, władcze spojrzenia. Ta uciekiniarka z Rosji, córka białego oficera, mówiła egzotyczną mieszanką kulawej angielszczyzny i obcych dialektów i była postacią jedyną w

swoim rodzaju. Będąc wysoką, drobnokościstą kobietą o długiej szyi, powinna wyglądać tak jak inne wysokie, drobnokościste kobiety z długimi szyjami. Ale Luby to nie satysfakcjonowało. Starannie opracowała swój image. Farbowała włosy na czarno, dbając, by błyszcząły jak świeżo wypastowane buty, podkreślała oczy porażającą ilością tuszu i cieni i używała całych ton różu. A co najważniejsze, wiedziała, co zrobić, aby przekształcić brzydkie kaczątko w łabędzia. Nie mogła stać się piękniejszym łabędziem, ale była łabędziem wyjątkowym. Błyszcząca jak dziesięć warstw lakieru, ubierała się z niezwykłą fantazją - w japońskie

kimona, perskie kaftany, pruskie wysokie buty ozdobione koronką, szkarłatne suknie wykończone purpurowym futrem - i wiedziała, jak ściągnąć na siebie uwagę każdego audytorium, przed którym stawała. Chodziła do teatrów, na bale kostiumowe, ważne wystawy. Ludzie mogli się z niej śmiać, ale jej styl był tak śmiertelnie poważny, tak niezwykle oryginalny, w tak oczywisty sposób wytworny, mimo teatralnych efektów, że zawsze kreowała nowe trendy. Jedno słowo Luby mogło zniszczyć lub wypromować kolekcję największego projektanta.

Stanowisko redaktora magazynu

poświęconego modzie było czymś naturalnym dla Luby. Szkoda tylko, że w tej sytuacji świat utracił potencjalną wielką projektantkę mody. Mimo to była legendą swoich czasów. W branży nazywano ją z szacunkiem Carycą. Była redaktorem „Marie Claire”, „Elle” i „L’Officiel” i przez całe lata kreśliła śmiało nowatorskie kursy na mapach mody z taką samą niezrównaną smykałką jak przy kreowaniu własnego wizerunku.

Trochę ponad rok temu Lubov Tscherina nagle straciła pracę - opowiadano, że spędzała właśnie urlop w wytwornej willi w Costa Smeralda, kiedy ktoś zatelefonował. Służący przyniósł jej

aparatu do basenu. Podpłynęła i ujęła słuchawkę. Dzwonili z jej magazynu. Nastąpiły właśnie zmiany w kierownictwie. „Została pani zwolniona” - usłyszała. Luba opadła aż na dno basenu i omal nie utonęła. Służący dostrzegł unoszące się z dna bąbelki i zanurkował. Caryca została uratowana dzięki zastosowaniu metody usta-usta i weszła do zespołu „Les Modes”.

Helene uważała się za szczęściarę. Przyjrzała się uważnie przyniesionym przez Lube stronicom.

- Nie widzę w tych zdjęciach nic niewłaściwego - powiedziała ostrożnie. Caryca wyrzuciła ręce w powietrze

ruchem pełnym desperacji.

- Letnie sukienki w basenie Neptuna?
Nie, nie i jeszcze raz nie! Powinny być
na lodowcu. Na ośnieżonym górskim
szczycie. Na krze lodowej. W chłodni.
Te są zbyt oczywiste. Takie banalne.

Helena kiwnęła głową i przygryzła
wargi zamyślona. Zrozumiała, o co
chodzi Lubie. O więcej kontrastu. Te
zdjęcia były dobre, ale zbyt statyczne,
łagodne. Mogły je zamieścić „Elle” i
„L’Officiel”. A w takim razie „Les
Modes” nie ma szans, aby stać się
liderem światowych magazynów mody.

Ale wszystko było przygotowane,
makiety opisane. Całość powinna za

dwa dni iść do drukarni. Pracowali już nad numerem sierpniowym. Każdy numer był kompletowany sześć miesięcy przed datą wypuszczenia na rynek.

Helena gestem kazała Lubie poczekać. Zastanawiała się przez chwilę, zmarszczyła brwi i szybko przycisnęła klawisz interkomu.

Miły głos sekretarki przebiegł po kablu jako zniekształcony pisk.

- Oui, mademoiselle?

Helena teraz ponownie używała panieńskiego nazwiska i nalegała, by zwracano się do niej „mademoiselle” zamiast „madame”.

Pochyliła głowę i powiedziała prosto do mikrofonu:

- Eleonoro, zadzwoń do agencji turystycznej. Zrób rezerwację dla... dziesięciu? - Spojrzała na Carycę, która przytaknęła. - Dla dziesięciu osób do...
- Zastanawiała się szybko.

- Chamonix - podpowiedziała Luba scenicznym szeptem. - Już sprawdziłam. Jest tam pełno lodowców i kolejek linowych. - Jej ciemne oczy zaśniły figlarnie.

- Do Chamonix, Eleonoro. Wyjazd dziś wieczorem, powrót pojutrze. Zrób rezerwację w porządnym hotelu.

- Oui, mademoiselle. -I, Eleonoro?

- Oui.

- Zamów nowy interkom - poleciała rozdrażniona Helenę. - Jeden z tych amerykańskich. Chcę słyszeć, co mówisz.

- Oui, mademoiselle. - Sekretarka się wyłączyła. Helenę spojrzała groźnie na Lube.

- A wracając do tych kolejek linowych i Jacques'a, nie życzę sobie żadnego wypadku. Ani skandalu. Ani połamanych kości. I nie chcę tu widzieć rozhisteryzowanych modelek we łzach. Znam zbyt dobrze styl pracy Renaulta.

Luba uśmiechnęła się złośliwie i zabrała kopie zdjęć.

- Możesz je wyrzucić - rzekła Helenę.
Tscherina prychnęła pogardliwie.

- Zrobię to z radością - oznajmiła, jakby jej podstawowym obowiązkiem było pomaszerować do najbliższego kosza na śmieci.

Helenę patrzyła za nią, gdy Luba wychodziła. Wiedziała, że jej redaktorka ma nieomyślne wyczucie, jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że Caryca ciągle ją sprawdza, niemal rzucając jej wyzwania czy też pragnąc się przekonać, jak daleko może się posunąć. Helenę westchnęła. W

sprawach pisma szczerze ufała Lubie. Jedyne, czego tamta musiała jeszcze się nauczyć, to schodzenia od czasu do czasu ze swojego królewskiego tronu i okazywania większego szacunku ludziom, dla których pracowała.

Odsunęła krzesło i wstała. Obeszła biurko i zbliżyła się do ściany, na której wisiała oświetlona okładka aktualnego numeru „Les Modes”. Wpatrywała się w nią chwilę, jak setki razy wcześniej. W fazie projektu, podczas produkcji, na maszynach drukarskich, a potem w każdym kiosku, na każdej ulicy. Był to już dwunasty numer pisma. Czy to możliwe? - zastanowiła się teraz. Czy naprawdę „Les Modes” wychodzi już od

ponad roku? Robili dziesięć wydań rocznie; czerwcowo-lipcowe i grudniowo-styczeniowe były podwójne. To znaczyło, że znajdowali się na scenie mody już od czternastu miesięcy.

Obejrzała z uwagą powiększoną okładkę, tak jak wszystkie poprzednie. Lubiła, kiedy były takie duże. Wtedy łatwiej mogła dostrzec wszelkie niedociągnięcia i przypilnować, by nie pojawiły się w przyszłości. To powiększenie pochodziło z wydania grudniowo-styczeniowego. Błyszczące logo tworzyły litery wyglądające jak kostki lodu.

LESMODES® Paryż

Grudzień-styczeń

Pod spodem, na środku umieszczono napis również składający się z liter podobnych do kostek lodu: „Specjalnie na zimową noc”.

Na zimową noc. Podobał jej się taki motyw przewodni. Sama wpadła na ten pomysł. Błyszczące zdjęcie przedstawiało jedynie głowę modelki. Olbrzymi podniesiony kołnierz z rysiego futra od Maksa Reby’ego Chata otaczał jej twarz. Ciemne włosy wyglądały jak sople obsypane świecącymi płatkami śniegu, a makijaż był zimny: perłoworóżowa szminka, cienie do oczu Lancôme’a, połyskujące mrozem, i złotobrazowy podkład. Kombinacja była

kontrastowa, modelka wyglądała jak tygrys gotów do wyruszenia na nocne łowy.

Helena pogratulowała sobie pomysłu. Była to ich najlepsza do tej pory okładka. Dużo lepsza niż „Vogue’a” w tym samym czasie. Szybko podeszła do biurka i raz jeszcze nacisnęła interkom.

- Eleonoro?

- Oui, mademoiselle?

- Zadzwoń do działu artystycznego.

Powiedz, żeby się wstrzymali z czerwcowo-lipcową okładką.

- Już załatwione.

Helenę uśmiechnęła się do siebie.
Wiedziała, że Jacques i Luba na pewno
wrócą z Chamonix z nowym
rewelacyjnym zestawem zdjęć.
Bezwiednie podniosła ze stosu aktualny
numer „Les Modes”. Otworzyła go, a
kiedy jej oczy spoczęły na stopce
redakcyjnej, przeszedł ją dreszcz dumy.

Grudzień 1957/styczeń 1958 Nr 12

LES MODES

Wydawca: Les Editions Helenę Junot
SA

Prezes - dyrektor generalny: Helenę
JUNOT Menedżer: NICOLAS DUCOUT
Redaktor naczelny: LUBOV
TSCHERINA

Uśmiechnęła się. Niezależnie od tego, co mówią ludzie, nic nie może się równać z widokiem własnego nazwiska wydrukowanego. Powoli przerzuciła cały numer. Nadal czuła dreszcz podniecenia, ilekroć przewracała kartki swojego pisma.

Do tej pory każde wydanie „Les Modes”

rozchodziło się w pierwszej połowie miesiąca. Do wydawnictwa nigdy nie wracał ani jeden egzemplarz. Magazyn cieszył się tak dużą popularnością, że dystrybutorzy naciskali na Helenę, by zwiększyła nakład każdego następnego numeru. Ale ona woląa być ostrożna. Rozpoczęła małym nakładem trzydziestu tysięcy egzemplarzy i mocno ścisłała kciuki. Teraz już drukowała i sprzedawała siedem razy tyle. Wiedziała, że lepiej, jeżeli czytelniczki dopominają się o ulubione pismo, niż gdyby niesprzedane egzemplarze miały zalegać magazyny. Była ostrożna, ale umiała łączyć tę cechę z odwagą. Opłacało się. Do pierwszych dziesięciu numerów dokładała, jedenasty zwrócił

koszty, a teraz po raz pierwszy „Les Modes” przynosi zyski! Helenę wiedziała, że to całkiem nieźle jak na magazyn zaczynający od zera.

Właściwie było to nieźle jak na jakiegokolwiek przedsięwzięcie. Czasami dopiero po trzech do pięciu lat uzyskiwało się pierwsze dochody. Helenę była bardzo zadowolona. „Les Modes” to dobra inwestycja.

Z aprobatą kiwnęła głową. Tak czy inaczej mogła być dumna z tego, co już zrobiła. I nawet dotychczasowi monopolisci w świecie magazynów mody - „Vogue”, „L’Officiel” i „Marie Claire” - którzy początkowo śmiali się z niej szyderczo, teraz zaczęli

przyglądać się bacznie jej dokonaniom. I powinni to robić. Mnóstwo stałych czytelniczek opuszczało ich dla „Les Modes”. Już poczuli jej atak.

Interkom zabrzączał głośno.

- Tak, Eleonoro?

- Przyszedł pan Ducout. Mam też wiadomość od monsieur Karla Häberlega. Powiedział, że jest w Paryżu i zatrzymał się w Seze.

Karl Häberle w Paryżu? - zdziwiła się Helenę. Nagle zeszywniała. Znalazł coś. Inaczej po cóż by tu przyjechał? Seze to jeden z tych turystycznych hoteli o przystępnych cenach. Co robić? -

zastanawiała się szybko.

W sekretariacie czekał już Nicolas Ducout, jej menedżer. Poza nią najważniejsza osoba w zespole.

Ważniejsza od Carycy, ponieważ kiedy przychodziło do konkretnych

decyzji, tak naprawdę liczyły się nakłady, pieniądze i strategia.

Pierwszorzędna jakość, pomysły i artyzm były ważne, ale przede wszystkim ważna była sprzedaż. Helenę umówiła się z Nicolasem, aby przedyskutować z nim kwestię dystrybucji magazynu poza granicami Francji i zaplanowane na przyszły rok wydania w języku włoskim.

Podjęła szybką decyzję.

- Eleonoro, poproś Nicolasa, żeby usiadł i zaczekał chwilę. To nie potrwa długo. Zadzwoń do Seze i skontaktuj się z Karlem Häberlem. Muszę z nim natychmiast mówić.

Rozdział 2

Nie wiem, co robić - powiedziała cicho Helenę. Podniosła się i spacerowała tam i z powrotem po pokoju. - Początkowo myślałam, że to będzie jasne i proste. Ale teraz? Teraz po prostu nie wiem.

Doktor Rosen nabrał głęboko powietrza i popatrzył na papiery leżące na porysowanym biurku. Siedział na

jednym z wyplatanych krzeseł w swoim wypełnionym książkami gabinecie. Z oddali dochodziły stłumione hałasy ruchu ulicznego. Na zewnątrz było już ciemno; zimą wieczór zapada szybko.

Helena przystanąła i popatrzyła w milczeniu na przyjaciela. Dostrzegła w jego oczach lęk. Po raz pierwszy dotarło do niej, jak bardzo się posunął i jak wielki ciężar dźwigały jego wąskie, pochylone ramiona. Pomyślała, że nie powinna do niego z tym przychodzić. Tak wiele już wycierpiał. Nie powinna niczego więcej mu dokładać. Na jej oczach postarzał się o kilka dobrych lat. Nawet jego szpakowate włosy i broda wydawały się teraz bardziej szare, a

przez pomarszczoną skórę twarzy odznaczały się kości. Żyły na jego skroniach drżały.

Przez chwilę doktor Rosen milczał, tak jakby starał się nad sobą zapanować. Kiedy podniósł głowę, Helenę ujrzała w kącikach jego oczu łzy. Jeszcze raz popatrzył na papiery. Wszystko widział zamazane. Nie mógł nawet zobaczyć wyraźnie papierów na biurku. Powoli wyciągnął dłoń, uniósł okulary w drucianych oprawkach, otarł łzy i włożył ponownie szkła. Potem widać już zebrał dość odwagi, bo drżącymi dłońmi zaczął przerzucać dokumenty.

Helenę nie oczekiwała, że detektywowi uda się zdobyć coś takiego.

Dopilnowała, aby natychmiast otrzymał dwieście tysięcy niemieckich marek zdeponowanych w Dresde-ner Bank w Kolonii. Zasłużył na nagrodę.

Zastanawiała się, jak udało mu się dokopać do tego koszmaru.

Było tam kilka fotografii, jedną zrobiono całkiem niedawno przez teleobiektyw.

Ukazywała mężczyznę w garniturze wsiadającego do ostatniego modelu limuzyny Mercedes-Benz. Pomimo kiepskiej jakości odbitki Helenę nie miała wątpliwości, kogo przedstawiała.

Biała skóra, głowa jak czaszka kościotrupa i okrutne usta bez kropli krwi mówiły same za siebie. To był tamten oficer z bladą twarzą. Karl von

Eiderfeld. Ten, który rozkazał Schmidtowi przypalać Marie. Ten, którego widziała przez szczelinę w kuchennej windzie, kiedy kazał „ukarać” maman.

Były też trzy inne, starsze fotografie z powyginanymi rogami i zniszczonymi brzegami. Wszystkie ukazywały von Eiderfelda w wełnianym czarnym mundurze z jasnymi lamówkami. Na jednym stał w grupie mężczyzn. Z tyłu znajdował się staranny napis gotykiem: (Links zu Rechts)^{9*}: Goebbels, von Eiderfeld, Göring, Hitler, Himmler. Zdjęcie pochodziło z 1935 roku i von Eiderfeld wyglądał zupełnie młodo. Na innym stał w otwartym samochodzie

zaparkowanym na poboczu i przyglądał się maszerującemu oddziałowi żołnierzy. Mieli przewieszane przez ramię karabiny i pchali rowery. Trzecia fotografia ukazywała go z dwoma innymi oficerami, przeprowadzali razem inspekcję plutonu piechoty. Zdjęcie zrobiono w 1944 roku; wyglądał na niej zdecydowanie starszej.

* Od lewej do prawej (niem.)

Już samo oglądanie go na tych fotografiach doprowadzało Helenę do furii.

Jest w tym jednak jakaś sprawiedliwość, pomyślała, że inny Niemiec zgromadził te dowody.

Detektyw zni\az\ coś więcej niż
fotografie. Häberle przywiózł
dziewiętnaście różnych dokumentów,
które przełożył z trudem na francuski.
Większość z nich to raporty
hitlerowców i formularze rekwizycyjne,
ale znalazła się tam też kopia przebiegu
kariery wojskowej Karla von
Eiderfelda. Helenę przestudiowała ją
uważnie.

Karl Jurgen von Eiderfeld urodził się w
Rödesheim nad Renem w 1915 roku.
Jego ojciec był generałem w armii
kajzera, matka - córką wiedeńskiego
kupca. W 1932 roku Karl von Eiderfeld
wstąpił do SS. W niedługim czasie
organizacja została rozwiązana przez

rząd weimarski. Trzy miesiące później, kiedy reaktywowano SS, Karl wstąpił do niej po raz drugi. Postawił na właściwego konia. Hitler otoczył SS aurą szacunku, ściągając do niej członków arystokracji, dygnitarzy kościelnych i dawnych generałów, którzy utrzymywali swoje honorowe stopnie. Ojciec von Eiderfelda, od dawna na emeryturze, dostał również taki stopień i dzięki temu pociągnął tyle sznurków, że syn szybko awansował. Tak więc Karl von Eiderfeld został oficerem i zdobył wiele odznaczeń. Potem, w 1944 roku, jego kariera skończyła się gwałtownie; został przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Bełżcu w Polsce. Była to kara za

fiasco prostego zadania: pomimo wszelkich dostępnych środków nie zdołał odnaleźć dwojga z czwórki francuskich dzieci, które uciekły z Paryża, zamordowawszy jednego niemieckiego żołnierza i raniwszy drugiego.

Helene zamknęła oczy. Nie musiała sprawdzać imion. Bardzo dobrze wiedziała, jak się nazywały te francuskie dzieci. Ale ich imiona znajdowały się w dokumencie.

Edmond Junot... Helene Junot. Było coś niesprawiedliwego w tym, że wymieniono ich w owym piekielnym życiorysie.

Krótką karierę von Eiderfelda w Bełżcu została dobrze udokumentowana; był łącznikiem armii między obozem śmierci a prywatnymi przemysłowcami.

Świadczyły o tym sygnowane przez niego formularze i korespondencja. Zamówienia na dostawę krysztalów cyklonu B z I. G. Farben. Aprobata dla nowych, wydajnych urządzeń szybko spalających firmy Topf und Sohn w Wiesbaden. Krysztaly wykorzystywano do uśmiercania więźniów w komorach gazowych. Ostatnie zamówienie na dostawę cyklonu B podpisał niecałe trzy tygodnie przed wyzwoleniem Bełżca. To była najstraszniejsza ze wszystkich zbrodni. Nawet wiedząc już, że wszystko stracone, Niemcy nie

przerwali bezsensownego horroru.
Mordercze koła kręciły się do samego
końca.

Doktor Rosen westchnął i odsunął
papiery. Jego oczy ponownie wypełniły
się łzami.

- To beczka prochu - powiedział w
końcu. Zdjął okulary i włożył je do
futurału.

Helene kiwnęła głową.

- Wiem - szepnęła. - Nie miałam
pojęcia, że natrafię na coś takiego.
Spojrzał na nią pytająco.

- Co zamierzasz zrobić?

Usiadła na krześle i popatrzyła na niego przez biurko.

- Nie wiem - odpowiedziała uczciwie. - Muszę to przemyśleć. - Rzuciła okiem na papiery i westchnęła. - Chciałam przekazać te dokumenty władzom Izraela.

Rosen uniósł brwi. -I?

- Boję się, że nie ukarzą go dostatecznie. To znaczy, zostanie pewnie przeprowadzony proces, któremu będzie nadany wielki rozgłos. Ale najgorsze, co może spotkać tego człowieka, to krzesło elektryczne lub pluton egzekucyjny. To za mało.

- A co według ciebie byłoby wystarczającą karą? - zapytał łagodnie doktor Rosen. Helenę wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Jej oczy miały surowy i nieustępliwy

wyraz.

- Chcę, żeby cierpiał - oświadczyła gwałtownie. - Żeby żył w ciągłym strachu. Dobrze się zabezpieczył. Kiedy opuszcza dom, jedzie prosto do garażu w biurze w Dusseldorfie, a stamtąd prywatną windą na górę do swojego gabinetu. Widuje się tylko z kilkoma osobami. Nie zgadza się na żadne zdjęcia. Karl Häberle mówił mi, że przedstawił się jako reporter, który chce napisać o nim artykuł do „Spiegla”. Nie

tylko nie mógł umówić się na spotkanie, ale także ostrzeżono go, by więcej nie próbował. Von Eiderfeld boi się, Simon. Ale chcę, żeby bał się jeszcze bardziej. - Wzięła kilka dokumentów i pomachała nimi gniewnie. - Chcę, żeby wiedział, że ja je mam. Chcę mieć pewność, że nie będzie mógł zasnąć po nocach. Żeby do końca życia był chory ze strachu!

Doktor Rosen westchnął ciężko. Na jego twarzy odmalował się smutek.

- Zastępowanie sprawiedliwości to ciężkie brzemie - oświadczył po prostu - a zemsta jest jeszcze cięższa. Przeżywa ją bardziej sędzia niż skazany.

Popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

Miał rację. Potwierdzała to cała sprawa z Hubertem. Czy jest dostateczną karą drzeć z ciągłej obawy przed kimś? Ostatnim razem, kiedy Helenę zmusiła go do uczestniczenia w zebraniu zarządu Les Editions Helene Junot

SA, okazało się, że to ona cierpiała bardziej niż on. Właściwie Hubert ciągle ją prowokował i sprawdzał, jak daleko może się posunąć. Doktor Rosen poklepał japo dłoni.

- Przemyśl to dobrze - poradził jej łagodnie. - Nie spiesz się.

- Dobrze - obiecała. - Poczekam, aż przejdzie mi złość. Ale w jakiś sposób zmuszę tego łotra, aby zapłacił za swoje

zbrodnie!

Rozdział 3

Helena zerknęła przez szybę taksówki; przejeżdżała właśnie przez cichy i elegancki Boulevard Maillot. Przed domem hrabiego zobaczyła znajomego rolls-royce'a zaparkowanego pod latarnią.

Odwróciła się i spojrzała w tył, na dom. Był jasno oświetlony. To znaczyło, że Philippe jest w mieście.

Przez chwilę żałowała, że nie wynajęła mieszkania Edmondowi w innym miejscu niż Boulevard Maurice Barrés. Teraz zawsze musiała przejeżdżać przez

Boulevard Maillot, żeby się tam dostać, ponieważ te dwie krótkie ulice były właściwie jedną długą, ciągnącą się przez Lasek Buloński. Był tylko jeden inny dojazd. W przyszłości polecę taksówkarzowi, żeby podjeżdżał od strony starego cmentarza de Neuilly, pomyślała.

To ona zdecydowała; że Edmond z rodziną zamieszka w tej okolicy. Lokalizacja wydawała się całkiem naturalna. Petite Helenę miała właściwie po drugiej stronie ulicy Jardin d'Acclimatation z jego małym zoo, placem zabaw, stawami, a także rzekę i Lasek Buloński. Było to doskonałe miejsce dla dziecka. Gdzie

indziej można by znaleźć taką rewelacyjną mieszaninę miasta i natury. Uznała - i słusznie - że szanse jej spotkania z hrabią są znikome. Philippe nie należał do ludzi, którzy tracą czas na spacerunki po lasu. Kiedy nie pracował, przebywał w Hautescloque z żoną lub w wiejskim domu czy w restauracji z kochanką. Nie pomyślała tylko o tym, co będzie czuła, mijając raz po raz jego dom.

Wreszcie taksówka zatrzymała się przed dużym gmachem, który zaadaptowano na mieszkania. Helenę wysiadła i zapłaciła kierowcy, a kiedy odjechał, poprawiła ładnie

opakowane pudełko pod pachą i weszła

na schody z ozdobną balustradą. W holu pozdrowiła konsjerżkę i pojechała windą na trzecie piętro.

Kiedy winda się zatrzymała, Helenę pchnęła metalową kratę i wyszła do korytarza. Jej obcasy stukały na wypolerowanej kamiennej posadzce. Doszła do końca i lekko zapukała do dużych drewnianych drzwi.

Chwilę później usłyszała szcęk łańcucha i ciężkie drzwi otworzyły się powoli. Helenę spojrzała w dół. Stała tam jej bratanica rozjaśniona padającym z wewnątrz światłem. Helenę wstrzymała oddech. Dziewczynka patrzyła na nią nieśmiało, jej oczy

wydawały się większe i bardziej niebieskie niż ostatnim razem, policzki miały kolor bladych, dojrzewających truskawek, a delikatne miedziane włosy zebrane do tyłu i przewiązane granatową jedwabną kokardą układały się w puszyste kędziorki. Miała na sobie elegancką sukienkę. Helenę podarowała ją małej na ostatnie urodziny. Była uszyta z granatowej wełenki i ozdobiona marynarskim kołnierzem z pięknej koronki.

Petite Helenę zaprezentowała doskonałe manieri i dygnęła jak księżniczka.

- Bonsoir, tante Helenę - wyrecytowała grzecznie. Helenę uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Bonsoir, Petite Helenę.

Nagle twarzyczka dziecka rozświetliła się naj czarowniejszym z uśmiechów, a sztywne maniere opadły z niej jak zasłona z obrazu. Objęła ramionami nogi Helenę i uścisnęła ją.

- Ciociu Helenę! Tak się cieszę, że przyszłaś! - zawołała uszczęśliwiona. - Czekałam już od godziny.

Wyciągnęła wolną dłoń i przytuliła bratanicę. Potem zaczęła delikatnie gładzić jej miedziane włosy. Wydawały się bardziej miękkie niż kiedykolwiek. Oczy Helenę pociemniały. Czy takie byłoby jej dziecko? Delikatne i kruche?

Do korytarza wbiegła Jeanne,
wycierając ręce w fartuch.

- Spóźniłaś się! - powiedziała z
wyrzutem.

Helene podniosła wzrok i uśmiechnęła
się przeproszająco. Podała bratowej
butelkę czerwonego wina, które ścisnęła
pod pachą razem z dużą paczką.

- Zgoda? - zapytała cicho.

Jeanne spojrzała na wino i udała, że
marszczy brwi. Wreszcie się roześmiała.

- Zgoda - odrzekła i serdecznie
ucałowała Helene w policzek.

Helenę oddała jej pocałunek. Za każdym razem, gdy była w pobliżu bratowej, czuła bijące od niej ciepło i miłość.

Jeanne ujęła ją za ramię i pociągnęła przez korytarz. Helenę schyliła się do poziomemu buzi bratanicy.

- A to dla ciebie, mała damo - oznajmiła uroczyście i wręczyła jej paczkę. Oczywiście Petite Helenę zrobiły się jeszcze większe. Wzięła pudełko, ledwie mogąc opanować podniecenie.

- Bardzo dziękuję, ciociu Helenę - zdołała wykrztusić grzecznie. Szybko cmoknęła ją w policzek i popędziła z prezentem do salonu.

- Psujesz ją - rzekła Jeanne z dezaprobatą, kiedy Helenę się wyprostowała. Helenę lekko wzruszyła ramionami.

- W jej wieku powinno się być trochę rozpieszczoną. Chcę, żeby miała wszystko, czego ja mieć nie mogłam.

Jeanne się uśmiechnęła.

- Cóż, zobaczymy, czy nie zmienisz zdania, gdy będziesz miała własne dzieci. Helenę poczuła skurcz w żołądku. Szybko odwróciła głowę.

Weszły do salonu. Edmond siedział za dużym biurkiem, czytając gruby podręcznik prawa. Rzucił im przez

pokój olśniewająco biały uśmiech.

Dentysta dobrze się spisał. Edmond nie chciał do niego pójść, ale w końcu miał dość nalegań siostry. Opłacało się. Tysiąc franków wystarczyło, by naprawić to, co zniszczyło uderzenie karabinu, gdy chłopiec miał jedenaście lat. Helenę nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że brakowało mu zębów na samym przodzie. Teraz była zadowolona z efektu starań dentysty. Edmond stał się przystojniejszy niż kiedykolwiek. Nie miał już zagłodzonego wyglądu biedaka z Saint-Nazaire. Zyskał pewność siebie, której Helenę nie dostrzegала u niego wcześniej. Tak jakby historie z nazistami i ciotką Janine nigdy się nie

wydarzyły.

Edmond starannie włożył zakładkę w czytany miejscu i zamknął podręcznik. Potem wstał i szybko przeszedł przez pokój. Brat i siostra uściskali się serdecznie.

- Jak się masz, dzielna mała Francuzeczko? - zapytał cicho tuż przy jej uchu.

- Świetnie. Jestem bardzo zajęta - odpowiedziała, rozkoszując się uściskiem jego ramion. Przez moment czuła głupie ukłucie zazdrości o Jeanne, która miała prawo do tych objęć. Przypomniała sobie, jak to było w dzieciństwie. Jaki był silny i

opiekuńczy. Czuła się przy nim bezpieczna i nic złego nie mogło się wydarzyć. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie mężczyznę, przy którym będzie tak się czuła. Ale po chwili obie te myśli zniknęły. Wysunęła się z objęć Edmonda.

- A... a ty? - zapytała zawstydzona. - Jak nauka?

- Jedne dni są lepsze, drugie gorsze. Jeanne dała mu lekkiego kuksańca.

- Nonsens - powiedziała z dumą. - Nie wierz mu. Jest najlepszy!

Helenę popatrzyła na niego z zadowoleniem. Zażenowany Edmond,

słyszając pochwałę, spuścił wzrok i przyglądał się swoim stopom.

- Usiądź - zaprosiła ją Jeanne. -

Otworzę wino. Jedzenie podam za kilka minut. A może chcesz coś już teraz?

Helena pokręciła głową i posłusznie zajęła miejsce, a bratowa wybiegła do kuchni.

Helena próbowała nie rozglądać się dookoła, aby nie okazywać rozczarowania, które czuła zawsze, gdy tu przychodziła. A może nie było to rozczarowanie, poprawiła się w myślach, a raczej zawód, zde gustowanie czy też rozwianie złudzeń. To samo, co odczuwa magik, kiedy królik wysuwa

łeppek z rękawa w niewłaściwym momencie. Pragnęła stać się dobrą wróżką, ale to jej się nie powiodło. Chciała, by Jeanne znalazła meble odpowiednie do tego eleganckiego apartamentu, lecz nie zdołała jej przekonać. Bratowa kupiła tylko najtańsze, podstawowe sprzęty i nalegała, że kiedyś zwróci pożyczkę. Tylko pokój Petite Helenę znajdujący się w głębi mieszkania został luksusowo urządzone, Helenę uparła się bowiem, że jej bratanica będzie prawdziwą damą. Dziewczynka musiała mieć wszystko, co najlepsze. Łóżko, które zastąpiło dziecięce łóżeczko, gdy z niego wyrosła, było godne księżniczki. Wielkie, miękkie pościelenie osłaniały

jedwabne firanki. Całe stosy satynowych i koronkowych poduszek leżały na śnieżnobiałej pościeli. Wytworne małe krzeselka pochodziły ze sklepu z antykami na lewym brzegu Sekwany; doskonale pasował do nich mały wenecki żyrandol wyglądający jak polukrowany tort. W kącie stał ulubiony mebel Petite Helenę: malutka toaletka -

miniaturowy przykład próżności - ze starannie ustawionymi rozpylaczami wypełnionymi żółtymi dziecięcymi perfumami. Helenę jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, że bratanica stała się jej duchowym dzieckiem.

Teraz uśmiechała się do siebie, obserwując, jak mała uklękała na

podłódze w salonie, niecierpliwie szarpiąc satynową wstążkę ozdabiającą pudełko. Wreszcie zdjęła ją i podała matce, która właśnie wróciła z kuchni. Jeanne sprawnie zwinęła ją na palcu, a potem włożyła do szuflady biurka. Petite Helenę zaczęła teraz zdejmować ozdobny papier.

- Ostrożnie - ostrzegła ją Jeanne.

- Oui, maman - odpowiedziała dziewczynka drżącym z emocji głosem. Tak naprawdę to chciała rozerwać opakowanie, ale posłusznie zdjęła papier,

rozprostowała na podłódze i poskładała, żeby - podobnie jak wstążka - mógł

zostać ponownie wykorzystany.

Wreszcie uniosła pokrywkę świecącego białego kartonu. Wstrzymała oddech, wyciągnęła dłonie i bez tchu rozchyliła warstwy białej bibułki. Z jej ust wydobył się okrzyk radości.

Przez długą chwilę mogła tylko wpatrywać się w lalkę ułożoną w pudełku. Potem wyjęła ją powoli. Miała przed sobą jedną z tych nowych lalek, z ruchomymi rączkami i nóżkami z miękkiego różowego plastiku. Starannie wykonane oczy otwierały się i zamykały. Proste włosy, tak jasne, że prawie białe, były wystarczająco długie, by można je szczotkować i czesać. Petite Helenę dotykała ich delikatnie, podziwiając, że

są gładkie i miękkie jak prawdziwe włosy. To coś więcej niż lalka, uznała. To moja własna śliczna mała dziewczynka, piękniejsza od wszystkich lalek. Będzie siedziała na łóżku, na honorowym miejscu.

Najbardziej zachwycił ją strój lalki. Nie była to piankowa kombinacja koronek i atłasów ani żadna krynolina, ale doskonale uszyta replika kostiumu cioci Helenę - projektu Odile Joly, z blad różowego surowego jedwabiu. Maleńka broszka w klapie była taka sama jak ta, którą miała Helenę - złote kółeczko ozdobione brylancikami.

Petite Helenę zerwała się na równe

nogi, ściskając lalkę w ramionach.

- Ooooooch! Jest wspaniała! Maman!
Popatrz! - uniosła dumnie prezent,
pokazując go matce.

Jeanne popatrzyła na lalkę i potrząsnęła
głową.

- Powiedziałabym... - zaczęła.

Przyjrzała się broszce i spochmurniała.
Popatrzyła na Helenę ze zdumieniem.
Brylanciki były prawdziwe. Nie
wazyłyby nawet karata, bo były małe
jak błyszczące punkciki, ale każdy został
starannie przycięty i oszlifowany.

Helenę wzruszyła ramionami. Aby

uniknąć wymówek, że psuje dziecko, podniosła się szybko i pociągnęła nosem.

- Chyba coś się przypala! Pewnie mięso w piecyku! A ja już wprost umieram z głodu!

Jeanne nie miała wyboru; pospieszyła do kuchni.

Helene spojrzała w oczy bratanicy i obie mrugnęły do siebie. Dziewczynka wciąż zachwycała się swoim skarbem; postawiła lalkę, a puste ciemnoniebieskie oczy otworzyły się, spoglądając gdzieś w dal. Kiedy ją położyła, porcelanowe powieki opadły, a rzęsy spoczęły na różowych

policzkach.

Petite Helenę uniosła głowę

- Już wiem, jak będzie się nazywać -
oznajmiła.

- Powiesz mi? - zapytała Helenę z
uśmiechem.

- A umiesz dotrzymać sekretu? -
szepnęła dziewczynka, podchodząc do
niej z lalką w ramionach.

Helenę uroczyście kiwnęła głową.

Petite Helenę wpatrywała się w nią
bacznie.

- Jest tylko jedno wystarczająco eleganckie imię - oświadczyła z przejęciem.

- Och? Jakie?

- Dostanie imię królowej. - Petite Helenę wskazała ręką, by Helenę się pochyliła. Potem stanęła na palcach i wyszeptała cichutko z ustami przy jej uchu: - Antoinette!

Zesztywniała. Nagle znalazła się w innym wymiarze. Petite Helenę w żaden sposób nie mogła wiedzieć o tamtej lalce, ojej Antoinette.

- Nie sądzisz, że to piękne imię?

- Tak... bardzo piękne - zdołała wykrztusić Helenę.

Rozdział 4

Kiedy dziewczynka poszła już spać, usiedli przy stole w salonie, tak jak niegdyś w kuchni w Saint-Nazaire. Jeanne zajęła się cerowaniem, a Edmond poprawił ogień w kominku. Helenę z zadowoleniem sączyła wino, chłonąc ciepłą rodzinną atmosferę. Rozmawiali o minionych dniach i wymieniali najnowsze nowiny. Nieuniknione było, że konwersacja obracała się wokół „Les Modes”.

- Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, kiedy wydałam przyjęcie z okazji

ukazania się pierwszego numeru pisma -
mówiła Helenę. - Nikt nie miał wtedy
nastroju do świętowania. Chyba ze
zmęczenia. I pomyśleć tylko, że
urządziłam ten bankiet w sali balowej
hotelu Georges V! W końcu nie mogłam
już dłużej wytrzymać i wyszłam. Jacques
wiedział, gdzie mnie szukać. Przyszedł
do biura o trzeciej nad ranem, a ja
snułam się tam jak potępiona dusza,
zachodząc w głowę, gdzie się podziały
całe wcześniejsze podniecenie i radość.
- Uśmiechnęła się do wspomnień. -
Nigdy tego nie zapomnę. Przyniósł
wielką papierową torbę, a w niej
schłodzoną butelkę Dom Pérignon i dwa
kieliszki. Siedzieliśmy, pijąc szampana,
dopóki rano wszyscy nie przyszli do

pracy. Potem pojechaliśmy do domu.

- Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się ponownie. - Te kieliszki stoją teraz u mnie w gabinecie na półce.

Jeanne podniosła wzrok znad czerwonej skarpetki.

- Masz na myśli te z wygrawerowanym napisem „Les Modes, Numer 1”? - zapytała.

- Zapomniałam, że już musiałam wam o tym opowiadać. Już dość tych wspomnień!

- Helenę była zażenowana. - Powiedźcie mi, co u was słyszeć - zmieniła temat.

Jeanne spojrzała pytająco na męża, który kiwnął głową. Helenę przeniosła wzrok z jednego na drugie.

- No? - zażądała wyjaśnień. - O co chodzi?

- Jestem w ciąży!

- W ciąży! - Przez chwilę wpatrywała się w bratową zdumiona. Potem w jej oczach błysnęła radość. - Och, Jeanne! - wykrzyknęła. - To cudownie! - Podbiegła do niej, pochyliła się i zarzuciła jej ręce na szyję uszczęśliwiona.

- A ja? - zapytał z żartobliwą urazą w głosie Edmond. - Czy ojcu nic się nie

należy?

Rozdział 5

Luba Tscherina wmaszerowała do gabinetu Helenę, machając w powietrzu pomalowanymi na granatowo paznokciami. Idący zaraz za nią Jacques cicho zamknął za nimi drzwi.

Helenę siedziała na biurku, opierając czubek eleganckiego pantofla o krzesło, ze słuchawką przy uchu, i analizowała głośno papiery leżące na kolanach. Spojrzała na wchodzących przelotnie i skinęła ręką, by poczekali. Luba westchnęła niecierpliwie, a Jacques kiwnął głową. Po chwili Helenę skończyła rozmowę i odłożyła

słuchawkę. Dzisiaj Caryca spowita była od stóp do głów w elegancką czerń. Tatarska czerń, jak powiedziała sama. Czarne, wąskie spodnie, czarne, ozdobione srebrem pantofle na wysokich obcasach, czarna tunika haftowana srebrną nitką. Do kompletu włożyła okulary w czarnych oprawkach. Mówiono, że miała całe szuflady okularów w różnokolorowych oprawkach, aby móc je dopasowywać do każdego stroju. Powieki, tak jak paznokcie, były granatowe: dwie ciemne plamy na pomarszczonej skórze. Helenę zawsze się zastanawiała, czy Luba ma w domu własne laboratorium kosmetyczne. Jak inaczej zdołałaby zdobyć te niesamowite kolory? I na dodatek

czyniła z nich szczyt mody.

- Już myślałam, że ośleplam! - zawołała.

- Nigdy więcej nie chcę widzieć śniegu!

I w życiu już nie wejdę do ciemni fotograficznej! Wiesz, takiej z czerwonym światłem, jak w sypialni taniej dziwki. - Wzdrygnęła się z obrzydzenia i opadła na krzesło, dramatycznie podpierając czoło wypięłgnowaną dłonią.

Helena zsunęła się z biurka. Jacques zrobił krok do przodu i z zamaszystym ukłonem podał jej trzymaną w ręku kopertę. Popatrzyła na nią ciekawie. - Co to jest?

- Odbitki próbne, księżniczko.

- Niemożliwe! - powiedziała Helenę tonem pełnym niedowierzania. - Już? Ale przecież wróciliście z Chamonix bardzo późno.

- Owszem. - Luba westchnęła ze zmęczenia; jej chude piersi podnosiły się i opadały pod luźną tuniką. - Kiedy tylko wróciliśmy, Jacques uparł się, żebyśmy poszli do ciemni fotograficznej i pracowali całą noc.

Jacques uśmiechnął się szeroko do Helenę.

- Myślałem, że będziesz chciała od razu zobaczyć rezultaty. W czarnych oczach Luby błysnęła złośliwość.

- Rezultaty będą wtedy, gdy po ukazaniu się tego numeru redaktorzy „Vogue’a”, „Harper” i „L’Officiel” zaczną sobie wyrywać włosy z głowy.

Helenę zaczęła otwierać kopertę. Wyjęła próbne odbitki, rozłożyła starannie, usiadła i sięgnęła do szuflady po szkło powiększające w szylkretowej oprawie. W milczeniu patrzyła na każde zdjęcie. Kiwnęła do siebie głową. Miała rację, zgadzając się na wyprawę Luby i Jacques’a do Chamonix. Nawet na tych odbitkach widać było geniusz fotografika i pełne dramatyizmu pozy modelek wymyślane przez Lube. Tych dwoje tworzyło doskonały zespół.

Raz jeszcze obejrzała fotografie

dokładnie jedną po drugiej. Była zadowolona. Zestawienie letnich strojów i zimowego tła nadało zdjęciom to nieuchwytnie „coś specjalnego”, o co jej zawsze chodziło. Do tej pory wszystko, co ukazywało się w „Les Modes”, było wspaniałe. Te fotografie będą fantastyczne!

Wzięła czarny ołówek i zaczęła zakreślać te, które najbardziej do niej przemówiły. Jak ta z olbrzymim żółtym pługiem śnieżnym. Modelki upozowane na gigantycznej zaspie wyglądały, jakby przed chwilą odkopano je ze zwałów białego puchu. Na innej modelki w delikatnych letnich sukienkach stały po kolana w śniegu, piękne długie nogi

miały czerwone z zimna. I... poczuła nagły dreszcz. To było to.

Niebezpieczeństwo. Nieomylny, diabelski znak firmowy Jacques'a Renaulta. Kolejka linowa.

Wagonik nie znajdował się zbyt wysoko w powietrzu; widocznie zatrzymano go zaraz po opuszczeniu stacji. Ale i tak musiało tam być przynajmniej piętnaście metrów do ziemi. Jakkolwiek by na to patrzeć, upadek z czwartego piętra jest długi. Ale było to fascynujące ujęcie. Błyszczący czerwony wagonik, a na dachu drżące z lęku modelki. W tle jaśniało przezroczyste błękitne niebo przecięte w połowie grubymi kablami.

Helena bez wahania wybrała zdjęcie na

okładkę. Nawet ta maleńka odbitka wskazywała, że jest doskonałe. A powiększone i wykadrowane stanie się sensacją. Przedstawiało typową dziewczynę z okładki „Les Modes”, opaloną i wyzywającą, na tle połyskującego śnieżnego dywanu. Przed nią delikatne śnieżynki, jak miniaturowe lilie, torowały sobie drogę przez biały puch, a ich kwiatki nad woskowatymi listkami wyglądały jak maleńkie dzwoneczki. Modelka niemal wsunęła w nie nos, a jej oczy z makijażem a la Kleopatra wpatrywały się w kamerę. Błyszczące czerwone wargi były ledwie dostrzegalne zza kwiatów.

- Fantastyczne! - rzekła Helenę w końcu.

Spojrzała na Jacques'a i Lube. -

Upewnijcie się, że konkurencja nawet o nich nie usłyszy, póki się nie ukąą.

- Nie martw się - odpowiedział Jacques.

- Zabezpieczyliśmy się do tego stopnia, że mamy nawet pisemne oświadczenia modelek, tak więc jeżeli pisną choć słówko, możemy je zaskarżyć.

- Dobrze. - Helenę popatrzyła na Carycę. - Idź do domu i prześpij się. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

- Chyba tak. Cóż, więcej się na coś takiego nie piszę. - Podniosła się chwiejnie.

- Och, jeszcze coś - rzuciła Helenę

szybko. - Przeglądałaś ostatnio amerykańskie wydanie „Harpera”?

Luba kiwnęła głową. Do jej obowiązków należało również obserwowanie konkurencji.

- Właśnie otrzymałam tłumaczenie kilku kolumn. Podoba mi się rubryka Diany Vreeland „Dlaczego nie...”. Czytałaś ją?

Caryca zmrużyła gniewnie oczy. Nie lubiła, kiedy chwalono przy niej pomysły konkurencji, nawet jeśli były naprawdę świetne.

- Nie. A powinnam?

- Chyba tak - odrzekła Helenę. - Jest bardzo zabawna i elegancka. Wiesz, takie: „Dlaczego nie zmienisz starego gronostajowego futra w szlafrok?”. Tego rodzaju rzeczy. Takie historyjki nigdy się nie kończą.

- Rzeczywiście. - Luba zmarszczyła nos z niesmakiem. Rzuciła kilka szybkich propozycji. - Dlaczego nie... niech pomyślę... nie przerobisz starej pościeli Porthaut na

nową zasłonę na taras? Dlaczego nie... wykorzystasz swoich starych diamentów, żeby ozdobić nimi bolerko? Dlaczego nie zmienisz starych złotych bransolet w krążki do serwetek? Dlaczego nie...

- W porządku - powiedziała Helenę rozdrażniona. - Rozumiem aluzję. Nie podoba ci się ten pomysł.

- Wprost przeciwnie - odrzekła Caryca.

- Podoba mi się. Tylko to już jest.

Musimy wymyślić coś oryginalnego.

- Zgadza się. Ale spróbuj wymyślić coś w tym stylu. Coś zupełnie absurdalnego, bo inaczej nie będzie zabawne. Kiedy wpadniesz na coś, przyjdź do mnie. Teraz jesteś wolna.

Luba podniosła się, podsunęła

Jacques'owi policzek do pocałowania i ruszyła do drzwi. Po jej wyjściu Jacques zaczął składać odbitki.

- Powiększę te, które zaznaczyłaś, ale najpierw trochę się prześpię.

- Oczywiście - zgodziła się Helenę. - Ale chciałabym, żebyś najpierw zrobił coś innego.

- Jasne. Co takiego?

Podeszła do wielkiego sejfu, przyklękła i wybrała numer. Po chwili otworzyła ciężkie drzwiczki i wyjęła kopertę. Zatrzasnęła sejf i ponownie ustawiła szyfr.

- Chodźmy do laboratorium - poleciała. - Chciałabym, żebyś zaraz zrobił kilka zdjęć. Zajęło to Jacques'owi dwie godziny. Zrobił fotografie wszystkich

papierów

dotyczących von Eiderfelda, wywołał film, powiększył zdjęcia i wykonał po jednej odbitce z każdego. Przez cały czas Helenę znajdowała się w ciemni. Nie chciała nawet na chwilę spuścić z oczu tych dokumentów. Nie po tych wszystkich staraniach, by je zdobyć.

Po skończeniu pracy wrócili do biura. Helenę przejrzała odbitki. Jacques spisał się doskonale. Sfotografował dokumenty tak starannie, że były doskonale czytelne. Zdjęcia von Eiderfelda wyglądały nawet lepiej niż oryginały, bo rozjaśnił je trochę.

Wsunęła odbitki do jednej koperty,

oryginały do drugiej i schowała obie do aktówki. Negatywy włożyła oddzielnie do torebki. Zniszczyje później, pomyślała. Nie będę potrzebowała więcej kopii. . - Dzięki, Jacques - powiedziała. - Naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Wiem, że jesteś przepracowany i zmęczony.

- Zawsze do usług, księżniczko. - Zrobił pauzę. Po chwili jego głos spoważniał. - To niebezpieczna sprawa. - Wskazał ręką teczkę.

- Wiem. - Helenę zmusiła się do lekkiego tonu. - Teraz lepiej idź do domu i zdrzemnij się.

- Idę. - Przy drzwiach odwrócił się. -

Do zobaczenia jutro. Cały ranek będę pracował w ciemni. Po południu dostaniesz zdjęcia z Chamonix.

Uśmiechnęła się z aprobatą.

- Zatem do jutra.

Kiedy tylko wyszedł, zacisnęła palce na aktówce. Nie było potrzeby, żeby Jacques cokolwiek o tym wiedział. Ale musiała mieć odbitki, a jemu jednemu mogła zaufać. Wzruszyła ramionami. Komuś musiała uwierzyć. Cóż, na pewne rzeczy nic nie można poradzić.

Szybko odbyła trzy rozmowy przez telefon. Pierwszą z osobistym prawnikiem Emile'em Mauriakim. To

w jego sejfie był ukryty oryginał taśmy z „Klitajmestrą”. Zamierzała złożyć tam oryginały dokumentów dotyczących von Eiderfelda. Z tą samą instrukcją: jeżeli Helenę nie będzie kontaktować się regularnie, prawnik natychmiast ma się udać na policję. Uśmiechnęła się do siebie ponuro. Zastanawiała się, co myśleliby Hubert i von Eiderfeld, gdyby wiedzieli, że stąpają po tak niebezpiecznym gruncie. Gdyby jeden z nich spróbował ją skrzywdzić, drugi również poniósłby konsekwencje.

Umówiła się z Mauriakim o jedenastej w jego kancelarii. Zerknęła na zegarek. Było już po dziesiątej. Musiała się spieszyć.

Potem zadzwoniła do Paula Clermonta, który reprezentował oficjalnie firmę Les Editions Helenę Junot, i umówiła się z nim na popołudnie. Chciała, by prawnik pomógł jej dotrzeć do twierdzy Karla von Eiderfelda. Bardzo starannie wszystko zaplanowała. Zamierzała wysłać pełnomocnikom von Eiderfelda w Dusseldorfie mały fragment jednego z dokumentów. Tajemniczy urywek, który tylko von Eiderfeld zdoła zrozumieć. To powinno wykurzyć lisa z kryjówki. Zdecydowała, że wystąpi jako madame Kowalsky, bo wtedy tamten nie będzie niczego podejrzewał. A nawiązanie kontaktu przez kancelarię Clermonta również było świetnym posunięciem. Tak samo postąpiła, gdy chciała się

spotkać z hrabią. W ten sposób żaden z winowajców się nie domyśli, gdzie są oryginały dokumentów. W końcu zadzwoniła do Edmonda.

- Witaj, dzielna mała Francuzeczko - rzekł zaskoczony. - Co się stało?

- Nic takiego. Masz teraz coś ważnego do roboty? Roześmiał się serdecznie.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Kuję do egzaminów.

- No tak, powinnam się domyślić. - Zawahała się, ale zaraz uznała, że to głupie. Rodzina to rodzina. Jeżeli dzieje się coś ważnego, trzeba rzucić inne zajęcia. - Posłuchaj, czy mógłbyś zrobić

sobie przerwę i zjeść ze mną lunch?

- Naturalnie. - W jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Czy to coś poważnego?

- Nie - zapewniła go pospiesznie Helenę. - Po prostu potrzebuję twojej rady. To... cóż, to dość ważne.

Kiedy się już umówili, zamyślona odwiesiła słuchawkę. Oczywiście nie miała zamiaru dyskutować z Edmondem o ukaraniu von Eiderfelda. Ale brat miał prawo o tym wiedzieć. Był tak samo jak ona ofiarą tego odrażającego łotra.

I wcześniej czy później, kiedy skończy studia i zacznie pracować w firmie, dowie się wszystkiego. Może więc

lepiej, żeby nastąpiło to już teraz.

Po załatwieniu spraw w biurze Emile'a Mauriaca Helenę szła ulicą Forquet. Aktówka była teraz dużo lżejsza; oryginały dokumentów zostały bezpiecznie ukryte. Niezależnie od tego, jak bardzo von Eiderfeld się przerazi, teraz nie ośmieli się nic zrobić. Helenę mogła czuć się bezpieczna.

Chciała jednak pomówić o tym z Edmondem i poprosić go o radę. Tylko że właściwie już wiedziała, co powie brat. Musiała podjąć decyzję sama, tak jak do tej pory to ona decydowała o wszystkim. Los von Eiderfelda zależał tylko i wyłącznie od niej.

Przeszła rue de Bassano i minęła biura TWA, nie zwracając na nie większej uwagi. Na Avenue Georges V zatrzymała się na czerwonym świetle. Zobaczyła Edmonda, który czekał już przy wejściu na oszklony taras kawiarni. Uśmiechnął się, kiedy Helenę mu pomachała, i skinął jej ręką.

Światło zmieniło się i pojazdy stanęły przed pasami. Kiedy Helenę weszła na jezdnię, usłyszała za sobą głośny ryk motocykla. Instynktownie zatrzymała się i odwróciła. Motor wyskoczył naprzód z wąskiej luki między dwoma samochodami.

Kierowca i pasażer nosili białe kaski i duże ciemne gogle. Helenę zamarła.

Przez chwilę myślała, że na nią wpadną, odetchnęła jednak z ulgą, bo kierowca gwałtownie zahamował. Helenę potrząsnęła głową i ruszyła na drugą stronę, a wtedy nagle pasażer w skórzanej kurtce wychylił się i dłonią w rękawiczce chwycił jej torebkę. Motocykl pognał do przodu, wydmuchując chmurę niebieskich spalin.

Helenę krzyknęła i rzuciła się w pościg za motocyklem.

- Złodziej! Zatrzymać go! - wołała. -
Moja torebka! Moja torebka!

Nie miała szans. Tamci przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle, ostro skręcili w prawo i szybko

włączyli się w strumień ruchu ulicznego na Polach Elizejskich. Przez moment widziała, że pasażer odwrócił się, by spojrzeć w tył, ale dostrzegła tylko gogle.

Przestała biec i zwolniła, a wreszcie się zatrzymała. Nigdy by ich nie złapała. Ani pieszo, ani samochodem. Poza tym czuła, że ma obluźowany obcas.

Dostrzegła jeszcze daleko przed sobą motocykl złodziei kołyszący się między samochodami. Kilka sekund później zniknął. Helenę wzruszyła gniewnie ramionami. Podbiegł do niej Edmond i objął ją mocno. Jeszcze oddychał z trudem. Tak jak Helenę próbował biec za złodziejami.

W milczeniu pozwoliła mu się zaprowadzić na chodnik i do kawiarni. Natychmiast wskazano im dyskretny stolik na uboczu i Helenę opadła na krzesło. Przez chwilę siedziała bez ruchu, beznamiętnym wzrokiem wpatrując się w szklany taras. Potem zakryła twarz dłońmi. Dopiero teraz dotarło do niej, co się stało. Nie zniszczy już negatywów. Były w jej torebce; w jej skradzionej przed chwilą torebce. Edmond odwrócił się do kelnera.

- Szybko, poproszę kieliszek koniaku!

- Oui, monsieur - odpowiedział kelner. Zatroskany Edmond pochylił się nad

stolikiem.

- Zauważyłaś jakieś szczegóły wyglądu tych drani? Helenę potrząsnęła głową oszołomiona.

- Może numer rejestracyjny?

- Nie - wyszeptała. Nadal wpatrywała się w taras. - To... stało się tak szybko.

Westchnął i odchylił się w tył.

- Ja też nie. - Zaczął się podnosić od stolika. - Wrócę za chwilę. Helenę podniosła na niego przytomniej szy już wzrok.

- Dokąd idziesz?

- Zadzwoń na policję. Warto zgłosić ten incydent.

- Nie! - Złapała go za ramię tak gwałtownie, że popatrzył na nią zaskoczony. Przez chwilę ni to siedział, ni to stał.

- Ale... twoje pieniądze... dokumenty, karty?

- Nie chcę iść z tym na policję - oznajmiła stanowczo. Spojrzał na nią zdumiony.

- Przecież nie można tak po prostu pozwolić im uciec!

- Już uciekli - zauważyła. Zaczynała

myśleć trzeźwo. - Poza tym nie martwię się o pieniądze. - Pochyliła się nad blatem i zacisnęła dłonie w pięści. - Negatywy!

- Negatywy? - Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc, i ponownie zajął swoje miejsce. - O czym ty mówisz?

Właśnie przyniesiono jej koniak; Helenę szybko upiła łyk. Ręce jej drżały, ale już się uspokajała. Odstawiła szklanekę i rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Posłuchaj mnie, Edmondzie - powiedziała stłumionym głosem. - Zaraz wszystko zrozumiesz.

Zaczęła opowiadać bratu o tym, jak szukała von Eiderfelda. Mówiąc o swoim śledztwie, cały czas zastanawiała się nad dziwnym zbiegiem okoliczności, który sprawił, że skradziono jej torebkę właśnie teraz, kiedy miała tam negatywy. Nigdy wcześniej nie została okradziona. Czytała wiele razy o złodziejach na motorach, którzy wyrywali kobietom torebki. W gazetach pełno było takich wiadomości. Ale dlaczego stało się to właśnie dziś? I właśnie ona padła ofiarą złodziei? Helenę już dawno przestała wierzyć w zbiegi okoliczności, to zbyt proste wytłumaczenie. Nagle zbladła. Jeżeli to nie był przypadek, to kto to mógł zorganizować? Włosy niemalże stanęły

jej dęba. Tylko jedna osoba wiedziała, że negatywy są w torebce.

Próbowała odepchnąć od siebie te porażające myśli. Nie, uznała szybko. To tylko histeria. On by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Jacques jest jej przyjacielem.

Rozdział 6

Samolot DC-7 Lufthansy właśnie podchodził do lądowania. Helenę spojrzała w okrągłe okienko. Na zewnątrz, na prawym skrzydle, mogła dostrzec bliźniacze śmigła obracające się w srebrnej mgle. Słyszała stłumiony ryk silników zmieniających obroty.

Pojawiła się stewardesa.

- Proszę zapiąć pasy - poleciła, pochylając się do przodu. - Schodzimy do lądowania.

Helenę usiadła prosto, zapięła pas i spojrzała przed siebie. Oto znowu przyjechała do Kolonii. Ale ta podróż była inna. Poprzednie miały przygotować to, co wkrótce nastąpi. Długo czekała na ten moment. Na dzień, kiedy stanie twarzą w twarz z von Eiderfeldem. Z potworem. Mordercą. Demonem, który napełnił ją takim strachem, że do dziś jeszcze męczyły ją koszmary z jego twarzą. Po raz pierwszy ujrzała go ponad czternaście lat temu. Czternaście lat to bardzo długo, ale teraz

była gotowa.

Oparła się wygodnie. Oto najbardziej wyrafinowana i odpowiednia zemsta. On także będzie musiał wykupić akcje Les Editions Helenę Junot; tak samo jak Hubert. Ale tym razem warunki kontraktu są inne. Pewnie Paul Clermont uznał je za dziwaczne, ale nie wiedział, o co jej chodzi.

Uśmiechnęła się ponuro. Kara von Eiderfelda miała odpowiadać jego zbrodniom. Ten człowiek będzie czuł wieczny lęk. Będzie żył w strachu, że ktoś wskaże go palcem i oskarży o popełnione czyny. Może się zakopać w swojej paranoidalnej twierdzy i tkwić w

niej - z wyjątkiem czterech podróży w roku. Co trzy miesiące będzie musiał uczestniczyć w spotkaniach zarządu. Resztę czasu może spędzać, gdzie chce. Zasady tych zebrań zostaną twardo określone. Helenę zamierzała zażądać na piśmie (i nie będzie miał wyboru, będzie musiał się zgodzić na jej warunki, jeżeli nie chce, aby powiadomiła władze Izraela), że Eiderfeld musi korzystać z publicznego transportu drugiej klasy. Może wybrać sobie dowolny rejsowy samolot, pociąg czy autobus. Nie wolno mu jednak podróżować własnym lub wynajętym autem, wycarterowanym samolotem lub autokarem, nie wolno mu jechać samotnie w zarezerwowanym przedziale

ani wziąć taksówki. Podróże statkiem zostały również surowo zabronione, bo zbyt łatwo można się od-separować w kabinie takiego pływającego hotelu. Nie, jadąc na zebrania zarządu, Karl von Eiderfeld będzie podróżował otwarcie, mając wokół siebie to, co go najbardziej przeraża - tłum. Helenę zaplanowała nawet dokładnie trasy jego podróży: Frankfurt - Tel Awiw - Paryż, Paryż - Tel Awiw - Frankfurt. Chciała, aby znalazł się w Izraelu i miał do czynienia z żydowskimi władzami.

Prawdopodobnie to będzie go przerażało najbardziej. Każdy czuje dreszcz na widok funkcjonariusza straży granicznej. Szczególnie gdy ma coś do ukrycia.

Strach przed rozpoznaniem zniszczy cały jego spokój. Albinosi należą do rzadkości, tacy ludzie zwracają na siebie uwagę i długo się ich pamięta. I zawsze jest szansa, że kiedyś, gdzieś, ktoś, kto doświadczył okrucieństwa z rąk tego człowieka, wskaże go palcem. Jeżeli nie w Paryżu, to w Tel Awiwie. Wcześniej czy później musi to nastąpić.

Helena kiwnęła do siebie głową. Im więcej o tym myślała, tym większy sens miało to, co wymyśliła. Nie czuła dumy z powodu swojego postępowania, ale nie była też zawstydzona. Wierzyła, że postępuje słusznie. Tym razem surowa kara, którą postanowiła wymierzyć winowajcy, została perfekcyjnie

zaplanowana. Von Eiderfeld nie wykręci się szybkim procesem i pętlą zaciśniętą na szyi. Wtedy jego cierpienia by ustały. Śmierć to zbyt łagodne zadośćuczynienie za zbrodnie.

Zanim to nastąpi, ten potwór musi cierpieć. Długo i boleśnie. Aż w końcu przeszłość go dopadnie. W kontrakcie umieszczono warunek, że von Eiderfeld nie może poddać się żadnej operacji plastycznej. Musi też podróżować pod własnym nazwiskiem. Było nawet zastrzeżenie, że podczas podróży nie wolno mu nosić żadnego nakrycia głowy, a okulary optyczne, jeśli naprawdę musi ich używać, nie mogą być duże. W ten sposób Helenę chciała

wykluczyć wszelkie próby ukrycia się pod przebraniem.

Cztery razy do roku lis zostanie wypłoszony ze swojej nory. Cztery razy do roku to dość. Pomiędzy zebraniem będzie miał dziewięćdziesiąt dni, by martwić się o następny wyjazd. Drgnęła, gdy koła samolotu dotknęły pasa startowego i kadłub się zatrzęsł. Wyjrzała ponownie. W oddali widziała budynki terminalu otoczone samolotami, jak matka młodymi. Zbliżali się do wyznaczonego miejsca. Helenę dostrzegła czarno-żółto-czerwone pasy niemieckiej flagi, która zastąpiła złowrogie sztandary ze swastyką z czasów wojny. Otaczały ją mniejsze

flagi innych państw, powiewające radośnie na

wietrze. To już niedługo, pomyślała Helenę. Niedaleko znajduje się Dusseldorf i Karl von Eiderfeld.

Karl Häberle czekał na nią przy bramce.

- Witam ponownie w Niemczech - powiedział po francusku, podnosząc głos, by przekrzyczeć rozmowy ludzi i warkot silników samolotów.

Helenę uśmiechnęła się do niego.

- Mam nadzieję, że nie odrywam pana od obowiązków - powiedziała ostrożnie po niemiecku. - Ale nie znam tu nikogo

innego.

- Oczywiście, że mi pani nie przeszkadza - zapewnił ją grzecznie, również po niemiecku. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale nie wynająłem limuzyny z szoferem, o co pani prosiła. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, jestem do usług.

Skinęła głową z wdzięcznością i wzięła go pod ramię.

- Dziękuję. Bardzo chętnie skorzystam. Teraz lepiej przejdźmy na francuski. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Wprost przeciwnie. Mówi pani bardzo dobrze. I jaki świetny akcent!

Helenę była zadowolona z jego pochwały. Nie powiedziała detektywowi, że uczy się też angielskiego i włoskiego. Uznała, że już najwyższy czas. Teraz, gdy „Les Modes” było dostępne w innych krajach, a pewnie w przyszłości pojawią się też zagraniczne edycje, znajomość języków mogła się przydać. Zdumiewające, że nauka kilku tak odmiennych języków naraz nie sprawiała jej żadnych trudności. Helenę błyskawicznie domyślała się znaczenia wyrazów, opanowywała składnię i gramatykę. Nigdy nie wtrącała włoskich słów do angielskiej konwersacji ani francuskich do niemieckiej.

- Mam nowy samochód - oznajmił Häberle z dumą, kiedy szli przez parking. -Dzięki pani hojności mój sfatygowany mały opel przeszedł wreszcie na emeryturę.

Helena spojrzała na niego.

- A pan kupił mercedesa - odgadła natychmiast.

- A ja kupiłem mercedesa - potwierdził ze śmiechem.

Helena odetchnęła głęboko i zawahała się. Powoli wysunęła nogi ze srebrzystoszarego auta i stanęła na parkingu przed wysokim budynkiem, który rzucał głęboki cień. Wpatrywała

się chwilę w wieżowiec, a potem zamknęła drzwi samochodu.

Tylko budynek, ulica i parking były już gotowe. Reszta terenu wokół przywodziła na myśl księżycowy krajobraz; brzydki, nagi i pusty. W odległości kilometra wznosił się olbrzymi kompleks przemysłowy; niczym zaborcza bezkształtna hydra mnożył się i rozrastał. Wszędzie budowano kolejne pawilony i magazyny. Dalej stały olbrzymie cysterny chemiczne, niczym nadęte srebrne brzuszyska, a wysokie kominy buchały wiecznym ogniem. Jak gdyby płomienie piekielne przebiły powłokę ziemi, pomyślała. Dziwaczne miejsce, ale

odpowiednie dla człowieka, z którym miała się spotkać.

Karl von Eiderfeld cofnął się od zaciemnionego okna i wrócił do biurka. Znużony opadł na obite skórą krzesło. Kilka minut wcześniej strażnicy przy głównym wejściu uprzedzili go telefonicznie, że przybyła madame Kowalsky. Obserwował, jak jej samochód wjechał na parking. Z piętnastego piętra dojrzał jedynie mężczyznę i szczupłą atrakcyjną kobietę. Nic więcej. Oczywiście nie łudził się, że zdoła ją rozpoznać z takiej odległości. Ale mógł coś przecież zauważyć. Był dumny ze swojej fotograficznej pamięci wzrokowej.

Pamiętał twarze sprzed wielu lat i nawet kojarzył je z nazwiskami.

Nagle poczuł przeszywający ból w piersi. Zaciśnął wargi i podniósł dłoń do żeber. Wiedział, skąd pochodzi ten ból. Z serca.

Sięgnął do szuflady i wyjął emaliowane pudełeczko na tabletki, które kiedyś należało do cara Rosji. Nawet nie spojrział na doskonałe dzieło Fabergégo. Szybko podniósł płaskie wieczko. Wewnątrz znajdowało się kilka maleńkich pigułek. Włożył jedną do ust i połknął, nie popijając. Potem schował pudełeczko na miejsce.

Serce bolało go od dnia, kiedy prawnicy

przesłali mu dziwny fragment starego dokumentu. Jeszcze przed otwarciem koperty Eiderfeld miał fatalne przeczucie, co tam znajdzie. Coś, co mogło zniszczyć zarówno jego samego, jak i wszystko, co osiągnął. Właśnie wtedy, gdy zaczynał wierzyć, że wreszcie pozostawił przeszłość za sobą, że już nic nie wypłynie na powierzchnię. Bo niby dlaczego? Podczas wojny był ostrożny. W przeciwieństwie do większości Niemców myślał trzeźwo i rozsądnie. Dopuszczał możliwość, że druga strona może wygrać. I jeszcze przed 1943 rokiem stało się dlań jasne, że Niemcy przegrają. Zaczął wówczas gromadzić propan w bezpiecznych kryjówkach i niszczył dokumenty

przekazania. Pilnował też, żeby każdy świadek jego ówczesnych poczynań wędrował prosto do obozu. Czy któryś mógł przeżyć? Początkowo Karl w to

wątpił. Ale po zakończeniu wojny stało się jasne, że popełniono błędy nie do naprawienia. Ci, którzy przeżyli, zgłaszali się do władz i ujawniali jednego zbrodniarza wojennego po drugim. Wielu ze wskazanych kiedyś znał, szedł z nimi w jednym szeregu. Teraz postawiono ich przed trybunałem; kilku zdołało wcześniej popełnić samobójstwo. Gazety były pełne takich wiadomości; potem to stopniowo zanikało, aż wreszcie zdarzało się tylko kilka wypadków rocznie. W końcu

ludzie mieli już dość tego typu historii.

Mijały lata i Karl zaczął sypiać lepiej. Ostrze topora, który zawisł nad innymi, jego ominęło i nawet wiedział dlaczego. Lepiej niż tamci zacierał ślady. Chciał w to uwierzyć. Nigdy nie pokazywał się publicznie, ani w czasie wojny, ani później. Nawet teraz widywali go nieliczni i nikt nie komentował jego pragnienia samotności, nie łączył go z „tymi okropnościami”.

Wszyscy słyszeli o Von Eiderfeld Industrien GmbH; ale nigdy o Karlu von Eiderfeldzie. Milionerom wolno prowadzić dziwaczny tryb życia i nie budzi to niczyich podejrzeń.

Po otrzymaniu tajemniczej przesyłki Karl dniami i nocami zastanawiał się, próbując sobie przypomnieć, kto mógł uniknąć egzekucji, komu udało się zdobyć ten fatalny dokument. Kim jest owa tajemnicza madame Kowalsky - i dlaczego przysłała mu tę wiadomość? Żeby się z nim spotkać, oczywiście. Ale to bardzo dziwne. Dlaczego to ona przyszła, a nie policja czy agenci Mossadu? Czyżby chodziło o szantaż?

Zasłonił bladą twarz dłońmi. Tak długo wszystko dobrze się układało. Zakłady przynosiły większe zyski, niż kiedykolwiek mógłby sobie wymarzyć. Udało mu się wspiąć na niewyobrażalne szczyty bogactwa i władzy. Rocznie

przez jego rafinerie przechodziło sześć milionów baryłek ropy. W hutach wytapiano miliony ton stali. Kopalnie węgla i rudy żelaza stale zwiększały wydobywanie. A stocznia w Kilonii co półtora roku wodowała siedem nowych tankowców. Teraz to wszystko było zagrożone. Wszystko, co zbudował, mogło runąć jak domek z kart, jeśli madame Kowalsky nabierze w usta powietrza i dmuchnie.

Nacisnął biały guzik pod biurkiem i przednia część wypolerowanej ściany z drewna tekowego rozsunała się bezszelestnie, ukazując duży ekran telewizyjny. Karl wcisnął drugi klawisz i ekran zalało niebieskawe światło.

Chwilę później zobaczył na nim wnętrze windy. Stali w niej mężczyzna i kobieta. Mężczyzna wyglądał na Niemca; przynajmniej to było pewne. Wskazywały na to jego usta, wyraz twarzy, uczesanie i krój ubrania. Nie zachowywał się jak potencjalny szantażysta. Kobieta - młoda, piękna i kosztownie ubrana - miała w sobie coś paryskiego. Von Eiderfeld nigdy wcześniej jej nie widział. A jeżeli, to musiała wtedy być dzieckiem. Mogła mieć najwyżej kilkanaście lat.

Dziecko! Znieruchomiał na chwilę, klnąc w myślach własną głupotę. Twarz na ekranie zdawała się z niego szydzić. Karl z wściekłością nacisnął trzeci

guzik. Czerwony. Obraz zniknął powoli, a ściana się zamknęła.

Von Eiderfeld zmrużył ze złości oczy, gdy powróciły doń wspomnienia. Tylko raz popełnił błąd; kiedy wypuścił tamtą dwójkę francuskich dzieci. Powinien był wówczas kazać oboje zabić. Już wiedział, kim ona jest.

Helenę zauważyła w windzie kamerę, jak tylko weszli do środka. Ale dopiero gdy ruszyli w górę, poczuła, że są obserwowani. Wbiła wzrok w grube szkło obiektywu. Von Eiderfeld ich obserwował. Patrzył i czekał.

Kiedy wprowadzono ją w nienaturalnej ciszy do gabinetu, von Eiderfeld wolno

podniósł głowę. Złożył ręce na blacie biurka, a jego zakryte powiekami, różowe oczy stały się czujne. Kobieta posłała grzeczny uśmiech sekretarce. Drzwi zamknęły się natychmiast, a wtedy jej uśmiech znikł. Odwróciła się i przez długą chwilę mierzyła go spojrzeniem.

Helene wzdrygnęła się i mocniej ścisnęła uchwyt aktówki. Karl von Eiderfeld wyglądał starzej, niż sobie wyobrażała.

Zrobił zapraszający ruch szczupłą dłonią.

- Proszę usiąść, fräulein Junot. - Jego głos był cichy i obojętny.

Skąd wie, kim jest madame Kowalsky? - zastanawiała się przez chwilę Helenę, ale zaraz odsunęła tę myśl. To doprawdy nie miało znaczenia.

- Postoję - odpowiedziała zimno.

- Jak pani sobie życzy.

Jej oczy przesunęły się powoli po eleganckim, zimnym i sterylnym pokoju. Zmusiła się do beznamiętnego wyrazu twarzy, gdy ujrzała koszmarnie obrazy Maksa Ernsta. Pasowały do tego miejsca. Tylko szalony umysł mógł je podziwiać.

- Zbudował pan imponujące imperium - zauważyła cicho.

Eiderfeld skromnie wzruszył ramionami.

- To nie takie trudne, jeśli się ciężko pracuje.

- Albo gdy nic nam nie przeszkadza. Można się wtedy zamknąć w ciszy i pracować. Spojrzał na nią ze spokojem. W jego oczach płonął ciemny ogień.

- Czego pani chce?

Położyła aktówkę na jednym z dodatkowych blatów i otworzyła ją.

- Ja również tworzę pewnego rodzaju imperium - oświadczyła, wyjmując kilka numerów „Les Modes”. Wręczyła je von Eiderfeldowi.

Rzucił na nie okiem, a potem, lekko zaskoczony, położył pismo na biurko.

- Moda raczej mnie nie interesuje - powiedział. Złożył przed sobą ręce, czekając na ciąg dalszy.

- A powinna - odrzekła po chwili. - Sprzedaję akcje mojego wydawnictwa, panie von Eiderfeld. Dziesięć procent będzie kosztowało pana milion franków.

Von Eiderfeld odetchnął z ulgą. Szantaż, czy jak by to nazwać, mógł zrozumieć.

- Zatem pani przedsiębiorstwo ma trudności finansowe? Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Wprost przeciwnie.

- Dlaczego więc proponuje mi pani udział?

Helenę w milczeniu sięgnęła po grubą kopertę, otworzyła ją i wysypała zawartość na biurko. Twarz Eiderfelda nie zmieniła wyrazu, gdy patrzył na błyszczące czarno-białe fotografie, ale jego umysł pracował gorączkowo. Wcześniej przypuszczał, że w jakiś sposób zdobyła jeden dokument. Ale aż tyle! Tak dużo! Gott im Himmel! Jak to możliwe, że pozostało gdzieś tyle dowodów przeciwko niemu? Przeklinał w myślach urzędy Rzeszy. Nic dziwnego, że przegrali tę wojnę! Tym idiotom z Berlina nawet nie przyszło do

głowy, by spalić archiwa!

Ale nie wypowiedział głośno żadnej z tych myśli. Jego twarz była nieruchoma jak maska.

- Milion franków za to to niska cena - zauważył spokojnie. Helenę wzruszyła ramionami.

- To nie jest niska cena - odparła. - To uczciwa cena rynkowa.

Jego różowe oczy spojrzały na nią podejrzliwie; rozumiał, że to nie jest zwyczajny, pospolity szantaż. Ona chciała czegoś więcej. Nie chodziło o pieniądze.

Jeszcze raz sięgnęła do aktówki i wyjęła gruby dokument w przezroczystej niebieskiej okładce.

- Oto pańska kopia umowy dotyczącej zakupu akcji. Proszę, by przeczytał ją pan uważnie, zanim pan podpisze.

Coś w jej głosie ostrzegło go; spojrzał na nią przenikliwie, ale się nie odezwał i wziął do ręki papiery. Helenę kontynuowała:

- Nie muszę chyba wspominać, że prawnik, który zorganizował nasze spotkanie, nie przechowuje u siebie oryginałów tych dokumentów. I oczywiście wie pan, co się stanie, jeżeli spotka mnie coś złego.

Karl pomachał umową.

- Czy mogę zadać hipotetyczne pytanie?

Nic nie odpowiedziała.

- Jeżeli nabędę te... te udziały, czy otrzymam oryginały? Helenę pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie, von Eiderfeld. Chyba pan rozumie, że to moje zabezpieczenie na długie i zdrowe życie. Proszę zapoznać się z kontraktem.

- To długi dokument - zauważył Karl. - Czytanie zabierze dużo czasu.

- Nie spieszę się. - Pozwoliła sobie na uśmiech i zajęła miejsce naprzeciwko

biurka. Karl z westchnieniem otworzył dokument na pierwszej stronie i zaczął czytać. Po

chwili wyprostował się sztywno, a jego blada twarz jeszcze zbieleła.

- T-to absurd! - wypluł z siebie gwałtownie. - Chyba nie oczekuje pani, że przyjmę te niedorzeczne warunki! - Z obrzydzeniem rzucił dokument na podłogę.

Helena popatrzyła na papiery, a potem znowu na niego. Ze spokojem wstała, podniosła kontrakt i położyła go na biurku. Potem usiadła ponownie.

- Tak, panie von Eiderfeld - odezwała

się cicho przez zaciśnięte zęby. -
Oczekuję, że pan przyjmie wszystkie
moje warunki. I to nie jest absurd.
Ucieczka czworga dzieci z Paryża i
pańscy podwładni ścigający je z psami -
to był absurd. Niemowlę przypalane
papierosem - to był absurd. Moja matka
zagazowana w Oświęcimiu - to również,
panie von Eiderfeld, był absurd.

Machnął ręką poirytowany.

- Skąd pani może wiedzieć, dokąd ją
wysłano? - mruknął niepewnie. - Nie
była pani przy tym.

- Moja matka opowiedziała o wszystkim
komuś, kto przeżył - a on opowiedział
mnie. Obozy były jedną olbrzymią

winoroślą - powinien pan o tym wiedzieć. Wielu ludzi opowiadało swoje historie, mając nadzieję, że kiedy wojna się skończy, krzew wyda owoce - to znaczy świat pozna prawdę.

- Prawdę! - powtórzył tonem pełnym jadu. - Spekulacje i plotki, to wszystko! Helenę potrzęsnęła głową.

- Nie. Widzi pan, panie von Eiderfeld, moja matka żyła prawie do samego końca. Mam naocznego świadka, który przy niej był, żydowskiego lekarza. Aż umiera z chęci złożenia zeznań. A teraz, wracając do tych papierów...

Jego oczy napotkały jej spojrzenie.

- A jeśli nie zdecyduję się podpisać, co wtedy?

- Nie pójde do władz niemieckich - zrobiła pauzę - tylko do izraelskich. Karl na chwilę zamknął oczy. Helenę mówiła teraz szeptem:

- Czeka pana nie tylko proces i wyrok skazujący. Stanie się coś gorszego. Jestem kobietą interesu, tak jak i pan jest biznesmenem. Nie oszukujmy się, panie von Eiderfeld, oboje wiemy, co jest dla nas najcenniejsze. Nasze dokonania. Pan żyje dla Von Eiderfeld Industrien. Przede wszystkim dla swojego dzieła. Nie ma pan współdziałowców.

Jest pan jedynym właścicielem swojego

przedsiębiorstwa, co sprawia, że to największa fortuna, jaką kiedykolwiek mógłby przejąć niemiecki rząd. Wie pan, na co zostałaby wykorzystana? -

Uśmiechnęła się, kiedy drgnął. - Na wypłatę odszkodowań dla Żydów. -

Pochyliła się ku niemu. - Pański majątek zostałby dobrze wykorzystany w Izraelu. Von Eiderfeld nie skomentował tego.

- Niech pan pomyśli o posadzonych za te pieniądze pomarańczach. O nawodnieniu pustyni! O tym, jak zostałby rozbudowany port w Hajfie!

Wyglądał na zupełnie pokonanego, ale zrobił ostatnią, rozpaczliwą próbę.

- Zapomniała pani o jednym, fräulein

Junot - oznajmił z godnością. - Jestem człowiekiem wpływowym.

- Czyżby? - Podniosła głowę. - Był pan. Ale wszystko skończone. Za dziewięćdziesiąt dni oczekuję pana w Paryżu na pierwszym zebraniu zarządu. Pamięta pan, jaki piękny jest Paryż wiosną, prawda?

- Dlaczego pani to robi? - zapytał. - Dlaczego?

Pokręciła niedowierzająco głową. Czy ten człowiek nie odróżnia dobra od zła? Czy pod tą ohydną, białą skórą w ogóle ma jakieś sumienie? Helenę chciała poruszyć nim, wstrząsnąć jego człowieczeństwem, ale byłoby to bez

sensu. Miał martwą duszę.

- Mężczyzna, który czeka na zewnątrz, będzie pana eskortował na zebrania i z powrotem - oświadczyła obojętnie. - Proponuję, żeby od razu zaczął pan załatwiać paszport i wizy. Tak jak to zostało podane w umowie, będzie pan jechał z domu na lotnisko pociągiem lub autobusem. Potem polecą pan drugą klasą do Tel Awiwu i spędzi tam noc. Następnego dnia ruszy pan dalej, do Paryża, a na miejscu skorzysta z publicznego środka transportu w drodze z lotniska do centrum. Jedno niedopatrzenie, panie von Eiderfeld, a izraelscy agenci otrzymają oryginały wszystkich dokumentów, które ma pan

przed sobą. Wiem, że nie będzie pan próbował uciec do Ameryki Południowej lub jakiegoś innego życzliwego wam kraju. Nie po tym, co pan zbudował. Ale jestem ostrożna i nieufna, więc dopilnuję, by pański koncern był pod ciągłą obserwacją. Lepiej niech pan nie próbuje go sprzedawać. Zanim porozumie się pan z ewentualnym nabywcą, wszystko zostanie ujawnione.

Von Eiderfeld spojrział na nią z ponurym szacunkiem.

- Twardo pani negocjuje - oświadczył cicho.

Helena zamknęła aktówkę i spojrzała na

niego z pogardą.

- Ja nie negocjuję z panem, panie von Eiderfeld.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Będąc już przy nich, zatrzymała się na chwilę.

- Przy okazji, wie pan może, co się stało z moimi siostrami?

- Wysłano je do obozów. -I co dalej?

Spuścił wzrok na swoje biurko.

- Dzieci były pierwsze do... - urwał.
Helenę zacisnęła usta.

- Ma pan czterdzieści osiem godzin na

odesłanie mi podpisanego kontraktu -
oświadczyła z naciskiem i zerknęła na
zegarek. - Czterdzieści osiem godzin od
teraz.

Jego oczy odruchowo przesunęły się na
tarczę zegara.

Trzydzieści sześć godzin od spotkania z
von Eiderfeldem jej prawnicy w Paryżu
otrzymali podpisane dokumenty, a
milion franków przelano na rachunek
Les Editions Helene Junot w paryskim
Banque Rothschild.

Von Eiderfeld spełnił warunki ultimatum
dwanaście godzin przed czasem.

Rozdział 7

Odwracając się i wykręcając na wszystkie możliwe sposoby przed wysokim ukośnym lustrem, Helenę czuła się jak akrobatka z chińskiego cyrku. Starła się sięgnąć ręką mocno do tyłu, by zapiąć haftki na plecach jasnej atłasowej sukni. Chwilę poruszała palcami, opuściła zmęczone dłonie.

- Merde! - zezłościła się, kiedy oporna haftka umieszczona w niedostępnym miejscu między łopatkami a karkiem wciąż wysuwała się z jej zręcznych rąk. Doprowadzało to Helenę do furii. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Była spocona, a za chwilę staranna fryzura straci linię. Sięgnęła po chusteczkę i delikatnie osuszyła kropelki

potu na czole. Makijaż również był zagrożony.

Jeszcze raz popatrzyła w lustro, a później, przytrzymując suknię na piersiach, chwyciła słuchawkę. Kiedy tylko włączyła się centrala, zawołała:

- Proszę z Jacques'em Renaultem.

- Un moment, mademoiselle - zaśpiewała operatorka. Po chwili Jacques był na linii.

- Tak, księżniczko? - rzucił wesoło.

- Jacques, do diabła, przyjdź na górę. Natychmiast!

- Jasne, księżniczko - odpowiedział z wahaniem. - Wiesz, że jestem tylko piętro niżej. W czym problem?

- Problem jest... - Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. - Problemem jest ta cholerna suknia! - Zaklęła pod nosem. - Nie mogę jej zapiąć!

- Zaraz tam będę. - Zachichotał. - Muszę tylko włożyć spodnie.

Helena rzuciła słuchawkę i podeszła do otwartego okna. W powietrzu unosił się aromat kwiatów, mieszając się ze słoną morską bryzą. Przez chwilę podziwiała widok.

Dlaczego właściwie tu się znalazła? Nie

powinna była dać się namówić Jacques'owi i Lubie na ten wyjazd. Powinna zostać w Paryżu. To tam serce Les Editions Helene Junot biło miarowym, głośnym rytmem. Podczas sesji wyjazdowej z modelkami czuła się bezradna i bezużyteczna. To domena Luby i Jacques'a. Helene miała wrażenie, że tylko kręci się w kółko i przeszkadza.

Ale pomyślała o tym dopiero teraz. Chyba jakieś fatum ściągnęło ją na Lazurowe Wybrzeże. A przecież po tragedii w Cap Ferrat przysięgła sobie, że już nigdy nie postawi stopy na południu Francji. Dodatkowym dowodem działania jakiejś siły

przeznaczenia było to, że do tej pory Helenę nigdy nie towarzyszyła Jacques'owi i Lubie podczas pracy.

Tego popołudnia skończyli zdjęcia szybciej. Modelki pobiegły do swoich pokoi w tańszym Helvetia Hotel, a oni troje wrócili do ekskluzywnego Hôtel de Paris. Już po kilkunastu godzinach odczuwało się różnicę. Tutaj mieszkało się w Monako albo w Monte Carlo. Hôtel de Paris znajdował się w Monte Carlo.

Wyglądał jak bajkowy pałac wzniesiony w rajskim ogrodzie. Prawie w każdym hotelu na świecie goście mają wrażenie, jak gdyby nie przynależeli do tego miejsca, w Hôtel de Paris natomiast

wszyscy byli traktowani po królewsku. Zaraz po ich przybyciu Luba wezwała kierownika recepcji. Przyszedł, ukłonił się grzecznie i posłał jej uśmiech.

- Madame Tscherina, jak miło panią widzieć - powiedział. - Mam nadzieję, że wszystko jest według pani życzeń.

Luba wyprostowała się z godnością i zażądała zmiany mebli w pokojach. Pół godziny później, gdy popijali schłodzone wino na ukwieconym tarasie, pokoje zostały urządzone na nowo. Wyglądały teraz jak salony wspaniałego pałacu, umeblowane cennymi antykami.

Początkowo Helenę czuła się zażenowana żądaniem Carycy, która

uważała je za rzecz oczywistą. Kierownikowi recepcji nawet nie drgnęła powieka. Życzenie gościa Hôtel de Paris było święte i czuł się szczęśliwy, że mógł je spełnić.

Sławny Hôtel de Paris mieścił się naprzeciwko równie -jeżeli nie bardziej - znanego kasyna z miedzianymi dachami, pokrytymi zieloną patyną, bliźniaczymi wieżami i eleganckimi łukami. Hotelowy basen i sauna wychodziły, tak jak okna pokoju Helenę, na

port leżący poniżej. Był wczesny wieczór i pomimo irytacji z powodu sukienki gniew Helenę zaczął powoli opadać. Ciepłe morskie powietrze

powoli ochładzało się dzięki lekkiej bryzie. Luksusowe jachty kołysały się przycumowane przy omywanym pulsującą wodą falochronie. Za rozciągającym się na wzgórzach miastem wznosiły się skaliste wierzchołki gór, pełne majestatu na tle nasyconego błękitu morza. Był sierpień, a właśnie w tym miesiącu można podziwiać księżstwo w pełnej okazałości.

Niczym wdowa po cesarzu, Monako przystrajało się w kwiatowe klejnoty. Wszystkie budowle - wspaniałe hotele, wille i luksusowe osiedla miały ukwiecone tarasy pełne rzadkich, egzotycznych roślin, kaktusów i palm,

których pióropusze szeleściły w powiewach wiatru. Helenę nauczyła się odróżniać dumne palmy daktyłowe z wysokimi, gładkimi pniami od niższych palm kanadyjskich, które miały pnie chropowate i pokryte łuskami. Wzdłuż alei i w parkach rosły wspaniałe drzewa eukaliptusowe, przesycając powietrze swoim charakterystycznym, niemal aptecznym aromatem.

Chwilami Helenę cieszyła się nawet, że tutaj przyjechała - do tego najpiękniejszego miejsca, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Piękniejszego nawet niż Cap Ferrat - bez murów, bram i żywopłotów. I była tu mała część Paryża, jakby w

odpowiedzi na tęsknotę za domem, którą mogli odczuwać goście. Ten sam architekt, który zaprojektował gmach paryskiej opery, miał swój udział w projekcie kasyna.

Helena przypomniała sobie, jak Luba i Jacques namawiali ją, by wybrała się z nimi tego wieczoru do kasyna. Jej uśmiech zbladł, a w jego miejsce pojawił się grymas niechęci.

- Naprawdę nie lubię hazardu - próbowała się wymigać, gdy czekali, aż modelki ulokują się na białych głazach.

Czarne jak węgiel brwi Carycy uniosły się ze zdziwienia.

- Czyżby! - prychnęła lekceważąco. - Przecież kasyno to najświetniejsze miejsce w Monte Carlo. Będąc tutaj, po prostu trzeba w nim się pokazać. To w dobrym stylu.

- W dobrym stylu? - protestowała Helenę. - Nie rozumiem, jak... Jacques przerwał jej szybko.

- A gdzie twoje pragnienie przygody, księżniczko?

- Moje pragnienie...

- Przygody. Zapukamy do twoich drzwi punktualnie o siódmej trzydzieści, zjemy obiad, a potem pójdziemy do kasyna.

-Ale co...

Jacques położył palec na jej ustach.

- Chociaż raz mogłabyś się zabawić, księżniczko! - zawołał z wesołym błyskiem w oczach. -I nie oburzaj się tak, na miłość boską! Do kasyna nie wpuszczają byle kogo. Spotyka się w nim śmietanka towarzyska Europy.

- Weź jedną z modelek. Naprawdę, Jacques, ja nie chcę iść!

Wyciągnął ręce i chwycił ją tak, że nie mogła dłużej protestować, a potem uniósł nad ziemią.

- Powiedz, że pójdziesz, to cię uwolnię -

zażądał.

Helenę spojrzała na niego zarumieniona i potrząsnęła głową, odmawiając stanowczo.

Jacques zdawał się tego nie dostrzegać.

- Och, i ubierz się elegancko. Nie chcesz chyba wyglądać jak uboga krewna albo Amerykanka?

- Postaw mnie! To boli! - Jej głos był ostry i gniewny.

- Uwolnię cię, jak tylko zgodzisz się pójść. Po prostu kiwnij piękną główką - drażnił się z nią Jacques.

Zerknęła na niego kątem oka, aż wreszcie się zgodziła, a Jacques ostrożnie postawił ją na ziemi. Helenę głośno wciągnęła powietrze.

- Ty... ty draniu! - wybuchnęła, próbując wyrównać oddech. - To był szantaż! - Spojrzała na niego ze złością. - Zmusiłeś mnie, żebym się zgodziła! Taka obietnica się nie liczy! - Odwróciła się do niego tyłem.

Jacques wziął ją łagodnie za ramię i odwrócił ku sobie.

- Daj spokój, księżniczko - łagodził jej gniew. - Umowa jest umową.

- Umowa! - warknęła. - To nie była

umowa, tylko presja.

Denerwowała ją myśl, że musi pójść dziś do kasyna. Nigdy wcześniej nie była w takim miejscu. O tym w Monte Carlo wiedziała tylko tyle, ile powiedzieli jej Jacques i

Luba, i tyle, ile wie każde dziecko we Francji: że jest to najwspanialsze ze wszystkich kasyn.

Helenę nic nie wiedziała o grach hazardowych. Nigdy jej to nie interesowało. Główna wygrana była ekscytująca dla innych, dla tych, którzy marzą o rzeczach niemożliwych. Helenę nie wierzyła w łut szczęścia, a wystarczająco ryzykowne były dla niej

własne inwestycje. Po co wyrzucać w błoto pieniądze w kasynie? Nie rozumiała tego. Zbyt ciężko pracowała, żeby zdobyć to, o czym marzyła; zbyt długo była biedna, by uważać, że takie beztrioskie podejście do pieniędzy jest zabawne. A kiedy Luba zaczęła jednym tchem wyliczać gry proponowane w kasynie: bakarat, ruletka, chemin-defer, boule, craps, blackjack i trente et quarante - a żadna z tych nazw nie Helenę nie mówiła - jej niechęć do tego typu rozrywek tylko wzrosła. Ale tak samo jak w innych wypadkach starała się podchodzić do tego wszystkiego racjonalnie. Jej bystry umysł momentalnie ocenił Monte Carlo. To tylko elegancka fasada, jak Hautescloque.

A o elegancji Helenę z pewnością wiedziała bardzo dużo.

Tego popołudnia, gdy Jacques i Luba odpoczywali w swoich pokojach, Helenę zjechała windą na dół i przeszła przez hol do recepcji.

Korzystając z pomocy kierownika recepcji, zamówiła sobie czesanie u najlepszego fryzjera w Monte Carlo - a nawet najlepszego na południu Francji. Salon Etienne'a mieścił się kilka kroków od nabrzeża. Kiedy Helenę tam dotarła, wychodziła właśnie stamtąd oburzona kobieta w średnim wieku. Minęła szybko Helenę i trzasnęła drzwiami. Helenę popatrzyła na nią, a potem rozejrzała się po pustym salonie.

Znajdowali się tu jedynie sam Etienne, jego asystent i dwie młode dziewczyny w białych fartuszkach.

Szef podszedł do niej. Był wysoki, nosił brodę, miał na sobie białą koszulę rozpiętą na piersi. Nosił na szyi ciężki złoty łańcuch.

- Mademoiselle Junot?

Helenę przytaknęła i wskazała drzwi.

- Dlaczego ta kobieta była taka zdenerwowana? Zaśmiał się lekceważąco. - Madame Laprade jest zawsze zdenerwowana - odpowiedział, wzruszając

ramionami. - Po prostu nie mogłem jej dzisiaj uczesać.

- Ale dlaczego? - pytała dalej. - Czy nie była umówiona?

Etienne nie odpowiedział i Helenę poczuła się winna. To jasne, ze względu na nią tamto czesanie zostało odwołane w ostatniej minucie. Widocznie szef recepcji uświadomił Etienne'owi, że ma ważną klientkę. Może nawet wspomniał, że dla fryzjera byłoby korzystne rzucić wszystko i zająć się Helenę. Że ma szansę na reklamę w „Les Modes”. To nie fair w stosunku do Etienne'a, madame Laprade i nawet samej Helenę. Ale było już za późno, żeby coś zmienić.

- Doprawdy... powinien był pan mi powiedzieć - odrzekła zakłopotana. - Nie chciałam nikomu zabierać...

- Proszę, mademoiselle Junot - przerwał jej grzecznie - niech się pani tym nie przejmuje. Madame Laprade nie wybiera się nigdzie dziś wieczorem. Czesze się z tego samego powodu, z jakiego robi zakupy - by wypełnić nudę. Proszę iść za Roxanne do przebieralni. - Wskazał swoją pracownicę. Poza tym nie co dzień zdarza nam się taka klientka jak pani. Proszę spojrzeć. - Kiwnął głową w stronę drugiej dziewczyny, która odkładała na miejsce leżący wcześniej na podłodze magazyn. Helenę dostrzegła teraz, że był to sierpniowy

numer „Les Modes”, który zndi\az\ się teraz na stosie wcześniejszych. Fryzjer popatrzył na nią. - Pani magazyn jest ulubionym pismem moich klientek.

- Wygląda na to, że przydaje się również, aby rzucać nim w pana - zauważyła kpiąco, idąc za Roxanne do przebieralni. Dziewczyna została na zewnątrz i zaciągnęła zasłonę.

Etienne roześmiał się bez troski, kontynuując rozmowę, gdy Helenę się przebierała.

- W tym interesie trzeba umieć zbierać gromy - ściszył głos. - Słyszała pani o Pauline Monnier?

Kiwnęła głową zza kotary. Pauline prowadziła rubrykę towarzyską w „Couture Magazine” i od czasu do czasu wpadały na siebie w Paryżu. Helenę zobaczyła japo raz pierwszy z podestu, na którym zaczynała pracę modelki u Odile Joly. Wiedziała również, że inteligentną, niemającą skrpułów Pauline często widuje się w towarzystwie Daphne Epaminondas, i złośliwi rozpowiadają, że łączy je romans.

- Jacht Epaminondasów stał cały ostatni tydzień w porcie - mówił Etienne, kiedy Helenę ubrana w biały kitel odsuwała zasłonę i przechodziła do umywalni. Usiadła przy

umywalce, a dziewczyna o twarzy
chochlika zarzuciła jej plastikową
pelerynkę. Roxanne odkręciła krany i
sprawdziła temperaturę wody dłonią.
Etienne kończył swoją historię.

- Biedna Pauline przyszła tu
przedwczoraj i zażyczyła sobie, żebym
obciął jej włosy w stylu, w którym, jak
uprzedzałem, absolutnie nie będzie jej
do twarzy - rzekł smutno. - Potem
zarzuciła mi, że ją oszpecilem. Wreszcie
złapała nożyczki i próbowała mnie
zaatakować! Może sobie pani to
wyobrazić?

Helene uśmiechnęła się lekko.
Wyobraziła sobie rozzłoszczoną
maleńką Pauline. Mogła sobie również

wyobrazić, jak szybko i łatwo została pokonana drobniutka reporterka.

Niezależnie od tego... Ugryzła się w język, aby nie powiedzieć Etienne'owi ani słowa. Może sobie być okazem męskości, myślała, ale plotkuje jak kobieta.

- No więc jacht Epaminondasów stał tu od wczorajszego ranka. Potem, gdy tylko do nabrzeża zbliżył się jacht Skourich, tamci podnieśli kotwicę i odpłynęli. Wie pani, że pani Epaminondas była kiedyś panią Skouri, prawda?

Helenę chciała kiwnąć głową, ale fryzjer nie czekał na odpowiedź.

- Eksmężowie i eksżony mogą być

dobrymi przyjaciółmi albo strasznymi wrogami -zauważył filozoficznym tonem. Potem westchnął i umilkł na chwilę. - Niestety, ci są śmiertelnymi wrogami. Słyszałem nawet, że jej nie wpuszczają do kasyna, kiedy on tam jest. Nie dlatego, żeby obawiali się publicznej awantury, tylko dlatego że monsieur Skouri ma wystarczające układy, by trzymać ją z dala. Jest jednym z dyrektorów SBM.

Helene kiwnęła głową. Wiedziała, co oznacza ten skrót: Société des Bains de mer et Cercle des Etrangers. To stowarzyszenie kontrolowało czy też posiadało dużą część Monte Carlo, włączając w to Hôtel de Paris, kasyno i

wspaniałe ogrody.

- W każdym razie wydaje mi się, że pani Epaminondas nie ma powodu do narzekań. Daleko zaszła jak na prostą grecką dziewczynę z jakiejś zapomnianej wioski. Po rozwodzie dostała piętnaście milionów dolarów odszkodowania od pana Skouriego i co natychmiast zrobiła? Zakręciła się szybko i złapała pana Epaminondasa, ot co! Podobno szacują go na co najmniej sto milionów. Oczywiście pan Skouri ma trzy razy tyle, ale ona i tak nie musi się o nic martwić, prawda? - Nagle zmienił raptownie temat. - Ile ma pani czasu?

- Ja... powinnam być w hotelu o szóstej

trzydzieści - odrzekła zaskoczona
Helenę.

Etienne zmarszczył brwi i zerknął na
zegarek.

- To daje nam trochę ponad trzy godziny.
Nina!

Dziewczyna o twarzy chochlika
podniosła głowę i popatrzyła na szefa.
Posłusznie podeszła do drzwi, szybko
przekręciła klucz w zamku i odwróciła
na zewnątrz tabliczkę z napisem:
„Zamknięte”.

Teraz Etienne był w swoim żywiole.

- To zajmie nam całe trzy godziny. -

Klasnął w ręce. - Czy życzy sobie pani jakąś konkretną fryzurę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Właściwie nie. Ale chciałabym, żeby była bardzo elegancka. - Uśmiechnęła się lekko. - I efektowna.

- Aha... - Cofnął się, wydał wargi i zmarszczył brwi, zastanawiając się przez chwilę.

- Rozumiem, że wybiera się pani do kasyna?

Przytaknęła.

- Co będzie pani miała na sobie?

- Kreację Marcela Maneta -
odpowiedziała, dodając: - To młody
projektant. Suknia z bladoniebieskiego
atłasu, prawie białego; wygląda jak coś
w rodzaju greckiej tuniki.

- Brzmi nieźle. - Zamyślił się. -
Bizuteria?

- Jeszcze nie wiem. Akwamaryny lub
korale.

Zbliżył się i dotknął palcami jej głowy.
Kiedy uniósł włosy, jej oczy
powędrowały do dużego okrągłego
lustera. Przyglądała się uważnie ruchom
Etienne'a.

- Myślę, że w takim razie powinniśmy

pozostać przy greckim stylu -
zapropnował.

- Może rozdzielimy włosy tu, pośrodku,
i puścimy w dół maleńkie, delikatne
loczki aż dotąd? Potem upniemy resztę z
tyłu.

Zastanawiała się przez chwilę. To, co
proponował, było bardzo
skomplikowane i wyjątkowo oficjalne.
Zastanawiała się, czy nie za bardzo
sztywne do kasyna. Etienne wyczuł jej
wahanie.

- Będzie pani wyglądała fantastycznie -
zapewnił Helenę. - Ale pokażę pani, o
czym myślę, i może pani zdecydować
sama. - Odwrócił się. - Ambrose!

Asystent poderwał się błyskawicznie.

- Greckie peruki. Przynieś wszystkie ciemne odcienie.

Ambrose kiwnął głową i pobiegł na zaplecze. Chwilę później wrócił ze stosem peruk. Etienne przejrzał je, marszcząc brwi. Wreszcie wybrał czarną z dłuższymi włosami i ułożył je zręcznie z tyłu głowy Helenę.

- Wygląda fantastycznie - zachwycił się.
- Trochę w stylu Elizabeth Taylor. Może pani wpiąć we włosy jakąś biżuterię.

Roxanne i Nina trzymały ręczne lusterka tak, by Helenę widziała się ze wszystkich stron. Kiwnęła głową z

aprobatą. Etienne miał rację. Pełne finezji uczesanie podkreślił wytworną prostotę sukni. Miał dobry smak, nawet jeśli zapożyczał pomysły od Alexandre'a. Do diabła z tym, jeżeli już musisz zapożyczać, upewnij się, że wzorujesz się na najlepszych. Podobał jej się ten pomysł z klejnotem we włosach. Wiedziała już, że będzie to duża perła w kształcie gruszki, oprawiona w platynę i otoczona akwamarynami. I oczywiście żadnej innej biżuterii, bo tylko by zepsuła wrażenie. Na wierzch miała cienką atłasową narzutkę z tego samego materiału co suknia. Do tego delikatne wieczorowe sandaalki oraz biało-złota siatkowa torebka z akwamarynowymi

inicjałami Helenę na kłamrze. Nie miała wątpliwości, że goście w kasynie będą się za nią oglądać. Kilka lat temu, owego pierwszego wieczoru, kiedy weszła do Maxima, przekonała się, że elegancka suknia jest ogromnie ważna. Zaciera różnice społeczne i sprawia, że kobieta czuje się, jakby miała u swoich stóp cały świat. Tak, będzie wyglądała wspaniale. Tylko jak ma grać?

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wprawdzie Etienne lubił plotkować, ale trudno. Lepsze to, niż żeby dziś w nocy wyszła na idiotkę. Kiedy Roxanne rozczesywała jej włosy, Helenę odwróciła się do fryzjera.

- Wie pan chyba coś o grze, prawda? -

zapytała. Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- Jak każdy. Wiem tyle, by się w tym nie pogubić.

- Która gra jest najłatwiejsza?

- Ruletka - odrzekł bez wahania Etienne.

- Potrzebuję błyskawicznego wykładu - powiedziała Helenę rzeczowym tonem. - Muszę się panu przyznać, że nigdy w życiu nie byłam w kasynie.

- To żaden problem. Do czasu ukończenia fryzury będzie pani wiedziała wszystko na temat ruletki.

Helenę stała przy stole do ruletki, obserwując, jak robiono zakłady. Na zielonym suknie piętrzyły się starannie poukładane stosy kolorowych żetonów. Każdy miał wartość od pięciu franków w górę. Oceniała, że na tym stole znajduje się fortuna.

Pochyliła się ostrożnie i postawiła swój samotny szton na kolor czarny, a potem szybko cofnęła dłoń. Uważnie przyglądała się zakładom. Etienne nauczył ją wystarczająco dużo, by nie czuła się zdezorientowana.

- Niech pani stawia na czerwone albo czarne - powiedział. -I proszę nie patrzeć na numery.

Do tej pory koło zatrzymywało się na czerwonych. Helenę uznała, że pora już na czarne.

Krupier zakręcił kołem, a gracze zebrani wokół stołu szybko porobili ostatnie zakłady.

- Rien ne va plus - oznajmił.

Teraz nie wolno już było obstawiać i wszyscy wpatrywali się w napięciu w kulkę, która miała zdecydować o losie ich pieniędzy. Podskoczyła kilka razy i zaczęła się szybko toczyć po kole.

Napięcie wokół stołu było ogromne. Poważne matrony spoglądały na koło przenikliwym wzrokiem jastrzębie, a ich

źrenice błyszcząły tak samo jak brylantowe naszyjniki. Młoda blondynka uwieszona ramienia grubego starego Niemca, który co chwila ocierał czoło chusteczką, niemal podskakiwała z podniecenia. Wysoki starszy dżentelmen śledził kulkę z wystudiowaną obojętnością, ale jego palce uderzały nerwowo o kant spodni. Młodszy, niższy mężczyzna stojący obok Helenę posłał jej nerwowy uśmiech.

Oddała mu uśmiech i patrzyła, jak kulka w kole zaczyna zwalniać. Gracze niemal przestali oddychać. Kobiety zagryzły czerwone wargi i zaciskały dłonie na etolach z nerek. Wreszcie koło się zatrzymało. Kulka wykonała ostatnie,

leniwe okrążenie. Helenę patrzyła na nią prawie bez tchu. Wygram! - myślała. Zatrzyma się na czarnym!

Ale ruchliwa kulka zawahała się i wpadła w czerwoną przegródkę z numerem trzydzieści cztery. Krupier sprawnie zgarnął grabkami sztony.

Helenę westchnęła i odwróciła się. Jej żeton został zabrany wraz z innymi. Nie myślała, że ma szansę na wygraną, ale czuła się taka podekscytowana w ciągu tego ułamka sekundy, kiedy kulka niemal wpadła na czarne pole.

Jacques odciągnął ją na bok, w chwili kiedy rozpoczęły się następne zakłady.

- Wygrywasz? - zapytał.

Helenę potrząsnęła markotnie głową, a jej grecka fryzura zakołysała się leciutko.

- Grałam pięć razy i pięć razy przegrałam - przyznała się, pokazując mu kilka żetonów. - To wszystko, co mi zostało.

- Biedna księżniczka. Dużo przegrałaś?

- Dwadzieścia pięć franków. Jacques roześmiał się.

- Należało przewidzieć, że będziesz grała bardzo ostrożnie. Wstydź się! - Pogroził jej palcem. - Taka bogata

dziewczyna jak ty powinna być lekkomyślna. Nie powinnaś grać w publicznej sali, tylko w tej dla szczególnych gości, gdzie wysokość puli budzi szacunek.

- Czy to tam poszła Caryca? Jacques wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jest w Sali Amerykańskiej, gra w blackjacka, klnie po rosyjsku i rozpina bluzkę!

- To musi być widok! - zaśmiała się Helenę. Kiwnął głową.

- Idę spróbować sił w grze w kości. Pójdiesz ze mną? Pokręciła głową.

- Zostanę tutaj.

Uniósł dłonie i zacisnął kciuki.

- Powodzenia.

Helene podeszła do stołu z ruletką.

Podczas rozmowy z Jacques'em straciła kolejkę. Gracze znowu śledzili wzrokiem kręcące się już koło.

Helene wzruszyła ramionami, odwróciła się, wymieniła w kasie pozostałe sztony na gotówkę i wyszła z sali. Dotarła do imponujących schodów i ruszyła na dół. Zawahała się przed wejściem do nocnego klubu, ale w końcu skierowała się do herbaciarni. Natychmiast wskazano jej najlepszy stolik.

- Poproszę o herbatę miętową - zwróciła się do kelnera.

Przyniósł ją i nalał ostrożnie z dzbanka do filiżanki. Helenę wciągnęła w nozdrza ziołowy aromat mięty, gdy para unosiła się leniwie z cienkiej białej porcelanowej filiżanki. Nawet nie przeczuwała, że tej nocy w kasynie czeka na nią szczęście. Sprowadziło ją na dół do herbaciarni i uśmiechało się życzliwie.

Rozdział 8

Siedzi tu pani już ponad godzinę - odezwał się uprzejmym tonem jakiś mężczyzna.

Helena odstawiła trzecią filiżankę herbaty na spodeczek i podniosła wzrok. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy to nie żigolak. Słyszała, że po kasynach kręcą się takie typy, szukając samotnych kobiet. Potem zdała sobie sprawę z absurdalności tego podejrzenia, bo zauważyła dystyngowany i szlachetny wygląd nieznanego. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziała. Wyglądał znajomo, ale nie mogła go nigdzie umiejscowić. Prawdopodobnie jest Anglikiem, uznała. Tylko w Anglii potrafią tak wspaniale uszyć smoking. Teraz, kiedy mężczyzna przemówił, okazało się, że zgadła. Jego francuski był doskonały, ale akcent

niewątpliwie zdradzał Anglika z
wyższej sfery.

Helenę z uśmiechem skinęła głową.

- Hazard niespecjalnie mnie interesuje.

- Mnie również nie - przyznał się jej
rozmówca. - Przyszedłem tu z
przyjaciółmi i udało mi się zniknąć im z
oczu. A pani?

- Także przyszedłem tu z przyjaciółmi.
Grają gdzieś na górze.

- Jest pani bardzo rozsądna - zauważył.

- Podobnie jak pan - zareplikowała.

- Czy nie obrazi się pani, gdybym się przysiadł?

Helena ucieszyła się z towarzystwa. Luba i Jacques szaleli w kasynie, a byli tu jedynymi ludźmi, których знаła. Dłuższa samotność staje się nudna.

- Nie. Będzie mi bardzo przyjemnie. Proszę... - Wskazała mu ręką miejsce naprzeciwko.

Delikatnie odsunął krzesło i usiadł. Dopiero wtedy Helena zdała sobie sprawę z tego, jaki jest wysoki. Poczowała lekki zapach dobrej wody po goleniu. Miał brązowe, gęste włosy, starannie zaczesane do tyłu, i regularne rysy. Ale najbardziej fascynowały ją jego oczy.

Brązowe i ciepłe, błyskały drobnymi iskierkami złota.

Nagle przypomniała sobie, gdzie się spotkali. Dawno temu w Lichtenstein Gallery, tego wieczoru, gdy odkryła ją Odile Joly. Nazywał się Nigel Somerset. Uznała, że teraz jest dużo przystojniejszy niż wtedy.

Przez następne pół godziny rozmawiali, poznając się wzajemnie. Helenę niewiele wiedziała o angielskim dobrym towarzystwie, ale maniery i strój Nigela wskazywały na wyższe, może nawet arystokratyczne pochodzenie. Mógł też być wykształconym przedstawicielem wyższej warstwy klasy średniej. Powiedział jej, że mieszka w Londynie

lub w rezydencji wiejskiej i czasem spędza wakacje na kontynencie. Mówił wymijająco i niewiele, ale Helenę mogła sobie wyobrazić jego wiejski dom. Widziała dużo zdjęć angielskich rezydencji z dachami krytymi strzechą, starymi belkami i gzymsami.

Dowiedziała się również, że pracował w rodzinnym przedsiębiorstwie, o którym mówił bardzo enigmatycznie. Prysłły jej złudzenia co do tego, że jest jednym z owych bogatych ekscentryków, ale to odkrycie wcale jej nie rozczarowało. Mężczyznę żyjącego ze swojej pracy mogła zrozumieć i mogła się z nim identyfikować. A nawet go podziwiać. Przecież sama też

pracowała.

Była ciekawa jego sytuacji rodzinnej. Nie wspominał o żonie czy dzieciach, więc przyjęła, że jest kawalerem.

Zerknęła dyskretnie, czy nosił obrączkę. Nie nosił. Wspominał tylko o rodzicach. Oboje żyli. Powiedział jej też, że jest w Monte Carlo z przyjaciółmi; zaprosili go na rejs jachtem. Dowiedziała się tego wszystkiego w ciągu dwudziestu pierwszych minut; to, czego nie wypowiedział słowami, dostrzegła oczyma duszy. Potem zręcznie zmienił temat, tak że Helenę nie zdała sobie z tego sprawy, i zaczął zadawać jej pytania. Była szczerą i otwartą. Już od dawna z nikim tak długo nie rozmawiała.

Nigel Somerset, musiała to przyznać, umiał słuchać, a tacy ludzie należą do rzadkości. Było w nim coś, co dawało poczucie bezpieczeństwa. Zamówił następny dzbanek herbaty, tym razem jakiegoś dziwnego gatunku, którego Helenę nie znała, ale uzmysłowiła sobie, że przecież Anglicy

są wielkimi znawcami tego napoju. Kiedy delikatnie zapytał, czy ma męża, wyjaśniła, że jest wdową po Stanisławie Kowalskim, a on nie uniósł nawet brwi. Jeżeli uważał to za niewłaściwe, że stary pianista miał tak młodą żonę, nie dał niczego po sobie poznać. Grzeczna obojętność leży w naturze Brytyjczyków. Po prostu kiwnął

głową i powiedział, że dwukrotnie słuchał gry Stanisława podczas jego występów w Royal Albert Hall.

Przyznał, że cenił go wysoko zarówno jako człowieka, jak i artystę. Potem wypytywał ją dalej i nagle zdała sobie sprawę z tego, że opowiada mu o „Les Modes”. Na początku obawiała się, że go to znudzi, ale po chwili zauważyła jego szczere zainteresowanie. Wtedy nabrała podejrzeń.

- Na pewno nie pracuje pan dla konkurencji? - zapytała nieufnie.

- Na pewno nie - oświadczył z uśmiechem. Helenę wypić łyk herbaty.

- Nie powiedział mi pan, co pan robi.

Już miał to zrobić, ale w tym momencie w drzwiach pojawił się Jacques i kiwnął do niej. Helenę odstawiła filiżankę i podniosła się z krzesła.

- Proszę mi wybaczyć. Widzę, że szuka mnie jeden z przyjaciół.

- Oczywiście. - Nigel wstał, z galanterią przytrzymał jej krzesło i patrzył, jak przesuwawała się pomiędzy stolikami.

Jacques otworzył przed nią drzwi herbaciarni.

- O co chodzi? - zapytała Helenę.

- Wychodzę. - Zerknął niecierpliwie w głąb holu. Spojrzała w tę samą stronę.

W dyskretnej odległości stał Etienne. Napotkała jego wzrok; skinął lekko głową w jej kierunku.

Wzięła Jacques'a za rękę i pociągnęła na bok.

- Zmusiłeś mnie do przyjścia tutaj, a teraz chcesz uciec, żeby się zabawić.

- Miej serce, księżniczko.

- Dobrze, idź. - Poddała się. Chciała jak najszybciej wracać do Nigela. - Ale pamiętaj, kiedy chesałam się u Etienne'a, zapłaciłam za to niezłą sumę i zostawiłam hojny napiwek. Zatem nie obiecuj mu sesji w „Les Modes” w zamian za jakieś... świadczenia -

oświadczyła stanowczo.

Jacques pokręcił głową.

- Doprawdy, księżniczko, czasem mnie rozczarowujesz. Niepotrzebnie mówisz takie rzeczy.

- Trzeba oddzielać pracę od przyjemności.

- Zawsze to robię. - Prychnął niecierpliwie. - Lecę już, żeby nie znudził się czekaniem. A ty wracaj do Nigela Somerseta i baw się dobrze. - Odwrócił się, chcąc odejść.

- Hej. - Przytrzymała go za ramię. - Nie tak szybko. Skąd znasz Nigela?

- Każdy wie, kim jest Nigel Somerset. - Jacques spojrział na nią zaskoczony. - Ty nie?

- Nie, ale jest bardzo miłym człowiekiem.

- Jest bardzo miłym bogatym człowiekiem - poprawił ją Renault. - To przyszedł szesnasty diuk Farquharshire, dziedzic fortuny Somersetów. Pewnie teraz mi powiesz, że nie miałaś pojęcia, iż jego ojciec, piętnasty diuk, jest trzecim najbogatszym człowiekiem w Anglii?

Helenę rozglądała się wokoło w ciemnościach, gdy Nigel ostrożnie prowadził ją schodami w dół na plażę.

Minęła już północ i wielki basen był zamknięty, a parasole wokół niego poskładane. Ci, którzy opalali się tu w ciągu dnia, tłoczyli się nadal przy stołach w kasynie, a tu, na plaży, wszystko było pogrążone w ciszy, nawet małe bungalowy, w których bogaci i sławni wydawali swoje słynne przyjęcia. Właśnie do jednego z tych pawilonów się kierowali. Około stu metrów w dół widzieli odbłask płomieni. Słysząc też było muzykę. To monsieur Skouri wydawał przyjęcie w greckim stylu. Nigel poprosił Helenę, by się tam z nim wybrała. Kiedy podeszli, dostrzegła zespół muzyków, pochodnie wbite w ziemię i stół zastawiony wszelkimi specjałami

śródziemnomorskiej kuchni. Migotliwe pochodnie oblewały gości niesamowitym czerwonobrazowym blaskiem. Było tam co najmniej trzydzieści lub czterdzieści zupełnie nieznanymi Helenę osob. Nigel miał rację co do jednego: wszyscy nosili wieczorowe stroje. Jednak niektórzy panowie porozpinali koszule, tańcząc w gorącym rytmie muzyki. Kobiety skromnie zdejmowały delikatne wieczorowe pantofelki.

Helenę przystanęła, szybko zrzuciła sandaiki i wzięła je w rękę.

- Nigel! - Przez gwar przyjęcia przebił się głęboki głos.

Zaskoczona Helenę rozejrzała się dookoła. Szedł ku nim niski, krępy mężczyzna o ciemnych włosach i w okularach z grubymi czarnymi oprawkami. Miał na sobie workowate spodnie i białą rozpiętą koszulę. Objął Nigela i zerknął na Helenę.

- Wiedziałem, Nigel! - zawołał. -
Wcześniej czy później musiałeś wpaść
w sidła jakiejś pięknej, młodej kobiety!

Zerknęła na Nigela. Uśmiechał się z dumą.

- Sądziysz, że jest piękna, Zeno? -
zapytał.

Zeno przyjrzał się uważnie Helenę, a

potem się roześmiał.

- Jest bardzo piękna! - Nagle uściskał ją mocno i ucałował w oba policzki.

- Jestem Zeno Skouri - oznajmił, nie czekając na prezentację.

- Helenę Junot.

- Enchante - powiedział i ucałował jej dłoń. Potem wziął oboje pod ręce i poprowadził. - Chodźcie, napijemy się szampana. Mamy pięćdziesiąt dużych butelek. Szkoda, żeby się zmarnowały. - Spojrzał na Helenę. - Lubisz Dom Pérignon?

Skinęła głową.

- Tak, ale tylko odrobinę. Jutro muszę być w dobrej formie, czeka mnie podróż. Rano wracam do Paryża.

Skouri zmarszczył brwi.

- Taka piękna kobieta musi wracać do Paryża? Myślałem, że wszystkie piękne kobiety wyjechały z miasta na wakacje.

- Niektóre muszą pracować - zaśmiała się Helenę. Spojrzał na nią ciekawie.

- Modelka czy aktorka?

- Ani jedno, ani drugie. Helenę wydaje pismo poświęcone modzie - wyjaśnił Nigel. - Może o nim słyszałeś, nazywa się „Les Modes”.

Skouri się rozpromienił.

- Nawet widziałem - odrzekł z entuzjazmem Zeno. - Ariadne twierdzi, że to jedyny dobry magazyn na rynku.

Ucieszyły ją te słowa. Ariadne Cosindos była słynną tancerką baletową. I kochanką Skouriego. Helenę poczuła się dziwnie, słysząc, że ktoś mówi o wielkiej Cosindos po prostu Ariadne.

- Skoro pracujesz u siebie samej i zapewne zatrudniasz odpowiedzialnych ludzi, nalegam, żebyś została z nami przez dwa najbliższe tygodnie - oznajmił stanowczo Skouri.

Helenę otworzyła szeroko oczy.

- Ja... ja nie bardzo rozumiem -
wyjąkała.

- Rejs. Wyruszyliśmy z Barcelony,
chcemy opłynąć włoski but i dotrzeć do
Wenecji - Przystanął i popatrzył na nią.

- Co ty na to? Zaszczycisz nas swoim
towarzystwem?

Przez chwilę Helenę była oszołomiona.
Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś tak
spontanicznego. I nigdy nie zrobiła sobie
prawdziwego urlopu. A czy kiedyś
jeszcze uda jej się dostać zaproszenie na
słynny jacht Skouriego? Tak przyjemnie
byłoby z nimi popłynąć. Poza tym każda
wymówka wydawała się
niewystarczająca. Zeno Skouri miał

rację. Po co zatrudniać odpowiedzialnych ludzi, jeżeli nie po to, aby pracowali w czasie jej nieobecności. Przecież mogę przekazać swoje obowiązki Lubie, zdecydowała szybko. Zerknęła na Nigela. Uśmiechnął się zachęcająco.

- Chcesz, żebym z wami popłynęła? - zapytała cicho. W milczeniu skinął głową. Skouri to zauważył.

- Widzisz? - zawołał zyczliwie. - Nigel mówi, że masz popłynąć, więc musisz. Wszystko ustalone. Pojutrze wyruszamy. Wyślę po ciebie samochód. Gdzie mieszkasz?

- Hôtel de Paris.

- To mój ulubiony hotel - rzekł z dumą. -
I jedyny powód, dla którego wkupiłem
się do SBM. Ponieważ uwielbiam Salę
Empirową. - Rzucił jej sprawdzające
spojrzenie.

- Podoba ci się? Helenę przytaknęła.

- To arcydzieło belle époque - odrzekła
poważnie, myśląc o wielkiej sali
ozdobionej freskami przedstawiającymi
kobiety o dużych piersiach. - Mam
słabość do tego okresu.

- Dobrze się składa. Salon na
„Evangelii” jest w stylu belle époque. -
Podeszli do baru. - Teraz szampan. I nie
przejmuj się kacem, będziesz miała cały
dzień, aby go wyleczyć.

Nigel klepnął go w plecy i chrząknął znacząco. Skouri odwrócił się, wyprostował i opuścił ramiona, a potem westchnął.

- Oto moje szczęście - powiedział z rezygnacją. - Najpiękniejsza kobieta tuż obok. - Zrobił markotną minę i ruszył w kierunku wysokiej, szczupłej kobiety o egzotycznym wyglądzie, ubranej w srebrny sarong.

Nigel i Helenę obserwowali, jak gospodarz przyjęcia, czarująco uśmiechnięty, kładzie dłoń na plecach kobiety i idzie z nią po plaży. Nigel delikatnie objął Helenę za ramiona.

- Zatańczymy?

Uśmiechnęła się do niego. Jej twarz promieniała i migotała w świetle pochodni.

- Zatańczymy - odpowiedziała drżącym głosem.

Dopóki świt nie rozjaśnił plaży, Helenę tańczyła i piła z Nigelem. Oboje stracili poczucie rzeczywistości; taniec następował po tańcu, a kieliszek po kieliszku i tak w nieskończoność. Nie miała mu za złe, że zatrzymał ją tylko dla siebie, zamiast przedstawić reszcie gości. Odprowadził Helenę do hotelu o poranku, gdy słońce rozświetlało już blade niebo różową poświatą. Zdała sobie wtedy sprawę z tego, że nie zna żadnego z uczestników rejsu poza

Nigelem i właścicielem jachtu.

Nigel mi wystarczy, pomyślała dziwnie poruszona. Wystarczy za wszystkich.

Popołudniowe słońce rzucało jasne błyski przez zasłony, gdy Helenę obudziła się w zaciemnionej sypialni. Spojrzała na siedzącego obok łóżka Jacques'a.

- Było cudownie! - zawołał uszczęśliwiony. - Ten Etienne to naprawdę ktoś, wiesz? Nie jak ci pięknie z Paryża. To prawdziwy mężczyzna.

Spróbowała unieść głowę.

- Proszę! -jęknęła słabo. - Oszczędź mi szczegółów. - Ostrożnie podniosła rękę do czoła i ponownie opadła na poduszkę. W ustach czuła gorzki niesmak.

Jacques przyglądał jej się ze zdumieniem.

- Co się stało, księżniczko? Masz kaca?

- Proszę, mów ciszej. Głowa mi pęka - błagała go.

- Biedna księżniczka. - Wstał, przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę.

Rozmawiał odwrócony do niej tyłem i chwyciła tylko strzępki zdań. - Tak, do pokoju... sok pomidorowy z lodem, sos

tabasco, sól... i odrobina wódki. -
Odwrócił się i popatrzył na Helenę.

- Mdli mnie! -jęknęła.

Odłożył słuchawkę i wyszczerzył zęby
w uśmiechu.

- Zamówiłem coś, czym leczy się kaca w
Ameryce. - Klasnął w dłonie, aż Helenę
zamrugęła. - Wstawaj, księżniczko,
przed nami jeszcze mnóstwo roboty! Za
trzy godziny wyjeżdżamy, pamiętasz?

- Wyjeżdżamy? - powtórzyła niepewnie
i ostrożnie pokręciła głową. - Nie dam
rady nigdzie jechać.

- Teraz nie. Ale już niedługo zrobi ci się

lepiej. - Przeszedł od okna do okna i szybko porozsuwał zasłony. Słońce zalało pokój.

Helene jęknęła i zasłoniła twarz poduszką.

- Zaciągnij zasłony! - zażądała stłumionym głosem.

- Trzeba wstawać, księżniczko - perswadował Jacques. - Pociąg na nas nie zaczeka. Luba jest już spakowana i właśnie je coś na dole.

Helene wyjrzała spod poduszki.

- Która godzina?

Jacques podciągnął mankiet koszuli, by zerknąć na zegarek.

- Pięć po trzeciej - odrzekł łagodnie.

- Trzecia! -jęknęła.

Nic dziwnego, że czuła się tak koszmarnie. Wróciła do hotelu o wpół do szóstej, lekka jak piórko i rozchichotana niczym pensjonarka.

Pamiętała tylko, jak Nigel przyprowadził ją do pokoju, położył do łóżka i ucałował delikatnie w czoło. Czy zdarzyło się coś więcej? Może on...

Nie, pamiętałyby przecież, gdyby do czegoś doszło. I jak w ogóle mogło jej przyjść do głowy coś tak okropnego! Nigel jest dżentelmenem, nie

wykorzystałby takiej sytuacji!

Nagle usiadła prosto i od razu przeklęła się za ten gwałtowny ruch. Ból przeszył jej czaszkę. Dotknęła palcami czoła. Rejs! Musi zawiadomić tych z recepcji, że zostaje dzień dłużej. I zostawić Lubie instrukcje na czas nieobecności. A może... W jej umyśle błysnęło nagłe podejrzenie. Czy to zaproszenie jej się nie przyśniło? Może to tylko przywidzenie pod wpływem szampana? Ale kiedy Zeno Skouri ją zaprosił, nie zdążyła jeszcze wypić ani kropelki. Opadła na poduszkę.

- Jacques...

- Tak, księżniczko? - Podszedł do łóżka.

- Zadzwoń do recepcji i powiedz, że zostaję jeszcze jeden dzień. Potem sprowadź tu Lube.

- Zostajesz?

- Zrób, o co proszę - poleciła słabym głosem, zamykając oczy.

- Jasne, księżniczko. - Spojrzał na nią ze zdziwieniem i znowu podszedł do telefonu. Po chwili rozmawiał z szefem recepcji. Kiedy skończył, spojrział na Helenę z niedowierzaniem.

- Już wiedział - rzekł. - Obracasz się w wysokich sferach, księżniczko. Podobno Zeno Skouri sam zadzwonił, aby przedłużyć twoją rezerwację.

Helenę otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Mam ci też przekazać, że jesteś gościem tego hotelu. Westchnęła z ulgą. Więc to zaproszenie nie było snem!

Poczuła, jak wraca jej energia.

- Dobrze - powiedziała już raźniej. - Teraz sprowadź Carycę.

- Tak jest. Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego chcesz zostać. Helenę starała się zachować obojętną minę.

- Postanowiłam wziąć sobie dwutygodniowy urlop. To - wszystko.

Przywilej szefowej.

- To świetnie! Dokąd się wybierasz?

- Na rejs jachtem Skouriego.

- Jacht Skouriego! - Jacques gwizdnął głośno. - Dobry Boże, masz Monte Carlo u stóp! - Zamyślił się. - Księżniczko? - zaczął z wahaniem.

-Hm?

- Czy nie miałybyś nic przeciwko temu, żebym też tu został jeszcze dzień?

- A co ze zdjęciami? Powinieneś je wywołać.

- Mogą zaczekać ten jeden dzień. Zajmę się nimi natychmiast po powrocie, przysięgam. Poza tym przecież jesteśmy ze wszystkim miesiąc do przodu.

Zanim zdołała odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Jacques i przeszedł przez pokój. Był to kelner z zamówionym drinkiem i wspaniałą czerwoną różą w wazonie. Jacques wziął tacę i przyniósł do łóżka.

Helene wykrzywiła się z obrzydzeniem.

- To naprawdę pomaga, księżniczko. Bądź grzeczną dziewczynką i wypij do dna.

- A votre santé - mruknęła, podnosząc szklankę do ust. Spojrzała na Jacques'a i ostrożnie spróbowała napoju.

Kiedy Luba weszła do pokoju, Helenę siedziała już na sofie. Odłożyła posmarowaną masłem bułeczkę, którą usiłowała w siebie wmusić. Luba trzymała w ręku nowy numer „Paris Vogue”. Dziewczyna z okładki spoglądała na nie złośliwie.

- Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłam - odezwała się Helenę przepraszającym tonem.

- Nie - odpowiedziała cicho Luba. - Właściwie to sama zamierzałam przyjść do ciebie.

Helenę kiwnęła głową.

- Chciałam ci powiedzieć, że nie jadę dziś z wami do Paryża. Postanowiłam zrobić sobie dwutygodniowe wakacje. Będiesz za wszystko odpowiedzialna do mojego powrotu.

Luba kiwnęła głową.

- Ale mam tu coś, czym pewnie zechcesz sama się zająć - oświadczyła poważnym tonem.

- Tak? - Helenę uniosła brwi. - Co takiego?

- Przed lunchem zauważyłam, że jest już nowy „Vogue” - wyjaśniła Luba. Mimo

że były same, ściszyła głos. - Więc kupiłam go sobie. - Spojrzała na nią ponuro. - Tylko po to, żeby zobaczyć, co słyszą u konkurencji, rozumiesz - wyjaśniła niepotrzebnie.

Helena uśmiechnęła się, ale ogarnął ją niepokój. Luba nie dramatyzowała jak zwykle, więc to musiało być coś poważnego. Wskazała jej krzesło.

- Usiądź - powiedziała.

Luba usiadła wyprostowana i podała jej „Vogue’a”.

- Od strony osiemdziesiątej czwartej do osiemdziesiątej dziewiątej.

Helena spojrzała na nią, ale ciemne oczy Luby były bez wyrazu. W milczeniu otworzyła „Vogue’a” na osiemdziesiątej czwartej stronie. Nagle na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, a zaraz po nim gniew. Szybko przerzuciła następne strony, a potem zerwała się na równe nogi i zaraz jęknęła, bo znowu poczuła ból w skroniach. Zaczęła chodzić po pokoju; usta zacisnęły jej się w wąską linię. Wbrew jej zakazowi Jacques zrobił sesję dla konkurencji, chociaż pracował na stałe w „Les Modes”. Już to samo zasługiwało na surową karę. Ale posunął się jeszcze dalej. Pod każdą fotografią umieścił swój podpis.

To był cios w plecy.

Po chwili Helenę odwróciła się do Luby.

- Dziękuję, że mi to pokazałaś. Caryca wstała.

- Nie chciałam na niego donosić - powiedziała ze smutkiem. Helenę zmusiła się do uśmiechu.

- Zdaję sobie sprawę z tego. Wiem, że w pewnym sensie „Les Modes” znaczy dla ciebie więcej niż dla mnie. Nie martw się. Nie powiem Jacques’owi, że to ty pokazałaś mi te zdjęcia.

Luba uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Mogę to na razie zatrzymać? - zapytała

Helenę, wskazując „Vogue’a”.

Tscherina kiwnęła głową i wyszła bez słowa.

Helenę szybko włożyła sukienkę, przesunęła grzebieniem po włosach i ruszyła na poszukiwanie Jacques’a. Nie było go w pokoju. Siedział na tarasie pod parasolem. Kiedy padł na niego jej cień, podniósł głowę.

- No proszę, wstałaś, księżniczko. Mówiłem ci, że sok pomidorowy z wódką czyni cuda. Proszę... - Podniósł się i wysunął dla niej krzesło. - Usiądź, zamówimy jakieś jedzenie.

Helenę popatrzyła na niego surowo.

- Nie, dziękuję - odparła cicho i rzuciła „Vogue’a” na stolik. - W twoim kontrakcie jest zastrzeżenie, że nie wolno ci robić zdjęć dla żadnego magazynu poza „Les Modes”.

Jacques wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

- A więc już wiesz - mruknął. - Ale chyba tak naprawdę nie myślałaś, że będę przestrzegał tego paragrafu o wyłączności.

- Nie tylko zażądałam tego ustnie, ale także mam to na piśmie. Czy to nie jest wystarczająco jasne?

- Daj spokój, księżniczko...

- Nie nazywaj mnie księżniczką! -
zawołała ostro. - Od tej chwili jesteś
zwolniony! Oczekuję twojej pisemnej
rezygnacji.

Jacques wyglądał na zdumionego, ale po
chwili się roześmiał.

- Zwolniony? To ja, Jacques, twój stary
przyjaciel, nie pamiętasz? Pomagałem ci
stworzyć „Les Modes”.

- Powtarzam ci, że jesteś zwolniony.
Jestem i tak bardzo uprzejma, że
pozwalam ci złożyć rezygnację - dodała
cicho. - Proszę, żebyś oddał Lubie filmy,
które tu zrobiłeś.

Jacques obrzucił ją drwiącym

spojrzeniem.

- A jeżeli tego nie zrobię?

- Podam cię do sądu i będziesz skończony. Wszyscy uznają cię za kogoś, na kim nie można polegać, za nieuczciwego. Żaden wydawca z kręgu mody nawet nie spojrzy na twoje fotografie.

Jacques wziął serwetkę z kolan i rzucił na talerz. Odepchnął krzesło i wstał.

- Świetnie. Nie pokażę się w redakcji do twojego powrotu. Ale potem sobie porozmawiamy.

- O czym? - zapytała szorstko.

- O odszkodowaniu. - Poklepał japo policzku. - To może poczekać. Nie będę psuć ci wakacji, księżniczko.

Chciała coś powiedzieć, ale Jacques już odszedł, zostawiając ją rozgniewaną na tarasie. Odwróciła się ze złością od stolika. Lubiła Jacques'a i ufała mu, a on w tak głupi sposób zniszczył ich przyjaźń. Przez chwilę Helenę chciała zatelefonować do Skouriego i wyjaśnić, że nie może wziąć udziału w rejsie. Potem jednak zmieniła decyzję. Zrobili już

zdjęcia do kolejnego numeru „Les Modes”. Nawet wyprzedzali plan. Luba ma czas, by znaleźć kogoś, kto wywoła filmy. Potem zatrudniającego wolnego

fotografa. Może Ce-cila Beatona, Williama Kleina czy Hiro, jeżeli się uda ściągnąć któregoś z nich. Dlaczego ona, Helenę, miałyby przejmować się z powodu zdrady Jacques'a?

Rozdział 9

Słońce było już wysoko, ale powiewy bryzy znad morza jak zwykle szeleściły w liściach palm i chłodziły powietrze. Białe jachty zakołysały się przy nabrzeżu, gdy przepłynęła obok nich motorówka kierująca się pomiędzy bliźniacze kamienne wieże, które strzegły wejścia do portu.

Jacques stał w cieniu na rue des Remparts. Na szyi miał zawieszoną

lornetkę Zeissa; z portu roztaczał się wspaniały widok na morze. Ale nie przyszedł tu podziwiać krajobrazu. Czekał na kogoś. Przypomniawszy sobie ostatnią noc. Spotkał się z Etienne'em już drugi raz. Przez cały wieczór dużo pili i palili opium, które tamten przyniósł. W rezultacie Jacques prawie wcale nie spał. Będzie na to czas później, myślał. Poza tym teraz, kiedy był bez pracy, a Helenę wyjechała, przez najbliższe dwa tygodnie nie miał nic do roboty. Postanowił zostać dłużej w Monte Carlo. Przynajmniej dopóki mu się tu nie znudzi.

Ktoś nadchodził. Jacques odwrócił się i zobaczył przed sobą Huberta de Légera.

Nagle musiał się uśmiechnąć. Hubert zbliżał się ku niemu pieszo, miał czerwoną twarz, a jego klatka piersiowa unosiła się gwałtownie z wysiłku. W Monako, niezależnie od tego, dokąd człowiek zmierzał, zawsze trzeba było iść pod górę lub w dół. Hubert musiał dwukrotnie się zatrzymać, by wytrzeć chusteczką pot z twarzy. Jacques poczekał, dopóki tamten się nie zbliżył.

- Spóźniłeś się - zauważył.

- Co jest tak bardzo ważne? - zapytał ze złością Hubert. - Dlaczego ściągnąłeś mnie tak nagle?

- Dobrze by było, gdybyś trochę poćwiczył cierpliwość. - Jacques

wcisnął ręce do kieszeni spodni i wskazał ruchem głowy port w dole. - Piękny widok, nieprawdaż?

De Léger milczał.

- Poznajesz któryś z tych jachtów?

- A powinienem? - odparł wyzywająco Hubert.

- Spójrz na pierwsze stanowisko. - Jacques wyjął ręce z kieszeni, zdjął lornetkę z szyi i podał ją swojemu rozmówcy.

Ten wahał się przez chwilę, a potem przyłożył szkła do oczu. Pierwsze stanowisko znajdowało się wewnątrz

falochronu po tej stronie portu. Stał tam czteropokładowy jacht w stylu śródziemnomorskim. De Léger przyglądał mu się przez moment. Bez wątpienia był to najokazalszy jacht w porcie, długi i błyszczący; lśniąca biel rzucała oślepiające błyski. Był wielkości małego oceanicznego liniowca, miał prawie sto metrów długości, ostry dziób i łagodnie zaokrągloną rufę. Komin pomalowano na granatowo, podobnie jak dwa wodnopłatowce Piaggio, które stały na drugim pokładzie. Tego samego koloru były również plandeki motorówek i wielka markiza nad pokładem rufowym.

- Czyj to jacht? - zapytał Hubert.

- To „Evangelia” - odrzekł Jacques. - Jacht Skouriego. Robi wrażenie, nieprawdaż? Hubert raz jeszcze podniósł do oczu lornetkę. Kiedy tak patrzył, na nabrzeżu przy

jachcie zatrzymało się pięć rolls-royce'ów, a szoferzy otworzyli drzwi. Naliczył dwanaście osób. Obejrzał z uwagą każdą z nich. Nagle twarz mu poszarzała. Rozpoznał jedną z pasażerek. Miała sandały na korkowej podeszwie, sukienkę w kratkę, duże okrągłe okulary przeciwsłoneczne i wielki słomkowy kapelusz. Hubert opuścił lornetkę. Nie zauważył, że Jacques bacznie go obserwuje. Mógł myśleć tylko o kobiecie, którą przed

chwilą widział. To była Helenę Junot.

Zaczęły mu drżeć dłonie. Wielka miłość, jaką kiedyś do niej czuł, przekształciła się w coś całkiem przeciwnego i jeszcze silniejszego.

Nienawiść.

Kiedy już „Evangelia” stała się białym punktem w połowie drogi do Menton, Jacques i Hubert poszli do baru Ariston Bon. W sali było chłodno. Wypełniali ją turyści.

Jacques i Hubert zajęli stolik w cichym kącie. Nie rozmawiali, dopóki nie przyniesiono im drinków.

Hubert obrzucił Renaulta wrogim spojrzeniem.

- Do tej pory nie kochaliśmy się zbyt
- odezwał się podejrzliwym tonem. -
Skąd ta nagle przyjaźń?

- Ponieważ teraz zawieszenie broni
może nam przynieść obopólną korzyść,
warto więc połączyć siły -
odpowiedział gładko Jacques. Pociągnął
łyk rozkosznie orzeźwiającego campari.
- Wiem, że mnie nie lubisz - ciągnął. -
Szydziłeś ze mnie publicznie, nawet o
raz za dużo. A ja byłem dyskretny.
Nikommu nie pisałem ani słówka o tobie.

Zarumieniona twarz Huberta
poczerwieniała jeszcze bardziej.

Wyglądał, jakby miały mu popękać żyłki na skroniach.

- A co mógłbyś powiedzieć? - zapytał ze złością. Jacques zachichotał.

- Daj spokój, Hubercie, przecież wiesz, i to bardzo dobrze. De Léger spojrział na swój kieliszek.

- Byłem wtedy bardzo pijany - odparł szybko. - Zresztą to zostało ukartowane. Jacques popatrzył na niego ostro.

- Czyżby? - W jego głosie zabrzmiały twarde nuty. - Oczywiście, byłeś wtedy chłopcem, miałeś piętnaście lat i przyjechałeś z rodzicami na weekend do Paryża. Ale wymknąłeś się z hotelu i

poszedłeś do baru dla
homoseksualistów, czyż nie? A potem
byłeś z Maurice'em i ze mną. Pamiętasz,
co wtedy robiłeś?

Nagle Hubert chwycił go za kołnierz i
przyciągnął go do siebie. Twarz
fotografa poczerwieniała, z trudem łapał
oddech. Podniósł ręce do gardła i
próbował odsunąć dłoń Huberta.

- Puść mnie! - wyrzęził. - Pożałujesz.

Hubert owinał kołnierz Jacques'a wokół
palców i zacieśnił chwyt.

- Słuchaj, ty obrzydliwy pedale -
warknął mu w twarz - zabiję cię, jeśli to
komukolwiek powtórzysz.

Rozmowy wokół nich ucichły i Hubert wyczuł, że wszyscy na nich patrzą. Rozejrzał się i z pogardą pchnął Jacques'a z powrotem na krzesło. Fotograf przełknął ślinę i poprawił kołnierz. Przez chwilę wpatrywał się w Huberta.

- Każdy próbował raz w życiu czegoś takiego! - wysyczał de Léger półgłosem.
- Nie jestem taki jak ty. To był normalny etap dorastania. Wszyscy chłopcy robią takie rzeczy.

Jacques szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- A co z fotografiami, Hubercie? - zapytał szyderczo. - Wciąż mam te

odbitki, wiesz? Pewnie, że nie są to prawdziwe zdjęcia pornograficzne. Ale jesteś na nich nagi. Onanizujesz się, pamiętasz? Wtedy myślałeś pewnie, że pozowanie do zdjęć to część twojego procesu dorastania!

- To była pomyłka! Nie możesz tego pojąć swoim perwersyjnym umysłem? Byłem dzieckiem. - Podniósł kieliszek do ust i wypił łyk koniaku.

Jacques zaśmiał się cicho.

- Kto ci uwierzy? Zdjęcia mówią same za siebie. Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Musiałem wziąć taksówkę, pamiętasz? Dlatego że ty pojechałeś do naszego domu na

motocyklu z Maurice'em. I figlowaliście przez całą drogę, mógłbym dodać.

- Czego chcesz? Pieniędzy? Masz. -
Hubert sięgnął do portfela i zaczął odliczać banknoty tysiącfrankowe.

Jacques pokręcił głową i odepchnął pieniądze.

- Nie chcę twojej forsy. Chcę zawrzeć umowę. Hubert spojrzał na niego wyniośle.

- Nie sądzę, żeby mi się podobał układ z tobą - odparł cicho.

Jacques pochylił się nad stolikiem; teraz już całkowicie odzyskał pewność siebie.

- Ale podobają ci się jej układy, tak?
Wiem, jak bardzo musisz jej
nienawidzić. Nie chcesz się od tego
uwolnić?

Hubert skończył koniak i odstawił
kieliszek.

- Mów, co masz do powiedzenia -
zażądał poirytowany.

- W porządku. - Jacques zmarszczył
brwi i zaczął się bawić szklaneczką od
campari. - Jeśli się nie mylę, Les
Editions Helene Junot ma trzech
udziałowców. Helene, ciebie i pewnego
Niemca. Jeżeli ty i ten Niemiec
połączycie siły, będziecie mieli razem
dwadzieścia procent akcji.

- Co cię to obchodzi? - mruknął Hubert.
- Jesteś po jej stronie.

- A co powiesz na to, że mam zamiar stać się udziałowcem? To da nam trzydzieści, może czterdzieści procent, jeżeli się połączymy. Wystarczająco dużo, by nieco zablokować jej działania.

Hubert się wyprostował.

- Ty udziałowcem! - rzucił niedowierzającym tonem. - Jak? Co ona ma na ciebie? Jacques spojrział na niego zdumiony. Zastanawiał się, co to miało znaczyć.

- Na mnie? Mój drogi, o czym ty, do diabła, mówisz? - Nagle oczy mu

zabłyły; elementy łamigłównki trafiły na swoje miejsca. - A więc to tak! - wykrzyknął z triumfem, odpowiadając na swoje własne pytania. - Teraz rozumiem! - Wybuchnął śmiechem.

Świat oszalał, on sam oszalał, nawet Helenę oszalała! Hubert spojrział na niego ostro.

- Co zrozumiałeś?

- Dlaczego masz udział w wydawnictwie. Zawsze uważałem, że to dziwne. Przecież Helenę cię nienawidzi. I sama jest dostatecznie bogata, nie potrzebuje twoich pieniędzy. - Jacques sącył swoje campari małymi łykami. Po chwili odezwał się szeptem: -Co takiego

zrobiłeś, że zmusiła cię do tej inwestycji?

- Nic - odparł Hubert szybko.

- Daj spokój, nie jestem głupcem. - Jacques spojrzał na niego przenikliwie.

- Powiedziałeś, że mnie zabijesz...

zastanawiam się... może kiedyś już to zrobiłeś? - zapytał nagle. - To klucz do wszystkiego, prawda?

Hubert patrzył na niego w milczeniu. W oczach fotografa widział pragnienie zemsty i ambicję, których nie było tam wcześniej.

- Kogo zabiłeś, Hubercie? Zaraz, zaraz... - Jacques udawał, że głęboko

się zastanawia, i bębnił palcami po stoliku.

Hubert wpatrywał się w jego ruchy z chorobliwą fascynacją. Palce fotografa wyglądały tak, jakby dotykały klawiatury fortepianu.

Jacques uśmiechnął się szeroko i spojrzał na de Légera.

- Stanisława Kowalsky'ego - oznajmił cicho.

Pokłady drżały leciutko; wielkie dieslowskie silniki sprawiały, że „Evangelia” mknęła przez fale. Monako oddalało się powoli i wyglądało teraz jak inne skupisko

białych domów na Lazurowym Wybrzeżu. Potem widzieli tylko ciemnoniebieską, falującą łagodnie wodę. Horyzont był zamglony i trudno było dostrzec, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo.

Helenę odwróciła się, bo podszedł do niej Zeno Skouri.

- Jesteś gotowa na wielkie zwiedzanie?
- zapytał. - Wszyscy oprócz ciebie znają już mój jacht.
- To dlatego, że cię nie znałam, gdy rozpoczynaliście rejs w Barcelonie.
- Będiesz mogła nadrobić to teraz. - Rozejrzał się. - Gdzie Nigel?

- Odszedł na chwilę - odpowiedziała. -
Obiecał mi, że zaraz wróci.

- Zatem zaczekamy. - Grek uśmiechnął się i oparł o reling. - Nie chcę, żeby nasz przyjaciel pomyślał, że cię porwałem. - Popatrzył na nią uważnie. - Ma o tobie bardzo dobre zdanie.

Helenę poczuła, że się rumieni.

- Ach, Nigel wraca.

Drzwi salonu rozchyliły się i Nigel wszedł na pokład. Miał na sobie białe szorty, koszulkę polo, białe skarpetki i tenisówki. Ten strój podkreślał jego szczupłą, ale muskularną budowę i sprężyste ruchy. Zbliżył się do nich z

uśmiechem. Zdawało mu się, że uchwycił spojrzenie Helenę, ale zaraz zamrugła powiekami i odwróciła wzrok. Tak jakby została przyłapana na czymś, czego nie powinna robić.

- Idziemy na obchód statku - oznajmił dumnie Skouri. - Możesz się przyłączyć, jeżeli zdołasz znieść zachcianki i kaprysy starego Greka.

- Będę zaszczycony - odrzekł Nigel uprzejmie, biorąc Helenę za rękę. Poczowała przyjemny dreszcz, kiedy jego palce dotknęły jej dłoni. Ten uścisk był

mocny, a jednocześnie delikatny. Podniosła głowę i przez chwilę patrzyła Nigelowi w oczy. Były ciepłe,

uśmiechnięte i szczere. Poczwała w jego dotyku zmysłowość i zadrżała.

Zwiedzanie jachtu trwało ponad godzinę. „Evangelia” była dumą i radością Greka. Kiedy już zaczął o niej mówić, nie mógł skończyć. Cieszył się, że ma zainteresowanych słuchaczy.

Urodził się w biedzie na wyspie Thera, ale udało mu się zdobyć bogactwo i sławę, osiągnął sukces. Ten jacht świadczył o terażniejszym statusie społecznym jego właściciela. Ludzie, którzy na nim gościli, byli znani z kart „Who is Who”, „Social

Register” i „Celebrity Register”.

„Evangelia”, dawna amerykańska fregata, podczas drugiej wojny

światowej należała do marynarki Stanów Zjednoczonych. Skouri kupił okręt w 1953 roku, zniszczony i cały w dziurach, za cztery tysiące dolarów. Potem wydał miliony, by zrobić z niego luksusowy jacht. Prace adaptacyjne wykonano w stoczni von Eiderfelda w Kilonii, w Niemczech. Ta wiadomość rozdrażniła Helenę, ale starała się opanować gniew. Przecież Skouri prawdopodobnie nigdy nie widział ukrywającego się w swojej samotni Karla von Eiderfelda, a ta stocznia cieszyła się najlepszą sławą, jako że zatrudniała doskonałych niemieckich fachowców.

Fregata była czymś więcej niż tylko

jednostką pływającą. Od samego początku Skouri chciał, by stała się jego domem, i osobiście doglądał kolejnych etapów renowacji. Niecierpliwie czekał półtora roku, zanim ukończono przebudowę. W końcu okazało się, że było warto.

Niczym troskliwy ojciec przyjeżdżał bez uprzedzenia do stoczni, by sprawdzać postęp prac. Jeżeli nie podobało mu się rozmieszczenie przewodów klimatyzacyjnych, zrywano zamontowane urządzenia i poprawiano wszystko. Niekończące się żądania właściciela doprowadzały do szału projektantów i majstrów. A były też życzenia specjalne. Jak na przykład

wanny, co oznaczało, że podłogi w kajutach należało podnieść. Czy też parkiet do tańca w basenie. Inżynier pomysłowo rozwiązał ten problem, projektując specjalne dno. Wodę można było usunąć, a wtedy dno się unosiło, przekształcając się w parkiet do tańca. Pomyślano nawet o specjalnych urządzeniach chłodzących wodę morską, którą napełniano basen, tak że jej temperatura była zawsze kilka stopni niższa od temperatury powietrza. Helenę podziwiała to wszystko, a kiedy skończyli obchód, zaniemówiła z wrażenia. I pomyśleć, że była pod wrażeniem, gdy zaprowadzono ją do kabiny!

Złota tabliczka na rzeźbionych drzwiach apartamentu głosiła: „Pissarro”. Na początku była zdziwiona; potem idąc wzdłuż korytarza, zauważyła, że inne drzwi także miały tabliczki:

„Rembrandt”, „Van Gogh”, „Picasso”, „Goya”, „El Greco”, „Dürer”, „Rafael”, „Dali”, „Matisse”, „Renoir”. Dopiero gdy weszła do środka, zrozumiała znaczenie tabliczki. Ponad sofą w maleńkim salonie wisiał oryginalny obraz Pissarra. Drugi zobaczyła w sypialni. Była przekonana, że znajdzie jeszcze jeden w łazience, ale

czekało ją rozczarowanie. Łazienka okazała się zwyczajna, marmurowa, aczkolwiek z połyskującym, złotym

wyposażeniem, haftowanymi ręcznikami i niezwykle różnorodnością mydeł, perfum i kosmetyków. Przy wannie znajdowała się mała lampka i poduszka, by móc czytać podczas kąpieli. Nigdy w życiu Helenę nie widziała tak jawnego luksusu.

A goście! Z samych szczytów drabiny społecznej. Była tam Magda Mond, żyjąca samotnie węgierska aktorka; sir George Broyhill, stary angielski polityk, który pomógł aliantom wygrać drugą wojnę światową; Blanche Benois, francuska gwiazda filmów erotycznych, o której zamieszczono kiedyś artykuł w „Les Modes”; Elena i Evangelia, atrakcyjne bliźniaczki, córki Skouriego;

Nikos, jego syn; Ariadne Cosindas, światowej sławy tancerka baletowa, która przetrwała obydwaj małżeństwa swojego kochanka; Giorgio Marioni, włoski projektant mody męskiej, i Pado Raili, zdobywca Grand Prix w wyścigach samochodowych, jeżdżący w grupie na Ferrari. Rzuciła się w oczy nieobecność pięknej amerykańskiej żony Skouriego Cynthii.

Rejs został dokładnie zaplanowany. „Evangelia” trzymała kurs wzdłuż francuskiej i włoskiej Riwiery. Za Portofino skręcili w dół, na Korsykę. Potem miały być postoje na Sardynii, Capri i w Neapolu, na Korfu oraz Elenie, prywatnej wyspie Skouriego na

Morzu Jońskim, i wreszcie w Wenecji. Tam rejs się kończył, a goście mieli jeszcze wziąć udział w wydarzeniu sezonu, Czarno-Białym Balu w starym pałacu na Canale Grande.

Helenę bawiła się świetnie od momentu wejścia na pokład. Udało jej się zamknąć wspomnienia pogrózek Jacques'a w najdalszym zakamarku umysłu. Te dni były za piękne i pełne słońca, by myśleć o kłopotach; a noce zbyt rześkie i romantyczne. „Evangelia” okazała się najdoskonalszym z jachtów. Była dostatecznie duża, by uczestnicy rejsu nie przeszkadzali sobie wzajemnie, a jednocześnie dawała uczucie intymności. Zależnie od nastroju każdy z

gości mógł brać udział we wspólnych rozrywkach albo też cieszyć się samotnością. Na pokładzie urządzano zazwyczaj jakieś gry, a wieczorami odbywały się pokazy filmów Magdy Mond. W ciągu dnia zaś najlepszą rozrywką było pływanie w basenie czy też w morzu. Kiedy zawijali do portów, Skouri wynajmował samochody dla swoich gości, bo wszędzie było wiele ciekawych obiektów do obejrzenia, a restauracje oferowały specjały miejscowej kuchni. Na Korsyce Helenę i Nigel wybrali się na kredowe

skały Bonifacio. W piętnastym wieku mieszkańcy wytrzymali tam długie hiszpańskie oblężenie. Helenę

podziwiała roślinność wyspy, zachwycając się aromatami mitry, lawendy, eukaliptusa, dzikiej mięty i cyklamenu.

- Napoleon powiedział kiedyś, że rozpoznałby Korsykę z zamkniętymi oczyma tylko po zapachu - oświadczył Nigel.

Na Capri znowu odłączyli się od reszty gości, weszli na górę i pili wino na skalnym tarasie, a potem wynajęli łódź i popłynęli do Lazurowej Groty. Była to niezwykle romantyczna wycieczka.

Któregoś wieczoru członkowie załogi zaczęli grać tradycyjne greckie melodie i wszyscy tańczyli na pokładzie. Helenę

wciąż nie mogła się nadziwić otaczającemu ją luksusowi. Każdego dnia dostarczano im wodnopłatowcem świeże pieczywo z ulubionej piekarni Skouriego w Paryżu, a kiedy Ariadne zażyczyła sobie świeżej greckiej baraniny, mięso zostało sprowadzone samolotem z Krety. „Evangelia” miała dwóch świetnych kucharzy: Greka i Francuza. Szczytem wszystkiego była „piwnica” pełna wina. Helenę niezmiennie wybierała grecką kuchnię, co bardzo cieszyło gospodarza. Tak jak Zeno piła ouzo na koktajlach, a szampana do posiłków i sączyła courvoisiera po obiedzie.

- Masz grecką duszę! - wykrzyknął

któregoś dnia Skouri. - Jeżeli chcesz, pozwolę ci przysłać na pokład reportera i fotografa, żeby zrobili duży reportaż o „Ewangelii”!

Helena potraktowała tę obietnicę poważnie.

- Trzymam cię za słowo, Zeno - oświadczyła, a on roześmiał się głośno. Siedzieli w barze, na stołkach obitych skórą wieloryba. Skouri napisał na serwetce: „Ja, niżej podpisany, zezwalam niniejszym Helenę Junot na przysłanie wszystkich reporterów i fotografów »Les Modes« i opublikowanie artykułu o »Ewangelii«. Zostanie im udostępniony cały jacht. (Podpisano) Zeno Callicrates Skouri”.

Zachowała tę serwetkę na pamiątkę i uważała za swój największy skarb.

Ten pierwszy prawdziwy urlop Helenę uczynił cuda. Nigdy w życiu nie czuła się tak odprężona. Przysięgła sobie, że nie straci ani minuty na myślenie o interesach, i prawie dotrzymała słowa. Tylko dwa razy padła nazwa jej pisma. Po raz pierwszy wymienił ją Skouri. Ustalili, że artykułem o „Ewangelii” zajmie się Luba. Helenę wiedziała, że Caryca będzie jej do końca życia wdzięczna za taką szansę. Drugi raz ten temat poruszył Giorgio

Marioni. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Helenę nie wydaje

odpowiednika „Les Modes”
ukazującego modę dla panów.
Zapewniła go, że o tym pomyśli.

Z każdego miejsca, gdzie rzucali
kotwicę, wysyłała kartki do Edmonda,
Jeanne i Petite Helenę.

Skouri, zawsze wspaniały gospodarz,
znajdywał czas dla wszystkich gości.
Miał rzadki dar sprawiania, że ani
Ariadne, jego kochanka, ani Magda
Mond, ulubiona przyjaciółka, nie czuły
się zaniedbywane. A co najważniejsze
dla Helenę, ten rejs dał jej możliwość
poznawania Nigela. Któregoś wieczoru
stali razem na pokładzie. Światła na
wybrzeżu migotały w oddali jak
gwiazdy. Księżyc w pełni zalewał

pokład srebrnym blaskiem. Nigdy nie mogła sobie przypomnieć, o czym rozmawiali, lecz nagle Nigel wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Odnalazł wargami usta Helenę, a jego pocałunki były czułe i namiętne. Potem przytulił jej głowę do piersi.

- Helenę... - szepnął, a jego głos uniosła w dal morską bryza. Podniosła wzrok i napotkała jego oczy błyszczące w świetle księżyca.

- Nigel... - szepnęła cicho. - Och, Nigel...

- Kocham cię - powiedział.

Helenę zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

-I ja cię kocham - odrzekła.

-Najdroższa! - Przytulił ją mocniej.

Nie próbowała uwolnić się z jego objęć. Pragnęła pozostać w nich na zawsze, bezpieczna i kochana. Czuła siłę jego ciała, potrzebowała jej. Pragnął jej - mogła to wyczuć. A ona pragnęła jego.

Jego szept był jak pieszczota w świetle księżyca, usta przypominały gorące tchnienie wiatru.

- Pójdziemy do mojej kajuty?

Nie mogła wykrztusić ani słowa, ale jej oczy dały odpowiedź. Błyszczało w nich pożądanie.

Biały dywan, gruby i puszysty, sprawił, że jej bose stopy nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy szła w stronę łóżka. Leżał tam, nagi, szczupły i opalony, patrząc, jak się zbliżała.

Nagle zaschło jej w gardle. Wyjęła spinki z włosów, które opadły na jej plecy czarną, jedwabistą falą. Opalona i napięta skóra była gładka jak wypolerowany alabaster, a brzuch płaski. Małe, ale twarde piersi miały doskonały kształt. Ciemne brodawki nabrzmiały pożądaniem.

Podniósł się i wyciągnął ku niej dłonie.

Jej oczy przesunęły się szybko po jego ciele, przez pierś, szczupłe biodra i uda.

Przez chwilę stała bez ruchu, kiedy wziął ją za rękę. Patrzyli sobie namiętnie w oczy. Serce jej uderzało gwałtownie, kiedy uniósł jej szczupłe palce do ust i ucałował czule.

- Jesteś piękna - powiedział cicho. -
Taka piękna.

Potem jego usta odnalazły wargi Helenę, a dłonie gładziły delikatnie jej plecy. Przycisnął ją do siebie, aż zabrakło jej tchu. Zanim zdołała go poprosić, by poczekał, Nigel uniósł ją bez wysiłku i nie przerywając pocałunków, ułożył na gładkiej pościeli.

Rozsunęła uda i wygięła biodra do przodu. Czowała jego twarz wtulającą się

w nią coraz mocniej i wilgotny język pieszczący ją delikatnie. Ogarnęło ją rozedrgane ciepło.

Nigel łagodnie przewrócił ją na brzuch. Nadal muskał ją językiem, a oczekiwanie stało się już nie do zniesienia. Błagała, aby w nią wszedł, ale kontynuował swoją wędrówkę po jej ciele. Całował jej brzuch, uda, kolana!

Nagle krzyknęła.

-Nigel!

Widział, że jest gotowa, i wszedł w nią jednym szybkim ruchem. Czuł, jak zaciskają się jej napięte mięśnie, zamykając go w gorącej pułapce.

Powoli zaczął się poruszać, dopóki jej oddech nie stał się urywany i oddała mu się zupełnie. Nie musieli nic mówić. Jeszcze nikt nie kochał Helenę w taki sposób. Wiedziała, że już nigdy nie będzie mogła żyć bez niego.

Blanche Benois czuła się jak schwyтана w potrzask. Dręczył ją znajomy ból. Przez ostatni tydzień był nie do zniesienia, a teraz osiągnął swój zenit. Miała wrażenie, że zaraz eksploduje.

Spacerowała tam i z powrotem po kajucie, ale to nie pomagało. Jej różowe wargi wykrzywił grymas, a wielkie szare oczy o długich rzęsach błyszcząły gorączkowo. Pełne

ciężkie piersi kołysały się prowokująco, co wydawało się dziwnie nie na miejscu w tym eleganckim saloniku.

Przystanęła na chwilę, rozsunęła firanki i otworzyła okienko. Wysunęła twarz na zewnątrz. Powietrze było chłodne i czyste. Z dołu dochodził przytłumiony warkot silników, a z górnego pokładu słychać było ścieżkę dźwiękową filmu Magdy Mond. Blanche zaklęła, cofnęła głowę i zatrzasnęła okienko. Wokoło wszyscy oprócz niej bawili się świetnie.

Na początku myślała, że ten rejs będzie świetną rozrywką. I byłby, gdyby ten seksowny amerykański atleta w ostatniej chwili nie zrezygnował. Wszedłszy na pokład w Barcelonie, Blanche

dowiedziała się, że przystojny czarny bokser doznał obrażeń na ringu i wylądował w szpitalu. Chciała od razu się wycofać, ale nie zrobiła tego. Nie można tak po prostu wejść na jacht Zeno Skouriego, a potem, dowiedziawszy się, że brakuje jakiegoś gościa, spakować walizki i uciec. Imperium milionera było zbyt rozległe. Należała do niego spółka filmowa International Artists. A właśnie ci z I. A. zaangażowali Blanche do trzech następnych produkcji.

Zdecydowała więc, że nie może zrezygnować z rejsu, jeśli nie chce się narazić na gniew potężnego Greka.

Z kim jeszcze można by się zabawić? Z nikim. Sir George był za stary, Elena i

Evangelia okręciły sobie wokół małego paluszka dwóch przystojniaków, Giorgia i Pado. Helenę i Nigel świata poza sobą nie widzieli, Ariadne zaanektowała Skouriego, a Nikos wolał zadawać się z mechanikami i dłubać w silnikach wodnopłatowców Piaggio lub motorówek.

Blanche z westchnieniem rzuciła się na ogromne łóżko i podniosła wzrok na obity skórą sufit. Co za nuda! I zostało jeszcze sześć dni. Jeżeli tak dalej pójdzie, do końca rejsu stanie się pewnie lunaticzką.

Blanche Benois nie mogła żyć bez mężczyzny. Jej nigdy niezaspokojona żądza seksu domagała się ciągle nowych

podniet. Kiedy Blanche grała w filmie, ruszała na poszukiwania i kochała się z pierwszym lepszym osiągalnym mężczyzną. Dopiero potem stawiała przed kamerą. W ten sposób film ukazywał jej gorący temperament. Wiedziała, że tylko kobieta, która dopiero co wyszła z łóżka kochanka, promieniuje takim zwierzęcym seksapilem.

Ale rzucając się w wir przygód, Blanche jedynie brała od swoich partnerów. Wysysała z nich soki i nie dawała nic w zamian. Leżała tylko i jęczała podczas ich wysiłków. A oni nigdy tego nie zauważali. Zawsze byli zbyt zajęci sobą, by zdać sobie sprawę z tego, że kiedy

kochali się z Blanche, ona zamykała oczy, by ukryć błysk triumfu. Wydawało im się, że pokazują swoją władzę, podczas gdy tak naprawdę to Blanche ich kontrolowała.

Westchnęła ponownie i wygięła ciało w łuk, tak że tylko jej głowa, ramiona i stopy spoczywały na materacu. Rozpięła guziki i zsunęła białe dzinsy. Kiedy się ich pozbyła, zrzuciła bikini i położyła się naga na plecach. Delikatnie gładziła palcami sutki, dopóki nie poczuła cudownego, ciepłego podniecenia. Jęknęła i spojrzała na brodawki. Sterczały do góry, ciemne jak śliwki, na tle jej opalonych piersi. Piersi wartych milion dolarów - na tyle ubezpieczyła je

u londyńskiego Lloyda. Zawsze miały idealny kształt i wielkość, ale teraz, po wszczepieniu silikonu, stały się jeszcze doskonalsze.

Czuła, że ogarniają gorączka. Setki tysięcy mężczyzn, którzy chodzili do kina na jej filmy, pożądały tych piersi, czuły ich słodycz w ustach. Setki tysięcy - może nawet miliony - mężczyzn oddałoby wszystko, żeby tylko móc wskoczyć do jej łóżka i pokazać, jak potrafią pieścić te cycki. A jednak... Jednak była sama, do cholery! Nikt jej nie chciał, a jej ciało pragnęło mężczyzny.

Wzięła głęboki oddech, czując wilgoć pomiędzy udami. Sprawdziło się to, co

przepowiedziała jej siostra Magdalena w katolickiej szkole z internatem, mówiąc: „Będiesz cierpieć”. Ale siostra Magdalena myliła się, cierpienie Blanche było zupełnie inne niż to, przed którym przestrzegała ją zakonnica. Uśmiechnęła się teraz, przypominając sobie tamto popołudnie w internacie.

Skończyła właśnie czternaście lat. Siostra Magdalena nieoczekiwanie podeszła do jej osłoniętego firankami łóżka i zastała nagą Blanche leżącą z dłońmi między udami. Dziewczyna nawet jej nie zauważyła, dopóki nie usłyszała głośnego westchnienia. Zawstydzona usiadła prosto. Na różowej twarzy obramowanej białym barbetem i

czarnym welonem widać było zgrozę.

- Blanche! - wysyczała ochryple zakonnica, próbując zachować panowanie nad sobą. - Co ty robisz?

Nawet teraz omal się nie roześmiała na to wspomnienie. Co, do diabła, ta zasuszona dziewczica myślała, że robię? - zastanawiała się. Modłę się? W głosie siostry brzmiało cnotliwe oburzenie.

- Ubierz się natychmiast i zejdź do gabinetu! - Odwróciła się szybko, aż załopotał jej czarny habit, a paciorki różańca wokół talii zadźwięczały, kiedy wymaszerowała z dormitorium.

Dziesięć minut później Blanche stała

pochylna do przodu nad dużym biurkiem, a siostra Magdalena wymierzała jej raz po razie laską w nagie pośladki. Blanche napięła mięśnie, by złagodzić siłę uderzenia. Początkowo ból był przeszywający, potem zaczął palić wściekle jak ogień. Blanche nie mogła się opanować. Ból i wcześniejsze podniecenie wywołały u niej najsilniejszy z możliwych orgazmów.

Dziwne, że właśnie teraz przypomniała jej się siostra Magdalena. Nie myślała o niej przez całe lata.

Odwróciła się na łóżku. To tylko przeszłość, powiedziała sobie. Potrzebowała mężczyzny, a żadnego przy niej nie było.

Nagle w jej oczach pojawił się błysk. Nie mogła ukraść Giorgia ani Pada Elenie i Evangelii, bo Skouri mógłby się na nią rozzłościć. Ale był jeszcze Nigel Somerset!

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Musi tylko poczekać, aż wszyscy pójdą spać. Aż Helenę wsunie się do swojej kajuty wczesnym świtem, myślała. Nie ma mężczyzny, który by mi się oparł, myślała. Potrafię każdego doprowadzić do szaleństwa.

Film skończył się półtorej godziny później. Wszyscy pogratulowali Magdzie Mond jej roli, a potem udali się albo do baru, albo do kajut. Helenę i

Nigel weszli na górny pokład i stali, patrząc na gwiazdy. Helenę zerknęła tęsknie na Nigela. Pragnęła, by wziął ją w ramiona.

Zamiast tego powiedział:

- To wspaniały film. Dziś już takich nie robią. Zaskoczyły ją te słowa. Dopiero po chwili mogła się odezwać.

- Nie, nie robią - przyznała. Nigel pokręcił głową.

- Życie gwiazdy musi być okropne. Nigdzie nie widać tak bardzo wieku aktorki jak w filmie. To smutne przypomnienie dla nas wszystkich, że tak szybko się starzejemy.

Helene przytaknęła.

Niespodziewanie Nigel wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Och, Helene, wiem, że to cię zaskoczy. Ale chciałbym... Czy zechciałabyś... to znaczy, wyjdiesz za mnie?

Znieruchomiała, wpatrując się w jego twarz. Propozycja była tak niespodziewana, że Helene na chwilę zabrakło tchu. Potem jej serce zabiło radośnie, a oczy rozbłysły.

- Jesteś pewien? - wyjąkała. - Wiesz tak mało o... Nie czekał, aż dokończy zdanie.

- Powiedz „tak” - poprosił gorąco, ściskając jej dłonie. - Kochanie, powiedz „tak”! Spojrzała na pokład w dole, a potem uniosła wzrok na Nigela.

- Dam ci odpowiedź jutro - rzekła drżącym głosem.

Dużo później, kiedy już zasnął, pocałowała go delikatnie, wymknęła się z łóżka i wróciła do swojej kajuty. Nigel powiedział, że ją kocha, myślała. I była pewna, że też go kocha. A może to tylko fizyczna fascynacja, zastanawiała się. Nie, to coś więcej, stwierdziła. Dużo więcej.

Długo nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność. Noc była

cicha, tylko fale pluskały o burzę. Helenę brakowało ciepłego ciała Nigela i miarowego rytmu jego oddechu. Mogła tylko leżeć, myśląc o nim i jego oświadczeniach. Wreszcie usnęła, zapadła się w ciemną otchłań, w zupełny spokój. Nagle obudził ją dzwonek telefonu. Otworzyła oczy i spojrzała półprzytomnie na budzik. Była druga w nocy.

Z niepokojem sięgnęła po słuchawkę.

- Ma pani rozmowę z Paryżem -
oznajmiła operatorka. - Proszę
poczekać. - Potem usłyszała dźwięk
przełączenia na aparaturę
radiotelefoniczną „Ewangelii”. Chwilę
później w słuchawce rozległ się odległy,

drżący głos.

- Edmond! - zawołała.

- Nie dzwoniłbym, gdyby sytuacja nie była krytyczna - oświadczył szybko.

- Co się stało? - spytała przerażona.
Usiadła prosto, resztki snu ulotniły się w jednej chwili.

- Chodzi o Jeanne. Jest w szpitalu. -
Edmond mówił teraz powoli jak automat.

- W szpitalu! - W głosie Helenę zabrzmiała nuta niedowierzania. Nagły chłód zmroził jej serce. - Edmondzie, co się dzieje?

- Dziecko. Są komplikacje. Nie wahała się ani sekundy.

- Przylecę najbliższym samolotem! - zawołała.

- Proszę, pospiesz się. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale głos mu się załamał. Dopiero po chwili udało mu się opanować. - Ja... nie wiadomo, ile czasu jej zostało...

- Już jadę, Edmondzie. Natychmiast. Proszę, powiedz jej, że wkrótce będę!

- Powiem, jeżeli... jeżeli odzyska przytomność. Dziękuję, dzielna mała Francuzeczko.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała jak ogłuszona. Pokój był pogrążony w ciszy; szumiała jedynie klimatyzacja. Helenę nie mogła uwierzyć, że coś takiego przydarzyło się Jeanne, jej najlepszej przyjaciółce. To nie może być prawda. Po jej twarzy popłynęły łzy. Wytarła oczy i włączyła lampkę. Żółte światło rozblęskło nad szafką nocną.

Popatrzyła na telefon. Potem, nie tracąc ani sekundy, połączyła się z mostkiem. Po chwili rozmawiała z kapitanem. Prawie natychmiast silniki „Ewangelii” przestały pracować i jacht się zatrzymał.

Dźwig opuścił jeden z wodnopłatowców Piaggio. Helenę

szybko narzuciła na siebie ubranie, wyjęła kartkę z papeterii z emblematem „Ewangelii” i napisała pośpiesznie wiadomość dla Nigela.

Kochany!

Sytuacja rodzinna zmusza mnie do natychmiastowego wyjazdu. Skontaktuję się z tobą tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Moja odpowiedź na Twoją propozycję brzmi: Tak! Tak! Tak!!!

Całuję, Helenę

Kiedy składała kartkę, telefon zadzwonił ponownie. Mówił kapitan.

Wodnopłatowiec był gotowy, pilot czekał. Przebiegła przez korytarz i

włożyła notatkę w drzwi z napisem: „Rembrandt”. Potem wyszła na pokład. Opuszczano właśnie motorówkę. Jeden z marynarzy pomógł Helenę zejść na pływającą platformę. Inny mężczyzna pomógł

jej dostać się na łódź. Cumę odwiązano i motorówka skierowała się do wodnopłatowca. Helenę dostrzegła przed sobą jego ciemny kształt.

Nie widziała, jak Blanche Benois podeszła na palcach do drzwi z napisem „Rembrandt”, a potem wyjęła kartkę, przeczytała ją i podarła na maleńkie kawałeczki. Kiedy Nigel obudził się ze snu, czując na swoim ciele pieszczotę mokrego języka, cichy warkot

wodnopłatowca ginął już w oddali.

Rozdział 10

Recepcjonistka popatrzyła na nią wyniośle.

- Wizyty są między pierwszą a czwartą -
oznajmiła surowo.

Helena obrzuciła ją ciężkim spojrzeniem. Trzęsła się ze zdenerwowania. Próbowwała drzemać w samolocie, ale okazało się to niemożliwe. W ciągu tych czterech godzin podróży do Paryża mogła jedynie się martwić. Teraz ze wszystkich sił starała się panować nad sobą. W ułamku sekundy rozszyfrowała recepcjonistkę.

Już dawno temu przekonała się, że ludzie z najniższych szczebli drabiny biurokratycznej najczęściej próbują okazać swoją wagność. Był na to tylko jeden sposób.

Wyprostowała się i popatrzyła na nią władczo.

- Zobaczę się z bratową czy też mam poszukać kogoś z kierownictwa? -
Odwróciła się tyłem do recepcjonistki i rozejrzała, jak gdyby próbując znaleźć właściwą osobę.

- Przepraszam - odezwała się recepcjonistka pokornie. - Nie wiedziałam, że pani jest krewną. Czy może pani powtórzyć nazwisko

pacjentki?

- Jeanne Junot - powiedziała wyraźnie Helenę.

Recepcjonistka zajrzała do wykazu na biurku i przejechała palcem w dół listy. Wreszcie podniosła wzrok.

- Pokój trzy-zero-dziesięć. Trzecie piętro. - Wskazała ręką kierunek. - Proszę skrócić w prawo za poczekalnią i iść korytarzem do skrzydła St. Gatien. Tam są windy.

Helenę mruknęła jakieś podziękowanie, odwróciła się i poszła szybko na poszukiwanie windy.

Na trzecim piętrze zobaczyła Edmonda, który chodził tam i z powrotem przed drzwiami pokoju Jeanne. Miał błędne spojrzenie. Helenę poczuła ukłucie w sercu. Twarz brata była blada - twarz człowieka, który stracił wszelką nadzieję.

Odetchnęła głęboko i pospieszyła do niego. Szła bardzo cicho, ale usłyszał jej kroki i odwrócił ku niej głowę.

- Dzielna mała Francuzeczko - odezwał się cicho. Helenę uścisnęła go mocno.

- Co z nią? - zapytała, patrząc Edmondowi w oczy. Brat unikał jej wzroku.

- Nie wiem. - W jego głosie zabrzmiała bezradność. - Lekarze używają medycznych terminów, których nie rozumiem.

Zagryzła wargi.

- Mogę ją zobaczyć? Pokręcił głową.

- Teraz są u niej lekarze. Musimy poczekać.

Zdenerwowana Helenę zaczęła spacerować po korytarzu. Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Zatrzymała się i odwróciła do Edmonda.

- Zostawię cię na chwilę! Muszę zadzwonić. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Do kogo?

- Do przyjaciela, który jest lekarzem. Pomógł mi kiedyś. Przynajmniej przetłumaczy nam te tajemnicze nazwy i będziemy wiedzieli, co się dzieje. Zaraz wracam. - Szybko pobiegła do holu, by odszukać telefon.

Doktor Rosen pojawił się w szpitalu na długo przedtem, zanim lekarze skończyli badać Jeanne. Był w starym znoszonym swetrze, oczy miał zaczerwienione. Helenę z wdzięcznością ucałowała go w policzek.

- Dziękuję ci, że przyjechałeś. - Wzięła jego pomarszczone dłonie w swoje i przez chwilę ścisnęła w milczeniu. Miał

w sobie jakąś cichą siłę, która sprawiła, że Helenę natychmiast poczuła się lepiej. Przedstawiła mu brata.

- Co mówią lekarze? - zapytał natychmiast Rosen. Edmond zrobił wymowny ruch dłonią i spojrzał na własne stopy.

- Niewiele. Coś o zatrzymaniu płynów i niewydolności nerek. Stary lekarz milczał przez chwilę.

- Helenę powiedziała mi, że twoja żona jest w ciąży. Który to miesiąc?

- Ósmy.

- Ósmy! - Rosen pokręcił głową.

Zawsze to samo. Żona prawdopodobnie wiedziała, że coś jest nie w porządku, ale nie chciała nic mówić. Nawet bez badania mógł postawić diagnozę.

Zatrzymanie płynów samo w sobie było już niebezpieczne, ale niewydolność nerek prawdopodobnie oznaczała zatrucie krwi.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytał.

Edmond westchnął i odwrócił wzrok. Na jego twarzy malowało się poczucie winy.

- Nie jestem pewien. Nie chciała mnie martwić i trzymała to w tajemnicy. W końcu zauważyłem, że coś jest nie w porządku, i nalegałem... - Drżącymi

palcami sięgnął po zgniecioną paczkę papierosów.

Nagle drzwi pokoju Jeanne się otworzyły. Stała w nich zakonnica w czarnym habicie i białym czepku o szerokich nakrochmalonych skrzydłach. Trzymała przed sobą tacę, którą wprawnie oparła o biodro, gdy zamykała ciężkie drzwi.

Helene pospieszyła do niej.

- Co z nią, siostrze? Zakonnica zmarszczyła brwi.

- Nie mogę powiedzieć. Lekarze zaraz wyjdą. Wiedzą dużo więcej niż ja. - Popatrzyła surowo na Edmonda. -

Przepraszam pana, ale tu nie wolno palić! - oświadczyła stanowczym tonem.

Edmond zaciągnął się szybko raz jeszcze i bezradnie rozejrzał się dookoła. W końcu upuścił papierosa na kamienną podłogę i rozgniół obcasem. Zakonnica nie odezwała się, ale rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty, a potem znikła w mrocznym korytarzu.

Kilka minut po dziewiątej lekarze opuścili pokój Jeanne. Helenę, Edmond i doktor Rosen czekali już od ponad trzech godzin. Pospieszyli do wychodzących.

Edmond rozpoznał jednego z nich.

- Doktorze Dufaut, czy możemy do niej wejść? Lekarz kiwnął głową i uniósł dłonie.

- Tak, ale tylko na chwilę. Pańska żona jest bardzo słaba. Potrzebuje spokoju.

- Co z nią, doktorze? - zapytała Helenę.

- To znaczy, czy ona...

- Zbyt wcześnie, by coś orzec - przerwał jej lekarz, gładko omijając pytanie, zanim jeszcze padło. Trzymał się zasady, że niezależnie od tego, jak było źle z chorym, nie wolno tego powiedzieć rodzinie. Trzeba zostawić krewnym nadzieję. Spróbował się uśmiechnąć. - Zapewniam państwa, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Doktor Rosen wystąpił do przodu. Z przyzwyczajenia wyjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką.

- Co właściwie dolega pani Junot? - zapytał. Doktor Dufaut zmarszczył brwi.

- Kim pan jest?

Doktor Rosen uśmiechnął się łagodnie.

- Nazywam się Simon Rosen. Jestem lekarzem, bliskim przyjacielem rodziny. Przeszedłem tu na prośbę pani Junot.

Lekarz wziął głęboki oddech.

- Możecie wejść - powiedział do Helenę i Edmonda - ale siostra nie

pozwoli wam na długą wizytę. - Potem odprowadził doktora Rosena na bok.

W pokoju było ciemno. Helenę nie spodziewała się takiego widoku: Jeanne leżała na poduszce i dyszała ciężko. Nie poruszyła się; może nawet nie słyszała, że weszli.

Helenę westchnęła, ze wszystkich sił starając się powstrzymać łzy. To nie była Jeanne, którą znała; Jeanne, którą zobaczyła przy stoliku w restauracji w Saint-Nazaire; która kochała ją jak starsza siostra, poślubiła Edmonda i urodziła Petite Helenę. Ta kobieta była obca. Miała czerwoną, napuchniętą twarz. Leżała, wpatrując się bezmyślnie w sufit. Przez chwilę Helenę sama

popatrzyła w górę. Niczego tam nie dostrzegła.

- Jeanne... - szepnął Edmond.

Powoli odwróciła się twarzą do niego. Oczy miała zamglone. Zamrugła, próbując coś zobaczyć.

- Edmond? - wymamrotała, z trudem poruszając opuchniętymi wargami. - Kochany... przepraszam. - Oczy miała pełne łez. Głos jej się rwał. - Edmondzie...

Podszedł bliżej i mocno uścisnął dłoń żony.

- Wyzdrowiejesz - zapewnił ją, siadając

na brzegu łóżka. Poglądził Jeanne po policzku. - Lekarze mówią, że jest lepiej. Nie poddawaj się. Niedługo wrócisz do domu.

- Jeżeli jest tak dobrze, to czemu na mnie nie patrzysz? - zapytała łagodnie. Spojrzała na niego, a w jej oczach pojawił się wyraz pewności. - Nie - wyszeptała. - Nie wrócę do domu. Już nigdy.

Helene podeszła do łóżka.

- Jeanne! - zawołała stłumionym głosem.
- Nie wolno ci tak mówić! Nie możesz się poddawać! Musisz żyć. Dla mnie, Edmonda, Petite Helene, nienarodzonego dziecka...

- Helenę, moja kochana, dobra Helenę - powiedziała Jeanne, patrząc na nią z wdzięcznością. - Przyjechałaś. Edmond powtarzał mi, że przyjedziesz, ale myślałam, że mówi tak po to, żeby mnie pocieszyć. - Odetchnęła głośno. - Wiem, że nie wyzdrowieję. Proszę... obiecacie mi jedno.

Helenę i Edmond skinęli głowami.

- Nie pozwólcie, by Petite Helenę zobaczyła mnie w tym stanie. Nie pozwólcie jej... - Jeanne na chwilę odwróciła twarz ku ścianie.

- Czego? - zapytał Edmond cicho. Jeanne przymknęła powieki.

- Nie pozwólcie, by... całowała mnie po śmierci. Chcę, żeby trumna była zamknięta. Jest zbyt mała, by oglądać mnie w takim stanie. - Z wysiłkiem starała się otworzyć oczy. Płynęły z nich łzy. Wzięła Helenę za rękę; lodowate palce zacisnęły się na nadgarstku jak imadło. Nie mogła mówić.

- Helenę... - Jeanne przełknęła ślinę i lekko uniosła głowę. Z jej oczu biła stanowczość. - Ty... zaopiekujesz się Petite Helenę? Jak własną córką? - zapytała cicho. - Obiecujesz?

Helenę uroczyście skinęła głową i uścisnęła dłoń bratowej.

- Obiecuję - powiedziała drżącym

głosem.

Jeanne uśmiechnęła się z ulgą i z powrotem oparła głowę na poduszce. Puściła rękę Helenę. Do pokoju weszła zakonnica.

- Muszą państwo wyjść - oznajmiła surowo. - Pacjentka jest zmęczona.

- Niech zostaną! - Na twarzy Jeanne pojawiło się przerażenie. - Proszę, błagam, niech siostra pozwoli im zostać! Nie chcę umierać w samotności!

Rozdział 11

Jeanne nie umarła w samotności. Najgorsze jednak było to, że wcale nie

musiała umierać.

Kiedy Helenę i Edmond wyszli na korytarz, doktor Rosen szybko wślizgnął się do pokoju Jeanne. Wrócił szybko, jednak te minuty wydawały im się nieskończenie długie. Helenę spojrzała na niego z nadzieją, ale twarz miał ponurą.

- Musimy przenieść ją do innego szpitala
- powiedział cicho. Helenę popatrzyła na niego zaskoczona.

- A dlaczego? - zapytała. - Nie... Doktor Rosen nie pozwolił jej skończyć.

- Ponieważ to szpital katolicki -
wyjaśnił - prowadzony przez zakonnice i

księży zgodnie z doktryną Kościoła.

Słuchajcie uważnie, bo nie ma czasu na tłumaczenie; nie ma chwili do stracenia.

Odwrócił się do Edmonda i popatrzył na niego przez zsuwające się z nosa okulary. Poprawił je palcem.

- Lekarze postawili diagnozę: ostre zatrucie krwi. Jest ona, niestety, słuszna. Czasami zdarza się to w czasie ciąży. Jest to niebezpieczna sytuacja, niemal fatalna. Zatrucie może spowodować - strzelił palcami - niewydolność nerek, która u niej już nastąpiła, zapalenie płuc, które właśnie się zaczyna, i zatrzymanie akcji serca. Niebezpieczeństwo tego ostatniego jest już duże. Właśnie rozmawiałem o tym

z doktorem Dufautem. Moja opinia... - doktor Rosen przeniósł wzrok z Helenę na Edmonda - jest taka, że pani Junot musi natychmiast poddać się aborcji!

To słowo wbiło się w serce Helenę jak ostry nóż. Nagle zrobiło jej się słabo i zalała ją fala wspomnień. Stał przed oczami obraz własnego dziecka. Próbowwała przełknąć ślinę. Zacisnęła powieki, starając się zapanować nad sobą.

Edmond był wstrząśnięty. W końcu odzyskał głos.

- Aborcja! - odwrócił się gwałtownie. - Mój Boże, nie! Doktor Rosen położył

mu dłoń na ramieniu.

- Odwagi, młody człowieku. Odwrócił się do Helenę.

- Tylko operacja może ją uratować. Żeby tego dokonać, musimy zabrać stąd Jeanne. Katolickie szpitale nie przeprowadzają aborcji w żadnej sytuacji, a ten jest wyjątkowo rygorystyczny. Trzeba ją natychmiast przenieść do prywatnej kliniki.

- Gdzie... znajdziemy taką? - spytała szeptem Helenę.

- Jest dobra prywatna klinika w Possy. Proszę, nie zrozumcie mnie źle, ale w tym wypadku to jedyny sposób, aby

uratować życie matki. Inaczej umrą oboje. Nawet doktor Dufaut to przyznaje.

Nagły gniew sprawił, że wspomnienia Helenę zniknęły. -I nie zamierza działać? - zapytała z niedowierzaniem. Doktor Rosen bezradnie rozłożył ręce.

- Jest praktykującym katolikiem.

Edmond milczał. Helenę przez chwilę patrzyła na niego i czekała.

- Edmondzie - ponagliła go w końcu - nie mamy wiele czasu. Na jego twarzy odmalowała się udręka. Zacisnął powieki.

- Proszę, Helenę - błagał ochryplym głosem. - Ja... nie potrafię podjąć takiej decyzji. Przez moment mogła tylko wpatrywać się w niego zszokowana. Potem nagle

zrozumiała. Jej dzielny Edmond, który mając jedenaście lat, zabił Niemca i przeprowadził ją przez pół Francji, był teraz przytłoczony odpowiedzialnością, wstrząśnięty i przerażony.

Ale umysł Helenę pracował szybko. Mocno objęła brata. Ciało miał napięte, mięśnie mu zeszywniały.

- Ufam Simonowi - zapewniła go cicho.
- Teraz nie pora, by o tym mówić, ale uratował mi kiedyś życie. Jeżeli mówi,

że aborcja jest konieczna, wierzę mu.

Edmond tylko skinął głową w milczeniu.

- To nie o mnie chodzi, ale o Jeanne. Jest rygorystyczną katoliczką. Nie zgodzi się na to.

- Przekonam ją- odparła stanowczo Helenę. - Musi mnie posłuchać. Wydała Edmondowi szybkie polecenie, aby przygotował transport dla chorej,

wróciła do jej pokoju, kazała wyjść pielęgniarkę, podeszła do łóżka i usiadła obok Jeanne. Chora leżała nieruchomo i przez moment Helenę obawiała się, że bratowa umarła. Potem Jeanne powoli otworzyła oczy. Uśmiechnęła się.

- Wróciłaś! - szepnęła. - Wiedziałam, że nie pozwolisz, abym umierała w samotności.

- W ogóle nie pozwolę ci umrzeć - oświadczyła Helenę twardo. Popatrzyła na Jeanne. - Zabieramy cię do innego szpitala.

- Do innego... - Jeanne sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Po co... tutaj wszyscy są dla mnie tacy dobrzy.

- Wiem - odrzekła Helenę łagodnie. - Ale w tym innym szpitalu mogą cię wyleczyć. Myśl o Petite Helenę i o Edmondzie. Nie chcesz żyć dla nich?

W zamglonych oczach Jeanne błysnął

promyk nadziei. Spróbowała się unieść.

- Co muszę zrobić?

- Zabierzemy cię do prywatnej kliniki. Zostaniesz tam prawdopodobnie przez kilka tygodni. Wyleczą cię na pewno, uwierz mi.

Nagle na twarzy Jeanne pojawiło się zrozumienie. Jej oczy powędrowały w dół, do nabrzmiąłego brzucha. Po długiej chwili znowu popatrzyła na Helenę. Oczy miała czujne.

- A dziecko?

Helenę spojrzała w bok. Nie ma sensu kłamać, pomyślała. I tak zdradziłby ją

wyraz twarzy.

- Dziecko nie przeżyje - powiedziała cicho.

- Nie! - krzyknęła Jeanne ostro i stanowczo potrząsnęła głową. - Wiem, co chcecie mi zrobić! Nie pozwolę na to!

- Musisz! - błagała ją Helenę. - Chodzi o twoje życie... A co z Edmondem i Petite Helenę! Co z nimi? Kochają cię, Jeanne. Edmond potrzebuje żony. A Petite Helenę matki.

- Nie takiej, która jest zhańbiona w oczach Boga. Proszę, Helenę... - Jeanne ujęła raz jeszcze dłoń Helenę i uścisnęła

resztkami sił. - Wybacz mi, ale nie zrobię tego.

Ostatecznym życzeniem Jeanne było umierać w kaplicy. Zawieziono ją tam na specjalnym wózku, by mogła spędzić ostatnie minuty życia przed ołtarzem, otoczona kolorowymi refleksami rzucanymi przez witrażowe okna. Ostatnim ziemskim widokiem, jaki ujrzała, był błyszczący krucyfiks, który uniósł nad nią ksiądz, odmawiając modlitwę za konających.

Rozdział 12

Ten dom jest martwy, myślała Helenę, przyglądając się Petite Helenę wkładającej ponurą, czarną sukienkę.

Tak jak willa w Cap Ferrat po śmierci Stanisława. W ciągu jednej nocy ten szczęśliwy dom stał się jedynie pustymi murami. Petite Helenę skończyła się ubierać, podeszła do ciotki i okręciła się uroczyście.

- Jak wyglądam, ciociu Helenę? -
zapytała cicho.

Widać to po niej, pomyślała Helenę. Jej bratanica z dnia na dzień stawała się poważniejsza, dojrzała.

Dziewczynka przyjęła wiadomość o śmierci matki bardzo spokojnie, niemal obojętnie. Nawet podczas pogrzebu oczy miała suche. Oczywiście nie należało oczekiwać, by w tym wieku rozumiała,

czym jest śmierć. Jeszcze nie teraz.
Tragedia dociera do dziecięcego umysłu
dopiero po pewnym czasie.

- Wyglądasz uroczo - zachwyciła się
odruchowo Helenę, poprawiając czarną
satynową kokardę w ognście
czerwonych włosach małej.

- Dokąd idziemy? - spytała
dziewczynka.

- Może przespacerujemy się po Lasku? -
Helenę zmusiła się do uśmiechu. - Potem
wejdziemy gdzieś na lody.

- Chyba nie chcę iść na lody. Helenę się
wzdrygnęła.

- W takim razie tylko pospacerujemy.
Pospiesz się, żebyśmy nie straciły
słońca. Dzień był jasny i rześki.
Spacerowały bez celu po mało
uczęszczanych ścieżkach.

Helena wciąż rozglądała się dookoła.
Czuła się tak, jakby dusza Jeanne unosiła
się gdzieś nad kasztanowcami, tańczyła
wśród kwiatów, latała z ptakami po
czystym niebie. Po godzinie usiadły na
ławeczce w Ogrodzie Zabaw i
przyglądały się dokazującym dzieciom.
Petite Helena nie była w nastroju do
zabawy. Nagle nabrała cech
dziewczynek z obrazów Renoira;
wyrosła ze śmiechów i figli. Zamiast
biegać z dziećmi jak do tej pory,

siedziała cicho obok Helenę, a jej krótkie nóżki ledwie sięgały ziemi. Po długim milczeniu odezwała się do Helenę z ową zadziwiającą, dorosłą mądrością, którą odznaczają się niektóre dzieci.

- Ciociu Helenę...?

Helenę spojrzała na bratanicę bez słowa.

- Maman odeszła, ciociu Helenę. Ale my musimy żyć dalej, prawda? - Odwróciła lekko głowę i spojrzała w zamyśleniu na hałaśliwy plac zabaw. Tłum rozbawionych dzieci oblepiał kręcącą się karuzelę. - Siedzenie tu i czekanie nie sprowadzi jej z powrotem.

Helenę rozplakała się nagle.

Przyciągnęła do siebie dziewczynkę, objęła ją i mocno przytuliła. Po jej policzkach płynęły strumienie łez. Petite Helenę miała rację. Jeanne odeszła. Jej duszy nie było w Lasku. Pozostała w dziewczynce, która siedziała obok Helenę. Dusza przechodzi z matki na córkę, z ojca na syna. Tylko jej własna dusza zginie. Ona nie mogła już mieć dzieci.

W milczeniu wypuściła z objęć Petite Helenę i otarła łzy. Mała patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Czy mogę jakoś pomóc, tante Helenę? - zapytała z wahaniem, nie wiedząc, jak zareagować na płacz ciotki.

- Nie - odrzekła cicho Helenę, patrząc gdzieś daleko. - Wszystko... w porządku. - Nagle zmieniła zamiar i otworzyła torebkę. Wyjęła parę banknotów dwudziestofranko-wych. - Idź do kiosku i kup kilka kolorowych pism.

- Jakich?

Helenę potrząsnęła głową.

- Wybierz sama.

Petite Helenę spojrzała na nią, bez słowa wzięła pieniądze i ruszyła w stronę kiosku. Helenę obserwowała, jak mała szła ścieżką. Nawet jej chód uległ

zmianie. Nie podskakiwała już jak inne dzieci. Wprawdzie pozostało jej jeszcze wiele lat do okresu dojrzewania, ale też o wiele lat oddaliła się od dzieciństwa. Miała jeszcze przed sobą bolesne doświadczenia życia. A może one już nadeszły?

Petite Helenę wróciła, niosąc stos gazet i kolorowych magazynów. Położyła je na ławce i usiadła obok ciotki.

Helenę patrzyła niewidzącym wzrokiem na czasopisma. Na wierzchu leżał „Ici Paris”. Przysięgła sobie nigdy w życiu go nie kupować, ale nie chciała sprawiać przykrości bratanicy. Podniosła go i przez chwilę patrzyła na okładkę nierozumiejącym wzrokiem.

Potem dotarła do niej informacja z nagłówka. Duże kolorowe zdjęcie przedstawiało

Blanche Benois pod rękę z Nigelem Somersetem podczas Czarno-Białego Balu w Wenecji. Tego samego, na który zaprosił ją Zeno Skouri. Dopiero teraz Helenę zdała sobie sprawę, że wszystko potoczyło się tak szybko, iż nawet nie pomyślała o Nigelu.

Zamknęła znużone oczy i upuściła gazetę na kolana. Czuła się bardzo, bardzo samotna.

Helenę wysiadła z taksówki przed kawiarnią Fouqueta. Przystanęła na chwilę i przyglądała się pulsującemu

życiem miastu. Po raz pierwszy od śmierci Jeanne poczuła, że coś w niej drgnęło. Późne lato ofiarowało Paryżowi piękną pogodę. Właściciele kawiarni zacierali dłonie, stoliki na wolnym powietrzu przynosiły wszędzie wspaniałą dochód. Kasztanowce wzdłuż alei miały odcień ciemnozielony - nie ten świeży kolor wiosny, ale dojrzałą, nasyconą barwę.

Helena mocniej ścisnęła torebkę. Wspaniałą dzień nagle wypełniła gorycz, do głosu doszła twarda rzeczywistość. Szybko, bez dalszego rozglądania się wokół, weszła na taras Fouqueta. W odległym kącie dostrzegła siedzącego już przy stoliku Jacques'a.

Pomachał jej, podczas gdy maître prowadził ją przez salę i pomagał zająć miejsce.

Położyła torebkę na stoliku i zaczęła ściągać rękawiczki.

- Witaj, księżniczko - odezwał się cicho Jacques.

W milczeniu skinęła mu głową.

Zatłoczone stoliki i ruch uliczny tuż obok wydawały się odległe.

- No i? - zapytała, przechodząc do sedna sprawy. Jej głos brzmiał cicho, ale stanowczo. - Dlaczego nie u mnie w gabinecie? Czemu tutaj, u Fouqueta?

- Ponieważ to odpowiednie miejsce -
odpowiedział. - Ale wszystko we
właściwym czasie. Poza tym wziąłem
sobie do serca twoje ostrzeżenie, żebym
nie przychodził do wydawnictwa. -
Przyjrzał się jej z udanym
współczuciem. - Nie wyglądasz dobrze -
oznajmił z naganą w głosie. - Jesteś
blada. I nie do twarzy ci w czerni. Sama
powinnaś o tym wiedzieć najlepiej.

Helene wzruszyła ramionami. Było jej
obojętne, co Jacques myśli na temat jej
wyglądu czy czegokolwiek. Nie
zamierzała mu tłumaczyć, że chyba tylko
jakimś cudem nie wygląda gorzej po
tym, co się wydarzyło w ciągu
ostatniego tygodnia.

- Rejs chyba nie był zbyt udany - kontynuował Jacques złośliwie.

Popatrzył na nią uważnie zmrużonymi oczami. - Przy okazji, czy widziałaś ostatni „Ici Paris”?

Zauważyła teraz, że miał ze sobą ten numer. Pokazał jej pierwszą stronę. Twarz Nigela wpatrywała się w Helenę szyderczo.

- Jego Lordowska Mość chyba się zadurzył w Blanche Benois. - Jacques uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Przejdź do rzeczy - zażądała.

Wiedziała doskonale, dlaczego chciał się z nią spotkać i dlaczego u Fouqueta.

W Monte Carlo wspomniął coś o odszkodowaniu. To mogło znaczyć tylko jedno - że ma negatywy materiałów dotyczących von Eiderfelda i chce ją nimi szantażować. Jej torebka została skradziona tuż obok nich, na ulicy, jakieś cztery metry stąd. Już wtedy Helenę przyszło do głowy, że Jacques miał w tym jakiś udział. Ale czas mijał, a on nie robił żadnego ruchu, więc uznała, że jej podejrzania były bezpodstawne. Pojawił się kelner.

- Białe wino, s'il vousplait - zamówiła. Kiedy odszedł, odwróciła się do Jacques'a. Najlepszą obroną jest atak, pomyślała.

- Masz negatywy? - zapytała szorstko.

Spojrzał na nią zaskoczony. Zapadła niezręczna cisza.

- Więc wiedziałaś przez cały czas?

- Podejrzewałam. - Starła się panować nad głosem.

- Jesteś bystra - przyznał z posępnym szacunkiem. - Nie myślałem, że na to wpadniesz.

Helenę milczała, kiedy kelner przyniósł wino. Odsunęła je i popatrzyła na Jacques'a.

- Ile chcesz?

- Zawsze konkretna, nieprawdaż? -
zapytał zjadliwym tonem.

- Przekonałam się, że dzięki temu
oszczędzam czas. Jacques z uśmiechem
pokiwał głową.

- Nadal liczysz cenne minuty. Nie
odpowiedziała.

- Obawiam się, że nie spodobają ci się
moje warunki - oświadczył.

- Muszę najpierw je poznać.

- Masz w Les Editions Helenę Junot
dwóch udziałowców - zaczął powoli. -
Pierwszym jest oczywiście Hubert de
Léger. Na początku nie rozumiałem

dłaczego. Ale teraz już wiem.
Powiedział mi, co na niego masz.

- Co takiego?

Jacques zachichotał dyskretnie.

- Zabił Stanisława.

Jej twarz pozostała obojętna.

- Mów dalej.

- Powiedział, że go do tego nakłoniłaś.
Chodziło ci o majątek męża. Nie mogła
się powstrzymać od gorzkiego uśmiechu.

- A ja miałam do ciebie takie zaufanie!
Teraz widzę, że nigdy na nie nie

zasługiwałaś!

- Powiedziałaś temu inspektorowi, że to był wypadek. Helenę wzruszyła ramionami.

- Tak było prościej.

- W porządku, wierzę ci. Ale to nie kończy sprawy.

- Mam dowody.

Jacques uśmiechnął się znowu.

- Byłem tego pewny. Teraz ten drugi. Niemiecki przemysłowiec Karl von Eiderfeld.

- Co z nim? - zapytała ostrożnie.

- Daj spokój. Oboje wiemy, co masz na niego.

- Widziałeś negatywy - przyznała Helenę niechętnie - i moje nazwisko jest na jednym z nich. Wystarczy, że to sobie obejrzysz.

Jacques popatrzył na nią w zadumie.

- Te negatywy są wiele warte, księżniczko - rzekł powoli. - Dzięki nim można mu założyć pętlę na szyję. A jednak von Eiderfeld jest wolny. Każdy, kto ma tego typu informacje, powinien zgłosić się z nimi do władz. Ty tego nie zrobiłaś. Zadałem sobie pytanie

dlaczego. I wiesz, do jakiego wniosku doszedłem?

Milczała.

- Szantażujesz go! - Uśmiechnął się triumfalnie. - Tylko wciąż nie mogę zrozumieć dlaczego? Masz przecież mnóstwo własnych pieniędzy. Nie potrzebujesz jego forsy.

Popatrzyła na niego. To moja sprawa, nie twoja, pomyślała, nie muszę ci niczego wyjaśniać. Nigdy się nie dowiesz! Jacques westchnął.

- Cóż, zatem mi nie mów. Ale oboje wiemy, że „Les Modes” jest ulubieńcem francuskich czytelniczek - ciągnął. - I

wiesz, co Francuzi myślą o Niemcach. Jest tak, jakby wojna dopiero co się skończyła. Jako naród nienawidzimy ich do szaleństwa. Oczywiście niemieccy turyści przyjeżdżają do naszych miast i opalają się na naszych plażach, bo potrzebujemy ich pieniędzy. Dlaczego wszystko mają zagarnąć Hiszpanie? Ale żaden Francuz nie chciałby mieć nic wspólnego ze zbrodniarzem wojennym. Rany są zbyt świeże. - Zrobił pauzę i dokończył, dobierając starannie słowa. - Jak sądzisz, co by się stało, gdybym dostarczył te dokumenty do... „Le Monde International”? Razem z wykazem ubiegłorocznych dywidend von Eiderfelda, który jakiś czas temu zabrałem z księgowości i skopiowałem?

Wyobrażasz sobie, co by to było?

Helenę siedziała sztywno, bez ruchu.

- Po wojnie Francuzi golili głowy kobietom kolaborantkom - ciągnął cicho.
- Nie będziesz mogła przejść Polami Elizejskimi, żeby za tobą nie spluwano.

Helenę zmrużyła oczy.

- Ile chcesz? Dziesięć tysięcy franków?
- Dziesięć tysięcy franków! - Jego śmiech odbił się głośnym echem. - To chyba żart. Jedna akcja Les Editions Helenę Junot jest warta dwieście tysięcy. - Zniżył głos do szeptu. - Chcę mieć udziały w twojej firmie,

księżniczko. - Spojrzał na nią chytrze. -
Powiedziałbym: dwadzieścia procent.

Rozdział 13

Po śmierci Jeanne Helenę rzuciła się w wir zajęć z taką pasją, że zdumiewało to nawet ją samą. Wyznaczała sobie mnóstwo obowiązków, pracowała aż do utraty tchu i czuła się śmiertelnie zmordowana. Zdawała sobie sprawę z tego, że zmusza się do tego wszystkiego i rujnuje sobie życie, by nie myśleć i nie cierpieć. Jednak mimo wszelkich wysiłków ból powracał. Chociaż starała się być stale zajęta, żal atakował ją ciągle od nowa. Jeanne była jej najlepszą przyjaciółką i powiernicą i Helenę tęskniła za nią w każdej chwili.

Była też inna rana, której nie mogła wyleczyć. Nigel. Przed ich spotkaniem w kasynie nigdy o nim nie słyszała. Oczywiście potem zorientowała się, że Nigel musi być kimś ważnym, ponieważ Zeno Skouri otaczał się zawsze bogatymi, inteligentnymi ludźmi, ale nie zdawała sobie sprawy z ogromu tej ważności. Teraz nagle wyglądało na to, że był wszędzie, a wszystko, co robił, trafiało do gazet. Brukowce łączyły go z tuzinem kobiet, poczynając od gwiazd filmowych, a kończąc na pewnej młodej angielskiej arystokratce, lady Amelii Ayers. Ale przede wszystkim pisano o jego spektakularnej karierze.

Pewnego listopadowego ranka, kiedy kasztanowce w Lasku zrzuciły już liście, Eleonora przyniosła do gabinetu Helenę stos pism i położyła je na zwykłym miejscu, na bocznym blacie biurka. Helenę rzuciła na nie okiem, ale dopiero późnym popołudniem miała czas, by je przeczytać.

Najpierw obejrzała nagłówki. Nagle usiadła wyprostowana. Miała przed sobą numer „Time’a”. Żółty napis w rogu głosił: „Nowi liderzy w Anglii”. Z czerwonej okładki patrzył na nią Nigel.

Długo przyglądała się jego fotografii. Mocna, kwadratowa szczeka, arystokratyczne czoło, pełne blasku oczy - wszystko to pamiętała tak dobrze.

Szczególnie oczy, upstrzone maleńkimi plamkami złota; oczy, które spoglądały na nią czule tego wieczoru, kiedy się jej oświadczył. Helenę odchyliła się w tył i westchnęła. Oświadczył się... i nie odezwał do tej pory, pomyślała.

Długo wpatrywała się w zdjęcie. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Gładziła dłonią błyszczący papier, wyobrażając sobie, że to jego twarz. Ale to była tylko fotografia. Płaska i martwa. Żadne starania nie mogły jej ożywić.

Ile czasu minęło od śmierci Jeanne, odkąd opuściłam „Ewangelię” wczesnym świtem i zostawiłam mu wiadomość w drzwiach, zastanawiała się. Prawie trzy

miesiące.

Poczuła przeszywający ból. Wiedziała, że powinna odłożyć magazyn, nie czytając go. Tłumaczyła sobie, że Nigel należy do przeszłości, która odeszła na zawsze. Ale nie mogła nic na to poradzić. Kochała go. I chyba miało już tak być zawsze.

Otworzyła „Time’a” na zdjęciu przedstawiającym Nigela siedzącego za biurkiem.

Na moment odłożyła magazyn i wyjęła z górnej szuflady czarny futerał. Wzięła szkło powiększające i uważnie obejrzała fotografię. Biurko Nigela było na pewno prawdziwym antykiem, ciemny mahoń

czyszczono i polerowano przez stulecia. Za nim, na pokrytej boazerią ścianie, wisiał olejny portret dystyngowanego starego dżentelmena z siwymi włosami. Czy to ojciec Nigela, obecny diuk? - zastanawiała się Helenę. A może jego dziadek?

Następne zdjęcie przedstawiało Nigela w irlandzkiej stoczni, wychodzącego z bentleya. Trzecie ukazywało go, jak stał tyłem, z rękami na plecach, i wyglądał przez wielkie okno. W dole płynęła Tamiza. W oddali widać było, na co patrzył: parlament.

Po przestudiowaniu zdjęć Helenę zaczęła czytać artykuł. Zrozumiała, że Nigel jest uważany za jednego z

przyszłych liderów politycznych Anglii. Teraz bardziej niż kiedykolwiek ją fascynował; zorientowała się, że dotąd wiedziała o nim tak niewiele.

Rzuciła „Time’a” na biurko i usiadła prosto. Zaczynała postrzegać Nigela w nowym świetle. Był kimś więcej niż tylko czarującym mężczyzną, który pił z nią herbatę w kasynie i wspinał się na korsykańskie skały.

Nagle Helenę poczuła złość na samą siebie. Gwałtownie sięgnęła po interkom. Zdecydowała się. Powinna wykonać następny ruch. Ostatecznie to ona opuściła „Ewangelię” w szalonym pośpiechu. Sytuacja była krytyczna.

Może jemu też przydarzyło się coś podobnego. Może nie zauważył kartki. Może...

Rozległ się głos sekretarki.

- Eleonoro, proszę, zadzwoń natychmiast do Anglii. Somerset Holdings, Limited. Myślę, że mają siedzibę w Londynie. Chcę rozmawiać z panem Nigelem Somersetem.

- Tak jest, mademoiselle. Trwało to całą wieczność.

Poirytowana Helenę wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. Na chwilę zatrzymała się przy oknie i wyjrzała na ukochany Place Vendôme. Jak zawsze

zachwyciła się subtelną elegancją tego miejsca. Nagle przed jej oczyma pojawił się Nigel.

- Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? - wyszeptała, czując ogromny ból.

- Wiedziałeś, kim jestem. Wiedziałeś, gdzie mnie szukać. Czekałam i czekałam.

Jedyną osobą, od której dostała wiadomość, był Zeno Skouri. Wysłała do niego list z podziękowaniem i przeprosinami za nagłe opuszczenie jachtu. Uznał jej decyzję za oczywistą w tak poważnej sytuacji i wybaczył nagły wyjazd. Dotrzymując słowa, udostępnił jacht pracownikom „Les Modes” na cały tydzień i obiecany reportaż mógł zostać zrobiony. Helenę miała ochotę pojechać

tam z Lubą i fotografem. Ale zrezygnowała. Wiedziała zbyt dobrze, że „Evangelia” wywołałaby tylko bolesne wspomnienie Nigela.

Nagle odwróciła się od okna i podeszła do biurka. Ponownie nacisnęła klawisz interkomu.

- Eleonoro?

- Oui, mademoiselle?

- Odwołaj rozmowę z Somerset Holdings.

Znużona opadła na krzesło. Miał dość czasu, by się ze mną skontaktować, pomyślała. Widać po prostu nie chciał.

Nigdy nie czuła czegoś takiego do żadnego mężczyzny. Nigdy.

DZISIAJ Niedziela, 14 stycznia

Rozdział 1

Kameleon przejeżdżał powoli swoim czarnym autem obok wiejskiego dwupiętrowego domu w Connecticut. Olbrzymi dog o imieniu Rufus siedział z tyłu cichy i czujny, nadstawiając uszu, a jego błyszczące czarne oczy spoglądały łagodnie przez okno.

Mężczyzna popatrzył na dom. Stał z dala od szosy, wśród starych nagich klonów. Zbudowano go w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, miał szare

ściany i czarne okiennice. Z przodu przypominał kształtem literę L, której wierzchołek był zwrócony w stronę szosy. Z komina unosił się dym.

Srebrzysta skrzynka na listy wisząca przy bramie była starannie oznaczona: „E. Junot”.

Zadowolony Kameleon zawrócił i odjechał w kierunku, z którego przybył. Pół kilometra dalej skręcił w zanedbaną drogę i zaparkował za pasem zimozielonych krzewów. Spojrzał na zegarek. Trzecia czterdzieści pięć. Miał jeszcze czas na szybki rekonesans przed zapadnięciem zmroku. Głos w słuchawce zawiadomił go, że Helenę Junot prawdopodobnie zostanie na

weekend u brata. Zastanawiał się, czy informacja jest prawdziwa. Cóż, wkrótce się o tym przekona.

Zostawił Rufusa w samochodzie i podniósł kołnierz nierzucającego się w oczy płaszcza z brązowej wełny. Potem wrócił piechotą pod dom. Nie chciał, żeby go zauważono. Krył się za drzewami, idąc bezszelestnie w sportowych butach na gumowej podeszwie. Tutaj, na wsi, panowała cisza i każdy dźwięk mógł zwrócić na niego uwagę. Nie jak w mieście, gdzie cichsze dźwięki zagłusza wszechobecny hałas.

Kiedy dotarł do budynku, dym nadal unosił się z komina i światła już były

włączone. Kameleon przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. Nie wychwycił żadnych dźwięków na zewnątrz. Muszą być w środku, pomyślał. Dotąd idzie nieźle. Tylko szkoda, że jest zima. Zima na wsi bywa fatalna. Łatwo zostać zauważonym wśród nagich drzew. Bezpieczniej będzie, kiedy już zapadnie zmrok, stwierdził. Doskonale dawał sobie radę w ciemnościach.

Ale noc jeszcze nie nadeszła, a on musiał dokładnie zapoznać się ze wszystkim, co mogło mu się przydać.

Za domem znajdował się duży garaż z oknami po obu stronach. Kameleon

ostrożnie podkradł się do jednego i zerknął do środka. Dostrzegł pomarańczowe bmw i czarnego lincolna. Nie było białego rolls-royce'a, ale to o niczym nie świadczyło. Mogła odesłać szofera do miasta. A może brat przywiózł ją swoim samochodem. Czy też przyjechała tu autobusem. Nawet bogaci ludzie podróżowali publicznymi środkami transportu z Nowego Jorku do Connecticut.

Można snuć przypuszczenia w nieskończoność. Wzruszył ramionami i kontynuował swój ostrożny rekonesans.

Na lewo od garażu był prostokątny basen przykryty specjalnym brezentem. Biegła wzdłuż niego brukowana ścieżka

łącząca dom z dużą stajnią oddaloną o jakieś trzydzieści metrów. Ten budynek został obłożony wyblakłymi cedrowymi deskami. Miał duże, staroświeckie okna. Paliło się w nim światło.

Zbliżył się ukradkiem i zajrzał przez jedno z okien. Zagwizdał. To nie była zwyczajna stajnia. Urządzono w niej wspaniały domek gościnny. Zobaczył ściany z teko we go drewna, belkowany sufit, grube dywany i kosztowne meble. Widać tu było rękę zdolnego dekoratora, który urządzał to wnętrze dla kobiety. Na stoliku do kawy Kameleon dostrzegł damską torebkę. Pomyślał, że jego informator się nie mylił, Helenę Junot rzeczywiście tu była. Prawdopodobnie

zatrzymała się w domku gościnnym, a nie w głównym budynku. Oczywiście jeżeli ta torebka nie jest własnością jakiejś innej kobiety. Postanowił być ostrożny; poczeka i przekona się o tym.

Wrócił do samochodu tą samą drogą, którą przyszedł. Potem wypuścił Rufusa, żeby sobie pobiegał i powęszył. Zapalił papierosa i przyglądał się, jak wielki dog uniósł łapę nad rododendronem. Rufus nie uciekał; zawsze trzymał się blisko, czekając na polecenia.

Kameleon uśmiechnął się do własnych myśli. Wkrótce zapadnie zmrok. Za pół godziny wróci do tego domu. Tym razem z Rufusem.

Helena obserwowała Edmonda. Stał nad dużym grillem, w pasie miał zawiązany fartuch. Przyglądała się, jak zręcznie położył na kratce dwa steki. Natychmiast zaczęły

skwierczeć. Odłożył widelec, wziął szczypce i otworzył piekarnik. Wyjął z niego dwa olbrzymie pieczone kartofle.

- Pachnie nieźle - pochwaliła go Helena, pochylając się, żeby zatrzaskać drzwiczki. Uśmiechnął się z dumą.

- Poczekaj, aż spróbujesz deseru. Poświęciłem na niego cały ranek.

- Co to będzie? Boule de neige?
Profiteroles?

- Bądź cierpliwa - odrzekł tajemniczo. -
Gdzie chcesz jeść? W jadalni, w salonie
czy tutaj, w kuchni?

- Może tutaj? Zawsze najbardziej
ciągnie mnie do kuchni. Pamiętasz, kiedy
byliśmy dziećmi, bardzo lubiliśmy
przesiadywać w kuchni. Zawsze tak
ładnie w niej pachniało.

Edmond z uśmiechem pokiwał głową.

- Wciąż masz w sobie coś z prostej
kobiety, wiesz o tym, dzielna mała
Francuzeczko?

Helena roześmiała się.

- Proszę, niech to będzie nasz sekret.

Nie chciałbyś chyba, żeby świat się dowiedział, że królowa najbardziej lubi być Kopciuszkiem, prawda? - Edmond zachichotał.

- Nikomu o tym nie powiem, przysięgam. - Wziął widelec i zręcznie przewrócił steki. - Co będziesz piła? Szampana czy czerwone wino?

Kameleon popatrzył na zegarek. Pół godziny minęło. Wysiadł z samochodu i przytrzymał otwarte drzwiczki.

- Chodź, Rufus - rzekł cicho.

Pies natychmiast postawił uszy. Podniósł się i wyskoczył zwinnie na ziemię. Potem stanął i spojrzał pytająco

na swojego pana. Obwisła różowa skóra wokół pyska nadawała mu złudnie dobroduszny wygląd.

Kameleon uśmiechnął się złośliwie.

- Chodź, piesku. Pora, żebyś zapracował na kolację.

- To było dobre - powiedziała Helenę.

Wypiła ostatnie krople wina, delikatnie wytarła usta różową lnianą serwetką i wstała. Zaczęła zbierać naczynia i układać je w zmywarce. Edmond odsunął krzesło.

- Chyba robię się bardzo amerykański. Stek z ziemniakami to teraz moje

ulubione danie.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Moje również.

- Ale nie dokończyłaś ziemniaka.

- Nie chcę przytyć. - Zaśmiała się i dotknęła płaskiego brzucha. - Bo zacząłbyś mnie nazywać dużą Francuzeczką

Edmond zachichotał i pokręcił głową. - I nawet nie spróbowałaś szarlotki.

- Doprawdy, Edmondzie, mówiłeś, że poświęciłeś na przygotowanie deseru cały ranek! A tymczasem pojechałeś do

miasta i kupiłeś zamrożoną szarlotkę, a potem tylko podgrzałeś ją w piekarniku.

- Oparła ręce na biodrach, udając, że się gniewa. -Przypuszczam, że to ta wyprawa zajęła ci cały ranek?

- Prawie - przyznał. Podniósł się i przeciągnął. - Przejrzemy teraz zestawienia finansowe?

Kiwnęła głową.

- Tak, ale muszę iść do stajni po raporty.
- Dobrze. Czekam na górze w bibliotece.
- Zaraz wracam - obiecała Helenę.

Zamknęła drzwiczki zmywarki, a potem

ją włączyła.

Edmond poszedł na górę, a ona wyjęła ciepły pikowany płaszcz z szafy w holu, włożyła go i wróciła do kuchni.

Nacisnęła włącznik i ścieżkę między domem a stajnią zalała powódź światła z ukrytych na drzewach reflektorów.

Otworzyła drzwi i wyszła w rześką, zimną noc. Wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza i przez chwilę stała na ganku, oddychając czystym, chłodnym powietrzem. Popatrzyła w górę. Gwiazdy mrugały jasno na ciemnym aksamitnym niebie. Dookoła było pusto i cicho. Bardzo cicho. Lubiła spędzać tu weekendy. Dobrze jej się myślało w samotności, dużo lepiej niż na

Manhattanie. Ruszyła brukowaną ścieżką w kierunku stajni.

Kiedy zapaliły się zewnętrzne światła, Kameleon cofnął się głębiej w cień. Ogarnęło go podniecenie tak silne jak pożądanie seksualne. Było tak zawsze, kiedy miał stanąć

twarzą w twarz ze swoją ofiarą.

Podniecenie myśliwego. Trzymał je pod kontrolą, uważając, by nie przekroczyć pewnych granic. Podstawowy i najważniejszy warunek to ostrożność. W tym biznesie tylko głupcy ryzykowali. I głupcy umierali.

Zapaliły się światła, a po chwili zobaczył, jak otworzyły się drzwi i z

domu wyszła kobieta. Przez moment rozglądała się wokoło.

Kameleon kiwnął głową zadowolony. Zgadywał, że zamierzała iść do stajni. Postanowił jednak czekać cierpliwie, aż się do niego zbliży. Musiał się upewnić, że to Helenę Junot.

Obserwował w napięciu, jak schodziła z ganku. Potem jej pantofle zastukały na ścieżce. Stojący obok niego Rufus zeszywniał i wydał z siebie głucho warknięcie.

Kameleon spojrział na psa. W żółtych ślepiach Rufusa odbijały się światła reflektorów.

- Spokój - szepnął.

Pies ucichł natychmiast, ale Kameleon czuł jego napięcie. Obaj - człowiek i zwierzę - reagowali w ten sam sposób.

Uśmiechnął się do siebie. Czekanie doprowadzi psa do jeszcze większej furii.

Powoli sięgnął do kieszeni po gwizdek. Pamiętał instrukcje tresera: dwa krótkie gwizdy to sygnał do ataku. Jeden długi - odwrót.

Przyglądał się Helenę Junot z podziwem. To kobieta z klasą, pomyślał; oczywiście jeżeli to ona...

Kiedy znalazła się w połowie drogi, wstrzymał oddech. Jedno ze świateł padło na jej twarz i mógł ją wreszcie zobaczyć. Nie miał już wątpliwości. To jego ofiara.

Helena zatrzymała się gwałtownie. Zesztywniała, czując nagłe mrowienie na plecach.

Coś było nie w porządku.

Groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Dawno temu w Paryżu doświadczyła już tego uczucia. Kiedy jako mała dziewczynka bawiła się w parku. Wkrótce potem pod dom zajechali Niemcy. Tym razem ostrzeżenie było jeszcze silniejsze, niczym narastające

uderzenie wielkiej fali. Teraz niebezpieczeństwo znajdowało się jeszcze bliżej.

Rozejrzała się uważnie dookoła, ale nie mogła przeniknąć wzrokiem nocy. Reflektory oświetlały tylko ścieżkę.

Przez chwilę stała, wsłuchując się uważnie w ciemność. Nie wychwyciła żadnego dźwięku, ale uczucie zagrożenia się nasilało. Zadrżała i energicznie potarła ramiona dłońmi. Nie był to jednak dreszcz zimna. Potem spróbowała zbagatelizować obawy.

- Jesteś głupia - powiedziała do siebie. - Nikogo tu nie ma.

Pomimo to oceniła szybko odległość do domu i do stajni. Domek dla gości był bliżej.

Zaczęła biec.

Kameleon zmarszczył brwi. Co ta wariatka wyprawia? Dlaczego biegnie? Czyżby go zobaczyła? Ale to niemożliwe, on i pies byli dobrze ukryci. I zachowywali się tak cicho, że nie mogła nic usłyszeć.

Nie wahał się, szybko podniósł gwizdek do ust i dmuchnął w niego dwukrotnie. Ciszy nocy nie zakłócił żaden odgłos. Nie rozległ się żaden dźwięk, który mogłaby usłyszeć istota ludzka.

Ale Rufus nie był człowiekiem.
Wyprężył się, a potem dał susa z
szybkością światła.

Bezszelestnie wyskoczył z cienia i
pognał w kierunku Helenę.

W wyłożonej ciemną boazerią
bibliotece na górze było ciepło. Za
ciepło i za duszno, uznał Edmond. Usną
oboje, zanim dobrną do końca pierwszej
strony raportu.

Przeszedł między bliźniaczymi
wyściełanymi sofami Chesterfield, które
stały naprzeciw siebie na grubym
dywanie. Cztery okna z zaciągniętymi
bordowymi zasłonami z aksamitu
przecinały ścianę książek. Edmond

odsunął zasłony i otworzył okno.
Wyjrzał na zewnątrz.

Chłód nocnego powietrza był przyjemny.
Popatrzył w dół. Reflektory na drzewach
wydobyły z cienia postać Helenę
stojącą w połowie drogi między domem
a stajnią. Edmond zmarszczył brwi.
Siostra znieruchomiała na ścieżce w
dziwnej pozie, rozglądając się bacznie
wokoło. Nagle zaczęła biec w kierunku
stajni.

Jeszcze zanim Edmond dostrzegł czarny
rozmazany kształt wypadający z
ciemności, instynkt zaalarmował go o
niebezpieczeństwie.

Odskoczył od okna, zlany zimnym potem

rzucił się do biurka i chwycił nóż do rozcinania listów. Była to mała replika zakrzywionej szabli tureckiej z ostrą, mocną i cienką jak papier klingą. Z bliska zabójcza broń dopóty, dopóki nie złamie się uchwyt z porcelany.

Musi wystarczyć, zdecydował.

Ruszył z powrotem do okna. Nie myślał. Kierował nim instynkt. Nie ma czasu na schody, bieg przez pokoje i hol. Okno było najkrótszą drogą w dół.

Przytrzymał nóż między zębami, zacisnął dłonie na futrynie, a potem szybko wyrzucił nogi do przodu, rozluźniając chwyt; z pochyloną głową, wyskoczył przez okno stopami do przodu. W

myślach błogosławił ćwiczenia w Athletic Club. Nie był już taki i zwinny jak kiedyś, ale nadal muskularny i w dobrej kondycji.

Zsunął się po stromym dachu tylnego ganku. Dolna krawędź była coraz bliżej. Ostrożnie, mówił sam do siebie. Najważniejsza jest koordynacja. Ostrożnie... Przeleciał przez rynnę i zawisł w powietrzu. Przyciągnął kolana do brody i skulił się mocno gotowy do zderzenia z ziemią.

Poczuł nagły wstrząs i ból ogarnął płomieniem jego kostki i nogi. Edmond przekoziołkował, poderwał się i zaczął biec w kierunku Helenę. Jej krzyki rozdzierały ciszę nocy, a zagłuszał je

głośny charkot atakującego psa. Przed sobą widział ich oboje szamoczących się na ziemi. Krótka czarna sierść olbrzymiego zwierzaka błyszczała w świetle.

Edmond chwycił w dłoń nóż i krzyknął.

Helenę najpierw usłyszała psa, a dopiero później go zobaczyła. Na początku doszedł ją tylko szelest gałęzi. Potem groźne warczenie. Zerknęła w tył i dostrzegła parę błyszczących żółtych ślepi i czarny, rozmazany w powodzi światła kształt. Krzyknęła i zaczęła biec szybciej, wiedząc, że to nie wystarczy. Pies był szybszy. Dużo szybszy.

Nagle zwierzak skoczył na nią. Rzuciła

się w bok, instynktownie napinając mięśnie. Olbrzymie cielsko minęło ją o centymetry. Upadła, ale szybko się podniosła, by znów biec do bezpiecznego schronienia.

Po nieudanym ataku pies zatrzymał się przed nią gwałtownie. Teraz stał między nią a stajnią, odcinając Helenę drogę ucieczki.

Przez ułamek sekundy chciała odwrócić się i biec w kierunku domu.

Ale wtedy ta bestia będzie z tyłu, pomyślała, i nie zauważę, kiedy na mnie skoczy.

Pies warczał groźnie, przygotowując się

do następnego ataku.

Jego oczy błyszcząły jak żółte reflektory. Przez kilka sekund jak gdyby się wahał niezdecydowany. Potem skoczył do przodu i wydawało się, że na chwilę zawisł w powietrzu. Jego wielkie białe zęby lśniły, twarde mięśnie rysowały się wyraźnie pod błyszczącą sierścią.

Helenę poczuła przeszywający ból, kiedy zwierzę na nią runęło. Nogi się pod nią ugięły i czuła, że pada. Na moment zabrakło jej tchu, gdy uderzyła plecami o zamarznąłą ziemię. Owionął ją gorący oddech psa.

Potwór przekoziółkował nad nią, kolizja oszołomiła go na moment. Helenę

podciągnęła kolana do piersi i mocno objęła je rękami, starając się trzymać dłonie w rękawach płaszcza. Gruby pikowany materiał był jej jedyną ochroną przed ostrymi kłami. Uniosła ramiona, próbując jak najgłębiej wsunąć szyję w kołnierz. Pies zawarczał, podnosząc się na nogi. Helenę szybko przekręciła się na brzuch i przycisnęła twarz do kamieni. Były twarde, lodowate i ostre, ale wiedziała, że twarz jest najbardziej podatna na zranienie. Muszę za wszelką cenę chronić ją przed zębami psa, pomyślała.

Kameleon przyglądał się walce ze swojej kryjówki za drzewami. Napięcie narastało w nim, aż stało się prawie nie

do zniesienia. Rufus wyglądał jak duży, silny żrebak, ale miał w ruchach grację i lekkość pantery. Kobieta również miała w sobie coś nieuchwytnego. Coś dziwnie zmysłowego.

Oczy Kameleona błyszczały; był świadkiem walki na śmierć i życie - walki wspaniałego umysłu i wspaniałego ciała. Szkoda, że siły są tak nierówne. Kobieta nie miała szans. Zwycięży pies.

Gratulował sobie tego pomysłu. Jest coś pierwotnego w pojedynku człowieka z bestią, myślał. Nikt nie skojarzy go z psem i tym „wypadkiem”. To będzie morderstwo nie do wykrycia. Zbrodnia doskonała, o którą nie zostanie

oskarżony żaden człowiek. Wkrótce obydwaj będą daleko: on w drodze do Chicago, z pieniędzmi za wykonaną pracę w kieszeni, a pies zakopany w jakimś bezpiecznym ustroniu. Martwy jak ta kobieta. Wszystkie ślady znikną. Kolejny raz stworzył arcydzieło. Morderstwo doskonałe.

Uniósł gwizdek do ust i ponownie dmuchnął dwa razy, żeby zachęcić psa. Rufus czuł zapach krwi. Zaraz jej posmakuje; ta myśl doprowadziła Kameleona do ekstazy. Czuł zbliżający się wytrysk spermy. Udało mu się powstrzymać orgazm. Nie chciał do niego dopuścić, dopóki nie nadejdzie ostateczny moment.

Nagle rozległ krzyk. Rufus zatrzymał się i odwrócił łeb w stronę domu.

Kameleon zmrużył oczy. Dostrzegł mężczyznę, który zbliżał się z pochyloną do przodu głową, ściskając w dłoni niewielkie ostrze.

Biegnący, zapewne Edmond Junot, krzyknął. Tym razem Kameleon usłyszał to słowo wyraźnie.

- Siad! - zawołał.

Podniecenie Kameleona opadło. Stał jak sparaliżowany. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Ten głupi pies, cholerna maszyna do zabijania, właśnie się cofał! Usiadł posłusznie!

Kameleon szybko uniósł gwizdek do ust i dmuchnął dwa razy.

- Siad! - powtórzył Edmond.

Zdezorientowany pies poderwał się, a potem z wahaniem usiadł ponownie. Zwrócił łeb najpierw w kierunku bezdźwięcznego gwizdka, a potem do mężczyzny rozkazującego mu siadać.

Kurwa mać! - zaklął w myślach Kameleon i jeszcze raz dał psu sygnał do ataku.

Krótką sierść Rufusa zjeżyła się; pies skoczył z gracją i odsłonił kły.

- Siad!

Zwierzak usiadł posłusznie.

Edmond zbliżył się teraz powoli do Helenę, a Rufus warczał groźnie, ale nie atakował.

- Siad! - rozkazał Edmond.

Głuchy warkot ucichł; zwierzak siedział posłusznie.

- Wstań powoli, Helenę - polecił cicho Edmond. - Tylko bez gwałtownych ruchów. Kameleon zaklął w duchu. Tak niewiele już brakowało. Dlaczego treserzy nauczyli

psa reagować na tak popularną komendę. Powinni byli używać kodu. A

on powinien być bardziej przewidujący i pomyśleć o tym wcześniej.

Teraz było już za późno. Nie miał nawet rewolweru, żeby dokończyć dzieła. Nie mógł też wybiec z krzaków i użyć sztyletu czy też nawet dłoni. Element zaskoczenia przepadł. W dodatku jest ten mężczyzna, pomyślał. I ma ze sobą jakiś nóż. Nie, lepiej dać sobie spokój i spróbować kiedy indziej.

Zagwizdał jeszcze raz - był to pojedynczy długi sygnał odwołujący psa. Rufus podniósł się, wycofał powoli i zniknął w ciemnościach.

Helene ruszyła chwiejnie w kierunku brata. Nagle zrobiło jej się słabo i

oparła się o niego, zamykając oczy.

- Już po wszystkim - powiedział cicho, chowając nóż. Objął ją mocno. - Pies uciekł. - Kołysał ją w ramionach. - Jesteś ranna?

Pokręciła głową.

- Nie - wykrztusiła. - Ale ten pies...

- Nie ma go tu - uspokoił ją. - Już po wszystkim. - Przytulił do piersi Helenę i rozglądał się dookoła ponad jej głową. W tym momencie światła zgasły. Dwie minuty minęły. Czyżby to wszystko trwało tylko dwie minuty? Wydawało mu się, że całą wieczność.

- Już po wszystkim - powtórzyła Helenę, cała drżąc. - Uspokajała się powoli. Ramiona Edmonda były ciepłe i bezpieczne. - Dzięki Bogu, już koniec.

Czy rzeczywiście? - zastanawiał się Edmond. Wpatrywał się w ciemność, nadal czujny. Nie chciał jej martwić, mówiąc co innego.

Usłyszał nie tylko przeciskającego się przez zarośla psa. Słyszał coś jeszcze. A właściwie kogoś, kto poruszał się bardzo ostrożnie.

Człowieka.

Rozdział 2

Karl von Eiderfeld siedział za swoim wielkim biurkiem w gabinecie.

Pozłacana lampa z jedwabnym abażurem rzucała łagodne światło na lśniące drewno. Karl patrzył na oprawione w srebrne ramki fotografie swojej rodziny. Pierwsze stało owalne zdjęcie Helgi, jego pięknej, jasnowłosej żony.

Zrobiono je niedługo po ślubie. Teraz miała już czterdzieści cztery lata, włosy jej posiwiały, ale pozostała niezwykle atrakcyjną kobietą. Von Eiderfeld miał nadzieję, że sprawa z Heleną Junot wkrótce się wyjaśni. Właśnie rozmawiał z Helgą przez telefon. Narzekała, że tej zimy Dusseldorf jest ponury. Chciała wyjechać do Marrakeszu na kilka

tygodni. Obiecał jej, że jak tylko skończy interesy w Nowym Jorku, polecą do Maroka razem.

On sam nienawidził północnej Afryki - właściwie to całej Afryki. Była taka brudna, latało tam zbyt wiele tych przeklętych much. Co gorsza, cały kontynent zamieszkiwała niższa upośledzona rasa. Jakby samo to nie było już wystarczająco obrzydliwe, połowie tych ludzi czegoś brakowało. Oczu. Uszu. Nosów. Kończyn. Potrząsnął głową. Jego wrażliwe oczy nie mogły znieść ostrego słońca pustyni i odblasku białych domostw. W Marrakeszu zawsze przebywał w chłodnych pomieszczeniach, a w dzień

poruszał się wyłącznie zasłoniętą lektyką.

Ale Helga lubiła spędzać zimy w Afryce. Uwielbiała olimpijskich rozmiarów basen obok ich willi, do którego budowy sama namówiła męża.

Karl pokiwał głową. Błądą twarz rozjaśnił tak rzadki u niego uśmiech.

Kiedy spotkał Helgę Recknagel, była w Niemczech legendą. W tych trudnych powojennych latach odnowiła w mieszkańcach kraju poczucie dumy narodowej. W 1956 roku na olimpiadzie w Melbourne zdobyła srebrny medal na czterysta metrów stylem dowolnym. Pokonała dystans w czasie 4:55,9. Jej

zdjęcia pojawiły się we wszystkich niemieckich gazetach i na okładkach wszystkich czasopism. Gdy przyleciała z Australii, na lotnisku Kolonia-Bonn witał ją tłum płaczący ze wzruszenia. Die Heilige Helga! - wołali. Święta Helga!

Tylko Karl wiedział, że Helga Recknagel urodziła się w 1936 roku w pierwszym z domów dla matek. Lebensborn był to ulubiony projekt Heinricha Himmlera; chodziło o poprawienie rasy niemieckiej. Matka Helgi była jedną z wielu kobiet nakłonionych przez instytucje rządowe do urodzenia nieślubnego dziecka spłodzonego przez oficera SS.

Posłuchała wezwania Rzeszy, przyjęła czyste aryjskie nasienie i po dziewięciu miesiącach wydała na świat idealnie aryjskie dziecko. Potem obie, matka i córka, wiodły beztroskie życie w domu, z ogromnym portretem Führera na ścianie w holu.

Trzy tygodnie po tym, jak się poznali, Karl von Eiderfeld poślubił Helgę Recknagel. Znalazł w niej to wszystko, czego szukał w kobiecie. Była stuprocentową, jasnowłosą Aryjką. Jej ojciec był oficerem SS. Była wysportowana, silna i przyniosła chlubę swojemu krajowi. Spędzili krótki miesiąc miodowy w Chiemsee w Bawarii, a potem zaczęli budować

rodzinę.

Popatrzył na dwie mniejsze ramki po bokach fotografii Helgi. Rolf i Otto. Jego synowie.

Helga chciała rodzić dzieci, ale Karl się nie zgodził. Doszło wtedy między nimi do największej kłótni. Obawiał się, że dzieci mogą odziedziczyć jego wadę. Wierzył nadal w ideał Aryjczyka i nienawidził się za własną fizyczną niedoskonałość. Poszli więc na kompromis: przeszukali agencje adopcyjne, by znaleźć ładnego, jasnowłosego chłopca.

Zaproponowano im dwóch osieroconych braci. Właściwie to woleliby młodsze

dziecko, ale ci chłopcy wyglądali jak idealni Aryjczycy. Rolf miał teraz dwadzieścia trzy lata, a Otto dwadzieścia osiem. Wyglądali wspaniale w momencie adopcji i teraz też byli bardzo przystojni.

Otto był zawsze stanowczy i poważny. Miał blond włosy, niebieskie oczy, zmysłowe wargi i surowy, prawie sędziowski wyraz twarzy. Właśnie otwierała się przed nim kariera polityczna. Partia Chrześcijańskich Demokratów widziała w nim jednego ze swoich przyszłych przywódców, a socjaldemokraci groźnego przeciwnika. Było oczywiste, że zdobędzie kiedyś wysokie stanowisko w Bundestagu. Kto

wie? Z czasem Otto von Eiderfeld mógł nawet zostać kanclerzem.

Rolf zawsze był żartownisiem, miał wielkie poczucie humoru. Ale nagle, niemal w ciągu jednej nocy, beztroski chłopiec zmienił się w twardego mężczyznę. Von Eiderfeld

był zaskoczony, a jednocześnie zadowolony. Mógł wskazać dokładny moment owej przemiany. Był to dzień, kiedy Rolf rozpoczął pracę w rodzinnym koncernie... Ze świadomością, że kiedyś odziedziczy Von Eiderfeld Industrien GmbH Już teraz zdumiewał Karla swoim zmysłem do interesów. I twardością wobec konkurencji, jak też niemiecką skutecznością działania. Pod

rządami Rolfa Von Eiderfeld Industrien miało zapewnioną przyszłość.

Jeśli chodzi o synów, Karla drażniło jedynie to, że nie są z jego krwi. Ale nigdy nic na ten temat nie mówił.

Pocieszał się, że dzięki nim to, co zbudował, będzie nadal się rozwijać. Nazwisko von Eiderfeld przetrwa przez następne pokolenia. Młoda żona Rolfa Monika była już w ciąży.

Westchnął i spojrzał na swoje białe dłonie. Nie miał wątpliwości, że chłopcy przewyższą ojca. Oczywiście mieli dobry start. Von Eiderfeld Industrien było już potężnym koncernem, w momencie gdy oni doszli do głosu.

Ale są błyskotliwi. Zajdą daleko. Właściwie każdy z nich był prawdopodobnie lepiej przygotowany do prowadzenia batalii z Heleną Junot niż on. Ale nie mógł im wyjawić tajemnic ze swojej przeszłości. Nawet Helga o niczym nie wiedziała. Może i coś podejrzewała, ale nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa. Była Niemką. Zrozumiałaby.

Westchnął ponownie. Obciążające go dokumenty, które zgromadziła Helena Junot, zostały na szczęście zniszczone. Ale może jest ich więcej? Jeżeli jedna osoba znalazła tyle dowodów, to czy ktoś inny nie może dokonać tego samego? Przecież Rzesza miała

rozbudowaną biurokracją; chociaż wiele archiwów zostało zniszczonych, ale też wiele przetrwało. A co z ludźmi, którzy przeżyli? Miliony więźniów zginęły w obozach - on sam wysłał tam setki tysięcy - niektórzy jednak powrócili stamtąd żywi. Wystarczy jeden człowiek, który mógłby go rozpoznać. Oczywiście zabezpieczył się, jak mógł najlepiej. Unikał rozgłosu, prowadził spokojne życie samotnika, zawsze podróżował prywatnym samolotem, prywatnym samochodem, prywatną łodzią. Żaden fotoreporter nie miał prawa zbliżyć się do niego. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ciąży na nim wyrok śmierci. Ktoś mógł go rozpoznać i oskarżyć.

Najgorszy był ów dzień, gdy do jego gabinetu weszła Helenę Junot i rzuciła mu na biurko kopie obciążających dokumentów. Von Eiderfeld wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtej rozmowy. Czy spalenie tych papierów wystarczy, zastanawiał się teraz.

Przyglądził drżącą ręką rzadkie białe włosy. Ta kobieta jest świadkiem, pomyślał. I widziała te dokumenty. Może postawić mnie przed sądem. Ona żyje.

Rozdział 3

Jennifer Rowen odwróciła się na łóżku i zaczęła łagodnie budzić męża. W końcu jej głos przedostał się przez grubą

warstwę jego snu.

- Kochanie... obudź się, kochanie.

Jęknął i otworzył oczy. Potem zamrugał i zasłonił je przed światłem nocnej lampki. Usiadł półprzytomny i oparł się o poduszki. |

- O co chodzi? - zapytał rozdrażniony.

Wskazała ręką słuchawkę, którą trzymała w drugiej dłoni, zakrywając palcami mikrofon.

- Kochanie, to znowu ten sam człowiek - powiedziała przestraszona. - Wiesz który.

- Ten, który mówi szeptem? - spytał zaspanym głosem. Jennifer kiwnęła głową i podała mu słuchawkę.

- Tu Robert Rowen - powiedział.

- Pan Rowen? - Głos w słuchawce był wysoki i piskliwy. Robert poczuł dreszcz. Może dlatego, że nie mógł powiązać tego głosu z żadną twarzą.

- Jest pan tam, Rowen?

- Tak, tak, oczywiście.

- Rozważył pan naszą propozycję?

Robert przez chwilę się wahał. Zerknął na Jennifer. Patrzyła na niego z

ciekawością. Żałował, że nie wyszła z pokoju, ale nie mógł jej o to prosić, bo zaczęłaby coś podejrzewać. Starał się mówić ostrożnie.

- Tak - odrzekł wymijająco. - Dużo o tym myślałem. - I do jakich doszedł pan wniosków?

Tym razem się nie wahał.

- Umowa stoi - oświadczył. - To znaczy, jeżeli nie zjawi się z pieniędzmi do jutra do piątej po południu. - Zerknął na budzik. - A właściwie do dzisiaj po południu - poprawił się. - Jeżeli nie zapłaci, bank przejmie zastaw i zapewniam, że postąpimy zgodnie z waszym życzeniem.

- Bardzo mądra decyzja, panie Rowen. -
Tamten ktoś roześmiał się cicho. - Nigdy
nie pojawi się u was z jedenastoma
milionami dolarów, proszę mi wierzyć!

Nastąpiła chwila ciszy. Rowen czekał
na dalsze propozycje rozmówcy.

- A więc spotkamy się jutro rano. Mamy
dla pana walizkę wypełnioną
banknotami o wartości pół miliona
dolarów - w zamian za pańskie słowo.
Drugie pół miliona dolarów otrzyma
pan, kiedy transakcja zostanie
doprowadzona do końca i akcje przejdą
w nasze ręce. Ale ostrzegam... - szept
zmienił się w ostry, szorstki syk - niech
pan nie próbuje nas wykiwać!

Rowen uśmiechnął się do słuchawki.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Następna mądra decyzja, panie Rowen. Żeby okazać naszą dobrą wolę, dostarczymy pieniądze o ósmej rano.

- Gdzie się spotkamy?

- Na przystani promu do State Island.

- To bardzo dogodne miejsce - zgodził się Robert. - Jak pana rozpoznam?

- To ja pana rozpoznam, panie Rowen. Ma pan płaszcz przeciwdeszczowy?

- Owszem - odrzekł zdziwiony Rowen.

Jennifer podarowała mu na Gwiazdkę prochowiec firmy London Fog.

- Proszę go włożyć. I proszę mieć w klapie czerwony goździk. Rozpoznam pana. Spotkamy się w męskiej toalecie. - Dobranoc, panie Rowen.

-Dobranoc...

Rozmowa została przerwana; ten ktoś się wyłączył. Rowen popatrzył przez moment na słuchawkę, wzruszył ramionami i podał ją z powrotem Jennifer. Odłożyła ją na szafkę nocną i odwróciła się do niego.

- Kochanie... - Patrzyła na niego z niepokojem. - Czy coś się stało?

Zmusił się do uśmiechu.

- Nie. To tylko interesy. - Pochylił się i pocałował ją w usta. Jennifer zeszywniała i nie oddała mu pocałunku.

- O drugiej w nocy? - zapytała podejrzliwie. Pokręciła głową. - Widzę, że coś się święci. Nie możesz mi powiedzieć?

- Dobrze, kochanie - odrzekł niepewnie.
- Jutro rano będziemy bogaci.

- Bogaci! Teraz wiem, że sobie ze mnie żartujesz! - Odwróciła się od niego urażona.

- Poważnie - zapewnił ją cicho.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę Jennifer.

- Ale jak? - Zmrużyła podejrzliwie oczy.
- Nie... nie chcesz chyba kraść?!

- Za kogo ty mnie uważasz! - Uśmiechnął się kwaśno. - Nie, nie mam takiego zamiaru. Myślisz, że kogo poślubiłaś? Głupca? Zaufaj mi, Jennie. - Wziął ją za rękę i mocno uścisnął. - Poczekaj, wkrótce się przekonasz. Będziemy mieli mnóstwo forsy!

WCZORAJ VI MAŁŻEŃSTWO

Rozdział 1

Paryż, 1960

Edmond cofnął się, by Helenę mogła wejść do środka. Przesunęła wzrokiem po holu i salonie. W mieszkaniu było ciemno i duszno. Pomimo wspaniałej wiosennej pogody wszystkie okna pozostały zamknięte, a zasłony nie przepuszczały słońca. Helenę wzdrygnęła się. To było takie przygnębiające. Zupełnie jakby jej brat próbował się odciąć od świata.

- Cieszę się, że cię zastałam -
powiedziała. - Nie przeszkadzam?
Uśmiechnął się słabo, zamknął drzwi i
poprowadził ją do salonu.

- Uczę się. - Ruchem ręki wskazał

biurko. Otwarte książki oświetlała lampa ze słabą żarówką. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję - powiedziała, kładąc torebkę na sofie.

Usiadła i wygładziła spódnice, uważając, aby nie rozerwać jej o wystającą zepsutą sprężynę. Z całej siły starała się nie marszczyć nosa.

Mieszkanie nie tylko było ciemne, ale także brudne i pełne kurzu, który drapał ją w gardle. Dawno minęły dni, kiedy słyhać tu było śmiech i zadowolone głosy, a w powietrzu unosiły się rozkoszne zapachy gotujących się potraw.

- Przyszłam na małą pogawędkę -
wyjaśniła, mając nadzieję, że jej głos
brzmi obojętnie.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Jej własne
zmartwienia zniknęły, gdy zobaczyła
brata. Był wynędzniały i strasznie
przygnębiony. Wyświechtany czerwony
sweter miał dziury na łokciach. Gdyby
Jeanne żyła, natychmiast by je
zacerowała.

- O czym chcesz porozmawiać? -
zapytał.

- Za chwilę - odrzekła, nagle czując się
niezręcznie. - Myślę, że jednak się
napiję. Masz schłodzone białe wino?

Brat kiwnął głową.

- Chyba tak. Zaraz wrócę.

Patrzyła, jak poczłapał w kierunku kuchni, i ze smutkiem pokręciła głową.

Dlaczego nie mógł się otrząsnąć?
Dlaczego nie wracał do życia? Dlaczego zakopał się w książkach? Żałoba może trwać długo, ale trzeba żyć dalej.
Najbardziej cierpiała na tym Petite Helenę. Straciła już matkę, a teraz zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma także ojca, bo Edmond myśli jedynie o studiach. Tylko Helenę odnalazła się w tej sytuacji. Brat przerzucił na nią odpowiedzialność za dziewczynkę. Był to jeszcze jeden obowiązek z tych,

którymi wypełniała pustkę powstałą po śmierci Jeanne i wycofaniu się Nigela.

Starannie zaplanowała przyszłość Petite Helenę. Przyrzekła Jeanne, że zajmie się dziewczynką, i była zdecydowana dotrzymać słowa. Nie tylko ze względu na obietnicę, ale również dla zaspokojenia własnych ambicji. Już teraz zaczynała układać życie bratanicy, chcąc ją związać z Les Editions Helenę Junot. Wiedziała, że nigdy nie będzie miała własnych dzieci, postanowiła więc, że Petite Helenę kiedyś, w przyszłości, zajmie jej miejsce w wydawnictwie, a wtedy „Les Modes” zostanie w rodzinie.

Helenę rozumiała, że nie nastąpi to zbyt

szybko, ale właśnie w tym tkwiła siła planu. Wychowanie następcy to długi proces wymagający czasu, a ona miała go wystarczająco dużo, by zadbać o każdy szczegół. Postanowiła, że Petite Helenę dostanie wszystko, czego ona nie mogła mieć. Bratanica miała otrzymać najlepsze wykształcenie, poznać właściwych ludzi, dokończyć edukację w Szwajcarii, zdobyć pozycję towarzyską i stać się odnoszącą sukcesy kobietą interesu. Helenę zaplanowała to dokładnie. Nawet przez chwilę nie dopuściła do siebie myśli, że dziewczynka może nie mieć do tego zdolności czy też ochoty i cały plan upadnie. Po prostu tak miało być.

Ponieważ rzecz dotyczyła odległej przyszłości, trzymała swoje zamiary w sekrecie. Nie rozmawiała o tym nawet z Edmondem.

Petite Helenę musi się na razie wychowywać jak inne dzieci, zdecydowała. Nie wolno pozbawić jej dzieciństwa. Ale trzeba obudzić w niej ambicję. Przecież dziewczynka ma już sześć lat. Nie zaszkodzi wszczepić jej trochę cech damy, na to nigdy nie jest za wcześnie. Helenę pamiętała, jakie wrażenie wywarło na niej to, co przeżyła, gdy była w wieku bratanicy. Cała jej późniejsza determinacja miała swoje źródło w tamtych wydarzeniach.

Teraz myślała tylko o tym, jak

wprowadzić w życie swój plan. Musiała to zrobić w sposób najlepszy dla wszystkich tych, których sprawa dotyczyła. Po pierwsze, powinna mieć większą kontrolę nad Petite Helenę. Ale nie mogła po prostu odebrać małej Edmondowi, aby sama ją wychowywać, przecież to jego córka. Wprawdzie nie poświęcał jej teraz wystarczająco dużo uwagi, jednak kochał ją ponad wszystko. Tylko ona mu została po Jeanne. Byłoby okrutne pozbawić go dziecka.

Przez krótki czas Helenę zastanawiała się nad kupnem wielkiego apartamentu, aby zamieszkać razem z Edmondem i bratanicą. W końcu jednak zarzuciła ten pomysł. Wspólne mieszkanie nie

wyszłoby na dobre rodzeństwu, nawet jeżeli jest sobie bardzo bliskie, a apartament bardzo duży. Nie chodziło o to, że ludzie mogliby się temu dziwić. Dawno przestała się przejmować sądami innych. Po prostu to nie byłoby fair wobec dziewczynki i pamięci Jeanne. Jeanne była matką małej i Petite Helenę powinna być z tego dumna.

Wreszcie Helenę znalazła rozwiązanie.

Edmond wrócił z kuchni, niosąc ostrożnie kieliszek wina. Podał go siostrze.

- Ty się nie napijesz? - zapytała.
Potrząsnął głową i usiadł obok.

Helena upiła mały łyk wina i odstawiła kieliszek na stół. Złożyła ręce na kolanach, patrząc na brata. Edmond zapalił papierosa i spojrzał na nią, wydmuchując dym.

- To chyba nie jest wizyta towarzyska, prawda? Helena poczuła się zakłopotana.

- Raczej nie. Ale nie chciałabym, żebyś pomyślał, że próbuję wtykać nos w nie swoje sprawy.

Uśmiechnął się ponuro i palił w milczeniu.

- Edmondzie, zawsze byliśmy sobie bliscy, wiesz o tym. Brat skinął głową.

- Dużo bliżsi niż większość braci i sióstr. Ale od kiedy Jeanne... - Helenę westchnęła i szybko przeniosła wzrok na swoje dłonie. - Od śmierci Jeanne coś się między nami zmieniło i teraz jest inaczej. A to już trwa zbyt długo.

Edmond odwrócił głowę i zaczął wpatrywać się w ścianę za sobą. Czuł napływające do oczu łzy.

Podobno czas leczy rany - pomyślała Helenę ze smutkiem. Niestety rany Edmonda wciąż były otwarte i krwawiły tak mocno jak wówczas, gdy je zadano.

- Jeśli wolałbyś o tym nie mówić, zrozumiem - powiedziała cicho. - Nie chciałabym sprawiać ci większego bólu.

Edmond siedział odwrócony do niej tyłem, ale dostrzegła, jak lekko kiwnął głową.

- Wiem - odrzekł drżącym głosem.

Zagryzła dolną wargę i zastanawiała się, jak to dalej rozegrać. Może powinna jeszcze poczekać i porozmawiać z nim za jakiś czas, pomyślała, podnosząc kieliszek do ust.

Nie, nie można tego odwlekać, sprawa jest zbyt ważna, uznała po chwili.

Przesunęła się i dotknęła ramienia Edmonda, odwracając go delikatnie twarzą ku sobie.

- Edmondzie, martwię się o Petite Helenę - powiedziała cicho. W jej oczach malował się smutek. - Nie widzisz, co się z nią dzieje? Ciebie nigdy nie ma w domu, a jeżeli jesteś, to siedzisz z nosem w książkach.

Popatrzył przez nią gdzieś w dal, tak jakby była przezroczysta.

- Co według ciebie powinienem zrobić? Helenę wzięła go za rękę.

- Poświęcaj jej więcej uwagi. Zatrudnij kogoś, kto by się nią zaopiekował, gotował dla niej, był z nią przez cały czas.

- Pani Courbet się nią opiekuje.

Helenę westchnęła i wstała. Zaczęła ze złością chodzić po salonie.

- Pani Courbet jest konsjerżką i ma mnóstwo swoich zajęć. Na pewno ma najlepsze chęci, ale nie może się koncentrować wyłącznie na twoim dziecku. Twoja córka rośnie, Edmondzie! - Zatrzymała się gwałtownie. - Potrzebuje towarzystwa. Opieki. Rodziny.

Gwałtownie machnął dłonią. Papieros spalił się aż do filtra i oparzył mu palce. Edmond podniósł się szybko i wrzucił niedopałek do kominka. Potem znowu usiadł.

- Edmondzie, Petite Helenę potrzebuje

niani. Na chwilę zacisnął usta.

- Nianie są dla małych dzieci.

Helene dopóty go wypytywała, aż się przyznał, że wszystkie jego dotychczasowe próby znalezienia kogoś do pomocy okazały się chybione.

Najpierw była nieodpowiedzialna au pair, a potem opiekunka, która odprowadzała Petite Helene do szkoły i zabierała małą po południu do domu. Po pewnym czasie jednak odkryli, że kobieta jest nałogową alkoholiczką. Kilkakrotnie zdarzało jej się pić do utraty świadomości. A pani Courbet po prostu nie miała czasu.

- Nie poradzę sobie ze znalezieniem

właściwej niani - wyznał Edmond bezradnie. - Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać! - Popatrzył błagalnie na siostrę. - Wiem, że jesteś strasznie zajęta, ale... - urwał.

- Zajmę się tym - zapewniła go z satysfakcją Helenę.

Teraz, kiedy wszystko już zostało ustalone, nie traciła ani chwili. W czasie wielkanocnych ferii bratanicy Helenę wzięła sobie tydzień urlopu i poleciały razem do Londynu. Angielskie nianie są najlepsze na świecie, myślała, a zatem najrozsądniej będzie poszukać odpowiedniej osoby w Londynie. Po doświadczeniach z beztroską au pair i pijaczką postanowiła, że dokładnie

przyjrzy się każdej kandydatce i nie pójdzie na żaden kompromis.

Oczywiście przyszło jej też do głowy, że w Londynie może przypadkowo spotkać Nigela.

Zatrzymały się w hotelu Claridge's. Miały tam cichy, luksusowy salonik, dwie sypialnie i dwie łazienki. Helenę przyrzekła sobie, że nie będzie robić nic innego, tylko bawić się w turystkę, ciesząc się z towarzystwa Petite Helenę. Dziewczynka miała mnóstwo energii i zachwycała swoim entuzjazmem oraz inteligencją. Czasami Helenę zatrzymywała się i po prostu obserwowała, jak jej bratanica ostrożnie podchodzi do każdej nowej rzeczy,

obserwując ją niemal z dojrzałą ciekawością. Razem oglądały Londyn. Trzymając się za ręce, szły pokrytą mgłą aleją wzdłuż Tamizy i podziwiały uprzejmość Anglików czekających cierpliwie w kolejkach do piętrowych autobusów czy metra. Wybrały się na operę do Covent Garden, zobaczyły Tower Bridge i parlament, obejrzały w Tower klejnoty koronne pilnowane przez żołnierzy straży królewskiej w kolorowych mundurach. Podziwiały zbiory egipskich starożytności w British Museum, robiły zakupy na Regent Street i u Harrodsa, odwiedziły Old Curocity Shop opisany przez Charlesa Dickensa i zachwyciły się woskowymi figurami w salonie Madame Tussaud. Któregoś

popołudnia Helenę wynajęła samochód z szoferem i wybrały się do zamku Windsor. Wracając, zatrzymały się w uroczej, starej, wiejskiej gospodzie, gdzie zjadły duszoną wołowinę i pudding Yorkshire, popijając to herbatą Earl Grey.

Przyjechały do Anglii po nianię, tak więc każdego dnia przed wyjściem z hotelu Helenę cierpliwie przeprowadzała rozmowy z różnymi kandydatkami przysłanymi przez agencję.

Wydawało się już, że nigdy nie znajdzie takiej, która by się podobała zarówno jej, jak i Petite Helenę. Jedne były zbyt rygorystyczne, inne za bardzo

protekcjonalne, a jeszcze inne zbyt słodkie.

Jeśli nawet Helenę spodziewała się, że spotka Nigela, to jej nadzieje okazały się płonne, chociaż z tygodnia zrobiło się czternaście dni. Nie widziała go, ale znalazła wreszcie odpowiednią nianię.

Elizabeth Stewart, czterdziestokilkuletnia Szkotka, miała właściwe podejście do dzieci, co było widoczne od pierwszej chwili. Ona i Petite Helenę natychmiast przypadły sobie do gustu, co wzbudziło irracjonalną zazdrość Helenę. Sama nalegała, by zatrudnić nianię, a jednocześnie pragnęła zachować dla

siebie całe przywiązanie bratanicy.

Kiedy znalazły nianię, nie było już pretekstu, by dłużej pozostać w Anglii, wróciły zatem do Paryża. Ale to, że zatrudniła nianię, nie wystarczyło Helenę. Każda rodzina potrzebuje domu, myślała. Schronienia, do którego wraca się w momentach radości i kryzysów, miejsca, gdzie można wspólnie spędzać wakacje. Jej azylem, gdyby żyła maman, byłby do tej pory stary dom z kanarkowymi drzwiami na Montmartrze. Helenę bardzo za nim tęskniła. Czuła, że jej bratanica także potrzebuje czegoś takiego. I nie w mieście, tylko na wsi. Helenę uważała, że spędzali zbyt dużo czasu w mieście. Chciała też, aby to

było odosobnione, zaciszne miejsce tylko dla nich trojga.

Kiedy wreszcie znalazła dom, który uznała za odpowiedni, podpisała umowę, zapłaciła ponad milion franków gotówką i któregoś sobotniego popołudnia zabrała tam Edmonda z Petite Helenę. Trzymała całą sprawę w sekrecie i nawet im nie wspomniała, dokąd się wybierają.

Dwie godziny po wyjeździe z Paryża Helenę zastukała w szybę oddzielającą pasażerów limuzyny od kierowcy. Szofer zerknął we wsteczne lusterko, a Helenę

wskazała na lewo. Kiwnął głową, a na

najbliższym skrzyżowaniu, zwolnił i skręcił w leśną drogę, pełną wybojów i kolein.

- Dokąd nas zabierasz? - zapytała Petite Helenę zaciekawiona. Helenę uśmiechnęła się tajemniczo.

- Właśnie kupiłam niewielką posiadłość na wsi. Pomyślałam, że przyda nam się jakiś zaciszny kącik, w którym można się schronić przed paryskim zgiełkiem. - Wzięła Edmonda za rękę. - Nie gniewasz się, że ci nie powiedziałam? Chciałam, żeby to była niespodzianka.

Brat odwzajemnił jej uścisk.

- Nie gniewam się, jeśli od tej pory

częściej będziesz sobie robiła wakacje.
-I nawzajem - odparła. - Kto mi to mówi!

Była zadowolona. Po przyjeździe niani Edmond zaczął wracać do normalnego życia. Stanowcza Szkotka co rano rozsuwała zasłony, otwierała okna, gotowała owsiankę. Jej obecność miała dobry wpływ nawet na ich wzajemne stosunki. Znowu zbliżyli się do siebie.

Gdy samochód wjechał na polanę, Edmond wyprostował się gwałtownie.

- Zdaje się, że mówiłaś coś o zacisznym kąciku?

- Cóż... - Helenę wzruszyła ramionami i

bezradnie rozłożyła ręce. Bratanica zaczęła się gramolić na jej kolana, wydając podekscytowane „ochy” i „achy” i przyciskając nos do szyby.

Helenę nie mogła powstrzymać uśmiechu. Słońce stało wysoko, zalewając swoim blaskiem cały teren wokoło. Trawa i mech były wilgotne, błyskały zielenią. Światło słoneczne przedzierało się przez majestatyczne drzewa. Zamek zbudowany z brązowych kamieni, z centralnym dziedzińcem i narożnymi wieżyczkami był otoczony murem i fosą, która łączyła się z wielkim zielonym stawem. Pływały po nim z gracją kaczki i łabędzie, podziwiając swoje odbicia w wodzie.

Kiedy tylko Citroën się zatrzymał, Petite Helenę wyskoczyła i pobiegła do stawu.

Ta budowla ma piękne proporcje, uznała Helenę, patrząc na swój nowy dom. Pałacyk nie wyglądał tak imponująco jak Hautecloque, ale miał bezpretensjonalny urok i wdzięk. Nie był wyniosły ani dumny, po prostu wiejski château położony sto sześćdziesiąt

kilometrów na południe od Paryża. I miał długą historię; najstarsze mury pochodziły z szesnastego wieku. Początkowo należał do Diane de Poitiers, potem miał wielu innych właścicieli. Była tu jeszcze stróżówka, domek gościnny, stajnie, a dalej, za stawem, wznosiła się wieża.

Helenę zdecydowała się pozostawić dotychczasowych dozorców, starsze małżeństwo, pana i panią Greuze. I kupiła kucyka dla Petite Helenę.

Jeanne odeszła i pozostały po niej jedynie wspomnienia, ale Helenę myślała często, że jej bratowa byłaby zadowolona. Petite Helenę miała teraz dom, do którego zawsze mogła wracać i który kiedyś stanie się jej własnością.

Rozdział 2

Banco di Milano mieścił się na parterze trzydziestopiętrowego biurowca wyrastającego spomiędzy antycznych gmachów w starej dzielnicy Mediolanu.

Budynek w kształcie odwróconego stożka sterczał w niebo jak olbrzymi nieobrzezany fallus. Kiedy Helenę stanęła w drzwiach na ulicy, oślepiły ją ostre promienie słońca. Włożyła ciemne okulary i zeszła po kręconych schodach na chodnik. Futurystyczna fontanna pośrodku betonowego placu wyglądała jak olbrzymia ultranowoczesna tortownica. Helenę poczuła na sobie chłodną, orzeźwiającą mgiełkę wody z fontanny, przyniesioną przez lekki majowy wiaterek.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Wszystko układało się pomyślnie. Minęły już dwa miesiące, odkąd została milionerką - nie licząc majątku odziedziczonego po

Stanisławie - i to nie w bezwartościowych lirach czy zdewaluowanych frankach, tylko w dolarach. Było to duże osiągnięcie. Pierwsze wydanie magazynu „La Moda”, włoskiej wersji „Les Modes”, pojawiło się już w kioskach.

Kiedy teraz przychodziła do banku, prezes, pan Piarotto, za każdym razem był coraz bardziej unżony i czarujący. Zaczął ją już uważać za cenną klientkę i zawsze zajmował się nią osobiście, słodko uśmiechnięty. Jak bardzo wszystko się zmieniło w przeciągu tych kilku lat. Skończyły się czasy, gdy nie miała ani grosza w kieszeni. Kiedy przyjechała do

Paryża i zamieszkała na prawym brzegu, mogła sobie pozwolić jedynie na suchy chleb i zbierała nadgniłe owoce - a jak się cieszyła, jeśli udało jej się coś znaleźć!

Zerknęła na złoty zegarek. Dochodziła dziesiąta; musiała się spieszyć. Miała zaplanowane spotkanie z dostawcami papieru i akwizytorami, a w południe - roboczy lunch z Lubą.

Skreśliła w prawo na via Montenapoleone i poszła w kierunku siedziby Edizioni Helenę Junot S.p.a. Wydawnictwo mieściło się kilka gmachów dalej, w olbrzymim starym pałacu Medyceuszy, w którym miało swoje biura kilka instytucji najwyższej

klasy. Ulokowało się tu paru projektantów mody, trzy hurtownie z luksusowymi upominkami, perfumeria i „La Moda”.

Po drodze minęła kiosk, gdzie codziennie kupowała poranną gazetę. Prowadziła go stara wdowa. Helenę zatrzymała się, bo jej uwagę przyciągnął stos „La Moda”. Obserwowała, jak dwie blondynki wahały się pomiędzy jej pismem a „Vogiem”.

W końcu ciekawość zwyciężyła przyzwyczajenie. Wybrały „La Moda” i pospiesznie zaczęły ją przeglądać. Wyraz twarzy obu kobiet natychmiast uległ zmianie. Z szarej codziennej

rzeczywistości przeniosły się w świat pięknych strojów, makijażu, biżuterii - w świat Kopciuszka, gdzie wszystko było możliwe, a wspaniale sfotografowana para butów Ferragamo za siedemdziesiąt tysięcy lirów zastąpiła bajkowy szklany pantofelek.

Helenę poczuła, jak ogarniają duma. Dzieliła się swoim dobrym smakiem i wiedzą - w istocie całym światem mody - z tymi dwiema kobietami - by ich życie stało się piękniejsze. W każdym razie utrzymywała ich marzenia na kartkach pisma, aby nie mogły się ulotnić. Może nawet dawała tym blondynkom poczucie bezpieczeństwa, świadomość własnej piękności i bycia pożądaną. Doskonale

pamiętała, jak kolorowe czasopisma pani Dupré odmieniły jej życie.

Nie patrząc już na „Vogue’a”, obie kobiety sięgnęły do torebek i wzięły „La Moda”. Zaczęły żywo ze sobą rozmawiać i oddaliły się.

Helene uśmiechnęła się z dumą. To dopiero pierwszy numer, a widziała już dwa swoje małe zwycięstwa, podwójny maleński cud - te kobiety wybrały „La Moda” zamiast

„Vogue’a”. Podeszła do kiosku. Sprzedawczyni znała ją z widzenia, ale nie wiedziała, kim jest Helene.

- Dzień dobry, signorina - powitała ją

staruszka.

- Dzień dobry. - Helenę popatrzyła na stos „La Moda”. - Nowy magazyn?

- Tak, signorina, i wreszcie jeden, który jest wspaniały! - Z zachwytem cmoknęła złączony kciuk i palec wskazujący.

Helenę sięgnęła do torebki, wyjęła banknot tysiąclirowy i kupiła pismo. Było grube i ciężkie.

Podziękowała kobiecie i pomaszerowała ulicą z magazynem dumnie wsuniętym pod pachę. Kiedy znalazła kawiarenkę na świeżym powietrzu, usiadła i zamówiła filiżankę espresso; spotkania miały poczekać.

Położyła magazyn na stoliku, zdjęła okulary przeciwsłoneczne, oparła łokcie o blat i z dumą zaczęła się wpatrywać w okładkę.

Olbrzymie drukowane litery tytułu błyszcząły bielą. Przeglądając magazyn, Helenę wprost nie mogła uwierzyć, że w ciągu ostatnich dwóch lat tak wiele się wydarzyło. „Les Modes” było teraz potęgą, z którą należało się liczyć. Włoska edycja „La Moda” wyszła tylko miesiąc po planowanym terminie. I co ważniejsze, nowe edycje obu magazynów przeznaczone dla mężczyzn - „Les Modes Homme” i „La Moda Uomo” - były już na etapie makiety. Ale to tylko niewielki skrawek jej imperium,

dostrzegalny na powierzchni niczym wierzchołek góry lodowej. Prawdziwe ambicje i plany na przyszłość Helenę pozostawały dobrze ukryte w głębinie. Wiedziała już dawno, także po doświadczeniu ze spadkiem po Stanisławie, że pieniądze robią pieniądze. I doskonale zdawała też sobie sprawę z tego, że posiadanie pieniędzy, tak samo jak posiadanie dzieł sztuki, nakłada na ich właściciela zatrważający obowiązek. Kiedy już sieje ma, cały czas muszą pracować. Należy unikać zastoju. Co innego można robić? Trzymając pieniądze w banku, traci się powoli, ale nieubłaganie. Nic nie kończy się tak szybko jak leżąca gotówka.

Helena rozszerzała więc swoje imperium i myślała o nowych, zupełnie odmiennych, choć powiązanych ze światem mody projektach. Ale, jak zawsze, łączyła ostrożność z odpowiednią dozą rozsądnej odwagi. Wyczuwała, kiedy należy czekać, a kiedy działać. Instynkt służył jej dobrze w przeszłości i polegała na nim całkowicie. Paryż i „Les Modes” były jedynie punktem wyjścia dla Heleny. We Włoszech jej majątek będzie rosł w zawrotnym tempie, było to tak pewne jak to, że po środzie jest czwartek. We Włoszech obserwowano się zjawiska, których nie było gdzie indziej. Projektowanie odzieży stało się prężną i

żywą dziedziną; pojawiali się młodzi twórcy, wolni od utrwalonych konserwatywnych schematów myślowych. Parli do przodu, kreując nowe, frapujące style, o których wcześniej nie słyszano.

Dużo się tu dzieje, uznała Helenę. A ona zawsze powinna być tam, gdzie coś się dzieje.

Weszła do holu, w którym odbijały się echa jej kroków, i minęła szklane gabloty wypełnione kosztownymi upominkami. Już setki razy widziała tę ekspozycję. W powietrzu unosił się wyrafinowany aromat perfum.

Gabloty należały do hurtowni zajmującej

parter; wytworny zapach spływał z perfumerii na trzecim piętrze. Helenę szybko wspięła się na drugie piętro po szerokich schodach z balustradą i podeszła do rzeźbionych podwójnych drzwi. Popatrzyła na wygrawerowaną mosiężną tabliczkę. Był na niej napis: EDIZIONI Helenę JUNOT S.p.a.

Otworzyła prawą połowę drzwi i weszła do środka.

Przystanąła na chwilę. Jak zwykle słychać tu było gwar codziennych zajęć. Dzwonki telefonów, stukot maszyn do pisania i teleksów, fragmenty głośnych rozmów z sali konferencyjnej, gdzie, jak wiedziała Helenę, odbywało się planowanie poszczególnych numerów,

dźwięczały w jej uszach jak muzyka. Swoją przestrzenią to biuro przypominało pomieszczenia na Place Vendôme. Wprawdzie mówiono tu po włosku, ale atmosfera - Helenę na moment przymknęła oczy - mediolańskiego biura była identyczna z tą z Paryża. Raporty i prognozy nowych trendów, propozycje obiecujących, młodych projektantów, prezentowanie uznanych sław, niszczenie autorytetów - nie w spektakularnej batalii, lecz po prostu nie dostrzegając ich dokonań - tutaj serce świata mody pulsowało mocno i głośno.

Helenę pospieszyła korytarzem do swojego gabinetu. Czowała się winna z

powodu niedotrzymania terminów porannych spotkań i roboczego lunchu z Lubą, ale tak się zamyśliła nad dalszymi planami, że nie zwracała uwagi na upływ czasu. Była prawie druga.

Gdy położyła na biurku torebkę i egzemplarz magazynu, jej wzrok przyciągnęła różowa kartka z notatką napisaną odręcznie. Pismo Luby było tak samo eleganckie i wiot—

kie jak ona sama. Zgodnie ze stylem Carycy wiadomość brzmiała tajemniczo i lakonicznie: „Znalazłam go! Luba”.

Helenę zwinęła papier w kulkę i wrzuciła do kosza. Potem wzięła słuchawkę telefonu i poprosiła Lube do

gabinetu. Czekaając na nią, usiadła na wyściełanym obrotowym fotelu, odwróciła się w stronę wypełnionej dokumentami szafki, otworzyła szufladę i wyjęła plan wydawniczy. Bładoniebieska okładka miała czerwoną uwagę: „poufne”.

Otworzyła notatki na pierwszej stronie i zaczęła czytać z uwagą.

„La Moda”

Projekty

Wydanie: listopad

Początek produkcji: 1 czerwca

Liczba stron przeznaczonych na ogłoszenia: 230

Strony ogłoszeniowe sprzedane do tej pory: 223

Liczba stron przeznaczonych na artykuły: 70

Miesięczny spis treści:?

Od redakcji: punkt widzenia „La Mody”?:?

Gość wydania:?

Dział towarzyski: ślub Bonacossi-Peretti podczas balu na cele dobroczynne we Florencji (wysłać Lube i fotografa)

Kuchnia: zupy

Elegancki stół: wazy

Podróże: słońce w Alpach - Szwajcaria, Francja i Austria; słońce na plaży - Wielka Rafa Koralowa, Tunezja, Malibu

O uczuciach: John Fowler

Zdrowie: unikanie raka skóry na stokach i plażach

Uroda: nowe odcienie skóry na zimę;

Wywiady w sześciu gabinetach chirurgii
plastycznej; Nowe kolory oczu i warg

Zacisnęła usta, zamyśliła się i zaczęła
stukać paznokciami po szklanym blacie
biurka. Wszystko to zbyt banalne i
sztampowe. Za bardzo podobne do
pierwszego numeru. I do tych, które już
były w produkcji. Przydałby się jakiś
nowy pomysł.

Nagle coś wpadło jej do głowy. Wzięła
pióro i napisała na marginesie: „Uwaga
do szminek: zdjęcia uwypuklające usta,
z językiem, na którym widać kawior,
wargi, a w nich słomka do coca-coli,
itd.”.

Potem odłożyła pióro i czytała dalej:

Sztuka: film - Fellini

Architektura: Palladio

Sztuka: rzeźby Marinan Mariniego i Eduarda Paolozziego

Teatr: sezon w Londynie

Moda: projektant Valentino

Butik „La Mody”: nasze propozycje na zimę

Moda: Paryż, Mediolan i Nowy Jork

Propozycje do noszenia: najlepsi

projektanci sezonu - Mediolan

Aksesoria: narty i sanki - nowe projekty
lat sześćdziesiątych

Bizuteria: kolumbijskie szmaragdy,
peruwiańskie złoto, celtycka bizuteria z
Irlandii, turkusy Indian Nawaho, nowa
bizuteria pop-art z plastiku

Specjalne artykuły: wizyta w Kalifornii
z Picassem;

Coś nowego na zimę - Paryż, Nowy
Jork, Mediolan;

Futra na wszystkie pory roku (dopisek:
Max Reby kupił sześć stron na
reklamę!);

Ubieranie przez rozbieranie;

Kosmetyki firmy Revlon - historia (od 1932 do chwili obecnej)

Helenę drgnęła, słysząc pukanie do drzwi, i podniosła głowę.

- Proszę!

Luba weszła do gabinetu swoim jak zwykle energicznym krokiem. Trzymała w dłoni zapisaną kartkę.

Helenę zamknęła plan, odsunęła go i złożyła przed sobą ręce.

- Witaj, Luba - powiedziała z uśmiechem. Caryca stała przed nią

ubrana w czarny, robiony na drutach sweter ściśnięty w talii najszerszym czarnym paskiem ze skóry z

największą srebrną klamrą, jaką Helenę widziała w życiu. Jej czarne spodnie do kolan miały identyczne, tylko mniejsze, srebrne klamerki. Lśniące czarne włosy jak zwykle miała splecione w gruby, długi warkocz sięgający pasa.

Pomarańczowe paznokcie Luby przez moment zabłysły w powietrzu.

- Znalazłam tego naiwniaka! - oznajmiła dramatycznym szeptem. Helenę popatrzyła na nią z dezaprobatą.

- Proszę, Luba, wolałabym, żebyś go tak

nie nazywała.

Luba błysnęła czarnymi oczami spod przyciemnionych powiek.

- „Naiwniak” to najlepsze określenie dla tego, kogo szukasz. Helenę westchnęła.

- Zatem niech będzie naiwniak. -

Wskazała Lubie krzesło. Luba udała, że sprawdza coś na trzymanej w dłoni kartce.

- Nazywa się Marcello d'Itri. Urodził się na Sycylii, teraz mieszka w Mediolanie. Uczył się tu projektowania, jednocześnie odbywając praktykę w tkalni Mussoniego. Wyjechał do Nowego Jorku i tam spędził dwa lata w

Instytucie Mody. Wrócił i pracował rok w fabryce odzieży. Przez pół roku był asystentem projektanta materiałów w firmie T. i J. Vestro. Dwa lata temu próbował otworzyć własny butik; ale mu się nie powiodło. Od tej pory puka do drzwi wszystkich projektantów w mieście. To cała sprawa w skrócie. - Położyła kartkę na biurku szefowej. Ma dyplom. Jest heteroseksualny.

- Myślisz, że tego właśnie szukamy? - spytała Helenę w zamyśleniu.

- Dobrze go prześwietliłam. Doskonale się nadaje. To naiwniak.

Helenę zmrużyła oczy. Wolałaby, żeby Luba przestała używać tego słowa, ale

chyba Caryca miała rację. Szukały przystojnego kobieciarza, najlepiej Włocha obracającego się w świecie mody, ale bez powodzenia. Kogoś, kto jest wystarczająco inteligentny, by przyznać się do porażki, a nie jest wystarczająco niezależny, by się oprzeć namowom. Kogoś, kto sam nigdy nie osiągnie sukcesu. Kogoś, kto jest... słaby.

Popatrzyła na kartkę przedstawiającą tego człowieka w tak zwięzłych, nudnych określeniach. Czy to rzeczywiście jego całe życie? Czy reszta się nie liczyła? Czyjej życie można by też tak samo zwięźle określić, z jedną tylko różnicą - sukces zamiast porażki?

Było jej żal Marcella d'Itriiego, chociaż go nigdy nie widziała. Początki w świecie mody są jak próby pływania w oceanie pełnym rekinów, myślała. Nie ma znaczenia to, czy jesteś dobry, czy zły. Stanowisz potencjalne zagrożenie, więc pozostali łączą się solidarnie przeciw tobie i wpychają cię na dno, zanim jeszcze spróbowałeś wypłynąć na powierzchnię. To czysty i prosty darwinizm; tylko najlepiej przystosowani mogą przeżyć. Jeśli chcesz tu przetrwać, musisz się stać rekinem.

Ale chociaż go żałowała, to, że miał takiego pecha, było dla niej korzystne. Szukała kogoś takiego od miesięcy, ale

żaden z kandydatów nie spełniał wszystkich wymagań. A żeby móc osiągnąć to, co sobie zaplanowała, musiały być zachowane określone warunki. Bo teraz to ona, Helenę Junot, wchodziła do gry. Nie zamierzała jak dotąd tylko przedstawiać najnowszych trendów ze świata mody, ale sama postanowiła otworzyć własny salon. Wiedziała, że ona i Luba mają wystarczająco dużo wyczucia stylu i umiejętności przewidywania, a „Les Modes” i „La Moda” są wystarczającą siłą, by zapewnić sukces takiej firmie. Nie mogła jednak otworzyć domu mody pod własnym nazwiskiem, gdyż stanowiłoby to drastyczny konflikt interesów. Mogła być jedynie

właścicielką salonu firmowanego przez kogoś innego. Kogoś, kto słuchałby jej i Luby, ale uchodziłby za głównego projektanta. Kogoś, kto zgodziłby się wykonywać polecenia. Kogoś, kto sam nie miał talentu.

Oczywiście dom mody nie mógł istnieć bez utalentowanego projektanta, ale miał on pozostawać w cieniu tak samo jak Helenę. Zamierzała po prostu zebrać grupę młodych zdolnych twórców. Tak jak otwierając „Les Modes”, ściągnęła do siebie najlepszych pracowników z „Vogue’a”, „Harper Bazaar” i „L’Officiel”, teraz pragnęła zabrać utalentowanych ludzi z innych salonów. Zespół powinien być różnorodny.

Młodych talentów było dużo; znacznie trudniejsze okazało się znalezienie właściwego figuranta do salonu. Helenę natomiast wiedziała jedno lepiej niż sławni projektanci ryzykujący w każdym sezonie. Mogła wskazać dokładnie trendy najnowszej mody, ponieważ to ona je lansowała. Nie musiała więc ryzykować ani kształtować gustów klientów i nakłaniać ich do kupowania naprawdę pięknych, drogich rzeczy. Ona po prostu od początku sprytnie wykorzysta upodobania i snobizm nabywców. Jej pracownia będzie proponować dokładnie to, co ludzie chcą mieć. Nic innego.

Helenę, nie zdając sobie z tego sprawy,

wymyśliła coś, co miało stać się światowym trendem na całe lata. Wykreowanie figuranta i rozślawianie jego nazwiska lub wykorzystywanie czyjegoś znanego nazwiska, miało się stać zasadą mechanizmów mody po obu stronach Atlantyku. Ważne było to, żeby ludzie chcieli płacić za to nazwisko.

Marcello d'Itri.

Spróbowała wymówić głośno jego nazwisko. Brzmiało dobrze.

Zastanawiała się tylko, czy to naprawdę właściwy człowiek. Powróciło do niej określenie Luby: idealny naiwniak.

Zmusiła się, aby tak o nim nie myśleć, i podniosła się z uśmiechem.

- Dziękuję, Luba - powiedziała. Caryca podniosła się również.

- Czy chcesz, żebym umówiła cię na spotkanie z tym facetem?

- Tak. W piątek wracamy do Paryża, więc zorganizuj to możliwie jak najszybciej.

- Jutro?

Helenę kiwnęła głową.

- Może być.

- Dobrze. Ściągnę go tutaj.

- Nie - odrzekła Helenę z namysłem. -

Sama do niego pójdę. I oczywiście chciałabym, żebyś mi towarzyszyła.

Caryca sprawiała wrażenie zbitej z tropu, ale zrozumiała bez zbędnych pytań, dlaczego tym razem to góra pójdzie do Mahometa. Kiwnęła głową.

Gdy Luba wyszła, Helenę długo zastanawiała się nad swoją decyzją. Instynktownie czuła, że pójście do d'Itriego to dobry pomysł. Zawsze można się więcej dowiedzieć o człowieku, oglądając go w jego własnym otoczeniu niż w jej gabinecie. Biuro może stresować i onieśmielać, a nie chodziło jej o takiego d'Itriego. Chciała dowiedzieć się o nim szczegółów, o których mogły jej

powiedzieć jego półka z książkami lub ulubione krzesło.

To lepsze niż widzieć go tutaj w najlepszym garniturze.

Następnego dnia Helenę i Luba wsiadły do czarnego fiata prowadzonego przez szofera i pojechały wąskimi starymi uliczkami Mediolanu do pracowni Marcella d'Itri.

Marcello d'Itri pocił się jak mysz. Zazwyczaj mu się to nie zdarzało, ale teraz nie mógł opanować reakcji swojego organizmu. Obie kobiety, jedna starsza, wysoka i agresywna, a druga młodsza, wytwornie ubrana, wyglądały tak różnie - jak stara, zwinna jaszczurka i

poruszająca się wdzięcznie gazela. Ale niezaprzeczalnie obie były eleganckie i miały szyk - wspaniały, onieśmielający szyk, jakiego nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się widzieć. I wyglądały tak naturalnie! Większość znanych mu ludzi czuła się tak swobodnie tylko w znoszonych swetrach i szlafrokach. A te kobiety cechował pełny luz. Stara jaszczurka przyszła w golfie i spódnicy z czarnego jedwabiu przeplatane go kaszmiem, ze złotym łańcuchem na szyi i pasem od Hermesa wokół talii; młoda gazela miała na sobie morelowy kostium Chanel, białą bluzkę i słomkowy kapelusz. Jej klipsy pochodziły od Bulgarego: były to diamenty w platynowej oprawie, otoczone

szmaragdami.

Biła z nich nie tylko elegancja. Marcello czuł coś więcej. Te dwie były potężne, widział to w ich oczach i pewności siebie. Tych kobiet nie można było oszołomić męską siłą czy słabością bądź wylewnymi komplementami. Miały w sobie coś twardego i interesownego. Szczególnie ta młodsza.

Marcello d'Itri był szczupły i przystojny. Miał oliwkową cerę, ciemne oczy i czarne, błyszczące włosy. Wygląda na nieco zaniedbanego, uznała Helenę, ale to pewnie kwestia pieniędzy. W oczywisty sposób robił wszystko, by się dobrze prezentować, nawet ostrzygł włosy. Może nie najlepiej, bo pewnie

tylko na takiego fryzjera mógł sobie pozwolić. Garnitur, wprawdzie dobrze skrojony i z dobrej tkaniny, był znoszony i więcej niż lekko poprzecierany. Musiał to być jego najlepszy albo też jedyny garnitur. Uszyty był z wełny, a Marcello nosił go w maju. Koszula była z doskonałej bawełny, ale i ona miała swój najlepszy czas za sobą. Helenę rozumiała jednak, że nie należy oceniać tego mężczyzny po obecnym wyglądzie. Ważne było, jak mógł się prezentować. Wiedziała instynktownie, że przy niewielkim wysiłku i odrobinie pieniędzy Marcello będzie wyglądał świetnie. Uznała, że jego egzotyczna karnacja i wyjątkowo zmysłowe usta spodobają się kobietom, a jednocześnie

nie odznaczał się tą szczególną doskonałością, która drażni mężczyzn.

Małe, ciemne mieszkanie było bardzo skromne. W jednym kącie stał wielki warsztat tkacki z niedokończonym projektem tkaniny. Helenę popatrzyła na nią z dezaprobatą i złapała wzrok Luby. Obie natychmiast rozpoznały twórcę: Missoni.

Marcello d'Itri po prostu kopiował tego, kto był popularny.

Teraz stał, nerwowo wyłamując palce, i czekał, aż któraś z nich zacznie mówić. Zastanawiał się, czego mogą od niego chcieć.

- Pozwoliłam sobie zapoznać się z pańskim życiorysem - odezwała się Helenę. Uśmiechnęła się przeproszająco i popatrzyła mu w oczy. - Mam nadzieję, że pan się o to nie gniewa. Po prostu zawsze wolę wiedzieć, z kim mam do czynienia, chociaż nie lubię wyrzucać pieniędzy.

D'Itri z niedowierzaniem pokręcił głową i nerwowo przycupnął na krześle. Miał wrażenie, że stoi przed plutonem egzekucyjnym.

- Podstawy ma pan całkiem niezłe. - Helenę uśmiechała się, próbując go rozluźnić. - Może nie wspaniałe, ale zupełnie wystarczające. Panie d'Itri, mój czas jest cenny i nie zamierzam go

tracić, więc przejdźmy do sedna sprawy. Czy chciałby pan się stać projektantem mody?

- Już kiedyś próbowałem. - Uśmiechnął się smutno, teraz już nieco odprężony.

- Bez powodzenia.

- Tak. - Jego głos zabrzmiał cicho.

- Czy chciałby pan stać się sławny, panie d'Itri? - zapytała łagodnie Helenę. Parsknął krótkim, nerwowym śmiechem. Ta kobieta była szalona. Kiedyś wierzył w

swój talent. Dopiero po latach zrozumiał, że nic nie osiągnie. Z

pewnością osoba tak ważna i wpływowa jak ona, kobieta, która tkwiła w centrum świata mody, wiedziała o tym lepiej od niego.

Helenę kontynuowała:

- W krótkim czasie mogę pana uczynić tak znanym projektantem jak teraz Valentino i tak wielkim jak Dior. Co pan na to?

- Skłamałbym, mówiąc, że mnie to nie interesuje.

- Świetnie, jest pan uczciwy. Doceniam pańską szczerłość. I doskonale wiem, że sam nigdy nie dostanie się pan na szczyt.

D'Itri zamarł. Ogarnął go nagły wstyd. Było to tak gwałtowne uczucie, że ponownie oblał się potem. Wytarł szybko czoło chusteczką, którą gniótł w ręce.

- Więc po co pani tu przyszła? - zapytał zaskoczony brzmieniem własnego głosu. Helenę popatrzyła mu w oczy. Były ciemne i oszołomione, tak jakby d'Itri obudził

się nagle w miejscu, którego nigdy wcześniej nie widział. Szybko opowiedziała mu o swoich planach otwarcia salonu mody. Słuchał w milczeniu.

- Niepotrzebny pani projektant, tylko... -

Próbował znaleźć właściwe słowo.

- Figurant, panie d'Itri - odpowiedziała gładko, unikając spojrzenia Luby.

Wiedziała, o czym myśli Caryca. Dupek. Szybko mówiła dalej: - Będziemy mieli zespół projektantów. Ale to nie znaczy, że nie znajdzie się praca dla pana. I to ciężka. Spotkania z prasą, pozyskiwanie klientów, oglądanie projektów. Proszę mi wierzyć, to ważne zadania.

D'Itri nie wierzył własnym uszom.

Nagle, jak najpiękniejszy dar losu, pojawiła się ona! Nie rozumiał tego, ale był dostatecznie mądry, by nie odrzucić tej propozycji. Te kobiety albo były szalone, albo też doskonale wiedziały, o co im chodzi. Jeżeli mówiły prawdę, to

musiał po prostu się zgodzić na ich propozycję i żyć jak król.

Słuchał Helenę, pospiesznie analizując w myślach różne możliwości. Mając poparcie „Les Modes” i „La Mody”, będzie mógł mieszkać w luksusowej willi, podróżować po świecie i pozować do zdjęć w gazetach.

Oczywiście, że to nie będą jego projekty, ale przecież nikt się o tym nie dowie...

- To jakby zaprzędanie duszy diabłu - powiedział niepewnie do Helenę, lecz jego wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Samoloty, luksusowe samochody, jachty... Nagle rzeczy, o których marzył, a nie mógł sobie na nie

pozwolić, stały się osiągalne. I pozycja!
Biedny chłopiec z Sycylii może daleko
zajść, uznał. Bardzo daleko.

Zmusił się do zachowania spokoju.

- Co zyskam, jeśli się zgodzę? - zapytał.

- Jak już mówiłam, stanie się pan
jednym z najbardziej znanych
projektantów mody. Zyska pan sławę.
Uznanie. - Zamilkła, po krótkiej pauzie
dodała szeptem: - Fortunę.

W ciemnych oczach rozbłysła chciwość.

-Ile?

Helenę wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy, jak będzie się rozwijał interes. Otrzyma pan niewielki procent udziałów w firmie.

- To znaczy ile?

- Piętnaście procent.

Marcello wyglądał na rozczarowanego.

- Nie będę miał prawa głosu.

- To prawda. Spółką będą kierowali specjaliści od marketingu. Chcemy produkować to, na co będzie gwarantowany zbyt. Musi pan być świadomy trzech rzeczy. - Helenę powoli wyliczała na palcach. - Po pierwsze, pańskie nazwisko stanie się

nazwą domu mody. Po drugie, ulokujemy firmę tu, w Mediolanie, z filią w Rzymie, dopóki nie wypłyniemy na szersze wody. I po trzecie, będzie pan najdroższą przykrywką na świecie.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

-I tych piętnaście procent... uczyni mnie bogatym?

- Bardzo bogatym, panie d'Itri. Na razie, zanim zaczniemy produkcję, będzie pan otrzymywał pensję, która potem zostanie potrącona z pańskich dochodów. Pensję w wysokości... - przerwała, udając, że się zastanawia. - Powiedzmy, półtora, półtora miliona lirów miesięcznie? - Uniosła brwi pytająco.

Marcello na moment przestał oddychać. Zakręciło mu się w głowie. Półtora miliona lirów! Mamma mia, trzy tysiące dolarów! Co miesiąc! Czy to możliwe? Och, słodka święta Madonno, spraw, aby to była prawda, modlił się żarliwie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, odzyskując nagle pewność siebie.

- To brzmi interesująco - odrzekł powoli. Nadal kręciło mu się w głowie. Spojrzał na swoje kolana, a potem podniósł wzrok i powiedział stanowczo: - Chcę dwadzieścia pięć procent.

Helenę oczekiwała tego. Celowo zaproponowała mu piętnaście procent, przewidując, że w końcu może dojść do

trzydziestu. Naturalnie jeszcze bardziej odpowiadałoby jej dwadzieścia pięć procent. Nie chciała jednak zbyt szybko skapitulować.

- Dwadzieścia - odparła stanowczo.

Marcello zawahał się, rozumiejąc, że stąpa po nieznanym mu terytorium. Czuł, że powinien wytargować więcej, ale ile? Jeżeli będzie zbyt zachłanny, ona może zrezygnować. Wtedy straci wszystko. Popatrzył na Helenę, która czekała w milczeniu.

- Dwadzieścia dwa? - zapytał.

- Dwadzieścia.

D'Itri sprawiał wrażenie pokonanego.

- Dwadzieścia - zgodził się potulnie.
Helenę się uśmiechnęła.

- Umowa stoi - powiedziała, nie wierząc własnemu szczęściu. Zostanie jej osiemdziesiąt procent udziałów!

Podniosły się obie jednocześnie.

- Proszę przyjść do mojego biura w czwartek - poleciła Helenę D'Itriemu. -
Moi prawnicy przygotowują dokumenty.

- Będę - obiecał, myśląc, że po drodze zatrzyma się w salonie Alfa Romeo.
Odprowadził kobiety do drzwi. Helenę przed wyjściem odwróciła się i

uścisnęła mu

rękę.

- Do widzenia, panie d'Itri.

Niespodziewanie pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Do widzenia, signorina. - Gdy podniósł głowę, oczy mu błyszczały. - Razem staniemy się bogaci!

Rozdział 3

Pewnego pochmurnego czerwcowego dnia Helenę wybrała się na przyjęcie wydane przez Odile Joly. Impreza była ogromną niespodzianką, bo Odile Joly nigdy nie urządzała przyjęć. Stara

projektantka przez sporą część życia strzegła swojej prywatności tak samo zazdrośnie jak swojego sukcesu. Ale potem Helenę zrozumiała. Odile obchodziła osiemdziesiąte urodziny, które zbiegły się z sześćdziesiątą trzecią rocznicą powstania Maison d'Odile Joly - salon został otwarty we wrześniu 1898 roku najpierw jako pracownia kapeluszy. Z tej okazji słynna jubilatka otworzyła drzwi swojego apartamentu na Plaza Athénée dla wszystkich znajomych. Albo, jak mówiły złośliwe języki, dla wszystkich, z którymi jeszcze rozmawiała. Przyjęcie trwało pół dnia i dużą część nocy. Bogaci i sławni przybyli tłumnie, by złożyć hołd największej projektantce mody wszech

czasów. Fotoreporterzy byli wszędzie, także ekipa z „Les Modes”.

Odile Joly witała każdego po kolejnym królowa. Kiedy goście wchodzili do holu, służący zabierał okrycia, by je powiesić; inny służący zaś prowadził ich pojedynczo przed oblicze dostojnej jubilatki. Odile, która nigdy nie robiła niczego połowicznie, siedziała samotnie na górze poduszek i orientalnych dywanów w jedwabnym namiocie postawionym specjalnie na tę okazję. Namiot oświetlały latarnie, a ozdabiały go krzaczaste azjatyckie palmy w donicach.

W koszach z brązu płonęło drewno sandałowe, w kącie zaś siedział ze

skrzyżowanymi nogami hinduski muzyk, szarpiąc struny podobnego do harfy instrumentu. Tego dnia Odile Joly przeszła samą siebie. Miała na sobie eleganckie jedwabne sari przywiezione z ostatniej podróży do Indii i błyszczącą złotą biżuterię. Głowę przykryła przezroczystym welonem. Każdy z gości mógł jej złożyć gratulacje i zadać jedno, ale tylko jedno, naprawdę ważne pytanie.

Odile Joly bawiła się świetnie. Wiedziała, że każde jej słowo jest traktowane jak ewangelia i zrobiła z tego cały spektakl. Kiedy jakaś modelka zapytała ją o sekret piękna, odpowiedziała wykrętnie:

- Piękno to nieuchwytny dar, którego nikt nie może znaleźć.

Jakiś mężczyzna zapytał ją o sekret sukcesu; Odile przez chwilę udawała zamyśloną.

- Hm... sukces... - wymamrotała. Dotknęła palcem warg, w widoczny sposób pogrążona w myślach. Potem podniosła wzrok, a w jej ciemnych oczach pojawił się błysk nagłego odkrycia. - Sukces jest albo tuż obok, albo nie ma go wcale.

Zapytana o najważniejszą rzecz na świecie wyjaśniła zwięźle:

- Ekonomia ruchu.

- Kiedy powinnam zrobić pierwszy lifting twarzy? - zapytała któraś z dam.

- Lifting twarzy! Non, non, non, non! Nigdy tego nie rób. Dodawaj zmarszczek! - wykrzyknęła Odile Joly. Następnie z satysfakcją opadła z powrotem na stopy poduszek. - Zmarszczki - westchnęła - dodają charakteru.

Wspaniały apartament oczarował Helenę. Nigdy wcześniej nie była u Odile. Chociaż sławna projektantka mieszkała w znanym z luksusu hotelu, Helenę spodziewała się czegoś spartańskiego jak pracownie w domu mody, gdzie Odile Joly szyła i projektowała, a najwyżej

komfortowego, lecz zwyczajnego hotelowego wnętrza. Myliła się całkowicie.

Olbrzymie wnętrza zostały urządzone przez samą właścicielkę z niewielką pomocą znanego angielskiego dekoratora wnętrz Johna Fowlera. Wzdłuż ściany w głównym salonie ciągnęła się lakierowana na ciemno biblioteka, a przed nią stała długa, obita zamszem sofa z poduszkami z gęsiego puchu. Na pozostałych ścianach wisiały lustra, z wyjątkiem miejsca zajmowanego przez delikatnie rzeźbiony, marmurowy kominek. Empirowe, oryginalne stoliki do kawy i krzesła stały na grubym wełnianym

dywanie; pośrodku zaś ustawiono naturalnej wielkości mosiężnego jelenia. Znajdowały się tam też zegary z pozłacanego brązu, sprzęty inkrustowane masą perłową, obrazy Turnera i Renoira oraz kolekcja porcelany Kang H' si. I do tego nawet sufit pokrywały lustra.

Czekając na swoją kolej, by złożyć życzenia Odile Joly, Helenę zastanawiała się, w jakim stopniu była pracodawczyni przyczyniła się do jej sukcesu. To właśnie Odile Joly dostrzegła ją w galerii André Lichtensteina i zaproponowała pracę modelki. To ona poleciła Helenę Jacques'owi do sensacyjnych zdjęć na wieży Eiffla. Potem, kiedy powstał

magazyn „Les Modes”, Odile Joly pomogła jej jeszcze raz, zrywając kontrakt z „High

Fashion Association”, a wtedy pismo Helenę zaczęło prezentować jej kolekcje. Możliwe, że bez Odile Joly „Les Modes” nie odniósłby sukcesu. Może w ogóle by nie powstał. A może dałabym sobie radę sama, zastanawiała się Helenę. Może o pewnych sprawach decyduje przeznaczenie? Czy znalazłby się jakiś inny sposób? Na to pytanie nigdy nie mogła znaleźć odpowiedzi. Wiedziała tylko to, co powiedziała kiedyś pani Dupré: pewne rzeczy dzieją się wówczas, gdy jest się na nie gotowym. Jedno było pewne: trzy osoby

pomogły jej się stać tym, kim była teraz. Pani Dupré, Odile Joly i Stanisław. Byli aniołami opiekuńczymi Helenę.

O siódmej trzydzieści trzy podszedł do Helenę lokaj i ukłonił się nisko.

- Czy zechce pani pójść za mną, mademoiselle? Odile Joly przyjmie panią teraz. Poszli korytarzem i zatrzymali się przed drzwiami w głębi. Lokaj otworzył je i

wpuścił dziewczynę do środka.

Helenę wpatrywała się w olbrzymi namiot ze zdumieniem. Lokaj uniósł zasłonę przy wejściu i pochylona wsunęła się do środka. Wstrzymała

oddech. Namiot był tak egzotyczny, że na moment zapomniała, iż są w Paryżu. Śpiewne łkania Hindusa i dżungla zielonych palm zmieszana z arabskimi dywanów i poduszek - wszystko to należało do innego świata.

Cofnęła się gwałtownie, bo w jednym z kątów dostrzegła jakiś ruch i usłyszała groźne mruczenie. Stał tam smukły i czujny ocelot. Jego żółte oczy lśniły drapieżnie.

- Nie bój się, Sheba nie gryzie - odezwał się ktoś gardłowym głosem.

Helenę odwróciła się w lewo. Niczym sędziwy guru Odile Joly siedziała na stosie poduszek, wyprostowana jak

młoda dziewczyna. Światło latarni rozjaśniało delikatnie jej pomarszczoną twarz. Głęboko osadzone oczy rozbłysły i uśmiechnęła się nagle.

- Helenę! - Wyciągnęła pomarszczoną dłoń. - Podejdź, abym mogła ci się przyjrzeć. Dawno cię nie widziałam.

Helenę zerknęła z lękiem na zwierzaka i zauważyła, że został przykuty łańcuchem do słupa. Uśmiechnęła się nerwowo, obeszła go najdalej, jak mogła, i powoli zbliżyła się do Odile. Spojrzała na staruszkę.

- Tak, minęło dużo czasu. Sto lat zdrowia i dużo, dużo szczęścia z okazji urodzin. Projektantka zrobiła zmęczony

gest.

- Miałam tyle urodzin, że przestałam je liczyć pół wieku temu. Usiądź koło mnie. - Poklepała poduszki.

Helenę wiedziała, że spotkał ją zaszczyt. Goście wchodzili i wychodzili w przeciągu minuty. Rozejrzała się z wahaniem, a potem spytała z uśmiechem:

- Są tu jakieś węże? Odile Joly zmrużyła oczy.

- Tutaj nie. Ale reszta mieszkania jest pełna żmij. - Poczekała, aż Helenę usiądzie na poduszkach. - Dobrze sobie radzisz, chérie. Jesteś jedną z

nielicznych osób, które darzę szacunkiem. Wiedziałaś o tym?

Helenę zarumieniła się, słysząc komplement. Była to ostatnia rzecz, jakiej oczekiwała.

- „Les Modes” nie byłoby tym, czym jest, bez pani pomocy - powiedziała.

- Pracowałaś jak szalona. Szkoda tylko, że nie powiodło ci się w życiu osobistym. Uwielbiałam Stanisława.

Helenę poczuła, że coś ściska ją w gardle.

- Tak jak ja - odrzekła miękko. - Był wyjątkowym człowiekiem. Odile Joly

kiwnęła głową, a potem spojrzała na Helenę przenikliwie.

- Przed chwilą jakiś człowiek zapytał mnie o sekret sukcesu. Wiesz, co powinnam była odpowiedzieć?

Helenę pokręciła głową przecząco.

- Powinnam była mu powiedzieć: „Zapytaj Helenę Junot. Ona zna ten sekret”.

- To chyba przesada. Przez chwilę milczały obie.

- A ty nie chcesz mi zadać jakiegoś ważnego pytania? - spytała w końcu Odile. Helenę roześmiała się bezradnie.

- Muszę się przyznać, że nie wiem, od czego zacząć.

- Mądra dziewczynka. - Umiękła na chwilę. - Wiesz, że nieczęsto zdarza mi się urządzać przyjęcia?

Helena przytaknęła, zastanawiając się, do czego zmierza Odile.

- Wszyscy zachodzą w głowę, próbując odgadnąć, dlaczego tym razem się poddałam i zorganizowałam tę imprezę, ale nikt nie śmiał zapytać o to otwarcie. Myślę, że to moje pożegnanie z życiem.

- To śmieszne - odparła Helena. Dla niej Odile Joly zawsze była i będzie. Staruszka roześmiała się smutno,

wysunęła ręce i spojrzała na nie.

Paznokcie miała

starannie polakierowane, ale

przebarwienia i zmarszczki

przypominały o wieku.

- Skończyłam osiemdziesiąt lat. Może

jeszcze pożyję z dziesięć, może nie. -

Filozoficznie wzruszyła ramionami. -

Jak myślisz, dlaczego ci ludzie tu

przyszli? Żeby życzyć mi stu lat życia? -

Roześmiała się sucho. - Nie, chcieli

zobaczyć, ile mi jeszcze pozostało.

Chcieli zobaczyć, czy bardzo się

postarzałam. - Wychyliła się do przodu i

sięgnęła do okrągłego mosiężnego

kufierka u swoich stóp. Uniosła wieko i

wyjęła kawałek krwistego mięsa.

Rzuciła je ocelotowi, który poderwał się na nogi. Pochwycił mięso i zaczął je gryźć.

- Oni wszyscy przyszli zobaczyć, jak pożarło mnie życie przez te wszystkie lata. -Kiwnęła głową w kierunku zwierzaka. - Tak jak Sheba pożera mięso. - Westchnęła i spojrzała na Helenę. - Jestem dinozaurem, reliktem ubiegłego stulecia. W Paryżu są setki młodych projektantów, którzy tylko czekają, aby zająć moje miejsce. I to nie jest zabawne. Jestem już zmęczona, naprawdę. Czuję to w kościach.

Helenę zrobiło się żal tej starej kobiety. Rozumiała, jak trudno Odile zwolnić

tempo. Psychicznie była aktywna jak zawsze. Miała niespożytą energię. Aż dziwne, że jej organizm słabł. Zawsze myślała, że Odile jest niezniszczalna. Dziwne było teraz przekonać się, że to zwykła śmiertelniczka.

Nagle Odile uścisnęła mocno jej dłoń.

- Upewnij się, że fotoreporterzy dokładnie sfotografują to przyjęcie!
Helenę milczała. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! -
powiedziała uspokajająco staruszka. -
Wszystko w porządku. Powiedz mi,
który numer „Les Modes” teraz
przygotowujesz?

- Listopadowy.

- Och! - Odile wydawała się rozczarowana.

- O co chodzi? - zapytała Helenę.
Projektantka uśmiechnęła się chytrze.

- A czy nie znalazłoby się kilka dodatkowych stron w którymś wcześniejszym... -zawiesiła głos na chwilę.

Helenę zastanawiała się gorączkowo. Znała Odile Joly wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że może liczyć na kolejną sensację.

- Wyrzucę artykuł z numeru

wrześniowego - oświadczyła bez wahania. - Jest jeszcze w łamaniu. Niestety wcześniejsze sajuż w drukarni albo w magazynach.

- Wrzesień mi odpowiada. - Odile Joly kiwnęła głową i uśmiechnęła się z aprobatą. - Możesz zamieścić dzisiejsze zdjęcia. I przyślij tu fotografów, żeby zrobili mi kilka ładnych dużych portretów. Wiesz, chérie - konfidencjonalnie ściszyła głos -jestem gotowa, aby przejść na emeryturę.

Helenę nie wierzyła własnym uszom. - Na emeryturę!?

- Tak, kiedy się skończy osiemdziesiąt lat, to już najwyższy czas. No i trzeba

wiedzieć, kiedy należy odejść. - Odile uśmiechnęła się. - Nie chcę, żeby ludzie mówili: „Nareszcie”. Poczekam jednak z ogłoszeniem tego, dopóki... - Jej czarne oczy błysnęły figlarnie. - Do dnia, w którym ukażą się wrześnieowe „Les Modes” i „La Moda”.

Wzruszona Helenę uścisnęła jej dłonie z wdzięcznością.

- Dziękuję - powiedziała nagle zachrypniętym głosem. Zrozumiała w tym momencie, jak bardzo staruszka ją kocha. Nawet swoje przejście na emeryturę chciała zaaranżować tak, by „Les Modes” miało z tego korzyść.

- Teraz wracaj na przyjęcie - burknęła

Odile. - Goście czekają już w kilometrowej kolejce, aby się ze mną zobaczyć.

Uśmiechnęła się, kiedy Helenę wychodziła. Ta dziewczyna nieźle sobie radziła i to ona, Odile Joly, przyczyniła się do tego. Obserwowała ją uważnie, śledziła wędrówkę „Les Modes” na szczyt. Tak jak nigdy nie będzie drugiej Odile Joly, nie będzie też drugiej Helenę Junot.

Po opuszczeniu namiotu Helenę zamieniła kilka słów z fotoreporterami i wyszła z przyjęcia. Był wczesny wieczór, ale ona nie kończyła pracy o piątej po południu. Nadal miała dużo rzeczy do zrobienia. Zamierzała dziś

przejrzeć projekty architektoniczne dwóch butików d'Itrięgo. Egipskie zdobienia wymagały kilku zmian, ale to musiało poczekać. Najpierw zatelefonuje do Luby i razem zastanowią się nad artykułem o pożegnaniu Odile Joly ze światem mody.

Właśnie zamierzała wyjść na Plaza Athénée, gdy zobaczyła limuzynę, która podjechała w strugach deszczu i zatrzymała się przed wejściem do hotelu. Prawdopodobnie następny ważny gość przyjechał, by złożyć życzenia Odile Joly. Patrzyła, jak odźwierny zbiegł po stopniach, trzymając ogromny czarny parasol. Kiedy w drzwiach ukazał się pasażer, Helenę zamarła.

To był Nigel Somerset.

Kolana się pod nią ugięły i zaczęła się chwiać. Musiała się przytrzymać balustrady. Przez moment nie odrywała wzroku od Nigela. Potem, kiedy biegł po schodach, odwróciła się tyłem, żeby jej nie zobaczył. Próbowwała opanować ogarniającą ją falę tęsknoty.

- Helene! - To słowo zabrzmiało prawie jak szept; niski, wypełniony tysiącem wspomnień i obietnic.

Zobaczył mnie, odezwał się do mnie, pomyślała. Jej serce śpiewało głośno, radośnie, triumfalnie. Powoli odwróciła głowę.

- Nigel! - Ten głos był przytłumiony i niski. Należał do innej kobiety.

Helene cofnęła się gwałtownie, gdy z obrotowych mosiężnych drzwi wyszła mu na spotkanie tamta kobieta.

Głos należał do kogoś innego. Do Helene Giradoux.

Rozdział 4

Na trybunach w Auteuil zgromadziło się czterdzieści tysięcy widzów, by obserwować wyścigi. Dwieście tysięcy przejętych kibiców otaczało tor; wielu przebywało tam już od dwóch dni. Był pierwszy listopada, tego dnia tradycyjnie odbywała się jesienna

gonitwa o nagrodę Grand Prix. Ostatni bieg sezonu zawsze przyciągał tłumy, ale nigdy wcześniej wyścig nie zatrzymał gospodarki. Fabryki i firmy w całym kraju donosiły, że pięćdziesiąt procent ich pracowników nagle zachorowało. Bukmacherzy z Montmartre'u nigdy dotąd nie mieli takich obrotów. Do Auteuil zjechali nie tylko entuzjaści wyścigów konnych, szalone podniecenie ogarnęło cały Paryż. Tak samo jak resztę kraju. Ci, którzy nie mogli tam być, słuchali transmisji przez radio.

W tym sezonie po raz pierwszy pięć koni szło łeb w łeb. Były tak wspaniale dobrane, że nikt nie umiał wskazać zwycięzcy. I okazało się, że wyścig

będzie próbą sił pięciu najważniejszych rodzin Francji. Startowały: Baron - de Rothschildów, Tres Jolie -de Sévigné, Mylene - de Gide'ów, Piper - d'Ermosów i L'Afrique - de Légerów.

Gorączka rozpoczęła się w Niedzielę Palmową i narastała przez całe lato. W Niedzielę Palmową Baron wygrał nagrodę Prezesa Giełdy.

W Zielone Świątki natomiast Mylene była pierwsza w wyścigu St. Cloud.

W ostatnią niedzielę czerwca konie pobięły w Longchamps o nagrodę Paryża. Zwyciężył L'Afrique.

Letnią Grand Prix w Vincennes zdobył

Piper.

W pierwszą niedzielę października w Longchamps Wielką Nagrodę Łuku Triumfalnego zdobyła Tres Jolie.

Po każdym wyścigu napięcie wzrastało, by wreszcie osiągnąć poziom gorączkowej histerii. Wszyscy zwycięzcy poprzednich gonitw całego sezonu mieli się teraz zmierzyć w ostatnim wielkim wyścigu. Tylko jeden z koni mógł zdobyć nagrodę.

Helena zabrała do Auteuil bratanicę, by obejrzała ten spektakl.

- Przecież - wyjaśniła niani - musi poznać wszystkie zwyczaje jej

środowiska. Wiem, jest jeszcze młoda. Powinna jednak mieć jakie takie pojęcie, co się dzieje na świecie.

Gdy konie wystartowały, na torze w Auteuil zapanowała cisza. Ich kopyta unosiły chmury kurzu i wybijały rytm biegu, jak gdyby uderzały w bęben. Już od samego początku pięć wierzchowców wysunęło się naprzód. Prowadził Baron, a pół łba za nim biegły L'Afrique, Tres Jolie, Mylene i Piper.

Petite Helenę wyciągnęła szyję i przyłożyła lornetkę do oczu, ale konie mijały właśnie trybunę honorową i trudno było orzec, który prowadzi. Szły zbyt blisko siebie.

Tłum zaczął wrzeszczeć i wiwatować.

Kiedy konie przeszły przez zakręt i zaczęły wracać, zdecydowanie, choć niewiele prowadził L' Afrique.

Pozostałe biegly tuż-tuż. Siły były wyrównane.

Edgardo Jimenez, dosiadający L' Afrique, odwrócił się, by spojrzeć na rywali. Z prawej strony była Tres Jolie, z lewej Piper. Edgardo mógł dostrzec tylko końskie łby,

gdyż dżokeje niemal leżeli na karkach wierzchowców. Powietrze drżało od stukotu kopyt. Twarz Jimeneza wykrzywił grymas determinacji.

Hubert de Léger powiedział mu, że zostanie zwolniony, jeżeli L' Afrique nie zdobędzie pierwszego miejsca. Zwolniony i zrujnowany. Hubert oświadczył, że sprawi, by Edgardo już nigdy więcej nie wystartował w gonitwie. Że zostanie deportowany do Argentyny.

Jimenez ścisnął konia kolanami, ponaglał go krzykiem i uderzał szpicrutą, zmuszając zwierzę do jeszcze szybszego biegu.

Tamci nie mogą ich wyprzedzić!

Włoch Ermanno Foggi, dosiadający Mylene, uśmiechał się do siebie ponuro. Był trzeci o odległość łba za Baronem i

dwie długości od L' Afrique. Specjalnie zwolnił, czekając na moment, który miał wkrótce nastąpić. Była to jego metoda; trzymał się zawsze w czołówce, ale nie zmuszał konia do największego wysiłku wcześniej niż na ostatniej prostej. Potem wierzchowiec musiał zebrać resztki sił i wystrzelić do przodu, wysunąć się na prowadzenie, by ostatecznie sił wpaść na metę pierwszy.

Ermanno Foggi musiał zwyciężyć. Operacja jego córki miała kosztować fortunę, a rodzina de Gide'ów obiecała mu sto tysięcy franków za zdobycie Grand Prix.

Wszyscy obecni na trybunach zerwali się z miejsc, kiedy konie weszły na

ostatnią prostą. Piper i Tres Jolie dogoniły L' Afrique i teraz wszystkie trzy szły łeb w łeb.

Nadeszła wielka chwila Ermanna Foggiego. On i Mylene byli teraz jedną istotą. Nawet nie rzucił okiem w bok, wyprzedzając Barona. Spoglądał do przodu. Biegły tam L' Afrique, Piper i Tres Jolie. Były zbyt blisko siebie. Ermanno zaklął. Potrzebował większej przestrzeni.

Edgardo Jimenez przeraził się. Z prawej strony miał kasztanową klacz Tres Jolie. Wyprzedzała go powoli. Nie wolno do tego dopuścić, pomyślał. Trzeba za wszelką cenę powstrzymać Tres Jolie.

Musiał działać natychmiast. Od początku wyścigu poganiał L' Afrique i teraz wierzchowiec był zmęczony. Jeżeli nie uda mu się powstrzymać przeciwnika, zostanie deportowany, pomyślał w panice.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Jimenez uniósł szpicrutę i smagnął nią po pysku Tres Jolie. Uderzenie było tak szybkie, że nikt nic nie zauważył. Widzowie dostrzegli tylko, że klacz nagle stanęła dęba, a dżokej z całych sił walczył, by nad nią zapanować. Nie udało mu się jednak, spadł z konia i wylądował na torze, wprost pod kopytami Barona i Mylene.

Zapadła nagła cisza.

Ermanno Foggi raczej poczuł, niż zobaczył, co się stało. Przez moment kopyta Mylene nie uderzały o ziemię, tylko biegły po czymś, co było miękkie i żywe. Ale wyścig trwał i Ermanno nie mógł się zatrzymać, by udzielić pomocy. Musiał wygrać.

Wprawnie pokierował Mylene tak, by wyminęła szalejącą Tres Jolie. Dogonił L'Afrique i zaczął go wyprzedzać. Na chwilę zerknął w lewo i dostrzegł przelotnie błysk czarnych oczu Jimeneza. Potem ujrzał wznoszącą się szpicrutę. Instynktownie pochylił głowę, ale było za późno. Poczucił ostry ból w karku, a przed oczyma wybuchła mu biała kula.

Potem wszystko ogarnęła ciemność. Jimenez pozbawił go przytomności. Mylene zderzyła się z L' Afrique i oba konie upadły.

Tłum krzyczał w szale, kiedy Piper wpadł na metę pierwszy.

Po wyścigu Hubert de Léger i Edgardo Jimenez stali przed wejściem do stajni. Twarz Huberta poczerwieniała z gniewu. Jimenez miał obandażowaną głowę. W jego oczach malowało się przerażenie. Za nimi rozległ się głośny strzał z pistoletu. Byli na to przygotowani, a jednak obydwaj zadrżeli. Chwilę później zaskrzypiały drzwi i hrabia de Léger wyszedł sztywno ze stajni. Twarz miał białą.

Pełen godności zatrzymał się przed Jimenezem, górując znacznie wzrostem nad drobnym dżokejem.

- Dlaczego? - zapytał szeptem, starając się zapanować nad głosem. - Dlaczego? I wtedy Edgardo się załamał. Strach przed gniewem Huberta i deportacją doprowadził go do hysterii.

- To nie moja wina! - wrzasnął przerażony. - Musiałem to zrobić! On mi kazał! - Otarł łzy i wskazał drżącym palcem Huberta.

Hrabia drgnął jak spoliczkowany. Odwrócił się powoli i w milczeniu popatrzył na syna. Hubert opuścił głowę

i obserwował czubki butów.

Hrabia odetchnął głęboko. Nadeszło to, czego obawiał się najbardziej. Hubert popełnił czyn, którego nie mogły zatuszować pieniądze ani koneksje de Légerów. Jego ojca ogarnęło przygnębienie. Czy ten głupiec nie wiedział, że po czymś takim żaden członek rodziny nie będzie mógł chodzić z podniesioną głową? Czy nie rozumiał, jaką hańbę ściągnął na ich dom?

Hrabia de Léger wyprostował się w milczeniu i wrócił do stajni. Hubert popatrzył groźnie na Jimeneza. Jego spojrzenie przeszywało dżokeja na wskroś, aż tamten skurczył się jeszcze bardziej ze strachu.

Po chwili rozległ się drugi strzał.

Hubert został następnym hrabią de Léger.

Nigel Somerset siedział w łoży d'Ermosów. Zwykle nie chodził na wyścigi, ale tym razem został do tego zmuszony. Nie pociągał go hazard w kasynach i nie lubił widoku biegających koni. Znalazł się dzisiaj w Auteuil tylko dlatego, że załatwiał w Paryżu interesy z markizem i został przez niego zaproszony.

- Musisz przyjść - namawiał go d'Ermos. - Nasz Piper biega w Auteuil. To będzie wyścig roku.

Znał się na koniach, jeździł na nich od dzieciństwa. Należyte wychowanie angielskiego dżentelmena z dobrej rodziny obejmowało jazdę konną, naukę w prywatnych szkołach z internatem i grę w polo. Nigel grał w polo głównie z tej przyczyny, że tego od niego oczekiwano. Hodował kuce do polo i chociaż nawet podobała mu się ta gra, doszedł do wniosku, że woli się zajmować interesami i polityką niż sportem. Jego pozycja wymagała, by pokazywał się na wyścigach w Ascot. Zwłaszcza kiedy rodzina królewska - jego rodzina - stawiała się tam w komplecie. Nigel tolerował Ascot ze względu na jego oprawę. Wszyscy nosili stylowe, pełne finezji stroje, a lożę

królewską zdobiły fioletowoniebieskie hortensje i białe lilie. Królowa, jego daleka kuzynka, zawsze siedziała na honorowym miejscu pod wspaniałym baldachimem. W Auteuil było wprawdzie mnóstwo bogatych i utytułowanych osób, ale to nie to samo. Nikt nie umiał okazywać swojej ekstrawagancji tak jak Anglicy. Jednak główną przyczyną, dla której Nigel nie lubił wyścigów, było to, że wolał sam jeździć konno, niż przyglądać się, jak robią to inni.

Nigel prawie zdążył już zapomnieć, jak bardzo niecywilizowane mogą być inne narody - do momentu tego wyścigu. Zachowanie dżokeja de Légerów było

nie do pomyślenia. Żaden Anglik od najniższego cockneya do najwyższego arystokraty nie tolerowałby tak skandalicznego postępuku.

Współzawodnictwo sportowe to jedna rzecz, a morderstwo druga. Stratowany dżokej zmarł. Taki incydent rzucał cień na cały wyścig. Ten ohydny czyn zostawił po sobie odrażający smród w powietrzu.

Pogratulował markizowi złotego trofeum, a potem odwrócił się, by zrobić miejsce następnym gościom, którzy przyszli do loży, by złożyć wyrazy uznania.

Nagle zamarł. Stała przed nim piękna kobieta z dziewczynką o rudych

włosach. Serce zaczęło mu walić jak młot. Przez chwilę i on, i ta kobieta milczeli. Potem Nigel odzyskał głos i wyszeptał:

-Helenę...?

Fiołkowe oczy Helenę wypełniły się zdziwieniem. Zaraz jednak zmusiła się do grzecznego uśmiechu, ale był to smutny uśmiech.

- Witaj, Nigel - powiedziała chłodno. - Dawno się nie widzieliśmy.

Po wypowiedzeniu tych słów zdała sobie sprawę, że zabrzmiał w nich wyrzut. Chciała być zimna i odległa jak ktoś obcy, nie jak źle potraktowana

żona. Co się z nią dzieje?

- Tak, upłynęło wiele czasu - odrzekł cicho. - Zbyt wiele.

Rozdział 5

Helene kochała swój pałacyk od chwili, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Teraz, dzięki obecności Nigela, nabrał charakteru, jakiego nigdy wcześniej nie miał. Wysłała na urlop służących, państwa Greuze i zabroniła im zaglądać do domu.

Pani Greuze wzięła się pod boki i z dezaprobatą pociągnęła nosem.

- Tylko proszę schodzić do kuchni

każdego ranka o szóstej - rozkazała. -
Beczulka przy drzwiach jest pełna
suchego chleba i bułek.

Helena kiwnęła głową. Nie wiedziała, o
czym mówi gospodyni, ale wypchnęła ją
do sieni i przyrzekła, że wszystkim się
zajmie.

Pani Greuze obrzuciła ją potępiającym
spojrzeniem i ciężko westchnęła.
Posłusznie rozwiązała jednak sztywny
biały fartuch, powiesiła go starannie na
drzwiach szafy pod schodami i wyszła,
nie protestując dłużej.

Helena dzieliła sypialnię z Nigelem. Był
to jej ulubiony pokój. Znajdował się na
drugim piętrze w jednej z wieżyczek nad

stawem. Ściany pokrywała nowa błękitna tapeta w niebieskie kwiatuszki. Stożące w alkowie łóżko było szerokie; do połowy zasłaniały je firanki wykończone u dołu białą bawełną, dopasowane kolorem do tapet. Sufit i boazeria były również niebieskie. Gruby wschodni dywan przykrywał czerwona kamienną posadzkę. Cieńszy orientalny kobierzec leżał na stole, wokół którego ustawiono osiemnasto wieczne krzesła z białymi oparciami i złocistymi aksamitnymi siedzeniami. Na ścianach wisiały małe pejzaże w prostych złotych ramach.

Długo nie kładli się spać. Nigel rozpałił ogień w olbrzymim kominku w salonie i

włączył lampy. Rozrzucili na dywan poduszki i ułożyli się na nich, ciesząc się swoją bliskością. Rozmawiali i popijali koniak.

- Mamy dużo zaległości do nadrobienia, prawda? - odezwał się cicho Nigel. Owszem, zgodziła się w milczeniu Helenę. Poduszki były miękkie i ciepłe, a jego

bliskość lub koniak, albo obie te rzeczy sprawiały, że czuła się taka lekka. I upojnie szczęśliwa. Poddała się jego uściskom, a on przyciągał ją bliżej, mocniej. Teraz, kiedy pojawił się znowu w jej życiu, potrzebowała go bardziej niż kogokolwiek i wiedziała, że

on czuje to samo. Przytulił ją i długo całował gorącymi, wilgotnymi ustami. Jej wargi były równie spragnione.

Nagle odsunęła go lekko. Było coś, czego musiała się dowiedzieć, zanim zaczną się kochać.

- Nigel?

Dostrzegł na jej twarzy niepokój, strach i wahanie.

- Tak, kochanie? Czy coś się stało?

- Nie - odrzekła Helenę, patrząc mu w oczy. - Po prostu muszę wiedzieć... - Nie dokończyła. Potrząsnęła żałośnie głową, obawiając się tego pytania, a

jeszcze bardziej odpowiedzi.

Uścisnął czule jej dłonie.

- Powiedz mi - poprosił cicho. Helenę skinęła głową i przełknęła ślinę.

- Dlaczego... - wyszeptała - dlaczego się nie odezwałeś, kiedy przeczytałeś moją wiadomość?

- Wiadomość? Jaką wiadomość? O czym ty mówisz, kochanie?

Usłyszała w jego głosie szczere zdumienie i serce jej się ścisnęło, gdy pomyślała, co prawie utracili.

Opowiedziała mu o chorobie Jeanne i o kartce, którą wsunęła mu w drzwi,

opuszczając jacht. Oboje doszli do takiego samego wniosku: zniszczyła ją Blanche Benois.

- Powiedziała mi, że wpadła na ciebie, kiedy wyjeżdżałaś - wyjaśnił Nigel. - Podobno odbyłyście długą szczerą rozmowę, a potem ty uciekłaś, bo nie chciałaś się ze mną wiązać. - Twarz miał smutną. - Tysiące razy miałem zamiar do ciebie zatelefonować, ale zawsze odkładałem słuchawkę. - Uśmiechnął się żałośnie. - Jaki byłem głupi! Myślałem, że mnie nie kochasz.

Och, dlaczego wtedy nie zadzwoniłam, pomyślała Helenę. Nigel, jak gdyby odgadując jej myśli, objął ją i pocałował.

- Ale teraz jesteśmy znowu razem,
kochanie - powiedział cicho.

Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. -
Tym razem nie pozwolę ci odejść. Tak
bardzo się za tobą stęskniłem.

Spiesznie, a jednocześnie ostrożnie
rozpiął jej bluzkę. Jego gorące wargi
błądziły po jej szyi, ramionach,
dekolcie, wprawiając Helenę w drżenie.
Rozedrgane ciepło ogarnęło jej ciało.
Zaczęło w niej pulsować drżemiące, od
dawna niezaspokojone pożądanie. Jego
gładkie dłonie rozsunęły suwak
spódnicy, zdjęły bieliznę i pończochy.
Helenę oparła się o poduszki i
popatrzyła mu w oczy, a w jej wzroku

było intensywne pragnienie. Nigel zaczął pospiesznie rozpinąć koszulę.

- Nie! - wyszeptała. - Pozwól mi... -
Sięgnęła ku niemu i zręcznie porozpinała guziki. Nigel zrzucił koszulę i położył się obok Helenę. Usiadła i rozwiązała mu buty, a potem delikatnie zsunęła spodnie.

Głośno nabrała powietrza, przesuwając palcem po wybrzuszeniu jego slippek; jak urzeczona patrzyła na reakcję penisa pod jej dotknięciem. Potem powoli, z czcią, zsunęła slipki i uwolniła go.

Poczuła w głębi ciepłą wilgoć, kiedy Nigel przykrył ją swoim ciałem. Czowała go przy sobie, jego napięcie i siłę.

Drżała z oczekiwania.

- Proszę. Teraz -jęknęła stłumionym głosem.

- Nie - wyszeptał cicho. - Jeszcze nie.

Przesunął wargami w dół, po jej satynowej skórze, delikatnie pieszcząc ją i drażniąc. Jego język muskał twarde brodawki, wzbudzając w niej rozkoszne dreszcze.

- Nie przerywaj! - jęknęła Helenę.

Zatrzymał się na moment, który zdawał się trwać w nieskończoność. Podniósł na nią oczy, a potem znowu pieścił jej piersi. Helenę wygięła się cała w łuk, a

on kazał jej czekać, sprawiając, że niemal umierała z pragnienia. Wreszcie wypełnił ją, jego biodra przywarły do niej ściśle, a dwa ciała tańczyły w rytm namiętnej melodii. W końcu Nigel zadrzał gwałtownie, przywarł do niej mocno, a jego krzyk połączył się z jej ekstazą.

Ogień w kominku zgasł, a oni oboje leżeli śmiertelnie wyczerpani, zapomniawszy o czekającym na górze łóżku. Spali nago, przytuleni do siebie, jego ramiona obejmowały ją opiekuńczym gestem, jej głowa spoczywała na jego piersi. Był to sen miłości i szczęścia.

Rankiem, kiedy światło dnia rozjaśniło

niebo, Helenę obudziła się, słysząc stukanie do kuchennych drzwi. Przetarła oczy, odgarnęła pasmo włosów z czoła i chciała zerknąć na budzik. Nie znalazła go na miejscu. I nie była w łóżku. Leżała na poduszkach w

salonie, a obok cicho posapywał Nigel. Na twarzy miał uśmiech zadowolenia. Gdy Helenę przytuliła się do niego, objął ją przez sen. Zamknęła oczy.

Jednak natarczywe hałasy nie ustawały. Helenę wysunęła się z objęć ukochanego, wstała, włożyła spódnicę i zasłaniając się bluzką, zeszła na palcach do kuchni, żeby zobaczyć, co się stało. Chwilę później usłyszała za sobą Nigela.

- Co się dzieje? - spytał zaintrygowany. Odwróciła się na wpół śpiąca i ziewnęła.

- Nie wiem - odrzekła rozespanym głosem. - Ale zamierzam się dowiedzieć. Otworzyła tylne drzwi i parsknęła śmiechem. Łabędzie, kaczki i gęsi przyszyły z nad

stawu i otoczywszy drzwi, uderzały w nie niecierpliwie dziobami, upominając się o śniadanie.

Helene przypomniała sobie instrukcje pani Greuze; wyjęła z beczułki suchy chleb i bułeczki i rzucali je ptakom, które chwyciły kawałek po kawałku i natychmiast zjadały.

Każdego ranka po śniadaniu Helenę i Nigel chodzili na długie spacery pod jesiennymi drzewami, oddychając świeżym wilgotnym powietrzem i czując pod stopami szeleszczące liście. Któregoś razu powędrowali przez sady i pola, które otaczały wieś leżącą w sąsiedztwie château. Chłopi palili chwasty i trawę, przygotowując ziemię pod wiosenne zasiewy. W powietrzu unosiła się woń dymu i pieczonych w ognisku kartofli, a wieśniacy powitali Helenę i Nigela z szacunkiem, a potem poczęstowali oboje ziemniakami. Podziękowali uprzejmie i zdejmowali spieczoną skórkę palcami. Nigdy jeszcze nie zdarzyło im się jeść czegoś tak pysznego. Helenę pomyślała, że w tych

kartoflach jest cała słodycz i wielka siła ziemi.

Pewnego popołudnia postanowiła sprawdzić swoje talenty kulinarne. Przeszukała bibliotekę na drugim piętrze i znalazła w niej książkę kucharską pozostawioną przez któregoś z wcześniejszych mieszkańców domu. Postanowiła ugotować wytworny posiłek. Dokładnie wykonała pracochłonne instrukcje i spędziła całe godziny w kuchni między solidnym drewnianym stołem, piekarnikiem i białym emaliowanym zlewem. Wciąż porównywała się do Marii Antoniny, tyle że zamiast bawić się w pasterkę, udawała idealną żonę. Natychmiast

zaczęła usta i odsunęła od siebie tę myśl. Nie zamierzała odgrywać idealnej żony.

Po prostu cieszyła się cudownym tygodniem szczęścia z Nigelem.

Posiłek okazał się przepyszny i Helenę była bardzo zadowolona. Gdy szykowała jedzenie, Nigel siedział obok niej. Czytał wziętą z biblioteki książkę. Helenę czuła ogromną radość, że był tak blisko. Tak musi wyglądać miodowy miesiąc, uznała.

- Rozpuścisz mnie i będziesz miała kłopot - zauważył. Zniosę wszystko, jeśli tylko będziesz obok mnie, powiedziała do siebie.

W sobotni wieczór Nigel zapytał, czy może zatelefonować do Anglii.

- Oczywiście - odrzekła, starając się, by zabrzmiało to lekko. - Tylko nie dzwoń do Singapuru.

Ten telefon boleśnie przypomniał jej o tym, że został im tylko jeden dzień. Jutro wieczorem wyjadą do Paryża. A w poniedziałek rano... Nie chciała myśleć o poniedziałku. I tak nadejdzie zbyt szybko.

Spoglądała za Nigelem, gdy szedł do telefonu. Czy to możliwe, że minął już tydzień? Czy tak jest naprawdę? Wydawało jej się, że spędzili tutaj razem zaledwie kilka minut. Jak długo

przyjdzie jej teraz czekać na jego pocałunki i uścisk silnych ramion?

Nigel wrócił i uśmiechnął się do niej przepaszająco.

- Potrzebna mi pewna rzecz z Anglii. Kurier jutro to przywiezie.

- Ale jutro wieczorem wracamy do Paryża.

- Zdaży na czas - zapewnił ją.

Ostatni dzień rozpoczął się jak wcześniejsze, od karmienia ptaków. Ale czar już prysnął. Po śniadaniu poszli do stajni i osiodłali konie. W milczeniu jechali przez las, gdzie musieli pochyłać

głowy pod niskimi gałęziami, i dalej, na wzgórze, skąd mogli widzieć pola otaczające wioskę.

Po powrocie do zamku zjedli lunch, który przerwał im kurier, jak gdyby przypominając obojgu, że mają jeszcze tylko kilka godzin - potem czeka ich powrót do Paryża. Minuty biegły szybciej i szybciej, a Helenę nie mogła zatrzymać czasu.

- Chodźmy na spacer - zaproponował Nigel, kiedy skończyli lunch.

W milczeniu kiwnęła głową, starając się uśmiechnąć. Poszła i przebrała się w spodnie i stary sztruksowy płaszcz. Spacerowali godzinę, eskortowani przez

psa państwa

Greuze. Rzucali mu patyki, a on biegał po nie i przynosił. Helenę nie pamiętała, kiedy ostatnio była taka nieszczęśliwa; ich „miodowy tydzień” się skończył.

W drodze powrotnej Nigel zatrzymał się nagle i przyciągnął ją do siebie.

- Helenę...

Zwróciła na niego wielkie, pełne obawy oczy.

-Nigel...

Zauważył jej smutek i obejmował ją w milczeniu przez długą chwilę. Wiedział,

co czuła. Nigdy nie zapomniał żalu, który go ogarnął, po tym jak Blanche Benois powiedziała mu, że Helenę wyjechała. Był to ból, od którego nie można uciec.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo się cieszyłem tym tygodniem - odezwał się cicho.

Cieszył się? Ona uwielbiała każdą chwilę, a najbardziej te spędzone w łóżku.

- Ja... również - odparła szeptem. Nigel uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie chciałbym stąd wyjeżdżać.

- Zobaczymy się znowu - zapewniła go.

- Mam nadzieję. - Wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął pokryte aksamitem pudełeczko. Przez chwilę patrzył na nie z wahaniem. - Przywiózł je kurier - wyjaśnił, podając puzderko Helenę.

Spojrzała na niego, wzięła pudełko i ostrożnie uniosła wieczko. Aż zabrakło jej tchu z wrażenia. Na maleńkiej aksamitnej poduszczyce migotał ogromny brylant. Największy, jaki kiedykolwiek widziała.

- Żółty brylant! - szepnęła, podnosząc go do słońca. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Pewnie ważył ze

trzydzieści karatów.

Wyglądało na to, że Nigel czyta w jej myślach.

- Dwadzieścia osiem.

Helene potrząsnęła stanowczo głową.

- Ależ, Nigel. Ja... nie mogę przyjąć takiego prezentu - zaprotestowała. - Jest... zbyt kosztowny. - Szybko schowała pierścionek do pudełka, zatrzasnęła je i wcisnęła mu w dłoń.

Nigel uroczyście otworzył puzderko, wyjął pierścionek i ostrożnie wsunął na jej palec.

- Tak, jest bardzo cenny - rzekł powoli.

- Należy do mojej rodziny od stuleci.

Nazywa się Somerset Sun, bo świeci jak słońce - słońce Somersetów.

- Tak, ale...

Przyłożył palec do jej ust.

- Pozwól mi wyjaśnić. W mojej rodzinie są pewne tradycje. Słońce Somersetów to jedna z nich. - Zamilkł, a po chwili kontynuował: - Od trzech stuleci nosi go każda kobieta, która w przyszłości ma się stać diuszesa Farąharshire.

Helene patrzyła na niego jak osłupiała. Nigel objął ją i roześmiał się radośnie. Zamigotały złote iskierki w jego oczach.

- Nie rozumiesz? Kochanie, oświadczam ci się! Kiedy zostanę diukiem, ty będziesz diuszesa.

Nie ośmieliła się wierzyć własnym uszom. Tak bardzo czekała na te słowa. Od tak dawna. Unosiły się i dźwięczały w powietrzu, a Helenę nie mogła znaleźć na nie odpowiedzi.

- Kocham cię - powiedział Nigel. - Kocham cię od tamtej nocy w Monte Carlo. Pokochałem cię... Powiedz „tak”, kochanie! - W jego głosie było napięcie. - Proszę, powiedz „tak”.
Wiem, że nie zasługuję na ciebie. Nie po tym, jak cię opuściłem. Wiem, że cię skrzywdziłem, ale obiecuję, że poświęcę całe życie, aby to naprawić.

Tym razem to Helenę przykryła mu usta ręką.

- Tak! - wyszeptała. - Och, Nigel, tak!

Objęli się mocno. Jej serce biło jak oszalałe. Teraz już będą razem. Na całą wieczność!

Wydawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Rozdział 6

Odrzutowiec De Havilland Comet należący do rodzinnego holdingu zabrał ich do Anglii. Wnętrze samolotu przypominało elegancki apartament.

Mieli tam salon, dwie sypialnie, kuchnię i łazienkę.

- Nigdy nie widziałam takiego luksusu - oznajmiła z podziwem Helenę zaraz po wejściu. Salon został urządzoney bardzo wytwornie. Były tu grube dywany, błyszczące meble, wyściełane szkarłatnym materiałem krzesła i biurko.

Lecąc nad kanałem La Manche, wypili szampana i zjedli doskonały lunch.

- To było pyszne - pochwaliła jedzenie Helenę. Potem, kiedy odrzutowiec zniżył lot, podeszli do jednego z okien. Nigel wskazał coś na ziemi.

- Tam w dole widać już Farquharshire.

Helena wpatrywała się w bezkresne pola, lasy i maleńkie wioski. Potem zerknęła na niego.

- Czy to wszystko jest własnością twojej rodziny? Nigel uśmiechnął się szeroko.

- Akurat to tutaj nie. Ale mamy mnóstwo innych majątków. Kopalnie węgla i rudy cynkowej, zakłady tkackie, farmy, mleczarnie, fabryki maszyn, sześć gazet...

- Sześć! - westchnęła Helena. Kiwnęła głową.

- Trzy w Anglii, dwie w Australii i jedną w Nowym Jorku.

- Więc ty też jesteś wydawcą.

Helenę ponownie przeniosła wzrok na szachownicę pól, precyzyjnie wykreślone granice farm i wąskie, szare wstęgi dróg, które wydawały się przepływać przez grunty. Wiedziała o Nigelu dużo mniej, niż przypuszczała. Zastanawiała się nad drobiazgami, nad sprawami, o których czytała, nad tym, co jej opowiadał podczas rejsu jachtem Skouriego i w ciągu ostatniego tygodnia. Nagle błysnęła jej myśl, że nie należało tak od razu przyjmować oświadczeń. Powinna była poczekać z podjęciem takiej decyzji. Przede wszystkim trzeba spędzić razem więcej czasu, aby móc dobrze się poznać. A co ona wiedziała o

Nigelu? Że jest bogaty, utytułowany i że go pokochała. Ale mężczyzna taki

jak on musi mieć skomplikowany charakter. Wiedziała, że będzie go poznawać przez całe życie.

Nie był podobny do żadnego ze znanych jej ludzi. Sprawiał, że wszystko wokół niego - i ona też - ożywało. I tyle wiedział. O interesach, polityce międzynarodowej, różnych dziedzinach sztuki. Nic nie mogło go zbić z tropu. W pewien sposób przytłaczał ją, ale właśnie to w nim pokochała. Nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, że nie jest dla niego odpowiednia. Przecież ona miała swoje pisma. Może Nigel wolałby kobietę, która poświęci mu się

całkowicie i będzie na jego zawołanie o każdej porze dnia i nocy. Która postawi na pierwszym miejscu jego ambicje polityczne. Żony, która będzie uczestniczyła w jego kampaniach, zdobywała mu zwolenników, a także potrafiła zarządzać wszystkim w rezydencjach, o których opowiadał: Fallsworth jesienią, dom w Mayfair w czasie pobytu w Londynie, Winthrow Abbey w Irlandii na wiosnę... I jeszcze Craigmore, domek myśliwski w Szkocji, i Hustique... Czy ona da sobie z tym radę? A może przyniesie mu wstyd?

Te obawy zatruwały jej myśli. Przecież nie zastanawiali się nad tym, jak pogodzić sprawy holdingu Somersetów i

Les Editions Helenę Junot. Ale ostatecznie mieli jeszcze mnóstwo czasu, by to wszystko ustalić. Jeszcze nawet nie wybrali daty ślubu. Jeszcze nie. Jednak wkrótce to zrobią. A wówczas będą musieli podjąć ważne decyzje.

Zerknęła na pierścionek zaręczynowy - stał się on dla niej przytłaczającym symbolem ogromnej odpowiedzialności, która miała na nią spaść. Czy wszystkie kobiety, które mają zostać przedstawione przyszłym teściom i marzą, aby zdobyć ich aprobatę, czy wszystkie one tak strasznie się boją? A może jej obawy wywoływał fakt, że rodzice Nigela są diukiem i diuszesą, a

ona była prostą dziewczyną z Paryża?
Czy to, że jest Francuzką, będzie
działało na jej niekorzyść? Czy też jej
pomoże?

Najgorsze było to, że tak niewiele
wiedziała o angielskiej arystokracji.
Zastanawiała się, czy jest odpowiednio
ubrana. Miała na sobie prosty kostium
Odile Joly, jedwabną bluzkę, zapiętą aż
pod szyję, duży kapelusz i pantofelki na
płaskim obcasie. Zadzwoiła do Luby w
panice, nie ufając własnemu gustowi.
Była to przecież niezwykle ważna
wizyta.

- Musisz wyglądać nobliwie -
oświadczyła Caryca. -I bardzo, bardzo
skromnie. Pamiętaj, że ci ludzie lubią

wyjątkowo spokojne życie.

Helena dostosowała się do instrukcji Luby. Wybrała stonowany kostium i skromną biżuterię: złote kolczyki, mały złoty zegarek i pierścionek zaręczynowy. Nigel przerwał jej ponure rozważania.

- Jesteśmy prawie na miejscu.
Spróbowała uśmiechnąć się do niego.
- Denerwujesz się? Skinęła tylko głową.
- Niepotrzebnie. Moi rodzice nie pożącają cię przecież żywcem.

Nie była tego taka pewna. Złe przeczucia unosiły się nad nią jak

ciemne mroczne chmury. Nie wiedziała, co się stanie, jeżeli z jakiegoś powodu Somersetowie jej nie zaakceptują. Tak wiele wycierpiała po rozstaniu z Nigelem.

Jak zdołam znieść taki ból teraz, jeżeli coś pójdzie nie tak, zastanawiała się przerażona.

Skarciła się w duchu. Trzeba wziąć się w garść.

Ale to było trudne. Ostatni raz czuła się tak w Hauteclouque podczas oświadczyn Huberta. Dostrzegła wtedy ogromną przepaść między nimi a sobą. Teraz było tak samo.

Odrzutowiec wylądował miękko na prywatnym pasie startowym. Helenę była zaskoczona. Myślała, że to będzie jakieś normalne lotnisko.

Kiedy tylko samolot się zatrzymał, podjechał do niego staroświecki rolls-royce.

- Dzień dobry, panie Nigelu. - Stary szofer z szacunkiem dotknął daszka czapki.

- Dzień dobry, Stirling.

- Czy miał pan dobry lot, sir?

- Tak, dziękuję, Stirling.

Szofer spojrział obojętnie na Helenę.

- Proszę pozwolić mi sobie pomóc, madame. Podała mu podręczną torbę. Kiedy tylko wyniesiono ich bagaż, wyruszyli na północ, do Fallsworth, rodowej

posiadłości Somersetów. Jazda była przyjemna, ale im bardziej zbliżali się do celu, tym bardziej Helenę czuła się spięta i zdumiona. Mijali schludne wsie, zagospodarowane pola, gęste lasy. Wszystko zadbane i starannie wypielęgnowane.

- Wszystko tu jest piękne - powiedziała Helenę.

- Nie tak piękne jak ty, kochanie. - Nigel uściskał jej dłoń. - Proszę, odpręż się i uspokój.

Próbowała, ale bez skutku.

Pół godziny później stanęli przed bramą Fallsworth. Musieli poczekać, aż stary odźwierny wyjdzie ze stróżówki. Skłonił się i szeroko otworzył żelazne wrota.

- To Mackie - wyjaśnił Nigel. - Jest trochę powolny, ale chociaż chętnie płacilibyśmy mu emeryturę, on kocha swoje zajęcie. Służy nam od ponad sześćdziesięciu lat i nie chce słyszeć o odejściu. Dlatego zgadzamy się na czekanie pod bramą.

Helena skinęła głową. Słyszając to, poczuła się lepiej. Przynajmniej rodzice Nigela wydawali się ludzcy.

Samochód ruszył, a gdy nabierał szybkości, Helena zapatrzyła się na wysadzaną drzewami aleję. Była wąska, mieścił się na niej zaledwie jeden samochód. Stare drzewa po bokach miały masywne pnie i grube, potężne gałęzie. Musiały wyglądać pięknie wiosną, kiedy były zielone. Teraz liście opadły i wyschły; leżały na ziemi niczym brązowy dywan.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Nigel.

Za zakrętem wjechali na wzgórze i ujrzeli leżący poniżej zamek Fallsworth.

Helena straciła resztki odwagi. Była to rozległa i majestatyczna budowla. W porównaniu z nią jej własny, żałośnie mały château wyglądał jak zwyczajna wiejska zagroda. Fallsworth, chociaż olbrzymie i eleganckie, nie miało w sobie wyniosłości Hauteclouque.

Imponujący i solidny gmach wzniesiono w centrum posiadłości; żółtych kamiennych ścian strzegły potężne filary, dachy pokrywała zaśnieżona miedź, a stylowe okna były wysokie i wąskie. Budynek wyrastał ponad ogrodami i zagajnikiem złocistych cisów.

Przybywających gości witał fronton ozdobiony herbem Somersetów.

- Podoba ci się?

Helena popatrzyła niepewnie na Nigela.

- Jest... imponujący - odpowiedziała drżącym głosem. Wzruszył ramionami.

- Dom to dom. - Potem, jak gdyby czytając w jej myślach, dodał: - Wolę twój pałacyk.

Odwróciła się i pełna wątpliwości obserwowała nadal Fallsworth.

Rozdział 7

Może jeszcze filiżankę herbaty, moja droga?

Helena spojrzała na szczupłą kobietę o majestatycznej postawie. Diusza

Farquharshire była typem pełnej godności, beznamiętnej arystokratki brytyjskiej, który przetrwał całe stulecia. Ludzie w innych krajach zmieniali się w miarę upływu lat, ale Brytyjczycy z wyższych sfer przetrzymali wojny, zarazy i demokrację. Helenę uznała, że matka Nigela idealnie pasuje do tego domu, którego ściany pokrywały rodowe portrety.

Fallsworth stanowiło wspaniałą oprawę dla tej kobiety. Ozdobione złoceniami pokoje o wysoko sklepionych sufitach, kanapy i fotele obite materiałem w kwiaty, czerwone gobeliny na stołach i antyczne dywany - to wszystko było jej

naturalnym otoczeniem.

- Poproszę - odpowiedziała grzecznie Helenę. - To wyborna herbata. -
Podsunęła diuszecie swoją filiżankę.

Matka Nigela skinęła głową i ujęła małą gładką dłonią srebrny georgiański dzbanek. Z uśmiechem napełniła ponownie filiżankę Helenę.

- Prenumeruję „Les Modes” - oznajmiła.
- Wolę go nawet od „Vogue’a”.

- Jest pani bardzo uprzejma -
podziękowała Helenę.

Zerknęła na Nigela, który starał się dodać jej odwagi wzrokiem. Musiała

stłumić uśmiech. Obok Nigela w wielkim fotelu siedział wysuszony, stary diuk i wyglądało to tak, jakby miękkie poduszki obite tkaniną w olbrzymie róże unosiły się wraz z nim. Pochrapywał cicho.

- Myślę, że powinnaś zacząć wydawać angielskojęzyczną wersję „Les Modes” - zauważył Nigel. - Rynek jest bardzo chłonny.

Jego matka kiwnęła głową.

- To bardzo dobry pomysł.

Helena poczuła, jak ponownie budzi się w niej nadzieja. Podświadomie zerknęła na żółty brylant na palcu. Kwadrans

później Nigel wstał. Popatrzył na matkę.

- Chciałbym oprowadzić Helenę po posiadłości, zanim zapadnie zmrok. Diuszesa skinęła głową.

- Nie zapomnij o ptaszarni. - Posłała Helenę uśmiech. Helenę podniosła się również.

- Przypomnę Nigelowi, żeby mi ją pokazał. Dziękuję za herbatę. Była wspaniała. Nigel poprowadził ją z Zielonego Salonu przez ciche, wysokie, marmurowe

korytarze do wyjścia. Po drodze mijali obrazy sławnego Francesco Guardiiego. Mogły one przyćmić zbiory

największych światowych muzeów i sprawiały, że każdy, kto je oglądał, czuł się mały i nieważny. Helenę zdała sobie sprawę z tego, że kolekcja dzieł sztuki zgromadzona w Fallsworth była warta fortunę. I to nie fortunę jednego pokolenia, ale powiększającą się przez stulecia. Nigel spojrział na nią wesoło.

- No i nie pożarli cię, prawda?
Pokręciła głową.

- Byli bardzo mili.

- Ale oficjalni. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - To ta słynna angielska rezerwa. Z czasem do tego przywykniesz. Chodź.

Wziął ją za rękę i poprowadził do ogrodów. Na tyłach budynku biegła szeroka żwirowa alejka, która prowadziła aż do dużej fontanny. Błyszczące mosiężne rzeźby stały w swawolnych pozach pod wysokimi łukowatymi strumieniami wody. Pokazał jej francuski ogród, w którym drzewa i krzewy były artystycznie przystrzyżone, by nadać im rozmaite kształty. Potem powędrowali do ptaszarni. Mieściła się w długim budynku ze szklanym dachem. Klatki z kutego żelaza były połączone ze sobą korytarzami, a całe pomieszczenie wypełniały tysiące tęczyowych barw i krzyki egzotycznych ptaków.

Helene była zaszokowana.

- Fallsworth jest jak niezależne państwo
- orzekła, gdy zakończyli zwiedzanie.
Nigel roześmiał się głośno.

- Raczej nie państwo. Może miasto. Nie
widziałaś jeszcze wszystkiego.
Zatrudniamy trzydzieści dziewięć osób
służby domowej, do tego piętnastu
ogrodników i dwudziestu
rzemieślników. Zobaczymy, czy dobrze
pamiętam. - Udał, że z wysiłku marszczy
brwi. - Dom ma prawie osiem tysięcy
szyb, dwadzieścia dwie łazienki, półtora
hektara łąki na dachach,
siedemdziesiąt dziewięć zegarów...

- Żartujesz!

Nigel pokręcił głową.

- Jestem śmiertelnie poważny.

Opowiedział jej długą, bogatą historię Fallsworth. Rozpocząła się w szesnastym stuleciu, kiedy sir Arthur Somerset otrzymał posiadłość, która stała się późniejszą siedzibą jego rodu. Wybudował mały elżbietański dwór będący obecnie odległym skrzydłem. Jego pierworodny syn został pierwszym hrabią Farquharshire w 1573 roku. Sto dwadzieścia lat później piąty hrabia rozpoczął przebudowę domu i zajął się ogrodami. Jego syn został pierwszym diukiem. Powoli Fallsworth nabierało obecnego kształtu. Każdy kolejny właściciel przebudowywał dom zgodnie z własnym gustem. Ogrody niszczone i

zakładano od nowa, przesadzano całe lasy. Zmieniano nawet koryto pobliskiej rzeki; teraz płynęła przed domem. Do czasu, gdy posiadłość objął dziewiąty diuk, wszystkie skrzydła zostały połączone w jedną, solidną, klasyczną budowlę. Potem wprowadzono jeszcze wiele dodatkowych zmian, dobudowano dodatkowe pomieszczenia. Zatrudniano słynnych ogrodników i najwspanialszych architektów stulecia.

Każdy następny diuk i diuszesa dbali nie tylko o zewnętrzny kształt posiadłości. Z prawdziwą miłością zajmowali się wnętrzami. Stale powiększano kolekcję dzieł sztuki. Obecnie zawierała obrazy Gainsborough, Boudera, Fragonarda i

Reynoldsa, dywany z Savonnerie i kobierce z Aubusson, miśnieńską i sewrską porcelanę, emalie z Limoges, arrasy z Beauvais i wspaniałe francuskie meble. Wszystkimi tymi skarbami zajmowano się troskliwie. Żaluzje osłaniały pokoje przed zbyt jaskrawym światłem słonecznym. Obrazy były regularnie czyszczone i konserwowane. Cenną porcelanę codziennie odkurzano. Jak dotąd ani jedna rzecz nie została stłuczona.

Charlotta Somerset, czternasta diuszesa, często chorowała i musiała spędzać zimy na południu Francji. Na czas jej nieobecności wszystkie dzieła sztuki były starannie pakowane i

przechowywane w specjalnych skrzyniach. Na wiosnę, kiedy diusza przyjeżdżała z Francji, każda rzecz wracała na swoje miejsce. Podczas drugiej wojny światowej Fallsworth stało się schronieniem dla trzystu dzieci, które wywieziono z Londynu z obawy przed bombardowaniem. Obecny diuk i diusza raz jeszcze

wykorzystali wówczas skrzynie Charlotty i ukryli rodzinne skarby w piwnicach. Nic nie uległo zniszczeniu.

Helenę wysłuchała tej historii z ogromnym zainteresowaniem, ale ogarnęły ją wątpliwości. Tak naprawdę Fallsworth nie było domem. To skarb kultury, który wymagał całej

uwagi, miłości i poświęcenia ze strony właścicieli.

- Nigdy nie widziałem Nigela tak szczęśliwego - powiedział książę. - Ona jest wspaniałą młodą damą. - Opuścił gazetę na kolana. Było to królewskie wydanie „Timesa” dostarczane do pałacu Buckingham, które drukowano na specjalnym, kosztownym papierze.

Diuszesa wstała i podeszła do okna i rozsunęła ciężkie zasłony. Przez chwilę przyglądała się spacerującej po ogrodach parze. Potem odwróciła się. Jej oczy przesłonił cień.

- Tak - odrzekła powoli. - To...
nadzwyczajna kobieta.

Obiad podano w Prywatnej Jadalni. Do tego czasu Helenę poznała już wystarczająco Fallsworth i dlatego ta sala nie zrobiła na niej tak wielkiego wrażenia. Ściany pokrywały białe, drewniane płyty, złożone na brzegach. W oknach wisiały czerwone aksamitne portiery, a kominek miał ponad dwa metry wysokości. Znajdowały się tu starożytne delikatne chińskie akwarele oraz olbrzymie obrazy Rubensa. Wystroju dopełniały szklane naczynia Waterford, ciężkie georgiańskie srebra, złoty kandelabr i dwa stare puchary zdobyte w dziewiętnastym wieku przez konie Somersetów w Ascot.

Helenę ucieszyła się, kiedy obiad

wreszcie dobiegł końca. Przeszli do salonu na kawę, a po stosownym czasie ona i Nigel udali się na następny spacer. Helenę oddychała głęboko. Czyste wiejskie powietrze niosło ze sobą odgłosy nocy, brzęczenie owadów i szelesty jakichś zwierząt. Dotarli do pawilonu z kutego żelaza i usiedli na pobliskiej ławeczce. Przez chwilę milczeli.

- Nie czujesz się tu swobodnie - odezwał się w końcu Nigel.

Helenę zacisnęła wargi i zerknęła przez trawnik na rzędy oświetlonych okien.

- To nie ty, Nigel. To Fallsworth. Jest jak... - westchnęła - jak muzeum.

- Zgadzam się z tobą.

- Tak? - Spojrzała na niego zaskoczona.

Twarz Nigela spowijał cień, ale dostrzegła ciepły błysk w jego oczach. Kiwnął głową.

- Nie zakładałem, że będziemy tu mieszkać. - Ujął jej dłoń i uściśnął. - Myślałem, że znajdziemy jakiś dom w Londynie. Miejsce, gdzie moglibyśmy czuć się swobodnie. Całe życie mieszkałem w muzeum. Teraz pragnę mieć dom.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Nie wiesz nawet, jaka jestem z tego

powodu szczęśliwa. Nigel przytulił ją mocno i uśmiechnął się czule.

- Kochanie, chcę poślubić ciebie, a nie kustosa muzeum.

- Nie chcę dużego domu - uprzedziła go Helenę. - Wolę coś małego, łatwego do prowadzenia...

- Bez płaczącej się wszędzie służby...

- Przestronnego i nowoczesnego. To znaczy, żyjemy w dwudziestym stuleciu i nie chcę mieszkać jak przed wiekami...

- Oczywiście, że nie. Ale musimy mieć przytulny dom...

- Tak! Z ładnym ogrodem...

- Gdzie będziemy wychowywać dzieci.

Zesztywniała. Odwróciła się powoli i patrzyła jak zahipnotyzowana na zamek - dom, który wymagał następcy. Tego nie mogła mu dać. Wysunęła rękę z jego dłoni.

- Nie, Nigel - oświadczyła stanowczo.

- Co się stało? - zapytał. - To znaczy... Czy powiedziałem coś niewłaściwego? Helenę zamknęła oczy, czując gwałtowny ból. Ściszyła głos do szeptu.

- Nigel, nie wiem, dlaczego wcześniej ci o tym nie powiedziałam. Chyba nie

wydawało mi się to ważne. -

Roześmiała się cicho. - Byłam głupia.

Sądziłam, że liczy się to, co jest między nami.

W jego głosie zadźwięczał niepokój.

- Oczywiście, że właśnie to się liczy.

Kochanie, o czym ty, do licha, mówisz?

- O dzieciach.

- Co z dziećmi?

- Nie mogę ich mieć.

- Przepraszam, kochanie. Nie

wiedziałem. - Przyciągnął ją do siebie i tulił w milczeniu. - To nie ma znaczenia

- oświadczył łagodnie po chwili. -
Jeżeli będziemy chcieli mieć dzieci,
możemy je adoptować. Całą gromadę,
jeśli tylko będziesz chciała.

- To nie byłoby w porządku - odparła
stanowczo, uwalniając się z jego
ramion. - Wasza rodzina przetrwała
stulecia. Jeżeli nie będziesz miał dzieci,
twój ród wygaśnie.

- I uważasz, że to takie ważne? Czy nasza
miłość się nie liczy?

- Liczy się! - odrzekła, marszcząc brwi.

- Ale myślę, że to nie byłoby w
porządku! W stosunku do twoich
rodziców i dalszych przodków...

- Dlaczego martwisz się moimi rodzicami i przodkami?

- Chyba dlatego, że wojna odebrała mi rodzinę - odpowiedziała cicho Helenę. - Może dlatego wiem, jak ważne są takie więzi. Dla kogo tak ciężko pracujesz i starasz się coś stworzyć, jeżeli nie dla tych, którzy przyjdą po tobie?

- A ty? - zapytał łagodnie. - Dlaczego ty zmuszasz się do takiego wysiłku, jeżeli nie masz komu zostawić swojego imperium?

Do jej głosu wkradła się nuta dumy.

- Jest ktoś, komu będę mogła je przekazać. Moja bratanica. Traktuję ją

jak własną córkę...

- A więc ona przejmie Fallsworth.
Helenę drgnęła.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście, kochanie. Jeżeli nie będę
miał ciebie... - Jego głos był pełen bólu
- moje życie utraci sens.

Wiedziała, że mówił prawdę. I jeszcze
nigdy nie czuła się taka szczęśliwa.

Późnym wieczorem Helenę stała w
oknie swojej sypialni. Wyłączyła
światło i wpatrywała się w czerń
wiejskiej nocy. Czuła się spokojniejsza.
Od początku wizyty w Fallsworth

obawiała się, że coś zniszczy jej związek z Nigelem. Teraz zaczynała wierzyć, że nic takiego nie nastąpi.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Nigel! - coś w niej zaśpiewało. Starając się opanować podniecenie w głosie, zawołała:

- Chwileczkę!

Szybko zapaliła jedną z nocnych lampek, pospieszyła do łóżka i chwyciła peniuar. Potem przesunęła ręką po włosach, podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. Stała przed nią diuszesa Farquharshire. Uśmiech Helenę znikł.

- Przepraszam, że cię niepokoję, moja

droga - powiedziała matka Nigela z widocznym zakłopotaniem. - Czy mogę wejść? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Helenę się cofnęła.

- Proszę...

Diuszesa weszła do środka i Helenę zamknęła drzwi.

Rozdział 8

Nigel obudził się, odrzucił kołdrę, wstał i podszedł do okna. Podniósł żaluzje. Słońce świeciło już jasno.

Szeroko otworzył okno, by wpuścić do

środką chłodne poranne powietrze. Pierwszy raz zapomniał o zakazie wpuszczania do środka światła mogącego zaszkodzić cennym zbiorom w Fallsworth. Chciał rozkoszować się słońcem. Czuć na sobie jego promienie. Od chwili, gdy Helenę z rozjaśnionym wzrokiem zawołała: „Tak! Och, Nigel, tak!”, wypełniało go ciepłe, żywe, promieniujące na wszystkich wokoło uczucie miłości. To, co łączy mnie i Helenę, pomyślał, jest skarbem, z którym nic w Fallsworth nie może się równać.

Kiedy Nigel otwierał okno w swoim pokoju, Helenę wyglądała przez inne okno. Sześć tysięcy metrów nad Anglią

BOAC comet przechylił na bok jedno ze swoich srebrnych skrzydeł i mogła dostrzec oddalające się angielskie wybrzeże. Odległe fale przy brzegu wyglądały jak gładka, nieruchoma linia. Potem wybrzeże zniknęło i widziała tylko monotonną szarość. Raz jeszcze leciała nad kanałem La Manche.

Odwróciła twarz, kiedy poranne słońce zajrzało jej w oczy. Była zdrętwiała z żalu, sztywna i martwa.

- Czy życzy pani sobie drinka? - zapytał jakiś głos.

Helenę spojrzała na pochylającą się stewardesę i słabo pokręciła głową.

- Nie, dziękuję - wymamrotała. Patrzyła na chmury przed sobą, ale widziała tylko sypialnię w Fallsworth i diuszese Farquharshire. Widziała też siebie, jak stała przed tą władczą i apodyktyczną kobietą, ogarnięta nagłym strachem.

- Proszę... - powiedziała.

Matka Nigela kiwnęła głową i weszła. Na wpół przymknięte powieki nie pozwalały dostrzec, co kryło się w jej brązowych oczach. Helenę zamknęła drzwi.

- Proszę usiąść.

Diuszesa spoczęła jak królowa na jednym z wyściełanych krzesel.

Zaniepokojona Helenę zajęła miejsce naprzeciwko.

- Czym mogę służyć? - zapytała z wahaniem. Ale nie musiała pytać. Intuicja podpowiedziała jej, po co ta kobieta do niej przyszła.

Matka Nigela patrzyła na nią przez dłuższą chwilę. Potem westchnęła i złożyła ręce na kolanach. Zerknęła na swoje dłonie, a następnie znowu skierowała wzrok na Helenę.

- Mój syn - zaczęła mówić spokojnym modulowanym głosem - wyraził pragnienie poślubienia ciebie.

- Tak - odrzekła Helenę przez zaciśnięte

gardło. - Kochamy się. Diuszesa uśmiechnęła się lekko.

- To godne podziwu uczucie. Jestem pewna, że bardzo go kochasz. - Podniosła dłonie dla podkreślenia wagi swoich słów. - My, Somersetowie, jesteśmy starą rodziną. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Helene nie odpowiedziała. Kiwnęła głową i czekała na dalszy ciąg.

Victoria Hallingsworth Somerset, piętnasta diuszesa Farquharshire, otrzymała imię po wielkiej królowej. Urodziła się w hrabiowskiej rodzinie. Od dzieciństwa mówiono jej o znaczeniu odpowiedniego małżeństwa.

Wybrała diuka nie z miłości, lecz dlatego, że jego tytuł był ważniejszy niż jej własny. Był to wystarczający powód do zawarcia małżeństwa. Nauczono ją, że nie należy szukać miłości. To uczucie jest domeną ludzi z niższych klas. Nie wyszła więc za mąż z miłości, od samego początku jednak pokochała Fallsworth. Obecnie czuła do diuka szczerze przywiązanie. Tak samo szczerze polubiła Helenę Junot. Szanowała każdego, kto coś osiągał własną pracą, i wcale nie była dumna z tego, co musiała teraz zrobić. Ale zawsze strzegła Fallsworth i poczuwała się do odpowiedzialności za rodzinę. Nazwisko Somerset powinno być

chronione równie starannie, jak wszystkie skarby tego domu. Musiało pozostać w wyznaczonych granicach swojej klasy, jak do tej pory. Przez całe stulecia błękitna krew Somerssetów nigdy nie połączyła się z krwią kogoś z niższych sfer. Diusza musiała dopilnować, żeby i teraz tak się nie stało. W zamyśleniu pochyliła głowę.

- Powiedz mi, moja droga, czy mój syn rozmawiał z tobą o swoich planach na przyszłość?

Helenę starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Jego przyszłość! Nie ich obojga. Aluzja była jasna.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem,

o co chodzi. Diusza westchnęła. To było wystarczająco trudne, nawet bez wbijania miecza w serce przeciwniczki.

- Cóż, wyjaśnię rzecz inaczej. Mój syn ma ambicje polityczne.

- Rozumiem - powiedziała ostrożnie Helenę. Obawiała się jakiejś pułapki.

-I jestem pewna, że doskonale rozumiesz, iż dla przyszłego męża stanu kwestia wyboru odpowiedniej żony jest jedną z ważniejszych w życiu. Helenę wyczuła pułapkę i uniknęła jej zrećźnie.

- Każdy mężczyzna pragnie znaleźć sobie żonę, którą będzie kochał - odpowiedziała. - Ważne jest, żeby

małżeństwo było trwałe, bez względu na okoliczności.

-I myślisz, że wasze małżeństwo będzie trwałe? Helenę zmarszczyła brwi.

- Mam wrażenie, że nie rozumiem.

- Zatem pozwól, że ci to wyjaśnię. Pozycja społeczna Nigela jest stabilna. - Diusza zrobiła krótką pauzę. - Na razie. Ale, moja droga... z żoną taką jak ty?

- Nie podoba się pani, że prowadzę własne wydawnictwo? - zapytała Helenę.

- Nie chodzi o to, co mi się podoba -

odrzekła gładko diuszesa. - Ważna jest opinia ogółu. Obawiam się, że przeciętny Anglik jest bardzo konserwatywny. Mężczyzna, który staje do wyborów, a jego żona prowadzi własne przedsiębiorstwo... Cóż, nie można oczekiwać, że ludzie to zaakceptują. To takie... trywialne. - Wypłuła z ust to słowo jak

jakiś brud. - Osobiście nie mam nic przeciwko takiej pracy. Ale patrzą na nas inni ludzie. Oczekują, że będziemy... pełni godności i majestatu, godni podziwu. To pytanie nasunęła Helenę intuicja.

- Nie chce pani, żebym poślubiła Nigela? Diuszesa uśmiechnęła się

smutno.

- Pragnę tylko jego dobra - odrzekła łagodnie.

- A pani wie, co jest dla niego dobre? Starsza dama zastanawiała się przez chwilę.

- Wiem, co jest najlepsze dla rodziny - oświadczyła w końcu.

Helene pobrała. Jej najgorsze obawy się potwierdziły. Nie była tu mile widziana. Dla nich była prostytutką, kimś spoza ich sfery. Spojrzała na palec. Brylant od Nigela mrugał do niej szyderczo.

Po krótkiej pauzie diuszesa zaczęła mówić dalej:

- Nie chcesz szczęścia mojego syna?
Gdybyś go kochała...

Ponownie zapadła cisza, a oczy dwóch kobiet się spotkały. Przez chwilę obie mierzyły się spojrzeniem. Potem diuszesa spytała cicho:

- Nie chcesz, żeby Nigel zdobył stanowisko należne mu z tytułu urodzenia? Helenę milczała.

Matka Nigela znowu spojrzała na swoje dłonie złożone na kolanach.

- Wszystko może pójść na marne -

powiedziała -jego kariera będzie skończona, jeszcze zanim się zacznie.

Helena pochyliła się do przodu.

- Nigel ma przed sobą przyszłość!

Diuszesa pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie. Nie z tobą. -

Wstała i spojrzała w dół na Helena. -

Jeżeli kochasz go tak bardzo, jak mówisz, na miłość boską, pozwól mu odejść.

- Nie mogę! - odparła stanowczo

Helena. Brązowe oczy diuszesy

spojrzały na nią zimno.

- Zatem nie zostawiasz mi wyboru. Nie

zezwołę na to małżeństwo.

Helenę poczuła, że się dusi. Luksusowo urządzona sypialnia nabrała złowróżbnego wyglądu. Maki na pościeli wyglądały jak krwawe plamy, a twarz sfinksa na toalecie uśmiechała się drapieżnie.

- Co... pani zamierza zrobić? - wyszeptała.

- Muszę się porozumieć z prawnikami. Ale mogę zapewnić cię co do jednego. Nigel nie dostanie ani pensa z rodzinnego majątku. Fallsworth będzie dla niego na zawsze zamknięte.

- Mam dość pieniędzy - odparła Helenę

wyzywającym tonem. - Możemy za to żyć. Diusza uśmiechnęła się słabo.

- Tak, ale czy Nigel zdoła pogodzić się z tym, że został wykluczony z rodziny? Że drzwi wszystkich arystokratycznych domów w Wielkiej Brytanii będą przed nim zamknięte?

- Nie zrobi pani tego! - zawołała ostro Helenę.

- Zrobię. I w końcu miłość, którą teraz do siebie czujecie, zblednie i zniknie. Wasze małżeństwo nie przetrwa. - Księżna zaśmiała się zimno. - Czy myślisz, że mój syn zgodzi się na to, by utrzymywała go żona?

Helena czuła się pokonana. Zbladła.
Usta jej drżały.

- Czego pani ode mnie chce?

- Zostaw go! - błagała diuszesa. -
Należy do nas. Pozwól mu żyć wśród
ludzi takich jak on.

Helena podniosła się z godnością. Przez
chwilę przyglądała się własnym
dłoniom. Potem zsunęła z palca
pierścionek i podała go matce Nigela.

- Nie chcę wejść do rodziny, której
członkowie się nie kochają -
oświadczyła drżącym głosem. - Nie
zasługuje pani na takiego syna. Proszę
mi wierzyć, wolę być Heleną Junot niż

Helenę Somerset. - Wzięła głęboki oddech i starała się zapanować nad emocjami. - Jeżeli zechce pani wydać swojemu szoferowi polecenie, aby mnie odwiózł, to spakuję się w ciągu kilku minut.

- Zadzwoń na lotnisko, żeby przygotowali odrzutowiec - powiedziała diuszesa. Tym razem to Helenę uśmiechnęła się zimno.

- Wolę normalny samolot rejsowy.

- Jak sobie życzysz. - Starsza kobieta opuściła wzrok na podłogę. - Co mam powiedzieć Nigelowi? - zapytała cicho.

Helena popatrzyła na nią, ale nie mogła

uchwycić jej spojrzenia.

- Może prawdę? Diusza milczała.

Śmiech Helenę zabrzmiał jak szloch.

- Pewnie chce pani jeszcze, żebym zostawiła Nigelowi wiadomość, że to ja zrywam zaręczyny?

- Jeżeli nie jest to zbyt duże poświęcenie...

- Jest - odrzekła Helenę. - Ale tak bardzo go kocham, że nie chcę, by nienawidził pani do końca życia. - Jej głos ucichł do szeptu. - Wolę, żeby nienawidził mnie.

Rozdział 9

Tak jak dawniej Les Editions Helenę Junot stało się barometrem osobistego życia Helenę. Patrząc w przeszłość, dostrzegała, że zawsze najwięcej udawało jej się osiągnąć wtedy, gdy nie układało jej się w życiu osobistym. Ironią losu było to, że kryzysy Helenę przynosiły korzyść wydawnictwu. W chwilach rozpaczki pracowała bez wytchnienia: szła do przodu, stawiała sobie ambitne cele i realizowała je z nadludzką wprost energią. I nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki ból nie minął. Teraz, wiedząc, że nigdy nie zostanie żoną Nigela, wymazała go zupełnie ze swojego życia. Nie

odbierała jego telefonów i odsyłała nieprzeczytane listy. Raz nawet niespodziewanie pojawił się w biurze na Place Vendôme i oznajmił, że nie wyjdzie, dopóki z nianie porozmawia. Sekretarka uprzedziła ją o tym i Helenę wyslizgnęła się tylnym wyjściem. Mogła wiele wytrzymać, myślała później w taksówce, ale nie darowałyby sobie, gdyby Nigel utracił przez nią to, co mu się należało z racji urodzenia. Gdyby stało się to z jej powodu, nie mogłaby z tym żyć.

Przez pół roku była ciężko chora z żalu. Ale czas mijał, listy od Nigela przychodziły coraz rzadziej, później zaś w ogóle przestały przychodzić. A potem,

kiedy Helenę zaczynała już wracać do normalnego stanu, nastąpił nawrót choroby. Pewnego wieczoru przeglądała „Paris Match”.

Nagle zamarła, widząc wielki nagłówek: „Ślub sezonu”. Kolorowe zdjęcie przedstawiało młodą parę. Szczęśliwa oblubienica nazywała się Pamela Grey. Lady Pamela Grey. Obok niej stał Nigel. To on był panem młodym. W tle wznosił się dumnie zamek Fallsworth.

Gwałtowny ból niemal obezwładnił Helenę. Nadal kochała tego mężczyznę. Jej miłość nie umarła. Nigdy nie umrze. Helenę nie mogła tak po prostu wyrzucić Nigela z serca, uważając, że ich uczucie

wygaśnie.

Długo wpatrywała się w zdjęcie. Próbowała się pocieszać, że teraz Nigel nie będzie już jej niepokoił, ale było to oszukiwanie samej siebie i wiedziała o tym. Już od ponad dwóch miesięcy nie próbował się z nią skontaktować. Chciała, żeby sam się domyślił, dlaczego tak nagle z nim zerwała, i miała nadzieję, że on znajdzie jakiś sposób, aby mogli być razem. Ale to ślubne zdjęcie wskazywało, że jest już za późno. Wszystko to, co było między nimi, to, czego tak gorąco pragnęła, skończyło się nagle. Nie zostały jej nawet marzenia. Przestała być częścią jego życia. Teraz była nią lady Pamela.

Helenę zmrużyła oczy, przyglądając się uważnie zdjęciu żony Nigela. Na pewno nie była piękną, ale miała subtelne, kulturalne rysy i różową, nieskazitelną, angielską cerę, która od razu rzuciła się w oczy Helenę. Blond włosy upięte w tradycyjny kok przykrywał welon z belgijskiej koronki. Wielkie, ciemne oczy i uprzejmy uśmiech dodawały jej spokojnego wdzięku. Jediną ozdobą koronkowej sukni stanowił duży, uniesiony kołnierz. Lady Pamela nie nosiła biżuterii, poza pierścieniem zaręczynowym na palcu. Specjalnie uniosła dłoń do szyi, tak żeby brylant Somersetów jaśniał pełnym blaskiem.

Helena poczuła się wręcz fizycznie

chora. Tak niedawno Somerset Sun
zdobił jej palec, ogłaszając światu, że to
ona zostanie szesnastą
diuszesą Farąharshire. A tuż przy panie
młodej stał Nigel, przystojny i
elegancki, w idealnie skrojonym
czarnym smokingu, spoglądając ze
stoickim spokojem w obiektyw aparatu.

On patrzy na mnie, pomyślała Helenę,
wstrzymując oddech. Niemal czuła na
sobie jego gorący wzrok. Z
zadowoleniem dostrzegła, że Nigel,
szczęśliwy pan młody, nie uśmiechał się
w dniu swojego ślubu. Nie mogła
powstrzymać się od myśli, że sprawiał
wrażenie przygnębionego. Czy to jego
matka zaaranżowała ten związek?

To jasne. Oczywiście, że tak.
Wystarczyło, że wypędziła ją z
Fallsworth i rozdzieliła z Nigelem.
Reszta była już łatwa.

Helene wyrwała stronę ze zdjęciem i
drżącymi palcami podarła ją na kawałki.
Pojedyncze strzępki opadały na podłogę.
Z jednego skrawka popatrzyły na nią
znajome oczy Nigela. Helene kopła
papier dopóty, dopóki się nie odwrócił.

Tym razem ból był tak silny, że rzuciła
się w wir pracy z nieznaną jej dotąd
wściekłą gwałtownością. Dzięki jej
wysiłkom Les Editions Helene Junot
stało się potęgą.

Niepowstrzymanie szła do przodu.

Les Editions Helene Junot rozrastało się i umacniało na rynku wydawniczym. Personel w Paryżu i Mediolanie łącznie liczył już dwieście osób. Biura na Place Vendôme już nie wystarczały. Budynek obok stał akurat pusty i Helene natychmiast podpisała dwudziestoletnią umowę najmu. Wkrótce także ta przestrzeń okazała się niewystarczająca, więc wynajęła kolejny gmach na pobliskiej rue de Capucines. Tam, gdzie zaczynała swoją działalność, mieściły się teraz tylko biura ogłoszeń, administracja, księgowość, dział dystrybucji i sekcja prawna. W budynku obok pracował zespół twórczy - redaktorzy, graficy, dyrektor artystyczny i jego asystenci. Dział fotograficzny

mieścił się przy rue de Capucines. Było to właściwie małe studio filmowe wyposażone w najnowocześniejszy specjalistyczny sprzęt. Nie wysyłano już fotografów i modelek w plenery. Wszystkie, nawet te najtrudniejsze ujęcia, wykonywano na miejscu. Na tyłach budynku urządzono profesjonalne atelier.

Paryskie biuro i salon mody Marcella d'Itriego mieściły się przy rue Cambon. Helenę była zadowolona, że wszystkie jej działy znajdują się w niewielkiej odległości od siebie, ale czekała na kolejny wolny budynek na Place Vendôme. Zwłaszcza że sama mieszkała obecnie w apartamencie hotelu Ritz po

drugiej stronie placu. Ritz nie tylko oferował jej luksusowy apartament, ale także zapewniał wszelkie wygody dostępne jedynie w hotelu. Tak więc nie musiała o nic się martwić i każdą wolną chwilę mogła poświęcać pracy.

Helenę Junot stała się teraz naprawdę ważną osobą.

Do „Les Modes” i „La Moda” dołączyły nowe tytuły: „Les Modes Homme” - magazyn mody męskiej, i „Beauté” - pomniejszona wersja „Les Modes” dla młodszych

kobiet. „Beauté” wypełniały wskazówki dotyczące makijażu i mody, ale skupiono się tu głównie na konfekcji gotowej.

Jego sprzedaż przewyższała nawet sprzedaż „Les Modes”, może dlatego, że ten magazyn był przeznaczony dla kobiet o średnich dochodach. Jednakże „Les Modes” nadal królowało w imperium Helenę Junot. Zapewniało mu prestiż.

Nie tylko w Paryżu następował szybki rozwój. W Mediolanie narodził się miesięcznik „La Moda Uomo” - włoski odpowiednik „Les Modes Homme”.

W czerwcu 1963 roku do paryskiej sekcji prawnej dołączył Edmond, który właśnie skończył studia. Najpierw przez dziewięć miesięcy zapoznawał się z zasadami działania przedsiębiorstwa od wewnątrz. Kiedy Helenę uznała, że jest gotowy, zatrudniła go w firmie. Za kilka

lat miał stanąć na czele działu prawnego. Edmond szybko się uczył i zyskiwał autorytet wśród kolegów. Brak doświadczenia rekompensował inteligencją i zapałem.

Luba również awansowała. Oficjalnie została wiceprezesem Les Editions Helène Junot SA. Nieoficjalnie była też drugim szefem pracowni Marcella d'Itrięgo, ale to trzymano w tajemnicy, aby nikt nie zdołał się doszukać żadnych powiązań między domem mody a pismami. Helenę bała się, że czytelnicy mogliby domyślić się prawdy, a to wywołałoby skandal. Mimo że „Les Modes” i „La Moda” przyczyniły się do sukcesu Marcella, lansując jego firmę,

ważne było, żeby oba magazyny uchodziły za bezstronne.

Dzięki poparciu obu pism salony w Mediolanie, Rzymie i Paryżu stały się znane.

Helena podbiła Francję i Włochy, ale wciąż nie czuła się usatysfakcjonowana. Jej wewnętrzny niepokój narastał. Dręczyła ją nieustannie tęsknota za Nigelem. Helena z trudem panowała nad swoimi emocjami, wyznaczając sobie coraz więcej zadań. Z uporem pilnowała, by wychowanie Petite Heleny przebiegało według starannie ułożonego planu. Z jeszcze większym rozmachem kreśliła plany dalszego rozwoju swojego imperium. Było

jeszcze jedno miasto, które musiała podbić, by udowodnić potęgę swoich magazynów. Kiedy tam się znajdzie, będzie miała u stóp cały świat!

Paryż i Mediolan jej nie wystarczały. Bardziej kochała samą walkę niż sukces. Wiedziała, dokąd powinna teraz podążyć.

Jej celem był Nowy Jork.

Rozdział 10

Nowy Jork lat sześćdziesiątych nie był łatwy do zdobycia. Miasto żyło zgodnie z własnym rytmem. Odile Joly miała rację. „Women’s Wear Daily” stało się biblią nie tylko dla Siódmej Alei, ale

również dla międzynarodowego świata mody. To pozbawione skrupułów, pełne plotek i apodyktyczne pismo dominowało na rynku prasowym zarówno ze względu na pikantne wiadomości, jak i na nowiny ze świata mody. „WWD” przeszło długą drogę od 1954 roku, kiedy to przedstawiciel gazety w Paryżu John Fairchild otrzymywał najbardziej odległe, poniżające miejsca na pokazach mody.

Tak samo potężny był „Vogue”. Po dwudziestu siedmiu latach pracy w „Harper’s Bazaar” Diana Vreeland przeszła do konkurencji i zdobyła dla „Vogue’a” tron popularności. To ona wysyłała na pustynię modelki owinięte

jedynie w plastik. To, czego nikt nigdy wcześniej nie robił, teraz robiła Diana Vreeland. Była solą w oku Helenę i Luby. Wydawało się, że wyobraźnia Cesarzowej, jak nazywano niezmordowaną panią Vreeland, nie ma granic. Po raz pierwszy Caryca napotkała godną siebie przeciwniczkę. Amerykańskie „Les Modes” i „Vogue” szły łeb w łeb w niekończącym się wyścigu. Ta bezkrwawa wojna między Carycą i Cesarzową przyniosła najoryginalniejsze pomysły dotyczące prezentowania w pismach nowej mody, jakie kiedykolwiek widział świat.

Helenę fascynowały zdjęcia Nowego Jorku, chociaż lepiej niż ktokolwiek inny

wiedziała, jak bardzo aparat fotograficzny może wzbogacić i ubarwić rzeczywistość. Była gotowa na spotkanie z tym wspaniałym miastem. Nie była jednak przygotowana na to, co wydarzyło się na pokładzie statku „SS United States”. Nie przewidziała tego, że Nowy Jork stanie się jej miastem. Bowiem podczas rejsu przez Atlantyk zakochała się. Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który pokonał wspomnienie Nigela Somerseta.

Nazywał się Siegfried Bavier i zupełnie nie wyglądał jak rycerz w lśniącej zbroi. W rzeczy samej był absolutnym przeciwieństwem Nigela - i może to właśnie ją w nim zafascynowało. Od

samego początku wiedziała, że jest żonaty, ponieważ jej o tym powiedział. Nie próbował niczego ukrywać. Był tak samo bystry i uczciwy w sprawach osobistych jak ona.

Poznali się w sali koktajlowej podczas najgorszego ze sztormów, które napotkał na swojej drodze statek.

Pięćdziesięciometrowe fale przewalały się przez dziób i gdyby Helenę lub Siegfried cierpieli na chorobę morską, z pewnością nie doszłoby do ich spotkania. Wówczas jednak byli jedynymi gośćmi w barze. Helenę siedziała sama przy małym stoliku, przytrzymując kieliszek, aby nie zsunął się na podłogę. Najdziwniejsze było to,

że poczuła obecność Siegfrieda, jeszcze zanim się do niej odezwał.

Odwróciła się powoli, a gdy na niego spojrzała, ich oczy się spotkały. Miał szerokie ramiona i mocną sylwetkę. W dłoni ścisnął szklaneczkę. Z ciemnymi, krótko przystrzyżonymi włosami wyglądał raczej na robotnika w porcie lub zawodowego boksera niż na pasażera pierwszej klasy. Dostrzegła, że nie czuł się dobrze w eleganckim wieczorowym stroju. Ale w przenikliwych niebieskich oczach tego mężczyzny było coś, co Helenę rozpoznała natychmiast, co przyciągnęło ją do niego jak magnes. Ten błysk sukcesu pasował do niego bardziej niż

kosztowny garnitur.

- Czy mogę postawić pani drinka? -
zapytał po angielsku. Miał zaskakująco
głęboki, wibrujący głos.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała,
podnosząc swój kieliszek. - Mam już.

- Czy mogę się przysiąść? Trudno dziś o
towarzystwo. Wszyscy siedzą w
kajutach.

- Proszę... - zgodziła się szybko Helenę,
wskazując mu miejsce po przeciwnej
stronie stolika.

Kiedy wsunął się za stolik, statek nagle
przechylił się na burtę, a podłoga

zachybotwała gwałtownie. Mężczyzna stracił równowagę. Przez chwilę chwiał się jak pijany, a potem bezradnie opadł na krzesło. Whisky chlusnęła ze szklanki.

Helenę roześmiała się, ale dostrzegła jego ponurą minę i zakryła usta dłonią. Zmusiła się do zachowania powagi.

- Przepraszam - powiedziała zażenowana, odsłaniając usta. - Mam nadzieję, że nic pan sobie nie zrobił? - spytała zaniepokojona.

Pokręcił przecząco głową.

- Tylko moja duma ucierpiała. - Spojrzał na swój kieliszek. - I, do cholery,

straciłem dobrą whisky. - Potem spojrział na przód sukienki Helenę. Widniała tam ciemna plama. -Bardzo przepraszam - odezwał się zakłopotany. - Zdaje się, że zabrudziłem pani sukienkę.

Helenę zerknęła na plamę, a potem popatrzyła na mężczyznę.

- Dadzą sobie z tym radę w pralni - pocieszyła go.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście - przytaknęła.

Spojrzała uważnie na swojego towarzysza. Nie wyglądał na więcej niż

czterdzieści lat. Wydawał się przy tym bardziej energiczny niż wielu mężczyzn o połowę od niego młodszych. Poczwała, że ogarniają dziwne, przemożne pragnienie. Pragnienie, które drzemało już zbyt długo.

Mężczyzna usadowił się wygodnie na ławeczce i wyjął z kieszeni papierosa. Potarł zapalnik, ostrożnie przyłożył ją do koniuszka papierosa i kilka razy zaciągnął się głęboko. Wreszcie odrzucił zapalnik. Odwrócił głowę i skinął ręką na barmana.

- Jeszcze jeden burbon! - zawołał.
Zerknął na Helenę. - Naprawdę nie chce pani drinka?

- Naprawdę dziękuję. Wypiłam już dwa. Zmarszczył brwi, patrząc pytająco na jej kieliszek.

- Czy to wódka?

Helenę roześmiała się i pokręciła głową.

- Woda mineralna.

Wykrzywił się z komicznym niesmakiem.

- Jak można pić coś takiego? -

Uśmiechnął się szeroko, pokazując równe białe zęby.

- Przy okazji, jestem Siegfried Bavier -

przedstawił się. - Przyjaciele nazywają mnie Sigi.

Helenę zarumieniła się lekko. Niewiele miała do czynienia z Amerykanami, ale zdążyła się przekonać, że są bardzo bezpośredni i natychmiast przechodzą na „ty”. Europejczycy byli inni.

- Miło mi - powiedziała. - Jestem Helenę Junot. - Zrobiła pauzę i dodała niepewnie:

- Przyjaciele nazywają mnie Helenę.

Barman przyniósł drinka. Bavier poprosił, by zaczekał, opróżnił szklaneczkę jednym haustem i podał mu pustą. Roześmiał się, widząc

zaintrygowaną minę Helenę.

- Najlepsze lekarstwo na chorobę morską - wyjaśnił.

- Czyżby?

- Oczywiście. Kiedy wypijesz zbyt dużo, zaczyna ci się kręcić w głowie, czyż nie? Helenę skinęła głową.

- Więc ja to tłumaczę tak: kiedy już jestem pijany, wszystko wokół się chwieje i nie czuję kołysania statku.

Wybuchnęła śmiechem.

- To twój punkt widzenia... Sigi. - Spojrzała mu w oczy. - Ale czy to

znaczy, że nie lubisz morza? - zapytała. -
Potęgi wiatru i wody?

- Oczywiście, że lubię. Jestem
urodzonym żeglarzem! Parę lat temu
wybrałem się w rejs dookoła świata
sam, na dwunastometrowym jachcie. I
nawet przeżyłem tajfun w Mikronezji.
Coś wspaniałego... - Uniósł rękę. - Nie
można tego z niczym porównać. Blisko
czterdziestometrowe fale i czarna ściana
wody zamiast nieba.

Zadrzała.

- Bałeś się?

Zrobił dumną minę i chyba chciał
zaprzeczyć, ale zmienił zdanie, widząc

poważny wyraz twarzy Helenę.

- Prawdę mówiąc, Helenę, ze strachu nasikałem w spodnie - wyznał zawstydzony. To przełamało ostatnie lody. Helenę poczuła się zupełnie swobodnie. Sigi wyrażał

się dość trywialnie, ale zgodnie z jej wiedzą Amerykanie byli pospolici. Brakowało im kulturowego dziedzictwa Europejczyków. Ale i tak ten Bavier miał w sobie coś, co ją pociągało. Może to ta całkiem francuskajoie de vivre? Sprawiał wrażenie uczciwego i dobrodusznego, ale tkwiło w nim też coś nieokiełznanego. Czowała się w jego towarzystwie bezpieczna.

Nagle dostrzegła błysk obrączki na jego palcu.

- Twoja żona źle znosi sztorm? -
zapytała.

Spojrzał na nią ze smutkiem i przeniósł wzrok na obrączkę. Spędził w Europie ponad miesiąc i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że ani razu nie pomyślał o żonie.

Helene spuściła oczy zakłopotana i zdumiona własnym pytaniem. Nigdy przedtem nie rozmawiała z obcym mężczyzną o jego żonie.

- Przepraszam - powiedziała cicho. -
Nie mam prawa o to pytać.

- Oczywiście, że masz. - Jego twarz rozjaśnił życzliwy uśmiech. - Kiedy przysiada się do ciebie obcy facet, masz prawo pytać o wszystko. - Moja żona została w Nowym Jorku - wyjaśnił cicho. Zerknął znowu na obrączkę i obrócił ją na palcu. - Chyba nie najlepiej nam się układa.

- Och, przepraszam. Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Niekiedy trzeba trochę czasu, aby zauważyć, że dwoje ludzi do siebie nie pasuje. Nam zajęło to kilka lat. Początkowo myślałem, że to moja wina. Ze nie starałem się tak, jak powinienem. A potem zacząłem winić ją. - Zamilkł na chwilę. - Teraz jestem mądrzejszy.

Kiedy małżeństwo się nie układa, nie można obarczać odpowiedzialnością za to tylko jednej strony. Albo winni są oboje, albo żadne. - Popatrzył smutno na Helenę. - A co z tobą?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

- Mój mąż zmarł. Potem byłam zaręczona, ale jego rodzina mnie nie zaakceptowała.

- Ta rodzina to banda głupców - oświadczył Bavier. - A ten mężczyzna nie protestował?

Teraz to Helenę westchnęła. Bavier machnął ręką.

- Zatem on również jest głupi. Co to za mężczyzna, który z ciebie zrezygnował! Helenę ogarnął gniew. Ten Amerykanin nie powiedział nic złego, ale poczuła się

urazona. To dziwne, ale musiała bronić Nigela.

- To nie była jego wina. Nie dałam mu szansy. Zerwałam zaręczyny - odpowiedziała zimno.

Spojrzał na nią z ciekawością.

- Jednak wciąż go kochasz.

- To skończone - odparła ostro, ale zaraz jej głos złagodniał. - On się ożenił. - Uśmiechnęła się smutno. - Widzisz

więc, że to naprawdę skończone.

- Nie chciałem być wścibski - rzucił przepraszającym tonem.

- W porządku.

- Dobrze. Zmieńmy temat. Po co jedziesz do Nowego Jorku?

- W interesach.

- Jesteś aktorką czy modelką?

- Ani jedną, ani drugą- odrzekła ze śmiechem Helenę, bawiąc się kieliszkiem. - Co nasunęło ci ten pomysł?

- Jesteś piękna. Myślałem, że większość pięknych kobiet to aktorki lub modelki.
Spojrzała na niego z powagą.

- Wydaję pisma poświęcone modzie.

W jego oczach pojawił się błysk uznania.

- Czy mogłem gdzieś je widzieć?

- Nie wiem. Są głównie dla kobiet. „Les Modes” i „La Moda”.

- Znam je! - wykrzyknął. - Pokazują najnowsze trendy mody.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Helenę.

- Moja żona kupuje „Les Modes” -
wyjaśnił. - Bardzo lubi twój magazyn.
Ale zawsze się złości, bo może go
dostać tylko u Hotalingasa na Times
Square.

- To się niedługo zmieni - zapewniła go
Helenę. - Właśnie szykuję edycję
amerykańską i jadę, aby poprawić
dystrybucję wydań europejskich we
wszystkich większych miastach Stanów.

Siegfried z aprobatą kiwnął głową.

- Uda się.

- Mam nadzieję. To wielkie wyzwanie.
Spojrzał na nią zamyślony.

- Nie dla ciebie. Mam intuicję, jeżeli chodzi o ludzi. Podbijesz Nowy Jork. Jesteś urodzoną wojowniczką.

Helena poczuła, że się rumieni. -A ty?

- Ja też umiem walczyć - odrzekł. - Jesteśmy do siebie podobni. Nagle Helena zobaczyła, że jego niebieskie oczy stały się poważne.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć w Nowym Jorku - powiedział cicho.

- Ja też - szepnęła.

Wstała niepewnie. Siegfried podniósł się również. Podłoga zakołysała się nagle i Helena znalazła się w jego

ramionach.

- Mam cię - powiedział, obejmując ją delikatnie.

Ogarnęła ją fala zniewalającego ciepła. Popatrzyła w oczy Sigiemu: były jasne i błyszczące, pełne oszałamiających obietnic.

- Myślę, że znam sposób na przetrwanie tego sztormu - powiedział cicho Bavier.

Helene odsunęła bladoniebieską satynową kołdrę i ułożyła się na plecach, czując pod sobą gładkie prześcieradła. Do niewielkiej sypialni wpadało światło z salonu, paliła się też mała lampka nocna. Duże okna kajuty

wychodziły na pokład spacerowy. Oczywiście raczej nikt nie wybrałby się na przechadzkę podczas sztormu, ale zaciągnięte zasłony nie pozwalały zobaczyć, co się dzieje w środku.

Helena słyszała, jak Siegfried poruszał się w salonie. Potem wyłączył światło i powoli wszedł do sypialni. Zamknął drzwi.

Uniosła się i zdjęła klamrę z włosów. Opadły jej na plecy niczym czarny połyskujący edwab.

Siegfried zatrzymał się na moment, a potem zbliżył się do łóżka. Helenę przesunęła wzrokiem po jego opalonym, muskularnym ciele. Dostrzegła szerokie

ramiona, pokrytą ciemnymi krótkimi włosami pierś, wąskie biodra, płaski brzuch i sterczący, pulsujący członek.

Ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Zamknęła oczy, czując delikatne dotknięcie palców i pieśczość języka. Druga ręka mężczyzny przesuwiała się po jej ciele, gładząc brzuch, muskając pępek, aż wreszcie odnalazła drogę do czułego miejsca między udami. Zalała ją fala wilgotnego ciepła.

Helene zaczęła drżeć; przyjemność narastała, przeradzając się w rozkoszne napięcie. Kiedy wydawało jej się, że Siegfried zaraz doprowadzi ją na szczyt, cofnął dłonie i przykrył ją swoim ciałem. Helene objęła go i przyciągnęła

do siebie. Przycisnął biodra do jej bioder i nagle się zatrzymał. W tej samej chwili znieruchomiał też świat Helenę. Spojrzała Siegfriedowi w oczy i dostrzegła w nich stanowczość i determinację.

Poczuła, jak jego wąskie biodra uniosły się z wolna, a potem opadły, gdy zanurzył się w jej wilgotnym, gładkim wnętrzu. Potem zaczął się szybko poruszać, zagłębiając się w niej i wycofując. Helenę wiła się pod nim i wyginała, zaciskając nogi na jego biodrach i kręcąc gwałtownie głową. Czowała, że jego pchnięcia stają się coraz wolniejsze, jakby w obawie, że może zrobić jej krzywdę.

- Nie przestawaj! Proszę... - szepnęła niespokojnie. -Ciii...

Wysunął się zupełnie, aż pomyślała przerażona, że chce ją zostawić. Ale potem wszedł w nią ponownie, wyzwalając czysto fizyczne uczucie rozkoszy. Teraz powtarzał to raz po raz, przyspieszając kolejne pchnięcia tylko po to, by zaraz zwolnić. Ciało Helenę wyprężyło się jak struna i nagle osiągnęła szczyt. Wypełnił ją długi pulsujący orgazm, a wtedy Siegfried także wydał jęk i opadł na nią całym swoim ciężarem. Ogarnęła ją niewysłowiona rozkosz, gdy czuła, jak drżał cały, a potem leżał bez sił.

Po chwili przygarnął ją do siebie, a

zgodny rytm ich serc i cichy szmer oddechów uspokoił oboje i ukołysał do snu.

Siegfried Bavier i Helenę mieli wiele wspólnego, a najważniejsze były ich początki. Oboje zaczynali, nie mając ani grosza, i ciężko pracowali, aby wy dostać się z otchłani nędzy i beznadziei. Toteż każde z nich szanowało dążenie drugiej strony do sukcesu. Helenę dostrzegła w nim umysł będący dokładnym odbiciem jej umysłu. Siegfried był sprytny i ambitny, cieszył się z osiągniętego bogactwa i pozycji społecznej, ale nie uderzyły mu one do głowy.

Podczas swojej wspinaczki na szczyt nigdy nie zapominał o tym, co było najpierw. Lubił cały proces robienia pieniędzy - pracę i walkę - i cieszył się, że ma zdolności, które pozwoliły mu osiągnąć tak wiele. Właściwie nie miał powodów, żeby dalej pracować. Już jakiś czas temu mógł się wycofać i żyć w luksusie do końca dni. Ale wolał pomnażać swoje bogactwa. Głównie dlatego, że kochał ćwiczyć umysł i uwielbiał hazard. Gdyby nie miał takiego talentu, spędziłby życie, grając w karty i na loterii czy też obstawiając konie. Ale uznał, że to igraszki dla dzieci. Dla niego hazardem były interesy. I nawet nie chodziło mu tak bardzo o zwycięstwo - liczyła się sama

gra. Był hazardzistą, jakich dziś już prawie nie ma. Ten czterdziestojednoletni mężczyzna trzy razy stał się milionerem i dwa razy w tym czasie bankrutował.

- Człowiek, który zdobył fortunę, stracił ją i odzyskał, nie ma się czego bać - mawiał. - Jeżeli twoje osiągnięcia nie były dziełem przypadku, możesz powtarzać swój sukces setki razy.

I udowodnił to. Za każdym razem, gdy stracił pieniądze, nie tylko udawało mu się je odzyskać, ale zarobił dużo więcej, niż wcześniej posiadał. Kiedy Helenę go poznała, miał około dwudziestu jeden milionów dolarów, grał na giełdzie i inwestował poważnie w transakcje

terminowe oraz na rynku towarowym. Przezornie trzymał pięć milionów w wolnych od podatku obligacjach. Resztą pieniędzy obracał.

Jego finansowe wzloty i upadki sięgały czasów wojny, kiedy to jako siedemnastoletni żołnierz piechoty przemaszerował szlak z Francji w głąb Niemiec. Wracał z ostatnią falą żołnierzy. Pierwszych witano jak bohaterów i organizowano wspaniałe parady, jako że wszyscy świętowali jeszcze zwycięstwo. Ale kiedy Siegfried przyjechał do kraju, parady już się skończyły. Nie urządzano też uroczystych powitań bohaterom. Brakowało mieszkań, a wszystkie

miejsca pracy były już zajęte. Gdy Bavier wyruszał na wojnę, Giancarlo Iacono, jego stary pracodawca z Brooklynu, poklepał go po plecach i oświadczył wylewnie:

- Pamiętaj, Sigi, że masz tu przyjaciół. Twoja praca będzie czekała, aż do nas wrócisz.

Ale kiedy Siegfried wrócił, okazało się, że jego posadę dostał jeden z licznych siostrzeńców Iacona, a narzeczona wyszła za innego faceta. Nigdy jeszcze przyszłość nie rysowała mu się w tak czarnych barwach. Kiedy zaokrętował się na „Liberty Ship” we Francji, był gotów zmierzyć się z całym światem i miał dwadzieścia tysięcy dolarów

ukrytych w butach. Kiedy zsiadał ze statku na Brooklyn Naval Yard, nie miał ani centa.

Bavier do końca życia nie zapomniał piekła, jakim był marsz przez Niemcy. Dzień po dniu on i jego koledzy z plutonu oglądali te same ohydne widoki. Śmierć, ruina, zniszczenie, głód i rozpacz. W miarę jak szli w głąb terytorium wroga, Bavier widział, jak jego kumple ginęli od min i bomb. W jakiś sposób, może dzięki swojej silnej woli, zdołał przeżyć. Wykonywał rozkazy najlepiej, jak potrafił, i próbował wyrzucić z umysłu potworności wojny. Ale było to trudne. W czasie wojny nie ma takiej rzeczy jak

pozory normalnego życia, choćby na kilka godzin. I nie ma żadnej przerwy, tylko perspektywa dalszej walki, nieustanna świadomość krążącej wokół śmierci, zimne racje żywnościowe bez jakiegokolwiek smaku i parę godzin snu. Zawsze zbyt mało; trudno spać przy nieustającym huku bomb.

Bavier zdawał sobie sprawę ze znaczenia przerwy lepiej niż ktokolwiek inny, może dlatego, że sam tak bardzo jej pragnął. Co więcej, dostrzegł w tym możliwość dla siebie.

W niedługim czasie zorganizował program rekreacyjny. Kiedy tuż obok niego zginął pryszczaty młody chłopak z Idaho, zabrał mu talię kart. Potem

wymieniał papierosy i racje żywnościowe na następne talie. Wkrótce stał się jedynym posiadaczem kart w promieniu wielu kilometrów. Potem zorganizował małą przenośną ruletkę. Początkowo kumple śmiali się z niego, ale Sigi wiedział, że przyjdą. I miał rację. W mokrych okopach i lodowatych namiotach organizowane przez niego przyjęcia z grami hazardowymi stały się tak popularne, że miał zarezerwowane wszystkie miejsca tydzień wcześniej. „Program rekreacyjny” tak naprawdę był objazdowym kasynem i stanowił jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic dywizji.

Bavier wiedział, że w tego rodzaju interesie należy pilnować ludzi, by

płacili swoje długi. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś był mu winien pieniądze. Zwłaszcza że dłużnik mógł zginąć rozerwany na strzępy podczas wybuchu następnej bomby. Dogadał się z Hectorem Carvasem, twardym facetem, który także pochodził z Brooklynu, a zanim go zmobilizowano, pracował jako podrzędny inkasent dla znanej rodziny Zammattich. Teraz więc obaj, dzieląc zyski pół na pół, zorganizowali w swojej dywizji hazard na zdumiewająco wysokim poziomie.

Gdy wojna się skończyła, Bavier i Carvas popłynęli tym samym parowcem do Nowego Jorku. Na statku było mnóstwo żołnierzy. Każdy z nich marzył,

by jak najszybciej znaleźć się w domu, ale podróż miała trwać prawie dwa tygodnie. Wszyscy opowiadali o czekających na nich kobietach i kiedy leżeli w hamakach, rozlegały się stamtąd jęki masturbujących się mężczyzn.

I znowu Bavier dostrzegł możliwość zorganizowania lukratywnej rozrywki dla żołnierzy. Przecież ci mężczyźni nie mieli nic oprócz marzeń, aby wypełnić sobie czas podróży. Siegfried z Carvasem stworzyli plan, który miał im przynieść pieniądze.

Na statku był potężnie zbudowany żołnierz o nazwisku Luis Gonzales, który chwalił się, że przed mobilizacją był zawodowym bokserem. Carvas także

walczył trochę na pięści, zanim związał się z rodziną Zanmattich. On i Bavier namówili Gonzalesa i eksbokser zgodził się na pojedynek. Uzgodniono to z sierżantem, który z kolei dogadał się

z dowódcą kompanii, a ten z radością powitał ów sposób na przerwanie nudy. Był tylko jeden problem: dowódca kompanii nie zezwolił na zakłady.

Nie powstrzymało to jednak Carvasa i Baviera. Po prostu załatwili rzecz po cichu. Wzięli czterech żołnierzy, którzy obeszlą pokład i pozbierali pieniądze. Gorączka zakładów sięgała zenitu. Bavier zdecydował się postawić całe dwadzieścia tysięcy na Carvasa. Było to

ryzyko, ale gdyby ten zwyciężył...

Walka odbyła się na pokładzie i trwała ponad godzinę. W ostatniej sekundzie Carvas znokautował Gonzalesa. Sam wyszedł z tego ze złamanym nosem i niewielkimi kontuzjami. I zarobił czterdzieści tysięcy dolarów, które dodał do poprzednich dwudziestu. Bavier też stał się posiadaczem sześćdziesięciu tysięcy. Zgodnie ze zwyczajem trzymał pieniądze w butach, a każdy banknot oznakował starannie w prawym rogu odwróconym B. Sypiał w butach i przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, aby ochronić swój łup. Kiedy szedł pod prysznic, pieniędzy pilnował Carvas, chyba że akurat miał

jakieś pilne zajęcie na statku. Wtedy Bavier chował pieniądze w przewodzie wentylacyjnym. Stało się to, gdy do Nowego Jorku mieli jeszcze dwa dni podróży. Kiedy Siegfried wrócił spod prysznic, odkrył, że forsa zniknęła. A Gonzales, który po przegranej walce został bez grosza przy duszy, grał w ładowni w pokera, stawiając setki dolarów. Bavier natychmiast rozpoznał swoje banknoty, bo w każdym prawym rogu znajdował się jego znak.

Żołnierze przyglądający się grze nagle ucichli. Tak jakby w ładowni nagle powiało niebezpieczeństwem.

Bavier złapał Gonzalesa za kołnierz i podniósł go na nogi.

- Ukradłeś moją forszę - oskarżył olbrzym. - Oddaj mi ją natychmiast! Gonzales spojrzał na niego z góry.

- Niczego ci nie ukradłem. Wygrałem te pieniądze. - Odepchnął Baviera i usiadł ponownie.

Ale Sigi był uparty. I ogarnęła go mordercza furia. Gonzales to złodziej, miał znaczony banknoty. Siegfried nie zamierzał pozwolić, aby tamten zszedł z nimi ze statku. Zbierał te pieniądze przez dwa lata i nikomu ich teraz nie odda.

Zacisnął pięści, a kiedy odezwał się ponownie, głos mu drżał z gniewu.

- Chodź tu, ty złodziejski bękarcie! -
wyzwał boksera. - Zamierzam odzyskać
swoją forszę.

Pozostali spojrzeli na niego, a potem
podnieśli się i w milczeniu otoczyli ich
kołem. Tylko Gonzales się nie poruszył.
Nawet nie odwrócił głowy.

- Gdybym był tobą, zastanowiłbym się
dobrze, kogo nazywam bękartem -
oświadczył spokojnie.

Bavier wbił wzrok w plecy boksera, a
potem rzucił się na niego. Runęli na
pokład i rozpoczęła się walka.

Widzowie odsunęli się, by zrobić im
miejsce. W normalnej sytuacji Gonzales

miałby przewagę, jako że był mocniej zbudowany i bardziej doświadczony. Ale Bavier wziął go przez zaskoczenie, a przy tym bokser nie doszedł jeszcze do siebie po pojedynku z Carvasem. Bavier wbił mu palce w gardło i patrzył, jak twarz przeciwnika staje się purpurowa.

- Gdzie jest forsa? - krzyknął Siegfried. Zacisnął palce mocniej i potrząsnął Gonzalesem tak, że głowa boksera uderzyła o deski pokładu. - Niech cię diabli! Gdzie moje pieniądze?

Początkowo Gonzales próbował odepchnąć Baviera. Potem chciał mu wbić palce w oczy, ale Bavier zauważył to i błyskawicznie odwrócił twarz. W końcu bokser poczuł, że słabnie, i

ostatnim wysiłkiem spróbował rozluźnić chwyt przeciwnika, ale bez skutku. W tym stalowym uścisku był cały gniew Siegfrieda.

Nagle Bavier poczuł, że czyjeś silne ramiona odciągają go od przeciwnika. Odwrócił się z wściekłością. To był Hector Carvas.

Płuca Baviera płonęły z wysiłku. Nabrał głośno powietrza.

- Po co się wtrącasz? - krzyknął i wskazał palcem Gonzalesa. - Ten sukinsyn ukradł mi forszę!

Carvas popatrzył na Baviera łagodnie i życzliwie klepnął go w ramię.

- Uspokój się - powiedział cicho. - Idzie tu dowódca. Zmykamy.

Tamci pozostali usłyszeli jego słowa i powrócili do swoich zajęć, udając, że nic się nie stało.

Bavier spojrział na Gonzalesa, który wciąż leżał jak długi na pokładzie. Próbował usiąść i ostrożnie dotykał dłońmi gardła. Podniósł wzrok na Baviera.

- Zabiję cię, złodzieju - warknął Siegfried ze złością.

- Zamknij się - rzucił Carvas ostro i popchnął kumpla w kierunku drzwi ładowni. -Idziemy, zanim zrobi się tu

gorąco.

Wreszcie Bavier pozwolił się wyprowadzić.

- Zabiję tego sukinsyna, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu - oświadczył twardo.

- Uwaga! - syknął Carvas.

Jak gdyby nigdy nic zasalutowali dowódcy kompanii. Tamten oddał im salut i poszedł dalej.

Kiedy już nie mógł ich widzieć ani słyszeć, Carvas zaciągnął Baviera w kąt.

- Słuchaj, ty piekielny durniu - wysyczał

ze złością. - Nigdy nie rozgłaszaj takich rzeczy. To niezdrowo. Jeżeli chcesz coś zrobić, zrób to, ale po cichu. Pomyśl, że jeżeli teraz temu facetowi coś się przydarzy, będziesz pierwszym podejrzanym.

Bavier popatrzył na niego i pomyślał, że przyjaciel miał rację. Tak wygląda strategia OST, czyli Ochroniaj Swój Tyłek. Przecież w ten sposób funkcjonuje cała armia. Obiecał sobie, że na przyszłość będzie mądrzejszy.

To postanowienie nie na wiele się jednak zdało. Oficer dyżurny wyznaczył Gonzalesa do pełnienia nocy warty na pokładzie. Ale kiedy nadeszła kolej boksera, ten się nie pojawił. Nie stawił

się również na porannym apelu. Przeszukano cały statek, ale bez skutku. Przeliczono łodzie i koła ratunkowe - żadnego nie brakowało. Ogłoszono alarm „człowiek za burta”, kapitan natychmiast zawrócił statek w kierunku, z którego płynęli, i polecił zataczać koła w wyznaczonym obszarze. Poszukiwania trwały cztery dni, przez cztery noce światła reflektorów omiatały ciemne fale, ale nie odnaleziono Luisa Gonzalesa.

Bavier uważał te dodatkowe dni za błogosławieństwo. Dawały mu możliwość szukania pieniędzy wszędzie, gdzie tylko mógł. Na statku tej wielkości było mnóstwo kryjówek. Jeżeli nie

wiedziało się, gdzie szukać, nie było szans, żeby znaleźć zgubę. Sześćdziesiąt tysięcy dolarów to mały zwitek papieru. A w dodatku dowódca kompanii

dowiedział się o walce, a także o groźbach Siegfrieda i postanowił przeprowadzić śledztwo. Na szczęście okazało się, że Siegfried ma alibi. Owej fatalnej nocy ani na chwilę nie oddalał się od kolegów i wobec tego został natychmiast oczyszczony z podejrzeń. Odetchnął z ulgą, bo sprawiedliwość wojskowa różni się nieco od cywilnej. W armii nie przestrzega się zasady, że jesteś niewinny, dopóki ci nie udowodnią winy. Tak więc Sigi powinien się cieszyć z zamknięcia

dochodzenia, ale nie mógł. Mimo upartych poszukiwań nie udało mu się odnaleźć pieniędzy.

Wojenne przyjaźnie nie trwają długo. Po zejściu na ląd w brooklińskim porcie każdy ruszył w swoją stronę. Bavier i Carvas powiedzieli sobie cześć i przyrzekli, że będą się widywać. Naturalnie obydwaj zdawali sobie sprawę z tego, że tak nie będzie. Ale Bavier nie wiedział, że Carvas opuścił pokład ze stu dwudziestoma tysiącami dolarów i krwią na rękach. Nikt nie podejrzewał go mniej niż Sigi. Podczas gdy Carvas zamieszkał w hotelu Waldorf-Astoria i odnowił kontakty z rodziną Zanmattich, Bavier zdzierał

podeszwy na ulicach Brooklynu, szukając zajęcia. Jakiegokolwiek pracy.

Wreszcie zdołał się zatrudnić przy rozładunku trawlerów rybnych w Sheepshead Bay. Nie lubił tej pracy. Była poniżej jego zdolności i nie dawała żadnych perspektyw. Ale nie miał wyboru, musiał jeść.

Czasem myślał, że już zawsze będzie czuł wokół siebie smród ryb. Wydawało mu się, że ta woń wszędzie za nim podąża. Była to wyczerpująca, pochłaniająca całą energię i kiepsko płatna praca.

Krótko przed Bożym Narodzeniem Bavier zachorował na zapalenie płuc.

Kiedy wyszedł ze szpitala dla najuboższych, podjął decyzję. Już nigdy w życiu nie zje ryby i nie zajrzy do restauracji, gdzie serwują ryby. I co ważniejsze, zdecydował się wyjechać z Brooklynu. Był to ślepy zaułek - i nikt nie wiedział tego lepiej niż Sigi. Chciał zamieszkać w prawdziwym Nowym Jorku. W Nowym Jorku z kartki pocztowej, tym z drapaczami chmur, ruchliwymi ulicami, hałasem, światłami, atmosferą podekscytowania. Nie wrócił do rudery, w której wynajmował nędzny pokój, żeby zabrać stamtąd ubrania i kilka drobiazgów. Gdyby tam wrócił, musiałby zapłacić zaległy czynsz. Poza tym nowe życie najlepiej zaczynać od zera. Kupił jedną rzecz, której

potrzebował, aby zrealizować

marzenia - bilet do metra. Potem pojechał do East River na Manhattanie i nigdy nie spojrzął za siebie.

Manhattan był zupełnie innym światem niż Brooklyn. Instykt Baviera natychmiast podpowiedział mu, że są tu duże możliwości dla ludzi inteligentnych, ambitnych i przewidujących. W powietrzu czuło się podniecenie. Było wszędzie, dokądkolwiek się poszło - w centrum, na przedmieściach. W East Side i West Side.

Pierwsze, co zrobił Bavier, przyjechawszy na Manhattan, to wybrał

się na spacer, który trwał cały dzień i całą noc. Słuchał, patrzył, wąchał, uczył się, obserwował. Kiedy już nie mógł opanować senności, zszedł do metra i przespał się na siedząco. Kiedy się obudził, zaczął realizować pierwszy punkt swojego planu: ruszył na poszukiwanie jakiegoś lokum. W Lower East Side było tanio, więc właśnie tam się wybrał. Znalazł dwupokojowe mieszkanie z zimną wodą w domu czynszowym przy Rivington Street.

Na każdym piętrze mieściły się cztery mieszkania i wspólna toaleta. Wanny były w kuchniach. Nagie żarówki rzucały dziwaczne cienie na ściany ciemnej klatki schodowej. Tutaj także,

podobnie jak w Sheepshead Bay, unosiła się wstrętna woń, która prześladowała Baviera wszędzie, podobnie jak wcześniej rybi odór. Tym razem był to smród gotowanej kapusty i prania. W budynku bez przerwy rozlegały się różne dźwięki. Właściwie to mu nie przeszkadzały, gdyż okrywały kamienicę płaszczem życia i godności. Były między nimi nawoływania dzieci i odgłosy życia rodzinnego dowodzące, że mimo biedy cykl życia powtarza się i tutaj. Siegfried słyszał wokół siebie przedziwną mieszaninę niemieckiego, polskiego i jidysz.

Nie zniechęciło go ponure otoczenie ani sąsiedztwo różnych nacji. Stał na

pierwszym szczeblu drabiny wiodącej do sukcesu. Powtarzał sobie, że oto jest na Manhattanie, w miejscu, gdzie wielkie możliwości czekają na każdego, kto chce z nich skorzystać. Rivington Street stała się dla niego symbolem, podobnie jak dla tysięcy innych, którzy tam zaczynali. Wiele lat później, kiedy Siegfried był już bogaty i mieszkał na Sutton Place, patrzył z czułością na Rivington Street jako na miejsce, z którego wyszedł. Nawet wówczas, gdy jego miliony pomnażały się same, nie stracił z oczu swoich trudnych początków. Czuł ogromną dumę, gdyż zaczynał na dnie, a osiągnął szczyty.

Przez kilka lat bawił się swoim

bogactwem jak dziecko ulubioną zabawką, zarabiając pieniądze i tracąc je na przemian. Wreszcie zdecydował, że nadszedł czas, by przestać ryzykować. Kupił penthouse na dachu wieżowca przy Sutton Place i próbował dostać się do najlepszego towarzystwa. Nie było to łatwe, nawet z jego majątkiem. Liczyły się nie tylko pieniądze, ale także odpowiednie pochodzenie, a przynajmniej wytworne manieri i dowcip. Bavierowi brakowało oglądy towarzyskiej; był po prostu wulgarny. Nigdy nie miał czasu, aby nabrać poloru, za bardzo pochłaniała go praca. Teraz próbował to nadrobić. Kiedy kupił penthouse, zatrudnił dekoratora wnętrz. Poszedł do

drogiej galerii sztuki na Madison Avenue i zażyczył sobie odpowiednie do swojego mieszkania obrazy. Jego zdaniem były nieskończone i miał wrażenie, że to szalone dziecko na chybił trafił zapaćkało płótno farbą. Patrząc na nie, czuł się zakłopotany, ale myślał, że dzięki nim zyska natychmiastową ogłade. Dopiero po pewnym czasie odkrył, że tak się nie stało.

Z takim samym, acz niefortunnie skierowanym zapałem zaczął odwiedzać najlepsze restauracje i nocne kluby, tylko po to, by zrozumieć, ile jeszcze musi się nauczyć. Kupił elegancki smoking i dumny jak paw poszedł do El

Marocco. Nie wiedział, że zwyczajowo daje się napiwek szefowi sali, więc posadzono go przy najgorszym stoliku. I na dodatek został wzięty za kelnera - gdyż miał na sobie smoking kupiony w sklepie. Następnego dnia skorzystał z lekcji i kazał sobie uszyć garnitury oraz smokingi.

A potem poznał Z.Z.

Wcześniej nieczęsto spotykał się z kobietami. Nie dlatego, że ich nie lubił, wręcz odwrotnie. Sigi uwielbiał i podziwiał płęć piękną. Tylko po prostu nigdy nie miał czasu na flirty. Dlatego najczęściej miał do czynienia z prostytutkami, bo seks był dla niego tym, czym kąpiel, jedzenie i mycie zębów.

Prostytutki były wygodne; nie tracił cennego czasu na zaloty, a on i ona otrzymywali to, czego chcieli. Potem jednak powoli doszedł do wniosku, że tego typu kontakty seksualne mu nie wystarczają. Że brak im czegoś istotnego.

Myślał o tym dużo i w końcu pojął, że prostytutki beznamiętnie sprzedają mu to, czego żąda, ale nic więcej. A on teraz potrzebował czegoś więcej. Był człowiekiem majątnym i chciał mieć kobietę tylko dla siebie. Nie, nie chodziło mu tylko o kobietę. Chciał mieć żonę, która nobilitowałaby jego bogactwo. I otworzyła przed nim te

wszystkie zamknięte drzwi do
najlepszego towarzystwa.

I wówczas poznał Z.Z. na przyjęciu
wydanym przez stowarzyszenie
biznesmenów. Kiedy tylko ją zobaczył,
pomyślał, że musi ją zdobyć.
Niezawodny instynkt podpowiedział mu,
że jest wyjątkowa, zupełnie inna niż
kobiety, z którymi kiedykolwiek się
spotykał. Była piękna: miała błyszczące
blond włosy, modulowany, kulturalny
głos i poruszała się z wdziękiem, który
wyzwalał w nim podniecenie, jakiego
nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się
doświadczyć. Wydawała się chłodna i
opanowana, ale pod powierzchnią jej
gładkiej nieskazitelnej skóry Sigi

wyczuwał pulsującą namiętność. Kiedy obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, przeszedł go nagły dreszcz. Kilka dni później poprosił ją o rękę. Z.Z. z wahaniem spuściła zielone oczy i powiedziała, że to dla niej zaszczyt, ale potrzebuje czasu do namysłu.

Gdyby Bavier lepiej orientował się w skomplikowanych metodach działania kobiecego umysłu, zrozumiałby od razu, że to nie on oświadczył się Z.Z., tylko ona jemu. Tymczasem trwał w błogiej nieświadomości faktu, że to ona zarzuciła wędkę i złapała go na haczyk. Bavier pojął jej prośbę o czas jako dowód tego, że jego wybranka jest damą. Tak naprawdę jednak

dwudziestoletnia Z.Z. rozglądała się za odpowiednim kandydatem na męża. Szukała mężczyzny, który byłby dostatecznie bogaty, by móc dać jej wszystko, czego pragnęła. Nie chodziło jej o miłość czy seks. Pragnęła bogactwa i władzy. I wiedziała, jak rozegrać tę partię. Była to gra, o której Bavier nie miał pojęcia.

Początkowo uważał, że małżeństwo otworzyło przed nim bramy raj. Po wyjściu z katedry świętego Patryka, mając przy sobie Z.Z. w białej sukni i welonie, kiedy uchylając się przed gradem ryżu, biegli do oczekującej limuzyny, Bavier czuł zawroty głowy jak szczęśliwiec, który wygrał główny los

na loterii. Po raz pierwszy w życiu miał kogoś, kogo mógł darzyć uczuciem. Był oddanym mężem i szczerze ofiarowywał Z.Z. wszystko, czego pragnęła. Piękna kobieta urodziła się po to, by ją rozpieszczano, tłumaczył sobie. Poza tym otwierała przed nim drzwi do sfery, o której istnieniu wcześniej nie miał pojęcia, i był jej za to wdzięczny.

Po roku jednak doszedł do wniosku, że mógłby równie dobrze żyć bez towarzystwa, do którego udało mu się dostać. Nie lubił przyjęć koktajlowych, gdy musiał stać i rozmawiać o akcjach. Wolał sam nimi obracać. Nie mógł znieść ciągnących się w nieskończoność kolacji i poniedziałkowych wieczorów

w operze. Nie interesowały go wyścigi konne w Thoroughbred, Kentucky Derby i Preakness w Pimlico ani rozgrywki polo w Palm Beach. Nie lubił rozmów o żeglarstwie, wolał żeglować sam.

Wkrótce zaczął odczuwać coraz większą pogardę dla ludzi z kręgu Z.Z.

Znienawidził ich płytkość, rozmowy o niczym, uderzenia sztyletem w plecy oraz intrygi i złośliwą radość, kiedy kogoś, kogo znali, spotykało nagłe nieszczęście. Ku swojej konsternacji odkrył, że Z.Z. żyła tymi sprawami. Była najohydniejszą plotkarką i intrygantką ze wszystkich, jadowitą jak żmija. Kiedy ktoś ją uraził, odpłacała mu dziesięciokrotnie, nawet jeżeli musiała miesiącami zastawiać sieci. Miała

wtedy cierpliwość pająka. Siegfried czuł się nią rozczarowany, tak jak całą śmietanką towarzyską Nowego Jorku. Gdyby tylko mógł, zakończyłby to małżeństwo, ale znalazł się w pułapce. Najpierw powoli, a potem już siłą rozpędu szukał drogi ucieczki. Wdawał się w romanse z innymi kobietami. Wiedział, że Z.Z. zdaje sobie z tego sprawę. Wiedział również, że dopóki zachowuje się wystarczająco dyskretnie, ona nie będzie zwracać na to uwagi. Miał błogosławieństwo żony na wszystko, co nie osłabiało jej pozycji w towarzystwie i nie naraziło na obmowę ze strony innych żmij. Z.Z. nawet popychała go do romansów, bo były dla niej bardzo wygodne. Tak jak

pokojówki wykonywały za nią niemiłe prace domowe, tak kochanki męża zwalniały ją od obowiązków małżeńskich, które uważała za niesmaczne. Powoli Bavier doszedł do wniosku, że jego żona nienawidzi seksu. Nie tylko z nim, ale w ogóle. Nie pocieszało go jednak, że Z.Z. nie sypia, z kim popadnie. Prawdę mówiąc, wolałby to od jej obojętności w sprawach seksu. Początkowo ta oziębłość była dla niego zagadką. Potem dotarł do sedna sprawy. I nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Z.Z. obawiała się, że seks sprawi, iż będzie wyglądała jak rozpustnica z podsinionymi oczami.

Kiedy Bavier wychodził ze swoimi

licznymi kochankami, zawsze wybierał ustronne miejsca, w których nie bywała Z.Z. W trosce o jej spokój nie chciał, aby go zobaczyła.

Jeżeli chodzi o Z.Z., była przekonana, że Sigi zawsze do niej powróci na kolanach, niezależnie od tego, jak bardzo zblądził. A gdy tylko dostrzegła, że za bardzo oddalili się od siebie, stosowała starą sztuczkę, którą już na nim wypróbowała. Zarzucała haczyk z przynętą, łapała męża i poświęcała mu całą swoją uwagę. Nawet wpuszczała go do łóżka i

udawała, że sprawia jej to radość. Jeżeli myślała, że te drobne dowody miłości zacieśnią ich związek, bardzo się myliła.

Wprost przeciwnie, momenty skruchy pojawiały się tak regularnie, że Bavier mógł nawet przewidzieć czas ich trwania co do dnia. Nigdy nie trwały dłużej niż tydzień. Potem wszystko wracało do poprzedniego stanu.

Gdyby Z.Z. poświęciła trochę czasu, aby zastanowić się nad ich związkiem, dostrzegłaby, jak kruche są jego podstawy. Ale naprawdę nie miała pojęcia, jak bardzo Siegfried był już nią zmęczony. Nigdy nie uwierzyłaby, że potrzebował bardziej inspirującej kobiety niż ona.

W Helenę znalazł wszystko to, czego brakowało Z.Z., i dużo więcej. Miała

zalety, których podświadomie szukał w żonie. Była niezrównanie kobieca, ale w interesach postępowała stanowczo trzeźwo i rozsądnie jak mężczyzna. Brak ogłady męża i jego niewybredne żarty wprawiały Z.Z. w zakłopotanie, Helenę natomiast akceptowała to jako coś naturalnego. Widziała, kim był naprawdę. Olbrzymem wśród mężczyzn, ale olbrzymem z sercem na dłoni. W pewien sposób przypominał jej Edmonda. Wiedziała, że może na nim polegać w każdej sytuacji. I że Sigi zawsze będzie jej bronił. A co najważniejsze, naprawdę pokochała Siegfrieda Bawiera. W interesach nie zważał na nikogo i kierował się tylko własną korzyścią, co stało się już

legendą. Helenę miała świadomość, że taki Bavier istnieje, ale nigdy go nie widziała. Jej Siegfried był czuły, delikatny, prostolinijny, odważny i pełen energii.

Kiedy holownicy przyprowadziły parowiec „United States” do zachodniego nabrzeża, Helenę i Siegfried pożegnali się, ale nie na długo. Spotykali się niemal codziennie, wykradając cenne minuty ze swojego napiętego harmonogramu zajęć. Żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Szanowali nawzajem swoje ambicje i pragnienia. Te spotkania jeszcze dopingowały ich do pracy. Bavier skupywał akcje, Helenę zaś wynajęła

dwa piętra w RCA Building w Rockefeller Centre i szykowała amerykańską wersję „Les Modes”. I nie tylko. Podjęła także ważną decyzję, która miała odmienić całe jej życie. Pokochała Nowy Jork. Jego witalność i splendor. Jego szaloną kreatywność. Ale ponad wszystko kochała Bawiera, a on kochał ją.

W tej sytuacji nie pozostawało więc nic innego, niż przenieść jej paryskie biuro do Stanów. Europejskie pisma miały teraz funkcjonować pod nowym szyldem: Helene Junot International, Inc.

Narodziło się HJII.

Po raz pierwszy od wielu lat Sigi znowu

czuł się sobą. Znużenie spowodowane świadomością, że był związany z Z.Z., nagle go opuściło. Wystarczyła mu myśl, że Helenę znajduje się w pobliżu, i czuł się tak dobrze jak nigdy wcześniej. Z jakiegoś dziwnego powodu on i Helenę dodawali sobie wzajemnie energii i każde z nich miało więcej entuzjazmu i siły do działania niż kiedykolwiek przedtem. Sigi zerwał ze wszystkimi kochankami i rzucił się w wir pracy.

Dwa miesiące później spotkał się z żoną i jej prawnikami, aby przeprowadzić szybki rozwód. Z.Z. przyjęła to spokojnie, bez większego zainteresowania. Nawet nie próbowała walczyć. Była pewna, że nowy związek

Sigiego wkrótce się rozpadnie.

Zaniepokoiła się trochę, kiedy Siegfried i Helenę wzięli cichy ślub cywilny. Ale jej obawy nie były zbyt duże. Sigi wróci na kolanach, była tego pewna. Musi go tylko znowu do siebie zwabić.

Edmond i Petite Helenę przylecieli do Nowego Jorku na ślub. Potem nowożeńcy przeprowadzili się do dwunastopokojowego apartamentu, który razem kupili. Znajdował się na skrzyżowaniu Piątej Alei i ulicy Sześćdziesiątej Szóstej, a jego okna wychodziły na Central Park. Bavier nigdy nie wyjawiał Helenę, ile go kosztowało odzyskanie wolności. Siedem milionów dolarów, dom w

Hamptons, penthouse w Sutton Place, kolekcję dzieł sztuki wartą cztery miliony i bezcenne antyki. Ale uważał, że ta zamiana mu się opłacała. Poza tym miał talent do pomnażania pieniędzy. Wiedział, że w krótkim czasie nadrobi straty.

Nie wspomniał też Helenę, że Z.Z. była w ciąży. Ta nowina go zaskoczyła, ale nie pozwolił, żeby miała wpływ na jego decyzję. Nie chciał też, aby zaważyła na decyzji Helenę. Poza tym nie było problemu dziecka, gdyż Z.Z. zapewniała, że usunie ciążę. W tej sytuacji wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

Bavier nigdy się nie dowiedział, że Z.Z.

postanowiła nie dokonywać aborcji. Zamierzała urodzić dziecko i wykorzystać je, aby odzyskać męża. Nie dla niego samego, lecz by żadna inna kobieta nie mogła go mieć.

Z.Z. podjęła jeszcze jedną decyzję. Zaczęła cierpliwie tkąć pajęczą sieć. Aby, gdy przyjdzie czas, zniszczyć Helenę Junot.

Rozdział 11

Bavier i Helenę pojechali w tygodniową podróż poślubną do Acapulco. Te dni upłynęły tak szybko, że wydawało im się, iż dopiero co przyjechali, a już musieli pakować walizki i jechać z powrotem. Czy im się to podobało, czy

nie, trzeba było wracać do Nowego Jorku, Na oboje czekały pilne sprawy. Lecz nawet po powrocie Bavier dbał, aby ich miodowy miesiąc się nie skończył. Ciągłe zasypywał Helene prezentami. W pierwszym tygodniu po powrocie podarował jej maleńki, ale pełen uroku obraz Utrilla przedstawiający scenę z paryskiej ulicy. W drugim tygodniu dostała osiemnastokaratowy szmaragd o kwadratowym szlifie; nie zdejmowała tego pierścionka, nawet gdy szła spać. I wreszcie w trzecim tygodniu pojawił się błyszczący biały jacht motorowy, który nazwali „Petite Helene”. Kosztował sześć milionów dolarów i miał stałą załogę złożoną z dziesięciu osób.

Znajdowały się na nim trzy salony, mała dyskoteka, apartament małżeński na górze i cztery kabiny dla gości. Jacht został przyprowadzony z Fort Landerdale na przystań przy ulicy Siedemdziesiątej Dziewiątej. Odbywwszy wraz z Heleną romantyczny rejs w świetle księżycy wokół Manhattanu, Bavier polecił kapitanowi płynąć do Hiszpanii. Niech czeka w Barcelonie, aby latem mogli się wybrać w wakacyjny rejs.

Ale nigdy nie pojechali na te wakacje. Los okazał się okrutny i kilka tygodni po ślubie Siegfried padł martwy na podłogę w gmachu nowojorskiej giełdy. Raz jeszcze okazało się, że szczęście Helenę

sięgnęło szczytów tylko po to, by rozsypać się w pył.

Śmierć Baviera pojawiła się w nagłówkach „The Wall Street Journal” i „Timesa”. Pogrzeb odbył się w kaplicy Campbell na Madison Avenue. Bavier był symbolem, jednym z ostatnich wielkich graczy Wall Street i żegnał go tłum biznesmenów. Helenę żałowała, że nie знаła tych ludzi. Większość była jej obca.

Przesiedziała całą mowę pogrzebową z kamienną twarzą. Łzy miały przyjść później, zresztą nie chciała pokazywać ich obcym. A najmniej Z.Z. Bavier, która siedziała w

rzędzie za nią. To Z.Z. знаła wszystkich obecnych. I to ona przyjmuje kondolencje przeznaczone dla żony, myślała z goryczą Helenę.

Słuchała w skupieniu, gdy przedstawiciel grupy Fortune 500 rozwodził się nad osiągnięciami i zasługami Baviera. Ale ani jedno słowo nie przedostało się przez zasłonę jej bólu. Mogła tylko myśleć o poranku, kiedy jej mąż po raz ostatni wyszedł na giełdę. Nigdy nie widziała go zdrowszego i szczęśliwszego.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, Helenę powoli ruszyła do wyjścia. Każdy krok wymagał od niej ogromnego wysiłku. Nie dotarłaby nawet do połowy

głównej nawy, gdyby nie Edmond i Petite Helenę. Podtrzymywali ją mocno i jakoś przesuwali do przodu. Potem zachwiała się nagle, gdy nieoczekiwanie stanęła twarzą w twarz z Nigelem Somersetem. Wyszedł z jednej z bocznych naw i stanął przed Heleną. Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Kolana się pod nią ugięły i czuła, jak cała drży. Na szczęście udało jej się nad sobą zapanować. Nie chciała widzieć Nigela. Nie w takim momencie. Albo raczej w żadnym momencie. To, co było między nimi, umarło nieodwołalnie. Nie chciała odnawiać tej znajomości. Ale nie mogła tak po prostu odwrócić się od niego. Przyleciał z Anglii specjalnie na pogrzeb i dobre wychowanie wymagało,

by zamienić z nim kilka słów.

Odwróciła się do Edmonda i Petite Helenę.

- Przyjdę do was za chwilę -
powiedziała głosem pełnym napięcia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Edmond.

W milczeniu kiwnęła głową, patrząc, jak wychodzili. Potem odwróciła się do Nigela. Nie zauważyła, kiedy znajomi Baviera wyszli z kaplicy. Mogła tylko patrzeć w złociste oczy Nigela. Czuła się jak w Auteuil, kiedy nieoczekiwanie na niego wpadła. Tak jak wówczas, nie mogła teraz wydobyć z siebie głosu.

- Przyjmij moje najszczerze kondolencje - odezwał się Nigel.

- Dziękuję - odrzekła drżącym głosem. - Cieszę się, że tu jesteś.

Ale tak naprawdę żałowała, że przyjechał. Jego widok tylko jątrzył stare rany. Czy to możliwe, że nigdy się nie zasklepią do końca? - pytała się w myślach.

Spuściła wzrok i zacisnęła usta z bólu. Ale kiedy znowu na niego spojrzała, udało jej się zachować spokój. Tylko ona wiedziała, ile kosztował ją ten wysiłek.

- Ja również chcę ci złożyć kondolencje

- powiedziała uprzejmym tonem. - W zeszłym miesiącu przeczytałam o śmierci twojej matki. Przepraszam, że nie wysłałam kwiatów...

Nigel popatrzył na nią łagodnie.

- Nie winie cię za to. Przed śmiercią przyznała się, że to ona namówiła cię do wyjazdu z Fallsworth. Możesz mi wierzyć... nie wiedziałem o tym.

- Wierzę.

- Wiem, że teraz to niewiele pomoże, ale matka w końcu zdała sobie sprawę, iż popełniła błąd, zmuszając mnie do małżeństwa z Pamelą. Powiedziała mi to. Nieczęsto przyznawała się do

błędów.

Helenę kiwnęła głową. Pamela. Przypominała sobie zdjęcie lady Pameli Grey, która zamiast niej została szesnastą diuszesa Farąharshire. Więc się nie myliła. To matka Nigela zaaranżowała jego małżeństwo. Ale to żadna niespodzianka. W głębi serca Helenę zawsze o tym wiedziała. Teraz księżna nie żyła, ale skutki jej decyzji trwały nadal.

- Nie powinienem był poślubić Pameli - powiedział cicho Nigel. - Nigdy jej nie kochałem. Ani ona mnie. Jej rodzice też ją zmusili. A teraz... - urwał.

Helenę spojrzała na niego ze

współczuciem. Nigel odwrócił twarz.

- Nie kochamy się - wyszeptał. - Nasze małżeństwo to fikcja. - Odetchnął głęboko i wyczuła emanujący z niego ból. - Niestety, nie ma mowy o rozwodzie. - Uśmiechnął się ponuro. - Pozycja towarzyska i tak dalej, sama wiesz.

Helenę uniosła dłoń i delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Przykro mi, Nigel. Musi ci być bardzo ciężko. Westchnął i mocno przycisnął jej palce do swojego policzka.

- Kochanie, wiem, że to nie jest odpowiedni czas i miejsce. - Szybko

ściszył głos do dyskretnego szeptu i spojrzał jej głęboko w oczy. - Ale chciałbym się z tobą zobaczyć...

Helena cofnęła się o krok. Musiała odwrócić wzrok, żeby nie utonąć w jego oczach.

- Ja... ja nie wiem - wyjąkała niepewnie. - Przepraszam, ale jest zbyt wcześnie. Muszę mieć czas, żeby to przemyśleć... - Głos jej się załamał.

Bez słowa odwróciła się na pięcie i uciekła z kaplicy od Nigela i duszącego zapachu chryzantem.

Dwa dni później, w tajemnicy przed Heleną, Jacques sprzedał swoje udziały

w HJII Z.Z. Bavier i Marcellowi
d'Itriemu.

Rozdział 12

To prawda, że czas leczy rany. I po pewnym czasie, chociaż wydawało jej się, że trwało to bardzo długo, życie Helenę wróciło do normalnego trybu. Mocno odczuwała niesprawiedliwość losu, który dał jej tak wiele, by wkrótce nieubłaganie odebrać całą radość. Jednakże wiedziała, że z pomocą Edmonda i Petite Helenę będzie mogła żyć dalej i realizować swoje marzenia. Teraz jedno z marzeń przywiodło ją do Wenecji.

Było już po jedenastej w nocy, kiedy

ostatni robotnik wziął skrzynkę z narzędziami i wyszedł. Helenę odprowadziła go do drzwi i patrzyła, jak wsiadał do oczekującej motorówki. Kiedy łódź ruszyła po Canale Grande oświetlonym blaskiem księżyca, Helenę zamknęła masywne, rzeźbione, podwójne drzwi. Powoli zatrzasnęły się z głuchym echem. Potem wokoło zapanowała cisza zakłócana jedynie pluskiem wody.

Przez dłuższą chwilę Helenę z zamkniętymi oczami opierała się o drzwi. Miała na sobie kraciastą męską koszulę, która wysunęła się z wyblakłych lewisów, i białe tenisówki na nogach. Włosy związała z tyłu

jedwabną chustką.

Westchnęła z ulgą i otarła ręką pot z czoła. Czuła, jak jej ciało rozluźnia się powoli, a poziom adrenaliny opada.

Wreszcie wszystko było gotowe. I ani chwilę się nie spóźniła. Bal miał się odbyć następnego dnia.

Gdyby mogła przewidzieć, co ją czeka, z radością pozwoliłaby Lubie wszystkim się zająć. Ale po raz pierwszy uparła się, że sama zorganizuje bal. Okazja była zbyt ważna, by Helenę mogła komukolwiek zaufać, nawet Lubie. Roześmiała się cicho sama do siebie. Do tej pory jej największym problemem było zawsze to, w co będzie ubrana na

przyjęciu. Całymi godzinami stała w dusznych garderobach, a krawcowe przycinały, mierzyły, przypinały, fastrygowały, pruły i obrębiały materiał po to, by jej kreacja stała się doskonała. Gdy była modelką, nie przeszkadzały jej te wielogodzinne przymiarki; należały

do jej pracy. Teraz uznała, że to nudne i denerwujące. Ale niczego nie można było porównać z dwoma miesiącami planowania i wytężonej pracy, które miała za sobą.

Raz jeszcze z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Myślała, że sama zorganizuje największy i najwystawniejszy bal sezonu. Jaka była głupia! Ale kto by pomyślał, że to

wymaga tak wielkiego nakładu pracy? Już samo skompletowanie obsługi - kwiaciarzy, kelnerów, kamerdynerów, cateringu, sprzątaczek, orkiestry, grupy rockowej, pomocy kuchennych... lista nie miała końca - było okropnym zadaniem. Wybranie najważniejszych ludzi i wyjaśnienie im, o co jej chodzi, stało się dla Helenę koszmarem. Gdyby nie pomoc doświadczonej przyjaciółki, nie miałyby wyboru i odwołałyby całą imprezę. Wiedziała, że tej lekcji nigdy nie zapomni. Aby zaoszczędzić sobie zdenerwowania w przyszłości, postanowiła zawsze zatrudniać profesjonalnego koordynatora. Nawet jej płynny włoski, na który tak liczyła, niewiele pomógł. Wenecja różniła się

od Mediolanu, niestety Helenę odkryła to zbyt późno. Wszystko działało tu wolniej. Mniej światowo i mniej sprawnie. Znajomość języka nie wystarczała. Trzeba było znać mentalność tych ludzi.

Problemy rozpoczęły się od lokalizacji i wyszukania odpowiedniego - a przede wszystkim osiągalnego - pałacu na przyjęcie. Jakże tam zresztą przyjęcie, poprawiła się w myślach Helenę. Bal. Złoty Bal.

Od początku wiedziała, że musi się on odbyć w Wenecji. Żadne inne miasto nie nadawało się do tego celu. I nie odznaczało się takim splendorem.

Najpierw wszystko wydawało się łatwe. Kiedy Peggy Guggenheim dowiedziała się, że Helenę szuka pałacu, życzliwie zaproponowała jej swój stateczny Palazzo Venier dei Leoni. Ten prestiżowy gmach znajdował się przy słynnym Canale Grande. Od strony ogrodu dobudowano dodatkowe skrzydło na światowej sławy kolekcję sztuki współczesnej znajdującą się w posiadaniu Peggy. Palazzo Venier dei Leoni było jednym z najświetniejszych gmachów w Wenecji, ale Helenę grzecznie podziękowała Peggy za uprzejmość. Złoty Bal nie powinien się odbywać obok ekspozycji sztuki nowoczesnej, byłby to zbyt duży kontrast. Znikłaby magia starej Wenecji,

którą pragnęła wskrzesić Helenę. Nie chciała być odpowiedzialna za wspaniały budynek wypełniony muzealnymi skarbami o wartości milionów dolarów w czasie, gdy będą po nim krążyć tysiące gości.

Poza tym szukała wielkiego starego pałacu, który nie wstydził się swojego wieku, z komnatami ozdobionymi złotem i wielką salą balową. Najlepiej, żeby od czasów Canaletta zmieniono w nim jedynie kanalizację. Z radością odkryła, że w Wenecji znajdowało się wiele takich budowli. Myślała więc, że nie będzie z tym większych kłopotów. Agencje miały wiele starych pałaców na sprzedaż. Ale do wynajęcia?

- Tak, do wynajęcia również -
zapewniali ją gładko pośrednicy. Potem,
kiedy precyzowała swoje życzenia,
słyszała jeden wielki lament.

- Ależ nie na tak krótki czas, signorina! -
wykrzykiwali agenci, z desperacją
wyrzucając dłonie do góry. - Nie na
jedno przyjęcie. Proszę być rozsądną!

Wreszcie znalazła pośrednika, który
zaakceptował jej warunki. Pokazywał
jej jeden pałac po drugim. Po obejrzeniu
dziewięciu Helenę znalazła wreszcie
taki, na którego punkcie oszalała.

Olbrzymi gmach stał pomiędzy mostem
Rialto i ujściem Canale Grande. Było tu
wszystko, o czym marzyła, i jeszcze

więcej. Przed wejściem znajdowało się kilkanaście wysokich, smukłych filarów, przy których mogły cumować gondole i motorówki. Zaraz za drzwiami rozciągał się imponujący hol ze stromą klatką schodową i wyblakłymi, ale wciąż wspaniałymi szesnastowiecznymi freskami, które przypisywano Tintoretowi. A kiedy agent pchnął olbrzymie drzwi, Helenę wstrzymała oddech.

Zobaczyła największą salę balową, jaką kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. Weszła powoli do środka, nie wierząc własnym oczom. To jedno pomieszczenie miało dwa piętra wysokości i zajmowało cały parter. Na

ścianach pomiędzy marmurowymi pilastrami były wyblakłe bizantyńskie freski, a niebieskie sklepienie ozdabiały złote gwiazdy. Serce zaczęło jej bić radośnie. To jest to! Ta wielka opustoszała sala idealnie nadawała się na Złoty Bal. Już go widziała w myślach. W światłach kandelabrow złote gwiazdy będą błyszcząły jak te prawdziwe, na niebie. Orkiestrę można ulokować w jednym kącie, a dyskotekę w jakimś innym pomieszczeniu. Stoły będą wypełnione samymi delicjami. Postawimy setki butelek Dom Pérignon i rzeźby z lodu posypane złotym pyłem. A kiedy zgromadzi się tu jeszcze trzy tysiące gości w złotych kostiumach - wówczas ta pusta sala ożyje i rozjarzy

się jak jeszcze nigdy w ciągu swojej pięćsetletniej historii.

Agent przyglądał się Helenę, która obchodziła ciemne pomieszczenie, sprawdzając, obserwując, kalkulując, badając i planując. Małe trybiki w jej umyśle obracały się z szybkością światła. Wreszcie podeszła do niego zdecydowana.

- Z kim mogę uzgodnić warunki krótkiego najmu? - zapytała mocnym głosem. - Z panem czy z właścicielami?

Tydzień później rozesłano zaproszenia ozdobione złotem. Skierowano je do międzynarodowej elity, gwiazd filmowych, sław i bywalców salonów.

Adresaci byli rozrzućeni po całym świecie. Bal miał się odbyć za sześć tygodni. Helenę uznała, że to dość czasu, by jej goście popędzili do Paryża i zdążyli zamówić stroje u najlepszych krawców.

Jak zawsze przed balem tematycznym, w Paryżu zaroi się jak w ulu, myślała z satysfakcją. Rozpocznie się pogoń za złotymi materiałami, lamą, koronkami i nićmi. Atmosfera będzie gorąca, Givenchy zarobi fortunę. Ilias Lalaounis zrobi wspaniały interes, sprzedając biżuterię, jego pracownia specjalizuje się w złocie. Na Złotym Balu obowiązywały złote kostiumy. Bez takiego przebrania nikt nie zostanie

wpuszczony do pałacu, nieważne, kim był gość i czy miał w ręku zaproszenie.

Uśmiechnęła się do siebie. Yves Saint-Laurent skończył jej własny złoty kostium ponad dwa miesiące temu. Jako gospodyni powinna zakasować wszystkich i znaleźć się na okładkach kolorowych pism. Luba ostrożnie zawiadamiała o balu wybranych reporterów i paparazzich, ale tylko nieliczni otrzymali zaproszenia.

Teraz nadeszła pora na drugi krok. Helenę zdała sobie sprawę z tego, że czas już zacząć szykować salę balową, bo to, co wymyśliła, wymagało kilku tygodni pracy.

Pałac był pusty. Należało znaleźć i sprowadzić meble. A sala balowa miała zostać przekształcona w błyszczący świat bajki. Wszystko powinno być złote. Złote girlandy, złote stoły i złote krzesła. Potrzebowała kogoś, kto przelałby na papier jej pomysły i przekształcił w rzeczywistość. Złoty Bal miał się stać jedną z tych nieuchwytnych fantazji, które nigdy się nie powtórzą. Potrzebowała kogoś więcej niż dekoratora wewnątrz czy też zdolnego scenografa. Potrzebowała czarodzieja.

Usiadła za ozdobnym biurkiem w apartamencie hotelu Daniela i wyjęła z szuflady czystą kartkę hotelowego papieru listowego. Z namysłem wzięła

pióro do ręki i zaczęła

robić listę najlepszych dekoratorów wewnątrz z Europy i Ameryki. Wiedziała, że każdy, kogo wybierze, zażąda sowitej zapłaty, ale sądziła, że taka okazja zasługuje na ekstrawagancję. Poza tym nie ma nic bardziej ekstrawaganckiego od produktu, który zamierzała wylansować. Perfum wartych w złocie tyle, ile ważą. Po to wydawała ten bal - by zwrócić uwagę na d'Or. Im będzie wspanialszy, tym więcej będzie się mówiło i pisało o d'Or. Niezaproszeni usłyszą potem o tym nowym symbolu statusu społecznego od uczestników balu i mediów. Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane i skoordynowane z

olbrzymią kampanią reklamową. Dzień po balu rynek miały zalać ogłoszenia.

D'Or.

Helenę wiedziała, że jej wydatki nie pójdą marne. Pomogą przypieczętować sukces d'Or. Na pewnych rzeczach nie można oszczędzać.

Skończyła swoją listę i przyjrzała się uważnie poszczególnym nazwiskom. Niecierpliwie Zabębniła palcami po stole. Czy naprawdę na świecie było tylu dekoratorów i żaden z nich się nie nadawał? Każdy miał swoje walory, ale żaden nie pasował do d'Or.

Westchnęła, oparła się łokciami o blat

biurka i położyła podbródek na dłoniach. Przez chwilę po prostu siedziała bez ruchu. Potem nagle wpadł jej do głowy świetny pomysł.

Oczywiście! Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Jej przyjaciółka Yvette, z którą pracowały kiedyś razem w szatni Folies de Babylon, wiele lat temu odniosła niebywały sukces, otwierając sieć nocnych klubów i restauracji. Helenę była tak samo zaskoczona powodzeniem Yvette, jak Yvette sukcesem Helenę.

Tak, zdecydowała teraz. Yvette będzie doskonałą osobą do zorganizowania tego balu! Znana jest w świecie z tego, że potrafi urządzać wspaniałe przyjęcia.

Będzie wiedziała, kto najlepiej się nadaje do przygotowania sali balowej. Kto jest najlepszym dostawcą. Co trzeba zorganizować, a czego nie. Magiczne imię Yvette zmobilizuje do działania tutejszą społeczność. Szczególnie jeżeli weneccjanie pomyślą o możliwości otwarcia jej klubu w mieście. Oczywiście wcale im nie podsunie tego pomysłu. Sami dojdą do takiego wniosku. Jeżeli tak pomyślą, na pewno nie przyniesie im to szkody.

Był tylko jeden problem. Czy Yvette zechce poświęcić jej swój czas? Helenę wiedziała, że przyjaciółka ma na głowie mnóstwo nocnych klubów porozrzucanych po

całym świecie. Spojrzała na telefon. Był to jedyny sposób, by się czegoś dowiedzieć. Zamówiła rozmowę z International w Paryżu. W tym wyjątkowo luksusowym klubie na ulicy Princerre, pierwszym, który otworzyła, Yvette urządziła sobie coś w rodzaju głównej kwatery.

Godzinę później Helenę złościła się na siebie. Powinna była wiedzieć, że nie będzie to takie proste. Yvette nie było w Paryżu. Ani w Monte Carlo, Londynie, Rio de Janeiro, Nowym Jorku, Berlinie, Sydney, Hongkongu i Singapurze. I nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie można ją znaleźć. Początkowo zbiło to Helenę z tropu, ale szybko zrozumiała

cel takiego postępowania. Trzymając wszystkich w niepewności, właścicielka mogła nieoczekiwanie zjawić się w każdym miejscu bez ostrzeżenia, co zmuszało pracowników do ciągłej czujności. Helenę mogła więc jedynie zostawić dla niej wiadomość we wszystkich klubach.

Wreszcie Yvette zadzwoniła z Singapuru, gdzie był akurat środek nocy - ale nie traciła czasu na sen.

Odoczywała w ciągu dnia, gdy kluby nie pracowały, sypiała w samolotach, które przenosiły ją z jednego miasta do drugiego. Była prawdziwą sową, ożywiała się w nocy.

Jej zdyszany gardłowy głos rozległ się

w uchu Helenę.

- Och, chérie. Oczywiście, że będę szczęśliwa, mogąc ci pomóc! Razem sprawimy, że będzie to bal roku. Nie, nie roku. Dziesięciolecia. Och, będzie wspaniały. Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę... Nie, głuptasie, nie przyjmę ani centa. Mam dość pieniędzy. A zresztą od czego ma się przyjaciół? Dogadamy się bez problemów... Wiem o tym. Zawsze nam się to udawało. - Jej śmiech zabułgotał w słuchawce. - Nigdy nie zapomnę, jak załatwiłaś Jocelyne. Ty jedyna odważyłaś się zrobić coś z tą suką! Och, przy okazji, czy wiesz, że pracuje teraz na ulicy za dwadzieścia franków? Wpadłam na nią rok temu na

Pigalle i prawie jej nie poznałam. Nie uwierzyłybyś, jak się roztyła i zbrzydła. Prawdziwe dno, mówię ci. To doprawdy śmieszne, wiesz, zaczepiła mnie. Wzięła mnie za lesbijkę! Uwierzysz w to? Ja lesbijką! - Znowu rozległ się jej gardłowy śmiech. - W każdym razie... Co? Złoty Bal? Och, już to widzę. Jak rozkosznie! A kelnerzy i bramkarze - na takiej imprezie musisz mieć cały oddział wykidajłów, wierz mi... Po co? Żeby wyrzucali rozrabiaczy, paparazzich i ohydnych pijaków, oto po co. Chyba nie chcesz mieć awantur,

prawda? No więc, kelnerzy i bramkarze mogą być do połowy nadzy i mieć złote

spodnie oraz maski w kształcie głów byków. Czy to nie wspaniałe? Och, przepaski też, bezwarunkowo.

Powiedziałam ci już, że to dla mnie żaden kłopot. To najbardziej fascynująca rzecz od wielu lat! Dlaczego sama nie pomyślałam o Złotym Balu? Mniejsza z tym... Nie, jeszcze nie dostałam zaproszenia. Dokąd je wysłałaś? Do Paryża? No tak, wszystko jasne.

Podróżuję już od ponad dwóch tygodni i nikt w Paryżu nie wie, gdzie jestem...

Och, nie dziękuj, to ty ratujesz mi życie. Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyrwę. Jest tu cholerny upał i roi się od moskitów. Myślę, że jak wyjadę, są na diecie, a kiedy wracam, urządzają sobie ucztę... Zadzwoń do ciebie zaraz po

przylocie do Wenecji, obiecuję. A
bientôt!

Teraz pałac był cichy. Helenę otworzyła
rzeźbione drzwi sali balowej i nagle
oślepił ją blask złota. Odruchowo
zasłoniła oczy dłońmi. Świeciły się
wszystkie światła, z wyjątkiem świec,
które zostaną zapalone jutro.

Oszołomiona obeszła wielką salę. To
niewiarygodne! Yvette przeszła samą
siebie. Stara wilgotna sala nabrała
wyglądu zgodnego z wizją Helenę. Była
nawet piękniejsza. Naprawdę jeszcze
piękniejsza.

Rzeźbione, pozłacane balowe krzesła
ustawiono wzdłuż ścian z wojskową

precyzją. Pokrywał je granatowy materiał, który, podobnie jak sufit, zdobiły złote gwiazdy. Bizantyńskie freski ukryto zupełnie pod lustrami, które odbijały to wszystko nieskończoną ilość razy. Zimną, marmurową posadzkę pokrywało morze maleńkich gwiazdek ze złotej folii, które migotały, unosiły się i wirowały wokół nóg, kiedy się po nich szło.

Helena poczuła potężną falę satysfakcji. Realizacja jej pomysłu przekroczyła granice wyobraźni. To naprawdę jest impreza dziesięciolecia. I wszystkie koszty będzie mogła odliczyć od podatku, bo reklamuje nowe perfumy d'Itrięgo, które ona i Luba pomogły

stworzyć chemikom z Grasse. Te perfumy miały być sprzedawane tylko w jego butikach i w wybranych, najbardziej ekskluzywnych sklepach na świecie już od następnego dnia po balu. W każdym z tych sklepów zainstalowano w dziale kosmetycznym specjalny telefon połączony z centralnym komputerem. Dzień po dniu i godzina po godzinie cena d'Or za uncję miała się zmieniać zgodnie z ceną złota na rynku międzynarodowym.

Helenę spojrzała na wysoki postument w centrum sali. Na szczycie stała olbrzymia kryształowa butla d'Or. Jutro Marcello d'Itri odsłoni ją przy dźwiękach fanfar. Każdy z gości otrzyma

pół uncji w prezencie. Cenne perfumy znajdowały się w równie wartościowych buteleczkach z ręcznie rżniętego kryształu Lalique. Już same te buteleczki staną się gratką dla koneserów. Zakrętki miały kształt miniaturowych sztabek z logo d'Or, zostały starannie pokryte gramem prawdziwego złota.

Helenę opadła na jedno z krzeseł. Czy to możliwe, że wszystkie prace wreszcie zostały zakończone? Czy naprawdę wszystko już było gotowe na przyjęcie dwóch tysięcy ośmiuset gości, którzy przyjęli zaproszenia? Tak, wszystko już przygotowała. Była taka zmęczona. Przed położeniem się do łóżka weźmie

tabletkę. Dzisiaj pigułka na sen jest konieczna. Potrzebowała odpoczynku. Jutro musi wstąpić i wyglądać oszłamiająco. Na takim balu nie wolno mieć cieni pod oczami!

Westchnęła. Ten rano rozpoczynał wyczerpujący długi dzień i noc bez końca. Ruch zaczęła się o dziewiątej rano, kiedy zjawia się szwaczki od Yves'a Saint-Laurenta, na wypadek, gdyby suknia wymagała jeszcze jakichś poprawek w ostatniej chwili albo gdyby się okazało, że Helenę trochę przytyła.

Zamknęła zmęczone oczy. To nie było wszystko, co ją czekało. Z Paryża o pierwszej trzydzieści miał przylecieć sam Alexandre, by ją uczesać. Potem, o

piątej, przyjedzie Pablo z salonu Elizabeth Arden w Nowym Jorku. Miał pomalować jej oczy tak, żeby wyglądały jak afrykańskie motyle w locie, przymocować czułki ze strusich piór na brwiach i nalepić łzy z żółtych diamentów. I musiała jeszcze odbyć ostatnią naradę ze Scavullem, który miał podczas balu robić zdjęcia dla „Les Modes”.

Westchnęła jeszcze raz. Otworzyła oczy i potrząsnęła głową, kiedy pojęła, jak napięty ma harmonogram. Nie było ani chwili do stracenia.

Rozdział 13

Zanim jeszcze Złoty Bal osiągnął punkt

kulminacyjny, było wiadomo, że Wenecja nigdy już czegoś podobnego nie przeżyje. Przyćmił nawet Czarno-Biały Bal, który kilka lat wcześniej zrobił furorę. Przez cały wieczór Helenę była wszędzie, okazywała każdemu należyłą uwagę, dbała, by każdy został uprzejmie powitany i by właściwe osoby zostały sobie przedstawione. Wiedziała, że od niej, od gospodyni, zależy, czy ten bal stanie się rzeczywiście wydarzeniem sezonu. Z satysfakcją odnotowała, że wyraźnie się na to zanosilo.

Chociaż nigdy nie przepadała za przyjęciami, tego wieczoru bawiła się wyśmienicie. Bez wątpienia była jego

gwiazdą. Miała na sobie błyszczącą półprzezroczystą suknię, z wyjątkiem dopasowanego złotego napierśnika. Długie do ziemi rękawy, ręcznie malowane w afrykańskie motyle, idealnie współgrały z jej wyjątkowym makijażem. Za każdym razem, gdy wyciągała ręce, wyglądało to tak, jakby rozpościerała skrzydła do lotu. Spośród wszystkich kostiumów jej ubiór okazał się najoryginalniejszy, był najczęściej fotografowany i wzbudzał największą zazdrość. Ale Helenę też była zachwycona kostiumami stojących w długim szeregu gości. Wszyscy próbowali się wzajemnie prześcignąć pomysłami.

Były tam błyszczące łańcuchy złotych monet, lśniące złote zbroje rycerzy, naszyjniki z bryłek złota, suknie ze złotych sieci. Wicehrabina de Sévigné wygrała, jeżeli chodzi o wejście. Przebrana za azteckie bóstwo wpłynęła leniwie na Canale Grande złotą barką, nie wiadomo gdzie zdobytą. Luba Tscherina nie pozostała w tyle. Nosiała dawną florentyńską suknię balową, która kiedyś należała do którejś z Medyceuszek. Suknia była haftowana złotymi nićmi i wykończona warstwami miękkiej złotej koronki. Miała tak długi i ciężki tren, że musiało go podtrzymywać dwóch ubranych w złote stroje karłów. Na ramieniu Luby siedziała przystrojona w złoto pożyczona od jakiegoś

kataryniarza małpka, zafascynowana złotymi kolczykami od Yves'a Tanguya, które ostatnio stale nosiła Caryca.

Kiedy Helenę mijają stoły w holu, zatrzymała się na chwilę, by podziwiać tę scenę: lokaje w złotych liberiach podawali gościom złote talerze. Dostrzegła przelotnie potrawy.

Wyglądały nawet lepiej, niż pachniały. Raz jeszcze podziękowała w duchu Yvette, jednocześnie dziwiąc się, że wszystko zostało dostarczone na czas i że półmiski zjedzeniem wyglądały tak świeżo. Nawet pomimo ciepła cała żywność do ostatniego listka zielonej pietruszki prezentowała się wspaniale.

Helenę poszła w lewo i wyjrzała przez frontowe drzwi na oświetlone wody Canale Grande. Wejścia strzegło czterech ochroniarzy z twarzami pomalowanymi na złoty kolor, zatrudnionych przez Yvette. Na zewnątrz widać było wciąż przybywających gości. Armia paparazzich była tak liczna, że uczestnicy balu właściwie nie mogli się przebić swoimi gondolami i motorówkami. Reflektory rzucały oślepiające białe światło na łodzie, podpływające ostrożnie w kierunku wejścia do pałacu.

Helenę zerknęła na złoty zegarek. Dochodziła jedenasta. Za pół godziny powinien się zjawić Nigel. Pozwoliła

sobie na uśmiech. Nigel. Uspokajała ją świadomość, że wkrótce znajdzie się obok niej. Będą tańczyć, śmiać się i trzymać w ramionach. Już sama jego obecność mogła przyćmić ten bal. Helenę postanowiła, że będzie czekała na Nigela przy wejściu. A tymczasem obejdzie salę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Rozdział 14

O jedenastej dwadzieścia Helenę zdecydowała się wrócić do holu i czekać tam na Nigela. Już niedługo znajdzie się obok niej. Za dziesięć minut, jeżeli przyjedzie punktualnie.

Dotarła właśnie do drzwi sali balowej i

nagle wstrzymała oddech. Nigel stał w wejściu. Miał na sobie złoty atłasowy surdut i ciemne spodnie do kolan i wyglądał, jak gdyby przed chwilą zszedł z obrazu Gainsborough. Wiatr od kanału dmuchał mu z tyłu we włosy, kiedy rozglądał się po tłumie złotych ludzi. Szukał kogoś wzrokiem.

Mnie, pomyślała. Wyprostowała się. Jego nastrój oczekiwania i zawód spowodowany tym, że nie czekała przy drzwiach, były wprost namacalne. Poczwała falę dumy. Był taki elegancki, taki przystojny. Już miał wejść do środka, ale się zatrzymał. Od razu zrozumiała dlaczego. Bał się zgubić w tłumie. W takiej masie ludzi mogli się

mijać dziesiątki razy.

Helenę stanęła na palcach i pomachała mu ręką. Chwilę później Nigel uśmiechnął się i szybko ruszył w jej kierunku.

Przesunęła się wśród tańczących par i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Już myślałem, że cię nie znajdę - powiedział. - Powinnaś skorzystać z przywileju gospodyni i ubrać się na czerwono lub biało, żeby się odróżnić.

Z.Z. Bavier nie pamiętała już, jak to się stało, że ona i Hubert de Léger zostali przyjaciółmi. A jeżeli nawet niezupełnie przyjaciółmi, to przynajmniej

towarzyszami broni. Właściwie to jej nie dziwiło, łączyła ich silna więź: oboje nienawidzili Helenę Junot, chociaż żadne z nich nie wyjawiłoby drugiemu przyczyn owej nienawiści. I obojgu przyświecał ten sam cel: zniszczyć obiekt swojej nienawiści. Z.Z. z przyjemnością spędzała czas z Hubertem. Przy niej był zawsze grzecznym, wytwornym, czarującym dżentelmenem, światowcem, hrabią de Léger. Miał doskonałe maniery, a jego tytuł liczył sobie kilkaset lat. Nigdy nie zdarzyło jej się poznać jego drugiej natury. Ale wyczuwała gniewne napięcie, które starał się ukrywać, a które wydawało się pulsować tuż pod warstwą ogłady i uprzejmości, gotowe

w każdej chwili wybuchnąć. Wiedziała, że jego emocje miały coś wspólnego z Heleną Junot, i bardzo ją to intrygowało. Pragnęła wiedzieć dokładnie, o co chodzi.

Hubert nigdy nie myślał poważnie o Z.Z., ale również on był zaskoczony. Lubił jej towarzystwo, podziwiał cięty dowcip, ostry jak brzytwa język i nienasycone pragnienie przygód. Byli jakby dla siebie stworzeni, ale intuicyjnie wiedzieli, że zbyt są do siebie podobni, by myśleć o jakimkolwiek poważniejszym związku. Stąd się brała ich siła. Zamiast mieć romans, woleli mieć wspólny cel.

Płynęli gondolą po Canale Grande.

Siedzieli w milczeniu obok siebie na czerwonej aksamitnej ławeczce, pogrążeni w myślach. Zapomnieli zupełnie o gondolierze z tyłu, który sprawnie przesuwał wąską, elegancką łódź po wodzie.

Z.Z. pochyliła się i wyjęła herbacianą różę z kryształowego wazonu przymocowanego do burty. Podniosła kwiat do twarzy i wsunęła nos w płatki. Potem z wolna zaczęła je obrywać i wrzucać do wody. Jeszcze tysiąc metrów i będą w pałacu Daniela Donatella. Jeszcze tylko tysiąc metrów...

Nagle poczuła, że jeden z kolców

przeciął jej skórę. Ze złością wyrzuciła resztki róży za burzę i zlizwała krew z palca. Uniosła wzrok przed siebie i skoncentrowała myśli na Helenę. Ta suka ukradła jej męża. To przez nią Z.Z. została sama z Wilfredem. Zastanawiała się, jak Helenę zareaguje na widok jej i Huberta na balu, skoro ich nie zaprosiła. Z.Z. uśmiechnęła się z triumfem; Bogu dzięki, jej przyjaciółka Betty Lindenbaum zachorowała i udało się ją namówić, by odstąpiła swoje zaproszenia. Biedna Betty. Po dzisiejszym wieczorze pewnie już nigdy nie dostanie zaproszenia na żadną imprezę urządzaną przez Helenę Junot.

Płynęli powoli, mijając stare pałace z

pozamykanymi oknami, stojące po obu stronach kanału. Zbliżała się północ. Podniecenie Z.Z. rosło.

Nagle Hubert dotknął jej ramienia i wskazał coś przed nimi. Z.Z. spojrzała w tym kierunku i wstrzymała oddech. Przed nimi za zakrętem wznosił się pałac Daniela Donatella, oświetlony jak Hollywood podczas premierowej gali. Z.Z. nie wierzyła własnym oczom. Każde okno i gzyms odbijały światło. Nawet z zewnątrz pałac został ozdobiony złotymi girlandami. I paparazzi - musi ich być ponad setka! - uznała, widząc całą flotyllę motorówek kołyszących się niebezpiecznie przed wejściem na schody.

Z.Z. odetchnęła głośno.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała, opadając na ławkę.

Przesunęła niecierpliwie długimi ostrymi paznokciami po smokingu ze złotej lamy i odwróciła się do Huberta, patrząc nań wyzywającym wzrokiem.

- Jak myślisz, czy ona zareaguje na twój kostium? Wzruszył ramionami.

- Z Helenę nigdy nic nie wiadomo. Niczego nie mogę przewidzieć.

- Aleja mogę. - Z.Z. uśmiechnęła się złośliwie. -I chciałabym zobaczyć jej twarz, kiedy zdejmiesz płaszcz! - dodała

z satysfakcją, a potem zaśmiała się gardłowo. Jej pomalowane złotym lakierem paznokcie zabłyśły, gdy uniosła rękę do góry. - Tego na pewno nie spodziewała się niewzruszona Helenę Junot!

Punktualnie o północy w sali balowej pogasły światła. Na moment zapadła całkowita ciemność i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki muzyka, rozmowy i śmiechy ucichły.

Rozległy się ogłuszające dźwięki bębnow i nad głowami gości zapalił się pojedynczy reflektor. Obok Helenę pojawił się Marcello d'Itri w złotym smokingu. Oboje stali przy okrytym złotą zasłoną postumencie. Uczestnicy balu

powoli otoczyli ich kołem.

Helenę popatrzyła na stojących wokół niej ludzi. Czuła ich ciekawość. Czekali w napięciu na to, co miało teraz nastąpić.

Klasnęła w dłonie i zaczęła mówić.

- Moi drodzy przyjaciele -jej głos odbijał się echem od sufitu - z pewnością wiecie wszyscy, że motywem przewodnim tego balii jest złoto. Ma to głębokie uzasadnienie. Z przyjemnością ogłaszam państwu, że mój przyjaciel Marcello d'Itri - odwróciła się i skłoniła kurtuazyjnie głową w jego kierunku, a Marcello oddał jej elegancki ukłon - stworzył nowy, niezwykły akcent

uzupełniający jego wspaniałe projekty. Ta nowość jest dużo bardziej ulotna i bardziej przemawia do zmysłów niż wszystko, co stworzył do tej pory nasz cudowny artysta. - Umilkła i ponownie spojrzała na Marcella. Ich oczy się spotkały. Posłała mu uśmiech i kiwnęła głową.

Marcello d'Itri cofnął się o krok i ujął róg złotej tkaniny okrywającej postument.

- Panie i panowie! - oznajmił. - Chciałbym zaprezentować... oto d'Or! Rozległy się kolejne werble, gdy ściągnął zasłonę. Materiał opadł powoli na

podłogę. Wszystkie oczy skupiły się na olbrzymiej kryształowej butli z nakrętką w kształcie sztabki złota. Kanty kryształu chwytały światło reflektora i rzucały jasne błyski na wszystkie strony, a zawartość lśniła i migotała. Rozległ się szmer podziwu. Marcello postąpił do przodu.

- Panie i panowie. Za chwilę wszyscy dostaniecie półuncjowe buteleczki moich nowych perfum. Nie muszę dodawać, że nie jest to wcale błaahy upominek. - Zrobił efektowną pauzę. - Cena uncji d'Or jest równa cenie uncji złota na rynku międzynarodowym!

Uklonił się, a wtedy rozległ się entuzjastyczny szmer i reflektor zgasł.

Natychmiast rozjaśniły się z powrotem kandelabry i zabrzmiała muzyka, do której dołączył się gwar podekscytowanych głosów. Rozległy się pierwsze takty fokstrota i... nagle ucichły. Przerwano rozmowy, a sala zamarła. Ludzie zaczęli się odwracać, wykręcali szyje i stawali na palcach, chcąc zobaczyć, co się stało.

Helena ruszyła w stronę Nigela, ale przystanęła zaskoczona. Coś było nie w porządku. Czuła wiszące w powietrzu napięcie. O co chodzi? Co się mogło stać?

Natychmiast zaczęła się przeciskać przez tłum. Nigel szedł za nią.

Zbliżyła się do drzwi i nagle stanęła.
Pobladła i zaczęła gwałtownie drzeć.

Hubert de Léger i Z.Z. Bavier stali u wejścia, uśmiechając się wyzywająco.

Serce Helenę ścisnęło się z bólu i gniewu, ale nie dlatego, że tamci dwoje przyszli bez zaproszenia. Przyczyną jej szoku był kostium Huberta.

Skórzany połączany płaszcz zwisał mu niedbale z ramienia; na głowie miał włożoną na bakier złotą czapkę z daszkiem. Czapkę SS. Złoty mundur esesmana błyszczał i lśnił porażająco i pięknie zarazem.

Helenę kurczowo chwyciła za ramię

kogoś, kto stał najbliżej, bo sala balowa zawirowała wokół niej. Zamknęła oczy. Poczowała, że czyjeś silne dłonie popychają ją w ramiona jakiejś innej osoby. Odruchowo chwyciła mocniej Lube za rękę.

Otworzyła oczy i potrząsnęła głową jak bokser oszołomiony ciosem przeciwnika. Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, że teraz podtrzymuje ją Nigel.

Cała się trzęsła. Jak Hubert śmiał przyjść tu w tym stroju?! Czyżby nie wiedział, że coś takiego wzbudzi jej odrazę? Że obrazi wszystkich zgromadzonych gości? Oczywiście, że wiedział. Próbował zniszczyć bal. A

przede wszystkim zniszczyć ją, Helenę.

Jednak najgorsze było to, że powróciły nagle wspomnienia. Wszystko, co jako dziecko wycierpiała z rąk nazistów, ożyło przed jej oczami.

Nagle dały się słyszeć czyjeś lekkie kroki. Helenę uniosła głowę i popatrzyła w kierunku, z którego dochodził ten stukot. W kierunku Huberta zmierzała Luba; karły niosące ciężki tren starały się dotrzymać jej kroku i szybko przebierały krótkimi nóżkami.

Caryca zatrzymała się przed Hubertem i przez długą chwilę wpatrywała się w niego morderczym wzrokiem. Potem, bez słowa, zanim ktokolwiek zdołał się

zorientować, co chce zrobić,
wymierzyła mu solidny policzek. W
cichej sali rozległo się ostre klaśnięcie.

Gdy jeszcze raz uniosła otwartą dłoń,
Hubert przewidział ten ruch i spróbował
się odchylić. Popełnił błąd. Dłoń Luby
ominała jego policzek i trafiła prosto w
nos. Trysnęła krew; małpka na ramieniu
Carycy zaskrzeczała przejmująco i z
radości zaczęła klaskać małymi
czarnymi łapkami.

Helene opanowała się i skinęła ręką na
dwóch ochroniarzy ubranych w złote
uniformy. Bez słowa podeszli do
niepodejrzewającego niczego Huberta,
złapali go od tyłu pod pachy, bez
wysiłku dźwignęli w górę i wynieśli z

sali.

Hrabia bezradnie machał nogami w powietrzu. Zerknął przez ramię, a jego twarz oblała się potem, kiedy zrozumiał, co zamierzali zrobić.

- Nie! Niech ktoś ich zatrzyma! - krzyczał oburzony. - Postawcie mnie! Strażnicy zatrzymali się na schodach nad kanałem. Spojrzeli na wodę, a później na

siebie. Oczy błysnęły im w wąskich otworach masek. Kiwnęli do siebie głowami i głośno policzyli do trzech.

Hubert zaczął krzyczeć, ale tamci chwycili go za ręce i nogi i rozhuścili.

Raz. Dwa. A na „trzy” cisnęli go z rozmachem w zimne, czarne wody Canale Grande.

Wyleciał w wodę niczym kula wystrzelona z armaty. Paparazzi w motorówkach szybko pstrykali zdjęcia i zasłaniali aparaty fotograficzne, by nie zmoczyły ich pryskające krople. Hubert wypłynął na powierzchnię, krzycząc z przerażenia i bijąc rękami o wodę.

- Nie umiem pływać! - piszczał. -
Pomocy! Tonę!

Ciemna toń Canale Grande zamknęła się nad nim, gdy zanurzył się ponownie.

- Na miłość boską! - wrzasnęła Z.Z. ze

schodów tarasu. - Niech mu ktoś pomoże! - Odwróciła się do strażników, którzy wrzucili Huberta do wody. - Wyciągnijcie go! - Uderzyła jednego z nich zaciśniętą pięścią.

Znowu flesze rozświetliły noc jak błyskawice, a paparazzi dosłownie oszaleli, kiedy Z.Z. zanurkowała za Hubertem.

Ich zdjęcia miały się ukazać na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Gdy wyszli ostatni goście, zmęczona Helenę usiadła obok Nigela i odetchnęła głęboko. Wraz z nimi została jeszcze tylko Luba. Helenę popatrzyła na panujący dookoła chaos. Nie ma nic

bardziej przygnębiającego niż to, co pozostało po zakończonym przyjęciu, pomyślała.

Przetarła oczy palcami.

- Jestem wykończona!

Luba uśmiechnęła się do niej triumfująco. Mogła się już poruszać swobodnie. Karły i małpka pojechały do domu; odpięty od sukni tren został starannie poskładany i leżał teraz na oparciu krzesła. Caryca usiadła naprzeciwko Helenę.

- Ale było warto! Zapamiętaj moje słowa - oświadczyła proroczym tonem. - Po tygodniu w sklepach nie będzie już

ani kropli d'Or. - Jej czarne oczy
rozbłysły. - Możemy od razu zacząć
produkcję na wielką skalę.

- Jutro - odrzekła Helenę słabym
głosem, odkładając rozmowę o
interesach na później. - Teraz marzę
jedynie o łóżku. - Nagle zeszywniała i
zacisnęła pięści ze złości. - Co za podlec
z tego Huberta de Légera! Jak on śmiał
wejść na mój bal w takim kostiumie!

Caryca prychnęła.

- Krew de Légerów całkiem oszalała.
Jeśli chciałabyś wiedzieć, myślę, że to
przez te wszystkie małżeństwa
zawierane przez wieki w obrębie
rodziny. Ale nie martw się. - Wychyliła

się i poklepała Helenę po ręku. A potem uśmiechnęła się chytrze ustami pomalowanymi szminką w kolorze granatu. - Pewnie nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, ale wyświadczył ci olbrzymią przysługę.

- Przysługę? - Helenę spojrzała na nią zdumiona.

- Chodzi mi o rozgłos oczywiście! Za żadne pieniądze nie kupiłabyś takiej reklamy! Helenę pokręciła głową.

- Doprawdy, Luba - powiedziała z wyrzutem - czy tylko o tym potrafisz myśleć, o reklamie i sprzedaży?

Trzy dni później telefony w biurach

d'Itriego dzwoniły bezustannie, a teleksy pracowały dzień i noc. Przewidywania Carycy sprawdziły się co do joty. We wszystkich gazetach znalazły się obszerne relacje z akcji ratunkowej przeprowadzonej przez Z.Z. na Canale Grande. Nie można było przy tej okazji pominąć d'Or, bo do kąpieli Huberta w wodach kanału doszło podczas Złotego Balu.

W rezultacie perfumy zniknęły ze sklepów prawie natychmiast. Helenę szybko zadzwoniła do fabryki w Grasse z poleceniem, by dziesięciokrotnie zwiększono produkcję. Zaraz po uzupełnieniu zapasów na półkach znowu robiło się pusto.

Helena zaczęła się nagle wydawać, że cały świat jest ze złota. Trudno jej było wierzyć, że kiedykolwiek żyła w nędzy. Gazety nazywały ją teraz Mademoiselle Midas.

Śmiała się z tego, ale w głębi serca była zadowolona. Zapewniła sobie sławę i pozycję towarzyską, gdy wyszła za mąż za Stanisława. A teraz okazało się nagle, że jest jedną z najbardziej znanych kobiet na świecie. Nie mogła w to uwierzyć. Nigdy przedtem sprawy nie układały się tak dobrze.

Ale sprawy nie układały się tak dobrze, jak myślała. Zrozumiała to, gdy Edmond zadzwonił do niej w środku nocy z Nowego Jorku. Znowu miał dla niej złe

wiadomości.

- Wracaj natychmiast! - powiedział. - De Léger i spółka chcą narobić nam kłopotów.

- Jakich? - zapytała. Nie wierzyła, że mogliby zrobić coś, co usprawiedliwiłoby telefon o takiej porze.

Ale zrobili to. Z.Z. i Hubert pozwali ją do sądu. Helenę została oskarżona o zagarnięcie funduszy HJII. W Nowym Jorku czekał już nakaz.

Co gorsza, następnego dnia rano w HJII mieli się pojawić kontrolerzy z urzędu podatkowego.

Rozdział 15

Nakaz sądowy dostarczono jej w momencie, kiedy przekroczyła granicę. Podczas jej lotu kontrolerzy z urzędu podatkowego zaczęli już sprawdzać finanse HJII i przewracali wszystko do góry nogami. Helenę chciała zajrzeć do firmy i zobaczyć, czy może coś zrobić, ale Edmond odradził jej ten pomysł.

- Nie ma na to czasu, moja droga. Musimy być w sądzie przed upływem godziny. Helenę kiwnęła głową i wyjrzała przez okno lśniącej limuzyny. Za niecałą godzinę

zaczną się nieprzyjemności, pomyślała. Nigdy wcześniej nie była w sądzie i

perspektywa przesiadywania na sali rozpraw wydawała jej się obrzydliwa. Pocieszała się jednak, że jest niewinna. Żadne fundusze nie zostały sprzeniewierzone.

Po upływie tygodnia księgowi, agenci i prawnicy również zdali sobie z tego sprawę. Plan Z.Z. zakończył się fiaskiem.

Ku swojemu zmartwieniu agenci podatkowi stwierdzili, że finanse przedsiębiorstwa są w idealnym porządku, a wszystkie podatki nie tylko zostały w terminie zapłacone, ale

również zapłacone z nadwyżką. Do zwrotu byłoby prawie siedem tysięcy

dolarów. HJII miało nadpłatę.

Niezależnie od urzędu podatkowego księgowi i prawnicy Z.Z. i Huberta sprawdzili wszystko jeszcze dokładniej, ale także oni musieli wreszcie przyznać, że wszystko zgadzało się co do centa.

Tak więc sędzia wzięła Z.Z., Huberta i ich pełnomocników na stronę, udzieliła im ostrej reprimendy za marnowanie cennego czasu sądu i zamknęła sprawę. Wszystkie oskarżenia zostały natychmiast wycofane.

Zamiast dumy i radości Helenę czuła tylko gniew. Urząd podatkowy i buszujący po biurach kontrolerzy opóźnili jej pracę na całe tygodnie.

Przetrząsnęli wszystkie działy HJII. Po zakończeniu sprawy spotkała się z Edmondem w elegancko urządzonej biurze RCA Building.

- Zapłacą za to - powiedziała, spacerując po pokoju. - Ale jak? Co mogę im zrobić, aby było to zgodne z prawem?

Na jej twarzy malowała się złość, a fiołkowe oczy błyszczały groźnie. Zatrzymała się przy jednym z okien, odsunęła weneckie firanki i wyjrzała na Rockefeller Plaza. Plac był dziwnie pusty. Z chodników zostały już usunięte kawiarniane stoliki, a ślizgawka nie była jeszcze otwarta.

- Chcesz się zemścić? - zapytał Edmond ostrożnie.

Helenę odwróciła się od okna, podeszła do brata i usiadła na krześle.

- Zastanawiam się, co mogę im zrobić. Edmond zapalił papierosa i założył nogę na nogę.

- Możesz ich teraz pozwać za zniesławienie czy coś w tym rodzaju.

- Nie - odrzekła stanowczo. - Sędzia miała rację. Sądy zmarnowały przez nas już dosyć czasu. Nie chcę robić farsy z wymiaru sprawiedliwości... - zawiesiła głos, a w jej oczach pojawił się błysk.

Edmond zauważył, że coś się dzieje.

- W porządku. Widzę, jak obracają się trybiki w twoim mózgu. Powiesz mi, co wymyśliłaś?

Helenę uśmiechnęła się; czytał w niej jak w otwartej księdze.

- Wydaje mi się - zaczęła powoli mówić - że znalazłam sposób, aby sprawić im psikusa. Nie dotknie to specjalnie Huberta, jest zbyt bogaty. Ale Z.Z... - Uśmiechnęła się znowu. - Jej styl życia wymaga dużych pieniędzy. Wiem, że zbyt dużo zainwestowała w HJII.

- Och? A skąd?

- Mam swoje źródła. - Machnęła lekceważąco ręką. - Ważne, że ona spodziewa się dywidend. Jak myślisz, co by się stało, gdyby tak ograniczyć zyski, oczywiście zgodnie z prawem?

-Obciąć!?

-Tak.

-Jak?

- Inwestując w HJII, Edmondzie. Już dawno chciałam to zrobić. Jest doskonała okazja. Pomyślmy... - Helenę była coraz bardziej podekscytowana. - Możemy zacząć wydawać „Les Modes” w Anglii, a nawet w Niemczech. - Zerwała się na równe nogi. -I może by

kupić parcelę w Nowym Jorku i wybudować własny budynek? Junot Building! A ponieważ przenosimy się często tam i z powrotem przez Atlantyk, powinniśmy mieć firmowy odrzutowiec. Możemy też kupić kilka limuzyn do użytku kierownictwa. Rollsa dla mnie...

Edmond uśmiechnął się z podziwem.

- Dzielna mała Francuzeczko, jesteś genialna. Nie tylko osiągniesz swój cel, ale nawet zmniejszysz w ten sposób podatki firmy.

- To będzie legalne? - zapytała ostrożnie.

- Oczywiście. Ale musisz uważać -

ostrzegł ją. - Obcięcie dywidend udziałowcom zmniejszy również twoje dochody. Sprawdź, czy będziesz miała wystarczająco dużo pieniędzy.

- Postaram się, żeby mi wystarczyło - odpowiedziała z determinacją.

Kiedy Helenę już się na coś zdecydowała, nie wahała się ani minuty. Natychmiast wprowadziła plan w życie. Zaczęła od kupna nieruchomości na skrzyżowaniu Piątej Alei i ulicy Dwunastej. Spodobała jej się ta okolica. Było tu cicho i spokojnie, a łuk przy Washington Square przypominał jej Paryż. W dodatku te tereny stawały się strefą

handlową. Ale najbardziej podobało jej się to, że znalazła się obok innego giganta magazynów mody, Fairchild Publications. Zostali sąsiadami.

Zamiast po prostu zburzyć stary budynek, projektanci zaproponowali Helenę, że rozbiorą go, pozostawiając trzon konstrukcji. Była ona solidna i dałoby się ją wykorzystać. Helenę wahała się, ale kiedy firma przedstawiła jej plany i makietę budynku, Helenę natychmiast zaakceptowała ich projekt.

I tak rozpoczęło się wyburzanie, a potem odbudowa gmachu, czemu Helenę przyglądała się z wielką uwagą. Nie pominęła nawet najmniejszego szczegółu. Codziennie wpadała, by

sprawdzać postępy prac. Wędrowała bez końca wokół budynku, zaglądała wszędzie i zadawała niezliczone pytania, a nawet wkładała kask i dzielnie wspinała się na rusztowania. Tak intensywnie nadzorowała, ponaglała ekipę i dyrygowała nią, że jakimś cudem Junot Building został skończony dwa miesiące przed terminem.

Równie gruntownie jak wewnątrz odmieniono go od zewnątrz. Został pokryty warstwą lustrzanych płyt. Był to jeden z pierwszych tak starannie wyremontowanych budynków w mieście i Helenę musiała przyznać, że architekci dokonali cudów. Zmienili nawet kształt gmachu, tak że obecny biurowiec w

niczym nie przypominał dawnego. Lustrzane płyty odbijały ruch uliczny, sąsiednie domy i pieszych. Chwytał całe toczące się dookoła życie i na ułamek sekundy zatrzymywał jego fragmenty. Ukazywał wszystko, a najwspanialej zmiany pogody.

Zamówiony luksusowy odrzutowiec Grumman Gulfstream II był gotowy w tym samym czasie co nowa siedziba firmy. Poleciał prosto do Włoch, gdzie pracują najlepsi specjaliści od urządzania wnętrza luksusowych samolotów.

Grupa światowej sławy dekoratorów zaprojektowała wspaniałe wyposażenie firmowego odrzutowca HJII. A w

angielskiej fabryce rolls-royce'ów specjalnie dla Helenę zaprojektowaną limuzynę Silver Cloud poddawano skomplikowanemu procesowi nakładania kolejnych warstw lakieru.

Helenę powinna czuć się zadowolona. HJII miało już budynek nazwany od jej nazwiska i własny odrzutowiec. Mogła latać wokół kuli ziemskiej, kiedy chciała, bez narażania się na niedogodności lotów rejsowych. I co ważniejsze, Wielka Brytania i Niemcy otrzymały własne wersje „Les Modes”. Imperium się rozrastało.

Ale wciąż nie czuła się usatysfakcjonowana. Wszystkie jej

dotychczasowe sukcesy stanowiły efekt rozwoju HJII. A ona pragnęła nowego wyzwania. Czegoś, co nie miałoby związku z HJII i z Z.Z., d'Itrim, von Eiderfeldem i Hubertem de Légerem.

Całkowicie odrębnego. Nowego pisma. Jej własnego. Tylko jej.

Rozdział 16

Dlaczego stawiasz wszystko na jedną kartę, jeśli nie musisz? - zapytał Edmond po wyjściu Sfinksa.

Wraz z Helenę siedzieli przed olbrzymim oknem, gdzie Julie ustawiła składany stolik. Nakryty był wykrochmaloną białą serwetą. Na

cienkiej, białej porcelanie leżały nietknięte miękkie croissanty i brioszki. W dole nasilał się poranny ruch na Piątej Alei. Helenę sączyła kawę.

- Drażni mnie to wszystko, Edmondzie. Czuję się, jakbym stała w martwym punkcie.

Roześmiał się uspokajająco.

- Do tego nam daleko. I jesteś zajęta bardziej niż kiedykolwiek. Helenę odstawiła filiżankę na spodek, wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Do diabła! - Zirytowana zagryzła palec, a potem odwróciła się nagle. Oczy jej błyszczały. - Chcę sukcesu,

który byłby tylko moim dziełem, moją
zasługą i pracą.

Edmond spojrział na nią zaskoczony.

- Przecież całe HJII jest twoje. I butiki
d'Itriego. Twoje nazwisko jest
powszechnie znane na obu kontynentach.

- Oczywiście, że tak. Może właśnie to
mnie drażni. Każdy magazyn, który
dodam do HJII, z miejsca staje się
hitem. Ale to nie jest efekt mojej pracy,
tylko Luby i całego zespołu. I zasługa
HJII.

- Nie każdy ma tyle szczęścia. Zdobyłaś
wszystko, czego pragnęłaś.

Helenę westchnęła zniecierpliwiona i opadła na krzesło. Położyła dłoń na ręce brata.

- Chcę odnieść następny sukces, Edmondzie. Wszystko układa się wspaniale, to prawda, ale potrzebne mi nowe wyzwanie. Nowy magazyn. Coś własnego!

Gwizdnął cicho.

- Dużo chcesz. Całkowicie nowe wydawnictwo. Nowa kampania reklamowa...

- Tak, do diabła. I żadnych udziałowców oprócz mnie. - Dotknęła pomalowanym paznokciem brzegu filiżanki. - Wiesz, to

zabawne, kiedyś oddałabym wszystko za to, co mam dzisiaj. A teraz? -

Roześmiała się. - A teraz wygląda na to... że wszystko przyszło mi zbyt łatwo.

- Zmarszczyła brwi. - Jak gdybym poszła na skróty, żeby dotrzeć tu, gdzie jestem.

Spojrzał na nią poważnie.

- Jesteś tego pewna? Czy naprawdę właśnie dlatego jesteś taka niespokojna? Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- O co ci chodzi?

- Dzielna mała Francuzeczko, pamiętaj, że rozmawiasz ze swoim bratem - odrzekł z właściwą sobie cierpliwością.

Helenę uśmiechnęła się do niego w milczeniu.

- Czy jesteś pewna, że ten niepokój nie wiąże się z... - Zrobił krótką przerwę, by znaleźć właściwe słowa - ... nie jest natury osobistej?

Helenę oparła łokcie na stoliku, podparła głowę na splecionych dłoniach i wbiła wzrok w budynek Forbesa za oknem. - Założę się, że chodzi ci o moje życie uczuciowe.

- A o cóż innego?

- No tak, rzeczywiście - mruknęła.

- Praca nie może zastąpić wszystkiego -

zauważył.

- Edmondzie, Edmondzie, Edmondzie - powiedziała, zwracając twarz ku niemu.

-Przecież wiesz, że nigdy nie zamierzałam zostać świętą. Och, nie patrz tak na mnie! Nie jestem też nimfomanką. Ale żeby iść do łóżka z mężczyzną, muszę coś do niego czuć. I tak się akurat złożyło, że jedynym człowiekiem, którego kocham, jest Nigel. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Los był dla nas okrutny. Możemy spotykać się dyskretnie i od czasu do czasu i spędzać razem wykradzione cenne godziny, ale w jego sytuacji rozwód jest niemożliwy. Nie ma innego wyjścia. A nikt inny dla mnie nie

istnieje. Pomiędzy naszymi spotkaniami nie pozostaje mi nic innego, niż znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- W porządku - odrzekł Edmond.

Odchrząknął z ulgą, że może zmienić temat. - Masz umówione spotkanie z Gore'em o dziesiątej trzydzieści. Jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz?

- Absolutnie. Zamierzam pożyczyć dziesięć milionów dolarów.

- Dziesięć milionów! - Był zaszokowany. - Ale założyłaś HJII. Mając tylko...

- Czasy się zmieniły, Edmondzie. Pieniądze nie mają już takiej wartości.

Powinieneś wiedzieć to lepiej niż ktokolwiek inny. I teraz nie można już sobie pozwolić na pomyłki i liczyć na szczęśliwy traf. Planuję wielką kampanię reklamową w telewizji i inne tego typu działania. To wymaga dużych pieniędzy.

- A ten magazyn? - Spojrzał na nią pytająco. - Będzie podobny do „Les Modes”? Potrząsnęła głową.

- W żadnym razie. Muszą go szybko zaaprobować kobiety w Ameryce. Wszystko ostatnio przemyślałam. Chcę podkreślić rangę pracującej kobiety. Ma być nowym tworem dzisiejszych czasów, wiesz? - Helenę nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nowy twór

dzisiejszych czasów, też coś! Przecież ona i Luba pracowały całe życie. - Ma to być popularny magazyn - dodała szybko. - Dostępny wszędzie, od kiosków z prasą, po stoiska w supermarketach. Będzie drukowany na bardziej błyszczącym papierze niż „Good Housekeeping”, „Redbook” czy „Women’s Day”. Ale nie na aż tak luksusowym jak „Les Modes”. Chcę przedstawić wiele twarzy dzisiejszej kobiety; pokazać jej różne sfery działania: pracę, dom, zabawę. Będzie to połączenie „Vogue’a”, „Cosmo” i „Family Circle”. Grube pismo. Setki stron zawierających wszystko, od trzydziestominutowych przepisów kulinarnych, przez porady domowe, po

zarządzanie firmą. Magazyn dla kobiet pracujących umysłowo i fizycznie. Dużo porad. Jak nakładać makijaż, jak się zachowywać podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Jak zatrudniać i zwalniać pracowników. Jak się ubierać, by odnieść sukces. Jak uszczęśliwić męża albo kochanka. I dużo, dużo więcej. Co zrobić z dziećmi, gdy jesteś w pracy. Wady i zalety przedszkoli. Ile bierze gosposia. Co mówią psychiatrzy o wpływie pracy matki na dzieci. Może nawet znajdziemy znanych specjalistów do prowadzenia stałych rubryk. Edmond zaczął się zastanawiać.

- Będziesz musiała zatrudnić zupełnie nowy zespół.

- Wiem...

-I trzymać to wszystko z daleka od HJII.
To oznacza nowe konta bankowe,
rachunki, drukarnię, dystrybutorów,
biura... Helenę uśmiechnęła się do
niego.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Kiwnął głową i mimo jego pozornej
obojętności czuła, że zainteresował go
jej projekt.

-Masz już nazwę? -„You!”

- „You”?

- Tak. Z wykrzyknikiem. To dobra

nazwa dla nowego pisma, jak myślisz?
Wyjął papierosa i w zadumie postukał
nim o złotą papierośnicę.

- Jeżeli odniesiesz błyskawiczny sukces,
jak zawsze do tej pory, zarobisz
mnóstwo pieniędzy - odpowiedział
ostrożnie. - Jeżeli nie... - złowróźnie
zawiesił głos.

Helene w milczeniu skinęła głową.
Wiedziała, co miał na myśli. Jeżeli
nowy magazyn będzie porażką, znajdzie
się w dziesięciomilionowym dołku. Nie,
poprawiła się zaraz. Będzie tego więcej.
Należy wziąć pod uwagę odsetki. To co
najmniej przerażająca perspektywa.
Szczególnie że od czasu rozwinięcia
HJII, nowego budynku, samochodów i

samolotu zyski się skurczyły. Poważnie.
Nawet dla mnie.

Spojrzała na niego ze spokojną
determinacją.

- Chcę zagrać - powiedziała cicho. -
Czuję, że będę miała szczęście.

Ale nie miała szczęścia. Nigdy
wcześniej nie czuła goryczy porażki, a
teraz poznała jej wstrętny smak. Od
momentu pojawienia się na rynku
„You!” ponosiło sromotną klęskę.
Helenę rzeczywiście balansowała na
cienkiej linie, która się pod nią rwała.
Na przekór wszystkiemu miała nadzieję,
że może jej nowe pismo po kilku
miesiącach odniesie sukces. Ale w

momencie wydania trzeciego numeru dzwon żałobny bił już głośno i wyraźnie. Można go było usłyszeć ze wszystkich kiosków od Madison Avenue do Wall Street.

Przygnębiona Helenę stała przy zajmującym całą ścianę oknie i spoglądała na samochody w dole na Piątej Alei. Wiatr uderzał o szyby kroplami deszczu. Jej myśli były ponure i mroczne. Za porażkę „You!” mogła winić wyłącznie siebie i miała ochotę sama

się kopnąć. Po raz pierwszy złamała swoją kardynalną zasadę. Zawsze wcześniej tworzyła pisma dla rynku określonego przez kogoś innego.

Sekretem powodzenia „Les Modes” było to, że szedł śladami „Vogue’a”, „L’Officiel” i „Harper’s Bazaar”. One zbadały grunt, a Helenę po prostu pomaszerowała za nimi i przewyższyła je wszystkie klasą. Zdała sobie sprawę z tego, że gdyby postąpiła tak i tym razem, wszystko by się powiodło. Ale Ameryka po prostu nie była gotowa na taki magazyn. „You!” miało dwie zasadnicze wady: brakowało mu szyku, którego czytelniczki oczekiwały od jej pisma, i, niestety, wyprzedzało swój czas.

Z zaciśniętymi wargami podeszła do biblioteczki, wyciągnęła pierwszy numer „You!” i z ponurym wyrazem twarzy popatrzyła na magazyn.

Wielkie litery tytułu w lewym rogu zajmowały połowę szerokości okładki, były białe, a po nich następował ognisty, czerwony wykrzyknik.

Pod spodem widniał podtytuł: „Magazyn dla współczesnej kobiety”.

Niżej został wypisany spis treści, który zwężał się stopniowo w kolejnych wersach.

Z okładki patrzyła na nią kobieta, która miała stać się wzorem nowej pracującej Amerykanki z dwójką dzieci. Mama miała na sobie szykowny garnitur o męskim kroju, granatowy jedwabny szal i białą bardzo kobiecą bluzkę. Doskonale uczesana i umalowana,

obejmowała swoje dzieci -
siedmioletniego potarganego blondynka
w koszulce Yankees i uroczą,
rudowłosą, piegowatą córeczkę.
Wszyscy troje śmiali się do obiektywu.

Na chwilę powieki Helenę opadły.
Członkowie zarządu HJII zwyciężą.
„Magazyn dla współczesnej kobiety”
został z hukiem odrzucony przez
czytelniczki. Ciekawe, czy oni już o tym
wiedzą.

Nagle zadzwonił telefon. Wzdrygnęła
się, a potem powoli podeszła do biurka i
podniosła słuchawkę.

- Właśnie dzwonił Gore - powiedział
Edmond. - Ci z Manhattan Banku chcą

się z tobą spotkać.

Helenę nabrała w usta powietrza i wypuściła je powoli.

- Dlaczego? Termin spłaty pożyczki minie za kilka miesięcy.

- Nie powiedział mi dlaczego. Mogę tylko zgadywać. Zaczynają się bać. Po klęsce „You!” prawdopodobnie zastanawiają się, czy zdołasz spłacić tę kwotę.

Zirytowana Helenę zacisnęła usta. W tym mieście wiadomość o porażce rozchodzi się szybciej niż wieści o zwycięstwie. Spojrzała na magazyn, który ścisnęła w dłoni. Wydawał się z

niej szydzić.

- Nie możemy ich spławić?

- Nie radziłbym. To niczego nie zmieni.
Znużona przymknęła oczy.

- W porządku. Zadzwoń do Gore'a i umów nas na spotkanie na jutrzejsze popołudnie. Potem przyślij mi głównego księgowego. Muszę wiedzieć, na czym stoję.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Tak - dodała powoli. - Idź do Citibanku i otwórz takie samo konto, jakie mamy teraz w Manhattan. Łącznie z naszymi prywatnymi rachunkami. Ale

wpłać tylko wymagane minimum.

- Umiesz blefować, dzielna mała Francuzeczko - zauważył z nutą podziwu w głosie. Powoli odłożyła słuchawkę. Zerknęła na egzemplarz „You!” i pod wpływem

nagłego impulsu wrzuciła go do kosza na śmieci. Zebrała pozostałe numery z półki i wyrzuciła je również. Koniec z rozpamiętywaniem porażki.

Tak, sępy wygrają.

Gwałtownie uderzyła dłonią w biurko.

- Nie poddam się! - zawołała i podjęła decyzję. Postanowiła walczyć do końca,

nawet jeżeli Manhattan

Bank przejmie jej akcje i sprzeda tamtym. Jak to powiedział kiedyś Sigi? „Jeżeli udało ci się raz i nie był to fuks, możesz dokonać tego ponownie”. Była gotowa zrobić wszystko, by to udowodnić.

Rozdział 17

James Cortland Gore III przyjął ich w swoim biurze. Helenę starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Nauczyła się jednej rzeczy o bankierach: są kiepskimi poke-rzystami. Kiedy jesteś na szczycie, wyłazą ze skóry, żeby ci się

przypodobać, myślała. Gdy zaś sprawy nie układają się zbyt dobrze, są grzeczni, ale zimni. A kiedy świat ci się wali na głowę, potrafią to wyczuć jak rekiny świeżą krew z odległości całych kilometrów. Ten gruby bankier czuł krew - zrozumiała to zaraz po wejściu do gabinetu. Mogła to stwierdzić jednym rzutem oka.

Uniósł się grzecznie ze skórzanego obrotowego fotela, ale tym razem nie wyszedł zza wielkiego biurka.

- Witam, pani Junot. - Kiwnął zdawkowo głową w jej kierunku. Potem zwrócił się do Edmonda: - Witam, panie Junot.

Edmond uklonił się lekko.

- Witam, panie Gore.

Wymienili uścisk dłoni. Potem poczekali kurtuazyjnie, aż Helenę zajmie miejsce, i usiedli również.

Gore odchrząknął i przystąpił od razu do rzeczy.

- Wczoraj mieliśmy... hm... spotkanie naszego zarządu i została podniesiona kwestia pani dziesięciomilionowej pożyczki. - Gore zmierzył ją spojrzeniem spod krzaczastych brwi. - Rozważamy możliwość zażądania zwrotu pieniędzy.

Helenę odczuła to jak strzał w plecy, ale zachowała obojętny wyraz twarzy.

- Panie Gore, jest pan chyba świadom faktu, że to nieodnawialna pożyczka, a termin spłaty upływa dopiero za cztery miesiące - odpowiedziała gładko. - Z pewnością Manhattan Bank nie potrzebuje aż tak rozpaczliwie funduszy, by żądać zwrotu pożyczonych wcześniej pieniędzy.

- Pani Junot. - Łysy bankier oparł ręce na biurku i wychylił się do przodu. - Proszę spróbować zrozumieć naszą sytuację. Staramy się po prostu dbać o interesy banku. - Westchnął z żalem. - Obawiamy się, że może pani przechodzić poważny kryzys finansowy.

Helenę uniosła brwi.

- Czyżby? - zapytała zimno i odwróciła się do Edmonda. - Zechcesz zapoznać pana Gore'a z moją obecną sytuacją finansową?

Edmond zaczął sięgać do aktówki, ale bankier powstrzymał go ruchem ręki.

- Proszę państwa - zaczął uroczyście. - Niepokoiśmy się, ponieważ Manhattan Bank zajmuje się pani wszystkimi rachunkami, i jest nam znana pani sytuacja finansowa. Dokonaliśmy analizy na dzień dzisiejszy i doszliśmy do wniosku, że nie będzie pani w stanie spłacić pożyczki w ciągu czterech

miesiący.

Edmond do tej pory milczał.

- Panie Gore... - odezwał się teraz cicho. Gore odwrócił się do niego.

Edmond grał na zwłokę. Wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę, wyjął papierosa i zapalił go powoli.

- Panowie oczywiście wiedzą o wszystkich operacjach finansowych pani Junot?

- Oczywiście - odrzekł zirytowany Gore.

- Wydaje mi się, że przed chwilą właśnie o tym mówiłem. Prowadzę rachunki pani Junot już od kilku lat.

Edmond popatrzył na niego przeciągle.

-I tylko dlatego sądzi pan, że zna wszystkie konta mojej siostry?

-Tak.

- Nie, panie Gore - poprawił go Edmond cicho. - Nie jest pan w pełni świadom wszystkich spraw finansowych pani Junot.

Gore spojrział najpierw na niego, potem na Helenę.

- Nie bardzo rozumiem.

Helenę wstrzymała oddech, ale Edmond uśmiechnął się swobodnie.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że pani Junot jest bardzo bogatą kobietą?

- Oczywiście.

-I że prowadzi interesy za oceanem?

- Oczywiście. - Gore był coraz bardziej poirytowany.

- Wie pan może, w jakich krajach?

Bankier westchnął z rezygnacją, widząc, że musi przyjąć ich reguły.

- W Anglii, Niemczech, we Włoszech i Francji - wymienił zmęczonym głosem.

Edmond uśmiechnął się z triumfem.

- A jaki kraj leży między Niemcami, Włochami i Francją?

- Szwajcaria. - Gore popatrzył na Edmonda, a potem odwrócił się do Helenę. W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie. I coś jeszcze: szacunek. - Ma pani konto w Szwajcarii? - zapytał cicho.

Helenę uśmiechnęła się tajemniczo.

- Doprawdy, panie Gore, jestem pewna, że rozumie pan, iż zatrzymam tę dyskretną kwestię dla siebie i Szwajcarów.

- Zatem dysponuje pani kwotą jedenastu milionów dolarów?

- Dziesięciu milionów siedmiuset dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy - poprawił go szybko Edmond. - Tyle właśnie dostanie Manhattan Bank, jeżeli pożyczka zostanie spłacona w terminie.

Gore strzelił palcami i w zamyśleniu pokiwał głową.

- Dobrze. Nie mamy więc powodów do niepokoju. Oczywiście... - Kaszlnął zażenowany. - Oczywiście będę musiał sprawdzić, czy suma ze szwajcarskiego konta wystarczy na spłacenie pożyczki.

Helene wstała.

- Jak pan sobie tyczy. - Zmuszała się do zachowania spokoju i zimnej krwi, ale

serce jej było jak oszalałe. - Nie muszę panu chyba przypominać, że Manhattan Bank dysponuje pakietem akcji HJII o wartości jedenastu milionów? -

Spojrzała z uśmiechem na Edmonda. - Wygląda na to, że pan Gore i jego dyrektorzy nam nie ufają. Proszę o książeczki czekowe.

Zauważyła, że bankier przygląda jej się nerwowo, ale go zignorowała. Edmond odłożył papierosa i otworzył aktówkę. Wyjął trzynaście książeczek czekowych i stos długoterminowych kwitów depozytowych. Pochylił się i ułożył je starannie z jednej strony biurka. Potem wyjął jeszcze trzynaście książeczek Citibanku i znaczącym ruchem umieścił

je obok poprzednich. Uroczyście podał Helenę złote pióro. Wzięła je i w milczeniu skinęła głową. Usiadła i przysunęła się z krzesłem do biurka.

- Panie Gore - oznajmiła lekkim tonem. - Chcę natychmiast dokonać następujących operacji. - Podsunęła mu długoterminowe certyfikaty. - Wiem, że tracę dużą sumę z tytułu

odsetek w razie wcześniejszego wycofania wkładów, ale chcę otrzymać moje pieniądze w gotówce. Natychmiast.

Przekartkował papiery i oczy rozszerzyły mu się nienaturalnie.

- A-ale... odsetki wyniosłyby około siedmiuset tysięcy dolarów! - wyjąkał. Helenę uśmiechnęła się słodko.

- Owszem. - Potem wzięła pierwszą książeczkę czekową Manhattan Banku, otworzyła ją i zaczęła wypisywać czek.

- Wypłacić na polecenie Helenę Junot. Sześćset tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt trzy dolary i czterdzieści dwa centy - przeczytała głośno. Wzięła pierwszy dokument depozytowy Citibanku i wypełniła na tę sumę. Potem z rozmachem wyrwała czek. Popatrzyła na Gore'a. - Ma pan może spinacz?

Gore w milczeniu obrócił się na krześle, otworzył szufladę i podał jej spinacz.

- Dziękuję - powiedziała i spięła razem czek i odcinek depozytowy. Potem otworzyła następną książeczkę. - Osiemset tysięcy sześćdziesiąt osiem dolarów...

- Pani Junot! - Gore odzyskał głos. - Czy mogę zapytać, co pani robi? Spojrzała na niego, trzymając pióro nad czekiem.

- Po prostu przenoszę wszystkie moje aktywa do Citibanku. - Zauważyła, że Gore zbladł, i dodała szybko: - Proszę się nie martwić, natychmiast polecę bankowi w Zurychu, żeby przekazano panu kwotę odpowiadającą wartości pożyczki wraz z odsetkami.

Edmond z nonszalancją zapalił

następnego papierosa. Uśmiechnął się do Gore'a.

- Nie chcemy nikogo urazić, ale czy nasi księgowi i kontrolerzy mogą spotkać się z kontrolerami Manhattan Banku, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku?

Bankier nagle oblał się potem i otarł czoło chusteczką.

- P-proszę nie podejmować pochopnych decyzji, p-pani Junot - wyjąkał.

- Panie Gore - powiedziała Helenę cicho. - Bank jest dobry, dopóki oferuje swoim klientom dobre usługi. Kiedy nie spełnia wymagań klienta, pora zmienić

bank. Jestem pewna, że pan to rozumie. Trzymam na kontach w pańskim banku prawie cztery miliony dolarów, mój brat ma u was dwieście tysięcy, no i oczywiście trzynaście milionów miesięcznych obrotów pieniędzy HJII. W Citibanku zapewniono mnie, że przejmą to z radością i poprowadzą rachunki zgodnie z moimi życzeniami. - Kontynuowała wypisywanie czeków. Potem wyrwała je z książeczki, zamknęła ją i wypełniła kolejne odcinki depozytowe. - Czy mogłabym dostać jeszcze kilka spinaczy?

- Pani Junot, proszę - odezwał się Gore nieśmiało. - Zapewniam, że nie zażądamy wcześniejszej spłaty pożyczki.

Przyznaję, że była to pochozna
decyzja...

- Obawiam się, że pan mi nie ufa -
powiedziała Helenę. - Interesy z
bankami muszą się opierać na
wzajemnym zaufaniu.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął
gorliwie. - Jednak proszę to jeszcze
przemyśleć. Jest pani dla nas cenną
klientką. Naturalnie nie ma potrzeby
sprawdzania pani szwajcarskich
aktywów...

Helenę wymieniła spojrzenie z
Edmondem. Brat kiwnął nieznacznie
głową. Ta runda należała do nich. Gore
nie domyślił się, że blefowali.

Lecz zaraz po opuszczeniu gabinetu bankiera Helenę zdała sobie sprawę, że się myliła. Gore wiedział, że blefowali. Zbyt łatwo przyjął historyjkę o nieistniejącym koncercie w Szwajcarii. Ale to, dlaczego tak postąpił, nie ma teraz znaczenia. Może miał coś ukryć, coś, co ujawniłaby kontrola rachunków. Gdyby jej się nudziło, mogłaby dla rozrywki sprawdzić, czy przypadkiem nie zdarzyło mu się podkraść pieniędzy z rachunków. Ale teraz jej to nie obchodziło. Cokolwiek zbroił Gore, był to wyłącznie jego problem.

Nie miała zbyt wiele czasu, by zastanawiać się nad zachowaniem bankiera. Kiedy wróciła do biura,

czekała na nią wiadomość, że dzwonił Nigel. Natychmiast zatelefonowała do Anglii. Po kilku minutach otrzymała połączenie.

- Kochanie, czy coś się stało? - zapytała. W jego głosie słychać było ból i udrękę.

- Pamela miała wypadek samochodowy.

- Urwał na chwilę. - Helenę, ona nie żyje!

- Och, Nigel! Tak mi przykro. -

Popatrzyła na słuchawkę i szybko dodała: - Słuchaj, będę wieczorem w Londynie. Czekaj na mnie, kochanie.

Rozłączyła się i zatelefonowała na lotnisko. Odrzutowiec HJII był gotowy

do startu. Paszport miała w biurku. O ubraniach mogła pomyśleć w Anglii.

Pięć minut później mknęła białym rollsem z logo HJII w kierunku lotniska. Niecałą godzinę później znajdowała się już nad Atlantykiem. Leciwała do Anglii.

I to było... wczoraj.

DZISIAJ Poniedziałek, 15 stycznia

Rozdział 1

Helena słuchała lekkich wdechów i wydechów śpiącego Nigela. Przyglądała mu się, oparta na łokciu, leżąc w miękkiej pachnącej pościeli. Gruby kaszmirowy koc unosił się i opadał

miarowo. Nigel spał zwrócony do niej twarzą. Helenę wpatrywała się w niego od chwili, gdy zasnął. Teraz, kiedy zaczynało już szarzeć, a przez okno wpadały do sypialni pierwsze promienie zimowego świtu, widziała coś więcej niż tylko niewyraźną sylwetkę ukochanego mężczyzny.

Czekała na niego tak długo. Teraz wiedziała, że było warto. I czuła się tak, jakby tych lat w ogóle nie było.

Wyciągnęła rękę spod kołdry, by go pogłaskać. Przez chwilę trzymała nad nim dłoń, a potem przesunęła palcami po wysokim czole, wzdłuż nosa i musnęła lekko usta. Zatrzymała dłoń na wargach, rozkoszując się jego ciepłym oddechem.

- Śpij dobrze, kochany - szepnęła cicho.
- Śpij dobrze.

To, że zasnął, gdy ona nie spała, nie miało znaczenia. Była szczęśliwa, mając go tuż obok. I tak już będzie zawsze. Samo wpatrywanie się w niego sprawiało jej wielką radość. Nawet teraz promieniował wewnętrzną siłą.

Odwróciła się ostrożnie, nie chcąc go obudzić nagłym ruchem. Uśmiechnęła się do siebie w bladoniebieskim świetle, wracając myślami do ubiegłej nocy. Był taki silny i wymagający. Obejmowała go mocno, odpowiadając na każdy jego ruch. Potem Nigel zasnął z głową na jej piersi. Teraz czuła się

szczęśliwa. Miała zostać jego żoną,
diuszesą Farquharshire.

Zerknęła na budzik na szafce nocnej.
Zielone fosforyzujące cyfry lśniły
delikatnie. Było kilka minut po szóstej.

Nie kładli się do późna, ale nadal nie
mogła zasnąć. Za pół godziny musiała
wstać. Ale wcale nie czuła się
zmęczona. Czuła się nasycona, młoda,
wypoczęta.

Delikatnie dotknęła palcami prawej
dłoni olbrzymiego żółtego brylantu. Raz
jeszcze Somerset Sun ozdobił jej palec,
tym razem już na stałe. Za sześć godzin
mieli wejść razem po szerokich
schodach wiodących do urzędu stanu

cywilnego. Odtąd Nigel będzie należał do niej i tylko do niej. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

Helene sięgnęła dłonią na szafkę nocną i wyczuła pod palcami papier leżący obok budzika. Musiała go dotknąć, by przekonać się raz jeszcze, że tam jest. Był. Nigel dał go jej ubiegłej nocy w kawiarni Carlyle. Przyleciał do Nowego Jorku i jeszcze raz błagał, by została jego żoną. Tym razem nie odmówiła. Kiedy już pozwoliła mu włożyć sobie na palec Somerset Sun, Nigel sięgnął do portfela i położył przed nią poświadczony czek Morgan Guaranty Trust. Był wystawiony na Helene Junot i opiewał na sumę jedenastu milionów

dolarów. Mogła spłacić bank i ocalić
HJII przed sępami.

Jednak odsunęła od siebie
bladoniebieski kawałek papieru.

- Nie, Nigelu - oświadczyła stanowczo.
- To musi pozostać na boku. Ty masz
swoje interesy, a ja swoje. Nie
powinniśmy łączyć ich z naszą miłością.

Nigel ujął jej dłoń i położył palce
Helenę na czeku. Pokręcił głową.

- Nasze imperia wiążą się ściśle z naszą
miłością, kochanie - powiedział czule. -
Nie widzisz tego? Tworzymy coś, ty i ja.
Oboje pragniemy realizować nasze cele.
Ty na swój sposób, a ja na swój. Łączy

nas nie tylko miłość, ale także ambicje i marzenia. Poza tym -dodał szybko - traktuj te pieniądze jako pożyczkę. Możesz ją spłacić w dogodnym dla siebie czasie.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała.

- Nie jestem. To ty nie bądź śmieszna. - Odchylił się w tył, patrząc na nią z uwagą. Na twarzy Helenę malowały się duma i upór. Nigel wiedział, że potrzebowała

pomocy. I zdawał sobie sprawę z tego, że nie zechce przyjąć od niego pieniędzy, ale tym razem nie zamierzał zrezygnować, bo zbyt dużo miała do stracenia. Helenę była bardzo dumna. Za

bardzo. Ta duma mogła ją zgubić. Nie wolno do tego dopuścić. Starał się właściwie dobierać słowa.

- Helenę, jeżeli mam zostać twoim mężem, musisz mi pozwolić sobie pomóc. To kwestia obopólnego zaufania. Zawsze próbowałaś być tak cholernie niezależna. Zrozum, że każdy potrzebuje kiedyś pomocy.

- Nie dlatego zgodziłam się wyjść za ciebie.

- Wiem - odrzekł łagodnie. - Z tego powodu zawsze mi odmawiałaś.
Kiwnęła głową i popatrzyła w milczeniu na czek, a potem zwróciła wzrok na

Nigela.

- No już, weź go - powiedział z uśmiechem. - Przyjęłaś bez oporu diament wartości trzech milionów dolarów. Czym różni się od niego czek na jedenaście?

- To nie to samo - odparła z godnością. - Wiesz o tym. Sięgnął przez stół, ujął jej dłoń i uściskał mocno.

- Kocham cię - szepnął czule. - I wiem, ile znaczy dla ciebie HJII. Jest zbyt cenne, abyś pozwoliła mu iść na dno z powodu głupiej dumy. - Spojrzał jej stanowczo w oczy. - Weź to - polecił łagodnie.

I wzięła, obiecując, że spłaci pożyczkę wraz z odsetkami.

- Małżeństwo to także spółka. - Nigel roześmiał się. - Nie wiedziałaś o tym?

- Wiem - odrzekła drżącym głosem.

-I nie zapominaj, kto w tej rodzinie nosi spodnie - dodał poważnie. - Jestem staroświecki. Ty będziesz dbać o swoją firmę, a ja o ciebie. Jasne? Nagle kolana jej osłabły. Cieszyła się, że siedzi.

- Ja... będę o tym pamiętać.

Rozdział 2

Robert Rowen dotarł na przystań prawie

piętnaście minut za wcześnie. Znalazł męską toaletę, ale na razie tam nie wchodził. Chcąc skrócić sobie czekanie, spacerował dookoła terminalu. Nienawidził publicznych toalet.

Rozległ się ponury sygnał, kiedy prom „Staten Island” przedzierał się przez mgłę. Chwilę później przybił do nabrzeża, wprawiając je w drżenie. Rowen przyglądał się tłumowi pasażerów pospiesznie schodzących na ląd. Zadrżał i włożył ręce do kieszeni. Było mu zimno w trenczu, chociaż włożył pod spód gruby, robiony na drutach sweter i marynarkę. Czuł się głupio z czerwonym goździkiem w klapie, bo kwiat zwracał na niego

uwagę. Zupełnie jak w jakimś kiepskim filmie sensacyjnym.

Zbliżała się ósma i pomyślał, że powinien już wejść do toalety. W środku rozejrzał się podejrzliwie. Nie zauważył nikogo ani przy pisuarach, ani w kabinach.

Czekał z niecierpliwością przez kilka minut. W końcu poczuł się głupio, stercząc tam jak kołek. Zaczął więc udawać, że korzysta z pisuaru. Zerknął na zegarek - było już pięć po ósmej.

Minęło kilka następnych minut. Wreszcie Robert usłyszał za sobą dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. - Wstrzymał oddech i obejrzał się

ukradkiem. Do toalety wszedł jakiś mężczyzna w garniturze. Rowen odwrócił twarz, kiedy tamten zbliżył się do pisuaru obok i postawił na podłodze aktówkę. Rozsuwany zamek zazgrzytał głośno i nieprzyjemnie. Potem Robert usłyszał szmer kapiącej uryny.

Ostrożnie spojrzął kącikiem oka na mężczyznę, który szykował się już do wyjścia. Rowen jeszcze raz odwrócił głowę, gdy nieznajomy przechodził obok niego. Potem usłyszał oddalające się kroki. Rozległ się trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Robert znów był sam.

Zastanawiał się, czy tamten telefon nie był po prostu głupim dowcipem. Myślał

teraz, że tak głupio dał się nabrać.
Milion dolarów! Nikt przy zdrowych
zmysłach nie daje komuś w prezencie
milion dolarów. Z żadnego powodu. A
już na pewno nie po to, by zdobyć akcje
koncernu wydawniczego o wartości
dziesięciu milionów. Czemu ktoś miałby
płacić więcej, niż wynosiła najwyższa
cena rynkowa. Ktokolwiek chciał mieć
te

udziały, mógł po prostu kupić na
rynku. Najwyższy czas zacząć myśleć
rozsądnie. Zapomni o tym głupim
incydencie, a jutro pójdzie wcześniej do
banku i solidnie popracuje, aby nadrobić
dzisiejsze zaległości. Ależ był głupi!
Milion dolarów!

Jednak ruszając do wyjścia, zauważył, że tamten mężczyzna zapomniał aktówki. Nadal stała obok pisuaru. Pomyślał, że trzeba pobiec za nieznajomym. Nie, po prostu dogoni go i odda mu walizkę.

Schylił się po nią szybko i nagle poczuł gęsią skórkę. Na górze aktówki znajdowała się grawerowana mosiężna tabliczka. Było na niej jego nazwisko: Robert Rowen.

Schylił się z namysłem, by podnieść walizkę. Czy to dzieje się naprawdę? Może oszalał i to wszystko mu się przywidziało? Ale kiedy podniósł walizkę za rączkę, wiedział, że to nie złudzenie. Była bardzo ciężka. Pieniądze są ciężkie. Tak samo jak papier i ołów, i

setki innych rzeczy.

Zabrał aktówkę do kabiny i zamknął drzwi. Potem usiadł na sedesie i położył walizkę na kolanach. W milczeniu wpatrywał się w nią zafascynowany.

Nie bądź naiwny, powtarzał sobie w myślach. To tylko głupi dowcip.

Ale nie potrafi się opanować. Spróbował otworzyć zapięcie. Wreszcie zamek odskoczył z hałasem. Serce załomotało mu w piersi, gdy uniósł powoli wieko.

Wstrzymał oddech. Wnętrze wypełniały paczki banknotów. Każda miała banderolę banku z nadrukiem „\$ 10

000”. Było ich pięćdziesiąt.

Robert sprawdził kilka banknotów i potrzęsnał głową. Nie mógł w to uwierzyć. To były prawdziwe pieniądze!

To nie był dowcip.

Rozdział 3

Przeklęta suka!

Hubert de Léger pobladł z gniewu, purpurowe żyłki na policzkach były wyraźnie widoczne. Przez chwilę wpatrywał się w aparat telefoniczny, a potem podniósł go nad głowę i cisnął. Telefon brzęknął cicho, a potem odbił

się od połączanego biurka i upadł na podłogę. Uderzenie zostało stłumione przez gruby dywan. Hubert kopnął aparat, by usunąć go spod nóg, i ruszył do drzwi. Otworzył je gwałtownym ruchem i wypadł z biblioteki. W piersi czuł ciężar i z trudnością oddychał. Nie czekał na windę, szybciej było schodami. Zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kiedy znalazł się w holu, przystanął i rozejrzał się wokół wściekłym wzrokiem. Dom był cichy i jakby wymarły.

- Eduard! - wrzasnął.

Chwilę później kamerdyner otworzył podwójne drzwi do holu.

- Oui, monsieur le comte? - zapytał spokojnie. Hubert popatrzył na niego ze złością.

- Mój samochód! Niech podjedzie natychmiast!

- Oui, monsieur le comte. - Eduard odwrócił się i ruszył do wyjścia.

-I chociaż raz się pospiesz, ty leniwy...
- zakrztusił się, szukając odpowiedniego określenia. Wykonał pogardliwy ruch ręką i dodał zirytowany: - Ruszaj się! - Jego głos zabrzmiał jak piskliwy skrzek.

- Oczywiście, panie hrabio - odrzekł z godnością kamerdyner. Miał obojętną twarz. Zdążył już przywyknąć do

wymysłów Huberta i znosił je w milczeniu. Zastanawiał się przez chwilę, co spowodowało ten wybuch, ale opanował ciekawość, uznając, że to nie jego interes. Wyszedł z obojętną twarzą, zostawiając Huberta spacerującego w holu.

Kiedy mercedes zajechał, hrabia natychmiast ruszył do niego, nie kłopotząc się o płaszcz. Nie czekał nawet, by szofer pomógł mu wsiąść. Wskoczył na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwi.

- Hotel Pierre! - krzyknął.

Mercedes ruszył z piskiem opon i pomknął gładko po Wschodniej

Sześćdziesiątej Ósmej.

Zdecydowawszy się działać, Hubert poczuł się trochę lepiej. Pochylił się do przodu, otworzył barek i sięgnął po butelkę armaniaku. Czuł pod palcami gładkie szkło. Nagle wyschły mu wargi. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był spragniony.

Szybko, nie tracąc kolejnych sekund, zaczął wyjmować korek. Usłyszał znajome trzaśnięcie i lekki syk powietrza. Uśmiechnął się, podniósł butelkę do ust i zaczął pić chciwie, cmokając głośno jak wygłodniałe dziecko ssące pierś matki.

Odetchnął głęboko, kiedy alkohol

splynał mu do żołądka, przyjemnie rozgrzewając całe ciało i wywołując błogie odrętwienie. Hubert opadł na siedzenie, ściskając mocno szyjkę butelki, tak jakby ktoś zamierzał mu ją zabrać. Niezgrabnie wsparł łokieć na miękkim siedzeniu i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w okno. Nie myśląc o tym, co robi, podniósł rękę do ust i zaczął obgryzać paznokcie.

Zastanawiał się z rozpaczą, jakim cudem udało jej się tego dokonać. Tuż pod jego nosem zdołała wyjść za mąż za jednego z najbogatszych mężczyzn na świecie i spłaciła pożyczkę! Jak to było możliwe? Jak mógł o tym nie wiedzieć?

Czyżby zaplanowała to wszystko już

tydzień temu, kiedy zatrzymała się w Anglii, wracając z Europy do Nowego Jorku? Hubert odkrył, że przerwała lot, ale nie przywiązała do tego żadnej wagi. Był pewien, cholernie pewien, że to oni czworo mają w ręku wszystkie atuty. A teraz wbrew wszelkiej logice okazuje się, że Helenę trzymała w rękawie ukrytego asa. Ale co robili jego detektywi? Za co im tak hojnie płacił? I jak Nigel Somerset zdołał opuścić Anglię i przybyć do Nowego Jorku tak, że nikt o tym nie wiedział? Przecież mieli go obserwować dzień i noc.

Czarne jak węgiel oczy Huberta zabłysły. Detektywi zapewniali go, że Nigel Somerset wciąż jest w Fallsworth.

Ten cholerny Anglik zdołał przechytrzyć ich wszystkich. A Hubert zrobił z siebie kompletnego głupca! Sześć i pół godziny temu podarował Robertowi Rowenowi pół miliona dolarów za nic!

Zadrzał ze złości, ponownie rozpamiętując niedawne wydarzenia. Nikt nawet się nie pofatygował, by go poinformować, co się stało. I jeszcze ten Rowen! Pociągnął duży łyk armaniaku, aż strużki alkoholu pociekły mu z kącików ust na podbródek. Otarł je wierzchem dłoni. Ten Rowen to łobuz, pomyślał.

Czuł, jak narasta w nim paląca nienawiść. Samo myślenie o bankierze doprowadzało go do szału. Dostanę go!

- obiecywał sobie. Zrujnuję! To koniec jego kariery w banku!

Tego popołudnia przed rozmową z bankierem wyglądało na to, że wszystko jest pod kontrolą. Hubert zadzwonił, aby usłyszeć od Rowena, że ten otrzymał pół miliona dolarów. Do głowy mu nie przyszło, że coś może pójść nie tak. Przecież sam widział z daleka, jak Rowen wychodził z toalety, niosąc walizkę z pieniędzmi. Właściwie nie wiedział, dlaczego zdecydował się zadzwonić. Może po prostu chciał się upewnić. I trochę przycisnąć bankiera.

- Tu Robert Rowen - odezwał się znajomy niski głos w słuchawce.

- Czy wszystko w porządku? - wyszeptał Hubert tak samo jak wcześniej do Gore'a. -Przeliczył pan pieniądze?

Głos Rowena brzmiał niewinnie i obojętnie.

- Słucham?

Huberta ogarnęły nagle złe przeczucia.

- Pieniądze! - wysyczał ostro. - Czy przeliczyłeś forszę?

- Kto mówi? Jakie pieniądze? - W głosie Rowena zabrzmiało oburzenie. Hubert wpatrywał się zszokowany w słuchawkę. Nagle zrozumiał, że coś się nie

powiodło. Nie chodziło o to, że Rowen nie rozpoznawał jego głosu. To było coś innego.

- Dobrze wiesz jakie! - wyszeptał. - Te, które zabrałeś z toalety!

- Przepraszam pana - odpowiedział grzecznie Rowen. - To pomyłka. Źle się pan połączył.

- Słuchaj, ty gnojku! - wybuchnął Hubert. - Ostrzegałem cię, co się stanie, jeśli spróbujesz nas wykołować!

- Proszę? - W głosie jego rozmówcy słychać było niebotyczne zdziwienie.

- Zniszczę cię! - wrzasnął Hubert, nie

pamiętając, że miał mówić szeptem.

- Przepraszam pana - odrzekł Rowen łagodnie. - To pomyłka. Nie widzę powodu, aby kontynuować tę rozmowę. Do widzenia.

Hubert wpatrzył się niedowierzająco w słuchawkę. Rowen się rozłączył. Po prostu rozłączył! Wszystko się w nim burzyło. Zachodził w głowę, co mogło pójść nie tak.

Czuł, jak pot zalewa mu czoło, kiedy pośpiesznie wybierał numer biura Helenę. Czekaając, odwrócił się do okna. Zastłony były rozsunięte i Hubert mógł widzieć swój ogród. Drzewa i krzewy wyglądały jak nagie szkielety, ziemia

zamarzła. Słuchał sygnałów po tamtej stronie. Telefon odebrano w połowie trzeciego dzwonka.

- Dobry wieczór. Tu biuro pani Junot. - Głos Sfinksa był uprzejmy i profesjonalny.

- Tu hrabia de Léger. Czy ona jest?

- Przykro mi, panie hrabio. Pani Junot będzie w biurze za dwa tygodnie.

- Za dwa tygodnie... Co? N-nie, nie rozumiem - wymamrotał Hubert.

Odwrócił się od okna i opadł na krzesło. Sięgnął po chusteczkę i otarł mokre czoło. - To jakaś pomyłka. Byliśmy wieczorem umówieni na ważne

spotkanie.

- Poleciała mi je odwołać. Próbowwała się z panem porozumieć, ale numer był zajęty. Przez chwilę Hubert milczał, starając się uspokoić. Wreszcie odzyskał głos.

- Gdzie ona jest? - zapytał cicho. W głosie sekretarki usłyszał radość.

- Właściwie to pani Junot nie jest już panią Junot, panie hrabio. O dwunastej została oficjalnie diuszesa Farquharshire.

Hubert poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. To niemożliwe! Zamknął oczy. Ściany biblioteki zawirowały nagle

wokół niego. Poczul się jak na karuzeli.

- A pożyczka? - wyszeptał.

- Jaka pożyczka, panie hrabio?

- Dziesięciomilionowa! - warknął wściekle.

- Przykro mi, ale nic nie wiem na ten temat.

- Suka!

Hubert rzucił słuchawkę. Kto jeszcze może coś wiedzieć? Pospiesznie wybrał jeszcze jeden numer. Wprawdzie nienawidził Edmonda Junota, ale może brat Helenę będzie w stanie wyjaśnić tę

tajemnicę...

- Dział prawny - odezwał się kobiecy głos.

- Tu hrabia de Léger. Czy mogę rozmawiać z panem Junotem?

- Proszę poczekać, zaraz sprawdzę. Po chwili przełączono go do gabinetu.

- Mówi Edmond Junot.

Wargi Huberta wykrzywił pogardliwy grymas. Nie znosił Edmonda Junota. Jednak nawet przed samym sobą nie przyznałby się do tego, że w tym mężczyźnie było coś, czego się obawiał.

- Tu Hubert de Léger - oznajmił, odruchowo przechodząc na francuski. Edmond wybrał angielski.

- Właśnie mam ważne spotkanie...

- Nie będę panu przeszkadzać - zapewnił go szybko Hubert. - Chciałem tylko zapytać o stan akcji HJII. Czy Manhattan Bank otrzymał zwrot pożyczki?

- To interesy mojej siostry - odparł sztywno Edmond.

- Wiem - powiedział gładko Hubert. - Jednakże sprawa pożyczki dotyczy wszystkich udziałowców, łącznie ze mną. Tylko dlatego zabieram panu cenny

czas.

Przez chwilę Edmond milczał.

- Może ma pan rację - uznał w końcu. - Rzeczywiście dotyczy to pana i pozostałych akcjonariuszy. - Zrobił pauzę. - Pożyczka została spłacona dziś o dziesiątej trzydzieści rano - oznajmił.

- Pan... pan żartuje? - wykrztusił Hubert szeptem.

- Zapewniam pana, panie de Léger, że nie żartuję w takich sprawach. Na prośbę siostry udałem się do Manhattan Banku i osobiście załatwiłem tę sprawę.

- Dz-dziękuję.

Hubert drżącą ręką odłożył słuchawkę. Trząśnięcie z furii. „Panie de Léger!” Ten prostak wiedział bardzo dobrze, jak należy się zwracać do hrabiego!

Wstał i spojrział z góry na biurko. Telefon drwił z niego i szydził przeraźliwie. Hubert nie zorientował się, że aparat po prostu dzwoni. Wiedział tylko, że pełne ironii dźwięki drażniły mu czaszkę. Umilkły dopiero wtedy, gdy zniszczony aparat upadł na podłogę u jego stóp.

Kiedy mercedes się zatrzymał przed hotelem Pierre, butelka armaniaku była pusta. Hubert potrząsnął nią i odrzucił na siedzenie obok. Nie czekając na szofera ani odźwiernego, sam otworzył

sobie drzwi i nie zamykając ich, spiesznie wszedł do środka. Wyminął recepcję i ruszył prosto w kierunku wind. Minutę później znalazł się na piętrze Karla von Eiderfelda.

Niecierpliwie załomotał do drzwi apartamentu. Otworzyła mu pokojówka w hotelowym uniformie. Wyminął ją i znalazł się w holu.

- Przepraszam pana - odezwała się grzecznie. - Z kim chciał się pan widzieć? Hubert potoczył błędnym wzrokiem wokoło.

- Gdzie on jest? -Kto?

- Von Eiderfeld! - zawołał poirytowany.

- W salonie, proszę pana.

- Z drogi!

- Słucham? - Kobieta popatrzyła na niego tak, jakby się przesłyszała. Hubert wyprostował się z furią.

- Zejdiesz mi z drogi czy mam cię odepchnąć?

Przerażona pokojówka uciekła. Zerknęła jeszcze przez ramię i szybko zamknęła za sobą drzwi. W holu pojawił się von Eiderfeld.

- Mój drogi hrabio, proszę się opanować - powiedział spokojnie.

- Zrobiła to! - wrzasnął Hubert.

Von Eiderfeld cofnął się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Kto zrobił co?

- Suka, któż by inny?

Hubert odwrócił się gwałtownie i ruszył do salonu. Przystanął i zamrugał w ciemnościach, starając się odzyskać orientację. Potem skierował się prosto do barku, otworzył go, złapał pierwszą z brzegu butelkę, odkręcił ją i wypił potężny łyk. Odetchnął ciężko i odstawił ją na półkę.

Von Eiderfeld przyglądał mu się w

milczeniu. Nigdy nie widział Huberta w takim stanie. Pomyślał, że trzeba go uspokoić. Ale jak? Może po prostu będzie milczał. Tak postępował generał Staff, kiedy Führer dostawał swoich napadów. W końcu udawało się przeczekać atak złości. Teraz też postanowił ustępować de Légerowi, aby nie powiększać jego furii. Może w końcu się uspokoi.

Roztrzęsiony Hubert opadł na złocone krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili opanował się nieco i spojrzał na von Eiderfelda.

- Jesteś mi winien ćwierć miliona -
oświadczył stanowczym tonem.

Zaskoczony von Eiderfeld podszedł z

wolna do kominka. W ciemnym palenisku

leżała sterta polan. Von Eiderfeld zaczął się wpatrywać w wielkie płótno na ścianie. Myślał gorączkowo. Ćwierć miliona dolarów mogło dotyczyć tylko jednej sprawy: łapówki, na którą nalegał Hubert. Von Eiderfeld uznał, że już dość długo był cierpliwy. Trzeba z tym skończyć.

- Może mi wyjaśnisz, co się właściwie wydarzyło? - odezwał się spokojnie. Hubert zatrzęsł się ze złości.

- Dobrze. Znowu jej się udało. Poślubiła Somerseta i spłaciła pożyczkę. Von Eiderfeld w zamyśleniu potarł pięścią

podbródek.

- To mnie właściwie nie dziwi -
oświadczył. W jego głosie słychać było
szacunek. - Jest niezwykłą kobietą. Ma w
sobie niezwykłą żądzę przetrwania.

- Co za bzdury gadasz!

Hubert zerwał się z krzesła i zaczął
biegać od okna do okna i rozsuwać
zasłony. Poranne słońce już się
schowało. Niebo było szare, kilka
odcieni jaśniejsze od pokrytych graffiti
głazów w Central Parku. Zanosіło się na
śnieżycę.

Von Eiderfeld zasłonił dłonią wrażliwe
oczy.

- Uspokój się - powiedział cicho, odwracając się tyłem do okien. Hubert oddychał ciężko.

- Uspokoić się! - zawołał. - Chcę czek na ćwierć miliona. Natychmiast!

- Dlaczego mam płacić za twoje błędy?
- zapytał von Eiderfeld, nie odwracając się. - Mówiłem ci, żeby poczekać do piątej po południu.

- Mieliśmy zapłacić łapówkę pół na pół, nie pamiętasz?

- Mieliśmy poczekać do zamknięcia banku - poprawił go von Eiderfeld.

- Więc chcesz się teraz wycofać? Nie

powinienem był ci ufać! Jesteś jak wszyscy inni! Ale jeszcze się policzymy!
- warknął nagle. - Wiem o tobie wszystko! Przeczytałem dokumenty, które zgromadziła Helenę!

Von Eiderfeld odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Co z tego? Została z nich kupka popiołu. - Głos mu lekko drżał. Hubert roześmiał się złośliwie.

- Dopilnuję, aby przeprowadzono dochodzenie. Pamiętam, co tam było. Niektóre papiery nawet skopiowałem. Wiesz, co teraz zrobię? Zgłoszę się z tym do władz Izraela. Jesteś skończony, ty cholerny nazisto! Zostaniesz skazany i

stracony!

- Usiądź i uspokój się - rozkazał von Eiderfeld.

Hubert rzucił się na niego, złapał go za klapy marynarki i potrząsnął nim.

- Nikt nie będzie wbijać mi bezkarnie noża w plecy, słyszysz? Załatwię cię! Zrobią z tobą to samo co z Eichmannem. Będą cię trzymać w szklanej klatce jak wypchanego bązanta w gablocie!

Zaśmiał się dziko i puścił von Eiderfelda. Niemiec zachwiał się i opadł na krzesło. W milczeniu patrzył na Huberta. Ten człowiek oszalał. Trzeba się trzymać od niego z daleka.

Karl von Eiderfeld ani przez chwilę nie wątpił, że de Léger mówi poważnie. Wiedział, że zamroczony umysł Huberta może zniszczyć wszystko i wszystkich. Miał jednak maleńką pociechę. Ten szalencie się myli. To jeszcze nie koniec. Kolejna faza, ale nie koniec. Nazwijmy to... nowym początkiem.

Kiedy Hubert wybiegł, trzaskając drzwiami, von Eiderfeld dziwnie spokojnie podniósł się z krzesła. Doskonale wiedział, co musi teraz zrobić. Przede wszystkim podszedł do okien i pozaciągał zasłony. Potem zatrzymał się przy stoliku z telefonem. Otworzył górną szufladę i wyjął dwie skórzane saszetki. W jednej miał

paszport, w drugiej portfel. Miał je zawsze w zasięgu ręki, właśnie na wypadek kryzysu. Paszport to jego bilet wstępu do nowego życia. Portfel pełen gotówki i czeków podróżnych miał mu pomóc dostać się do tego miejsca.

Szybko schował obie rzeczy do kieszeni. Potem wybrał numer, który zapamiętał dawno temu. Była to firma wynajmująca helikoptery. Mieściła się na ulicy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Poleciał, by śmigłowiec był gotowy do odlotu za dwadzieścia minut. Potem wybrał inny numer w New Jersey. Helenę zabroniła mu korzystać z prywatnych środków transportu i do tej pory stosował się ściśle do jej wymagań. Ale w tajemnicy

przed nią miał w pogotowiu odrzutowiec Lear, aczkolwiek nigdy jeszcze nim nie leciał. Samolot czekał teraz na lotnisku w Teterboro. Pomyślał, że dopiero na pokładzie wyda pilotowi szczegółowe polecenia. Najpierw polecą do Dallas, a po uzupełnieniu zapasów paliwa do

Mexico City. Stamtąd zaś do Panama City nad Andami, a potem nad dżunglą i pampą do Urugwaju. Miał tam piętnaście milionów dolarów. Dwa miliony w banku, milion gotówką i dwanaście w złocie i najcenniejszych diamentach, wszystko ukryte w miejscu znanym tylko jemu i Heldze.

Po telefonie na Teterboro odłożył

słuchawkę. Jak to dobrze, że przewidział taką ewentualność. Teraz, gdy niebezpieczeństwo nadeszło, mógł działać bez paniki. Przez całe lata dbał o finanse przedstawicieli rządów kilku krajów. Kiedy jeden rząd upadał, jak się to działo regularnie w Ameryce Południowej, von Eiderfeld natychmiast dogadywał się z nowym liderem. Oprócz Urugwaju były dwie inne możliwości: pobliski Paragwaj i Kostaryka. Żałował tylko, że nie będzie już prezesem Von Eiderfeld Industrien GmbH i już nigdy nie zobaczy ukochanej ziemi niemieckiej. Nienawidził tropików, nietypowych pór roku i słońca, które raziło go w oczy i paliło mu skórę. W Ameryce Południowej

wszystko stało na głowie. Tamtejszym ludziom brakowało skuteczności i konsekwencji w działaniu. Pory roku także nie różniły się między sobą i przychodziły leniwie w niewłaściwym czasie. Ale na szczęście dom w Punta del Este czekał zawsze gotowy. Były w nim zacienione alkowy i grube żaluzje, które ograniczą słońce do minimum. Helga się ucieszy, bo jest tam basen olimpijskich rozmiarów. Poza tym Rolf i Otto od czasu do czasu będą ich tam odwiedzać. W ten sposób, choć z daleka, mógłby nadzorować interesy. A Von Eiderfeld Industrien będzie się rozrastać. Kiedy Hubert spełni swoje groźby, ucierpią synowie Karla i jego imperium, ale ten skandal nie wyrządzi

im wielkiej szkody. Korporacja zajmowała się głównie importem ropy i jej przetwarzaniem, a są to dziedziny bardzo potrzebne gospodarce. Niemcy nie mają własnych zasobów. Rząd dopilnuje, by kółka von Eiderfeld Industrien nadal się obracały. A Rolf i Otto są adoptowani. Chociaż raz cieszył się z tego. Wiedzieli, że nie był ich naturalnym ojcem, i nie spadnie na nich piętno jego przeszłości. Dobrze ich wychował; przetrwają ten kryzys. Groźby Huberta są nieszkodliwe, jedynie irytujące. Poza tym najwyższa pora, aby przejść na emeryturę. Czuł się stary i zmęczony. Resztę życia spędzi spokojnie z Helgą.

O trzeciej piętnaście Karl von Eiderfeld wyszedł z hotelu Pierre, nie mając nawet aktówki w ręku. Niebo ciemniało, wszędzie jaśniały żółte światła. Nie obejrzał się za siebie. Postawił karakułowy kołnierz płaszcz, poprawił kapelusz i wsunął ręce do

kieszeni. Szedł wolno w stronę Madison Avenue. Jak turysta lub mieszkaniec Nowego Jorku zatrzymywał się przed luksusowymi sklepami i oglądał wystawy. Nikt by nie dostrzegł w jego zachowaniu niczego podejrzanego. Nie biegł, nie uciekał, nie niósł żadnego bagażu. Nie był nawet podenerwowany. W kieszeniach miał tylko portfel i paszport. Resztę mógł zostawić.

Idąc powoli, dotarł do lotniska helikopterów na East River. Kiedy już unosił się nad błyszczącymi wieżowcami Manhattanu, a Bell i Et Ranger zakręcił i mknął po ciemnym niebie w kierunku New Jersey, von Eiderfeld odetchnął z ulgą.

Uśmiechnął się do siebie z ironią. On i Helenę Junot mieli ze sobą więcej wspólnego, niż im się wydawało. Umieli przetrzymać katastrofę.

Rozdział 4

Śnieg zaczynał padać dużymi płatkami, kiedy biały Rolls-Royce zatrzymał się na pasie startowym obok czekającego już odrzutowca HJII. Szofer pomógł Helenę

wyść z samochodu. Spowijało ją miękkie futro z rysia od Max Reby Montana. Obok pojawił się Nigel.

Helena promieniała szczęściem. Po raz pierwszy w życiu nawet zima, której zawsze tak się obawiała, nie mogła jej odebrać radości. Czowała się tak cudownie. Trudno wprost uwierzyć, że w końcu ona i Nigel pobrali się i jechali w podróż poślubną, o której tak bardzo marzyli.

Żółte światła odrzutowca rozjaśniały ciemność. Małe czerwone i białe lampki wzdłuż pasa startowego mrugały z mechaniczną dokładnością. Wszystko było już gotowe do natychmiastowego startu.

Nagle Helenę ogarnęła panika. Może to tylko sen? Może... Wzięła głęboki oddech i spojrzała na własną dłoń. Dwudziestoośmiokaratowy brylant Somersetów błyszczał na jej palcu. To prawda. Nie śniła. Była teraz Helenę Somerset, siedemnastą diuszesa Farquharshire. Zalała ją fala ulgi.

Nigel dotknął jej łokcia.

- Wasza Wysokość... - odezwał się żartobliwie, jakby czytając w jej myślach, i skłonił się nisko.

Helenę zachichotała i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Lepiej uważaj, głuptasie - ostrzegła go żartobliwie. - Należy mi się szacunek jako diuszecie. - Nagle spoważniała i lekko pogłaskała go po policzku. - Nigel - szepnęła. - Co ja będę z tobą robić?

Uśmiechnął się do niej.

- Mam nadzieję, że wszystko. -

Przyciągnął ją bliżej, patrząc na nią z zachwytem. W czarnych włosach tkwiły maleńkie płatki śniegu, iskrząc się w powodzi światła niczym drogocenne klejnoty. Policzki jej pałały, a oczy błyszczały tajemniczo. Nigel potrząsnął głową, jak gdyby nie wierząc własnym oczom. - Mój Boże, jesteś taka piękna - wyszeptał.

Helenę odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ty też, kochanie - odpowiedziała czule, a kiedy to mówiła, przeszedł ją dreszcz. Nigel wyczuł to. Z wolną pochylił głowę, a Helenę krzyknęła lekko, gdy jego usta

spotkały się z jej wargami. Były rozkosznie miękkie i gorące. Po chwili otworzył oczy.

- Och, kochanie - westchnął cicho. - Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy!

- Mmm - wymruczała i pocałowała go ponownie.

W oddali startował boeing 747.

Widzieli, jak jego światła przesuwały się po niebie, a potem zniknął. Nagle obok nich rozległ się ogłuszający ryk silników. Nigel spojrzął na odrzutowiec HJII.

- Lepiej wejdźmy - powiedział. - Zanim nasza latająca karoca zmieni się w dynię.

- Albo pas startowy zostanie zasypany przez śnieg - dodała Helenę. Roześmiali się i ruszyli do samolotu. Helenę pierwsza wspięła się po schodach. W

wysokiej na metr osiemdziesiąt kabinie odrzutowca Nigel musiał się pochylić.

- Parę centymetrów! -jęknął. - Dlaczego jestem jedynym człowiekiem, jakiego znam, który miał to fatalne szczęście urosnąć o kilka centymetrów za dużo, by móc swobodnie poruszać się w kabinach odrzutowców i motorówek?

- To kara - zażartowała. - Za to, że przez tyle lat ludzie muszą patrzeć na ciebie do góry.

Rozejrzała się po kabinie. Wszystko było gotowe do startu. Stoliki złożono dla bezpieczeństwa, paliły się już górne lampki ukryte za okienkami, a światło odbijało się w lustrzanych ściankach kabiny. Pokryte skórą jak w limuzynie fotele ustawiono pionowo. Z przodu, w kokpicie, skomplikowane przyrządy

błyszczały jak podczas karnawału:
czerwono, zielono i niebiesko. Noc za
przednią szybą wyglądała wprost
niesamowicie: szaro-żółto.

Zdziwiona Helenę zmarszczyła brwi.
Miejsce pierwszego pilota było puste.

- Gdzie Hendricks? - zapytała drugiego
pilota.

Odwróciła się i drgnęła zaskoczona. To
był ktoś zupełnie obcy. Niezbyt wysoki,
z brązowymi włosami i jak gdyby
rozmytymi rysami twarzy. Miał dziwne
oczy. Pod srebrnymi okularami pilota
wydawały się lodowato niebieskie.
Nawet jego wykrochmalona
jasnobłękitna koszula miała w sobie

więcej ciepła.

- Kim pan jest? - zapytała zdumiona Helenę.

Przez ułamek sekundy spojrzenie Kameleona spotkało się z jej wzrokiem. Potem wstał i stąpając niepewnie między dwoma siedzeniami, odwrócił się w jej kierunku. Oczy Helenę przesunęły się w dół i zabłysło w nich niedowierzanie; krew zastygła jej w żyłach. Starła się przełknąć ślinę, ale miała gardło suche i ściśnięte.

Spoglądała w otwór lufy rewolweru.

- Z.Z. przesyła ci pozdrowienia - powiedział zabójca i nacisnął spust.

Rozdział 5

Upłynęło dziewięć nieskończenie długich godzin, zanim wreszcie doktor Weiner pchnął podwójne drzwi. Miał opuszczone ramiona, jakby długo walczył i przegrał bitwę, co było bliskie prawdy, ale nie chciał się do tego przyznać. Pod oczami miał wielkie cienie ze zmęczenia.

- Doktorze Weiner! - Edmond poderwał się z plastikowego krzesła i ruszył w kierunku lekarza. Za nim biegła Petite Helenę.

- Robimy, co w naszej mocy, panie Junot - oświadczył Weiner. - Jeżeli to dla państwa jakaś pociecha, to nasz szpital

jest jednym z najlepszych w kraju, a trzech doskonałych chirurg...

Petite Helenę położyła mu dłoń na ramieniu. Była blada i miała czerwone, opuchnięte od płaczu oczy.

- Kiedy... - przełknęła i odwróciła głowę. - Kiedy będziemy coś wiedzieć na pewno? - dokończyła cicho, ponownie zwracając się ku niemu.

Doktor Weiner spojrział jej w oczy, żałując, że nie może dać żadnej więcej nadziei. Ale nadzieja prawie nie istniała. On i cały zespół chirurgów prowadzili wyścig z czasem, zmagając się z jedną z najbardziej groźnych i niebezpiecznych ran, jakie może

otrzymać człowiek. Kula wystrzelona z bliskiej odległości przebiła brzuch i utkwiała w wątrobie.

Petite Helenę przytuliła się do Edmonda i ukryła twarz na jego piersi.

- Czy możemy coś zrobić? - zapłakała.
Doktor Weiner pogłaskał ją po ramieniu.

- Modlić się - odpowiedział łagodnie.
- Jeżeli wierzysz w siłę modlitwy,
módlcie się teraz.

Petite Helenę wsunęła się do szpitalnej kaplicy i cicho zamknęła drzwi za sobą. Bezszelestnie przeszła przez środek nawy do ławki, gdzie siedziała Helenę. Ciotka spojrzała na nią pytająco.

- Operacja się skończyła - powiedziała cicho Petite Helenę. - Teraz możemy tylko czekać i modlić się.

Helenę przeniosła wzrok na zawieszony nad ołtarzem krzyż. Wargi jej drżały. Ukryła zmęczoną twarz w dłoniach. Przez tych dziewięć godzin próbowała z całych sił się modlić, ale nie mogła. Za każdym razem, gdy pochyliła głowę i zamknęła oczy, widziała przed sobą tę samą koszmarną scenę.

„Z.Z. przesyła ci pozdrowienia”.

Patrzyła w lufę rewolweru, nie mogąc się poruszyć, a tymczasem palec Kameleona drgnął, naciskając spust.

W tym samym momencie Nigel odepchnął ją z całej siły. Krzyknęła, padając na twardą ściankę kabiny. W ułamku chwili zobaczyła, jak Nigel rzucił się w przód i podbił w górę lufę rewolweru.

Odgłos strzału zabrzmiał jak huk grzmotu. Kula trafiła w przepierzenie, a lustrzana tafla pokryła się siatką pęknięć.

Helena czuła pulsowanie w skroniach. Nigel szarpał się z zabójcą. Twarze obu mężczyzn poczerwieniały, żyły wystąpiły im na czoła. Jak w zwolnionym filmie walczyli o rewolwer, ich mięśnie drżały, gdy wydzielali sobie broń. Potem z

przerażeniem dostrzegła, jak uzbrojone ramię mordercy opada coraz niżej i niżej. Wymierzył z browninga w Nigela!

Rozległ się suchy trzask.

Helena krzyknęła i zakryła uszy dłońmi, kiedy Nigel zatoczył się, patrząc na zabójcę ze zdumieniem. Nadludzkim wysiłkiem zdołał jednak odwrócić rewolwer w stronę wroga. Kabiną wstrząsnął kolejny strzał i morderca zamarł. Teraz to on wyglądał na zdumionego. Potem z wolna osunął się na podłogę. Nigel zachwiał się i oparł o przepierzenie, z trudem łapiąc powietrze.

- Nigel? - krzyknęła Helena. - Nigel!

Przesunęła się do niego i wstała chwiejnie. Próbował się odwrócić, ale nogi się pod nim ugięły, i chwyciła go, gdy padał w tył. Ostrożnie ułożyła bezwładne ciało męża na podłodze.

- Nigel... -jęknęła rozpaczliwie. - Nigel! - Potem krzyknęła i cofnęła się. Z jego brzucha trysnęła krew. - O Boże, Nigel, nie! - zawołała przerażona, a po jej policzkach popłynęły łzy. - Nie teraz! Nie umieraj!

Potem tuliła jego głowę w ramionach i patrzyła niczym zahipnotyzowana, jak z jego ciała ciekła krew, a z nią ulatywały wszystkie ich nadzieje i marzenia.

Słyszała przeraźliwy, zawodzący

dźwięk. Początkowo uznała, że to Nigel. Dopiero po chwili zrozumiała, skąd pochodził ten krzyk - z jej własnego gardła.

- Ciociu Helenę! Ciociu Helenę! - Ręce Petite Helenę współczująco gładziły jej plecy.

Obie płakały i płakały, i płakały, nie mogąc się uspokoić.

Nigel leżał nieruchomo na wąskim łóżku, otoczony plątaniną przezroczystych plastikowych rurek. Monitory na stole obok rejestrowały słabe impulsy i obojętnie przenosiły je na papier. Helenę odwróciła się i popatrzyła w milczeniu na lekarza.

Próbowwała się uśmiechnąć i dotknąć jego ramienia.

Doktor Weiner skinął uspokajająco głową i zostawił Helenę samą.

Przez długą chwilę po prostu stała, patrząc bez słowa na Nigela. Potem odwróciła się i spojrzała na monitory. Zobaczyła, że słabe zielone linie wznoszą się ledwie dostrzegalnie, a potem ponownie opadają. Powoli oderwała oczy od ekranów i zbliżyła się do łóżka, Opadła na kolana i przycisnęła policzek do zimnej dłoni Nigela. Tylko słabe dźwięki monitorów mówiły Helenę, że jej mąż wciąż żyje. Przypomniała sobie to, co powiedziała jej Petite Helenę - ile to już godzin

temu? - „Teraz możemy tylko czekać i modlić się”.

Czy знаła jakiś pacierz? Czy potrafiła się modlić? Nie, nie potrafiła. Od tego zimowego popołudnia, gdy Niemcy skatowali mamą; od dnia, kiedy Helene widziała, jak torturowali jej małą siostrzyczkę, a potem wysłali Marie i Catherine na śmierć; od tego dnia, gdy umarła Jeanne. Nie potrafiła wielbić Boga, który zabrał jej wszystkie ukochane osoby. Więc jak mogłaby teraz prosić Go o pomoc? To byłaby... nieuczciwość. Hipokryzja. Rozpacзлиwa próba, wówczas gdy wszystko inne już zawiodło.

Popatrzyła na bladego, nieruchomego Nigela. Zaryzykował życie, żeby ją ocalić. Była mu winna modlitwę. Tysiące modlitw.

Wzięła głęboki oddech. Przez chwilę się wahała, a potem ucałowała jego dłoń.

- Będę się modlić za ciebie, kochany - wyszeptała. - Za nas oboje!

Raz jeszcze popatrzyła na monitor; przestraszyła się, że milczał już zbyt długo. Kiedy wreszcie rozległ się cichy dźwięk, ogarnęła ją ulga.

Próbowała przełknąć ślinę, ale w gardle utkwiała jej olbrzymia kula; wilgotne dłonie drżały. Czy pamiętała jeszcze

jakieś modlitwy z czasów dzieciństwa? Obiecała Nigelowi, że będzie się za niego modlić, ale czy zdoła przywołać tamte słowa z niepamięci i zwrócić się nimi do Boga, prosząc o łaskę dla Nigela i siebie? Czy zdoła uwierzyć w pociechę płynącą z modlitwy oraz w jej moc?

Zamknęła oczy i jeszcze raz pojawił się przed nią tamten koszmar. Nigel poświęcający własne życie, żeby ją uratować.

Boże, zlituj się, pomyślała i te trzy słowa uwolniły coś wewnątrz niej. Z głębi serca zaczęły płynąć dawno zapomniane wersy. Prawie bezwiednie usta Helenę zaczęły szeptać znane słowa

i z pokorą zwróciła się do Boga.

- „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Jej serce zabiło radośnie. Więc jednak wierzyła! Zacisnęła powieki i pochyliła głowę.

- „Święć się imię Twoje...”

Zdawało się jej, że słyszy częstsze i silniejsze dźwięki dolatujące z aparatury, ale nie była tego pewna. Jak przez mgłę dotarł do niej trzask otwieranych drzwi, a potem ciche kroki, podniecone szepty pielęgniarek, ale nic nie mogło pokonać niewidzialnej ściany, którą wzniosły wokół Helenę słowa modlitwy.

- „...przyjdź królestwo Twoje...”

Jedna z pielęgniarek wybiegła, a chwilę później wróciła z doktorem Weinerem. W pokoju było słychać ich zdziwione głosy.

- Aparatura rejestruje przyspieszenie pulsu - powiedziała zdumiona pielęgniarka. Doktor Weiner pochylił się i popatrzył kolejno na monitory, a potem wolno pokiwał głową.

- Może... - mruknął. - Ale tylko może...

Pielęgniarka odwróciła się i dopiero teraz zauważyła Helenę.

- Jak pani się tutaj dostała? - spytała ostro. - Nikomu nie wolno...

- Ciiicho - rzucił lekarz niecierpliwie, uznając, że nadzieje rosną, podczas gdy obraz na monitorze przyspieszał i skakał. - Pozwoliłem jej zostać ze względu na stan pacjenta. Myślę, że jej obecność nie może mu zaszkodzić.

- „... Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...”

Helenę nadal miała zamknięte oczy. Nie widziała lekarza ani pielęgniarki. Ani skaczących wykresów na monitorach. Zamiast tego czuła ucisk w gardle. Zaczęła drżeć. Nagle zdała sobie sprawę z tego, co daje modlitwa.

Zdejmowała z niej ciężar całych lat bólu. Poczowała się lżejsza i odrodzona jak wąż zrzucający skórę. Wolna jak wypuszczony z klatki ptak. Wreszcie wstępowała w progi nieba po spędzeniu całej wieczności w piekle. Demony, które dręczyły ją przez całe życie, pozostały w ciemnościach.

Podniosła głowę i otworzyła oczy. Wstrzymała oddech. Obok niej stał lekarz, uśmiechając się tak, jakby był świadkiem cudu. Pielęgniarka ze zdumieniem wpatrywała się w monitory. I wtedy, niesłychanie powoli, Nigel poruszył głową, otworzył złociste oczy i uśmiechnął się słabo.

- Helenę... - wyszeptał.

Jej gardło ścisnął szloch. Przez długą chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

- „... I... i odpuść nam nasze winy - wyszeptała w końcu żarliwie -jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”.

_1